

ZESZYT DWUDZIESTY TRZECI

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1973

ZESZYT DWUDZIESTY TRZECI

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTITUT

PARYŻ



LITERACKI

1973

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 225

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L..
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

FUNKCJE SPECYFICZNE HISTORYCYZMU W KRAJACH SYSTEMU SOWIECKIEGO

1. Mówić o analogiach i rozbieżnościach warunków pracy badawczej na tzw. Zachodzie i na tzw. Wschodzie znaczy przede wszystkim podjąć problem odmienności odpowiednich modeli historycyzmu w obu częściach Europy.

Z czasów antycznych wywodzi się zdanie, że „historia magistra vitae est”. Niezależnie od tego, jak byśmy teraz to oceniali, faktem jest że historia obok nauki prawa, była przez wieki podstawową formą przygotowania do życia w społeczeństwie, niezależnie od tego czy była ona nauką, czy też tylko formą przekazywania stereotypów utrwalonych w postaci tradycji.

Funkcja historii (tradycji) wypływała z przeświadczenia o społeczeństwie jako o kontynuacji a więc z przeświadczenia o stałym walorze dorobku minionych pokoleń, nie tylko tych najbliższych współczesności, ale i tych bardziej odległych, nawet już nie istniejących, niepamiętnych. Szczytem powodzenia cieszyła się historia w XIX wieku, gdy stara jej funkcja wsparta została wówczas ukształtowaną metodą naukową, krytycyzmem w stosunku do źródeł i utrzymującą się przewagą w stosunku do nowopowstałych dyscyplin socjologicznych.

W chwili obecnej historia nadal jest obowiązkowym elementem nauczania i wychowywania na całym świecie, ale jej autorytet spadł, a rola w przygotowaniu młodych ludzi do życia zmniejszyła się, stając się nawet czymś wątpliwym.

Przyczyny obecnego kryzysu historycyzmu są dość skomplikowane ale wydaje się, że wśród wielu przyczyn powodujących ten stan rzeczy na czoło wysuwa się przeświadczenie o zachwianiu ciągłości życia społecznego we wszystkich jego przejawach. Znaczenie dorobku poprzednich pokoleń bynajmniej nie może być aksjomatyczne w świecie, w którym tradycja staje się balas-

tem. Problem to nie nowy, obserwowany i opisywany już w początkach naszego stulecia, a chyba i towarzyszący ostatnim pokoleniom wieku poprzedniego, ale w naszych czasach nabierający szczególnej ostrości na skutek rewolucji naukowo-technicznej, której jesteśmy świadkami i uczestnikami. Ciekawe np. byłoby przebadanie młodych Niemców, Anglików, Szwedów, aby stwierdzić w jakim stopniu są oni kontynuacją a w jakim zaprzeczeniem poprzednich pokoleń swych narodów. Pobieżne badania przeprowadzone (w listopadzie 1972) przez redakcję gazety *Svenska Dagbladet* wśród młodzieży szwedzkiej klas dziewiątych (szesnastolatki) dostarczyły bardzo pouczającego materiału. Dla tej młodzieży wiadomości o tym co było wydają się na ogół pozbawione jakiegoś praktycznego znaczenia. Cechą charakterystyczną współczesnej cywilizacji wydaje się być ahistorycyzm, będący, zdaniem niektórych, „zupełnie naturalną i zdrową reakcją na poprzedni kurczowy historycyzm” (Graus).

Pozostawiam na stronie kwestię czy odejście od historycznego traktowania cywilizacji jest słuszne czy nie, czy teraźniejszość jest kontynuacją czy też zaprzeczeniem tego co było, czy też wreszcie teraźniejszość i przeszłość nie pozostają w istotnym związku przyczynowym.

Te uwagi potrzebne są jako punkt wyjścia do próby analizy roli jaką myślenie historyczne pełni w tych krajach Europy Wschodniej i Środkowej które są związane wspólną klamrą zwierzchności sowieckiej i pokrewieństwa ustrojowego. Zastrzegam się, że bliższe informacje posiadam tylko z terenu Polski, Czechosłowacji i ZSSR, że moja wiedza o nauce historycznej i historycyzmie w NRD, Węgrzech i Rumunii nosi charakter dość przypadkowy. Zastrzegam się również, że wspólne rozpatrywanie historycyzmu w Polsce, Czechosłowacji i ZSSR bynajmniej nie oznacza identyfikacji i zacierania różnic, nader istotnych w przypadku państwa zwierzchniego i państw podległych. Ale nawet jeśli problemy znajdują inne rozwiązanie, to zbieżności sytuacyjne powodują, że noszą zbliżony charakter.

2. Europa Wschodnia również przeżywała rozkwit historycyzmu w minionym stuleciu. Skłonny jestem przypuszczać, że właśnie w Polsce i w Czechach XIX wieku historycyzm osiągnął swoje apogeum. W społeczeństwach tych, pozbawionych własnej państwowości i własnego życia prawnego, najszerzej pojęta historia (tj. zarówno tradycja jak i nauka) odgrywała szczególną rolę w procesie zachowania i rozwoju poczucia narodowego. Poczucie przeszłości jako *coniunctivum*, obok wspólnoty językowo-kulturalnej, odegrało tę rolę integrującą, którą gdzie indziej spełniły

czynniki bardziej materialne. Nic więc dziwnego, że uprawianie historii było tu często aktem politycznym, by wymienić J. Lelewela, Kalinkę, M. Bobrzyńskiego, S. Askenazego w Polsce, a Pałackiego i T. G. Masaryka w Czechach.

Historia w krajach Europy Wschodniej zachowała w dużej mierze swą rolę nadrzędnej dyscypliny humanistycznej. Składa się na to dużo przyczyn. Może warto zwrócić uwagę na trwające poczucie zagrożenia bytu narodowego, skłaniające do pieczołowitego pielęgnowania elementów tradycji; gdzie indziej — np. na Słowacji, w Bułgarii i Rumunii — prace nad zarysem dziejów narodowych bynajmniej nie są jeszcze zakończone, w Związku Radzieckim szczególną sytuację stwarza praktyczne nieistnienie szeregu dyscyplin nauk społecznych a przede wszystkim socjologii. Są to jednak w moim przeświadczeniu czynniki dodatkowe i bynajmniej nie działające jednoznacznie.

3. Społeczna rola historii w omawianych krajach Europy Wschodniej i Środkowej nie da się określić jednym zdaniem. Niewątpliwie we wszystkich tych krajach mamy do czynienia z bardzo głębokim kryzysem historycyzmu, opisanym przez wielu wybitnych badaczy¹. Kryzys ten nosi zarówno charakter gnoseologiczny jak i etyczny. Obydwie strony wyraźnie wystąpiły w proteście Nadzieży Mandelsztam: „Jak będą mogły przyszłe pokolenia dotrzeć do prawdy, jeśli obrosła ona takimi pokładami kłamstwa”². Możliwości manipulacyjne przy odtwarzaniu przeszłości nie dają podstaw do zaufania. Zawód historyka jest zdeprecjonowany w oczach społeczeństwa, jako niewiele mający wspólnego z dochodzeniem do prawdy. W „godzinie prawdy”, w czasie „październikowego przesilenia” wyżej wzmiankowany Kula stwierdzając oczywisty fakt degradacji nauki historycznej konkludował z goryczą: „Gdy społeczeństwo nie ma zaufania do nauki, nie warto pracować”³. Kryzys gnoseologiczny też niewiele ma wspólnego z nieufnością do możliwości poznawczych historii w XIX wieku, gdy dyscyplinę reprezentowaną przez Taine, Micheleta, Seignobosa zaliczano wraz z innymi dziedzinami humanistyki do *arts*, nie do *scientes*. W naszych czasach scentystyczna pogarda do możliwości poznawczych sztuki już niebardzo byłaby na miejscu.

1. M.in.: W. Kula, *Rozważania o historii*, Warszawa 1957; J. Graus, *Nasze żywa a mrtva minulosť*, Praha 1969; V. Polonsky, *Survey*, 1970; P. Korzec, *Zeszyty Historyczne* nr 20 (1971), nr 22 (1972).

2. Nadzieża Mandelsztam, *Wospominanija*, New York, 1970.

3. *Kwart. Hist.* nr 3, 1956, cyt. wg. Korzec, *op. cit.*, str. 4.

Z drugiej strony deprecjacja nauki historycznej i historyków w oczach społeczeństwa wcale nie oznacza zlikwidowania potrzeby wiedzy o przeszłości, zwłaszcza przeszłości najnowszej, a zwłaszcza wiedzy o historii współczesnej. Przeciwnie, im bardziej zakłamaną jest przeszłość, tym ostrzejsza staje się potrzeba jej odkłamania i zbudowania więzi między tym co było i tym co jest. „Co czeka kraj o chorej pamięci? Jaką ma wartość człowiek, jeśli zgubił pamięć?” — niebezpiecznie pyta wyżej cytowana autorka⁴. Podobnie Sołżenicyn w niewyłoszonym przemówieniu noblowskim, jedno z największych niebezpieczeństw, nie tylko dla swego społeczeństwa ale i dla całej ludzkości, upatruje w tym, że „przestaje być zrozumiały cały bieg HISTORII”⁵. Charakterystyczne, że autor nic nie obiecując sobie po sowieckiej nauce historycznej stwierdza, że literatura powołana jest do tego, by być „żywą pamięcią narodu” i do przenoszenia doświadczeń historycznych w czasie i przestrzeni. Nie jest to bezpodstawne. Na pewno sens dziejowy okresu rewolucji np. jest lepiej wyrażony przez I. Babla a nawet M. Szołochowa niż przez A. Sidorowa, I. Minca i ich kilkusetosobowe zespoły i setki przez nikogo nie czytanych monografii. Pozostawiam na uboczu najwybitniejsze i najważniejsze dla zrozumienia epoki prace — powieści Sołżenicyna, esej historyczny W. Grossmana i pamiętniki N. Mandelsztam — te, trudno dostępne, tylko pośrednio biorą udział w kształtowaniu poglądów historycznych. Wszechobecność historii w krajach bloku wschodniego wpływa z jeszcze jednego źródła: Istnienie (choćby pozorne) jednej linii partii, pozbawienie społeczeństwa możliwości publicznej dyskusji, wyrażania poglądów w sprawach aktualnych powoduje konieczność wynajdywania dróg zastępczych. Jedną z takich dróg, bodajże czy nie najistotniejszą i najdogodniejszą, jest przeniesienie przedmiotu sporu w sferę przeszłości.

Istnieje pogląd o „przeszłości jako terażniejszości rzutowanej wstecz” (M. Pokrowski) istnieje przeciwny mu, dowodzący, że „historia może nawet uważać się za pewien typ badania terażniejszości”⁶, obydwa zgadzają się w tym, że między przeszłością a terażniejszością daje się przerzucić most paralelizmu strukturalnego. Tak więc potępienie poddaństwa chłopów przed ich uwłaszczeniem lub uwolnieniem z poddaństwa — jeśli trochę namiętne — może zawierać bardzo współczesne, kołchozowe odniesienia. Taką samą rolę spełniają opisy polityki narodowości-

4. Nadieżda Mandelsztam, *Wtoraja kniga*. Paris, 1972, str. 186.

5. *Kultura* nr 10, 1972.

6. F. Braudel, *Historia i trwanie*. Warszawa, 1972, str. 152.

wej caratu, nawet te powściągliwe. Przykład z mojej podręcznej biblioteki: L. Bazyłow napisał kilka naładowanych erudycją rozpraw o polityce wewnętrznej caratu, nie zawierających żadnych uwag lub refleksji o Związku Sowieckim lub o PRL i które, jeśli wiem, nie wywołały kontrowersji z cenzurą. A mimo to, u czytelników rozpraw Bazyłowa rodziły się nieuchronnie skojarzenia ze współczesnymi strukturami politycznymi. Autor był wieloletnim prorektorem U.W. m.in. w czasie prowokacji antystudenckich w latach 1967-1969 i ostre potępienie prowokacyjnej polityki caratu w stosunku do młodzieży nabierało pod jego piórem szczególnego wyrazu jako ostrzeżenie pod adresem władz⁷, jako krytyka polityki społecznej o wiele bardziej współczesnych organizmów państwowych.

Sowietologowie wiedzą, że kilka życzliwych słów o Martowie, popartych autorytetem Lenina może mieć określoną wymowę polityczną, w zależności od stanowiska piszącego nawet dość dużą, podobnie jak polityczny charakter mają naukowe dyskusje nad dorobkiem Szerszeniewicza i Petrażyckiego. W polskich warunkach taką rolę spełniły badania nad PPS, nad okresem międzywojennym, nad umiarkowanym nurtem komunistycznym w Polsce (Warski, Kostrzewa) — sprawami niby odległymi od bieżącej polityki, ale zachowującymi aktualność. Podobnie w Czechosłowacji w okresie 1964-1968 aktualnie polityczny charakter miały dyskusje o państwie okresu międzywojennego oraz o roli T. G. Masaryka i E. Benesza.

4. Zarówno deprecjacja nauki historycznej jak i trwający wpływ historii na całokształt zjawisk społecznych wywodzą się z układu stosunków między historią a polityką. Wiąż między tymi elementami istnieje we wszelkich warunkach ustrojowych, jednak w warunkach totalitarnych nabiera charakteru szczególnej zależności instytucjonalnej.

Zwróćmy uwagę, że istnieją dwa kierunki zależności, że istnieje zależność nauki od polityki, ale i nauka wywiera wpływ na zjawiska polityczne. Zdeprecjonowanie nauki płynie z pierwszej zależności, jej znaczenie społeczne — z zależności drugiej.

5. **POLITYKA-HISTORIA.** Czego polityk, grupa polityczna, partia, państwo chce od historyka? Niezależnie od ustroju chce wiele i chce tego samego, od ustroju jednak zależy intensywność żądań. Rzadko występuje z postulatem zbadania *wie es*

7. L. Bazyłow, *Polityka wewnętrzna caratu...* Warszawa, 1956; *idem: Ostatnie lata Rosji carskiej.* Warszawa, 1972.

eigentlich gewesen ist. Najczęstsze żądania sprowadzają się do dwóch kategorii. *Pierwsze żądanie* to dostarczenie polityce argumentów historycznych. Są to albo tzw. prawa historyczne albo dowody trafności dotychczasowego działania. Jest to żądanie spreparowania ze sprzecznego zestawu zjawisk przeszłości obrazu tendencyjnego lub wręcz jednostronnego.

Drugie żądanie wiąże się z wychowawczą (indoktrynacyjną) funkcją historii. Jak dotychczas wszystkie modele wychowawcze sprowadzają się do przekazywania utrwalonych (historycznych), prawdziwych lub wymyślonych wzorców indywidualnych lub uniwersalnych. O tym wiedzieli już starożytni i kultura rzymska zostawiła nam szereg wybitnych dzieł tego gatunku historii. Podobnie było w chrześcijańskim średniowieczu, które nawet stworzyło specjalną dziedzinę pisarstwa — hagiografię. Nie wydaje się, by jakakolwiek doktryna wychowawcza mogła zrezygnować ze stosowania wzorców. Ale i w tej dziedzinie istnieją zasadnicze różnice między krajami pluralistycznymi a totalitarnymi. Ich determinantą jest stopień zależności historyka od państwa.

Pracownik nauki jest w Związku Sowieckim i w krajach demokracji ludowej urzędnikiem państwowym w stopniu różnym nie tylko od równorzędnego w krajach pluralistycznych ale i od sytuacji w krajach klasycznego totalitaryzmu. Państwo daje mu zatrudnienie, określa stopień naukowy, płaci pobory, określa temat jego prac, a będąc ich odbiorcą i wydawcą określa również ich rezultaty, czyli mówiąc dosłownie, określa i tezy i styl.

Zależność jest tym większa, że ze statusem naukowca łączy się pewna ilość przywilejów materialnych i moralnych, które daje państwo, ale czyni to z określonym zamiarem. Państwo godzi się nawet z faktem notorycznej bezproduktywności naukowca, nie godzi się natomiast z tezami sprzecznymi od zamówionych. Polityka naukowa realizuje się przy pomocy nakazów i zakazów. Pomijając, iż dyspozycje te wykazują od czasu do czasu elementy niekonsekwencji, stwierdzenie, co jest nakazem w danej chwili i w danym kraju, też nie jest zawsze łatwe. Najogólniej biorąc, od historyka wymaga się, by pisał „w duchu materializmu historycznego” lub prościej „metodologii marksistowskiej”, w „duchu socjalistycznego patriotyzmu” oraz „proletariackiego internacjonalizmu”, w „duchu miłości ojczyzny”. Do tego dochodzą „duchy” lokalne i czasowe, w Polsce od czasu do czasu pojawiają się, w okresie liberalizacji, duch „postępowych i rewolucyjnych tradycji”, w momentach zaostreżenia „duch nieprzejednanej nienawiści do wroga” (zarówno wewnętrznego jak i zewnętrznego), oraz — „partyjnej pryncypialności”.

Pojęcia „marksizm” i jego pochodna „materializm historyczny” należą do najbardziej semantycznie nieokreślonych pojęć naszego stulecia. W każdym jednak zapisanym pojmowaniu są to pojęcia przeciwstawne aprioryzmowi i pozostają w sprzeczności z pozostałymi dyrektywami, żądającymi dostosowania się do linii partii i jej aktualnych różnicowań. Dlatego błędem wydaje się mniemanie zakorzenione u niektórych, zwłaszcza skrajnie prawicowych pisarzy, jakoby sowiecka nauka historyczna była aplikacją marksowskich założeń metodologicznych. Bierdiajew słusznie zauważył nieuchronność transformacji marksizmu upaństwowionego „właśnie w stronę przeciwną determinizmowi”⁸, czyli innymi słowy, w stronę własnego zaprzeczenia. To musiało dać praktyczne konsekwencje. Nikt nie ośmielił się zaprzeczyć Braudelowi stwierdzającemu, że w XX wieku „zabrakło jakiegoś arcydzieła historii marksistowskiej, które posłużyłoby jako wzór i jako zachęta do naśladownictwa, czekamy na nie i nadal”⁹.

Niewątpliwie, istnieje wyraźna granica między badaniami wcześniejszych wieków, czyli okresem politycznie bardziej neutralnym, w którym aplikacja marksizmu dała dobre wyniki, choć trzeba zaznaczyć, iż wzorce marksistowskie zostały tu wprowadzone przez uczonych należących do liberalnych kierunków politycznych (w Rosji — P. N. Milukow, W. N. Winogradow, w Polsce — M. Handelsman, J. Feldman, A. Próchnik).

Natomiast w sferze historii najnowszej narzucone zasady niewiele miały wspólnego z marksizmem, czego w okresie wielkiego przełomu ideowego w 1956 roku dowiedli badacze (m.in. W. Kula, J. Jedlicki i in.¹⁰).

6. Władza jest skuteczna wtedy, gdy może wyegzekwować zarówno zakazy jak i nakazy, słabsza — gdy działają tylko zakazy, bezsilna — gdy i zakazy przestają działać. Nietrudno dowieść, że sytuacja optymalna z punktu widzenia państwa jest najgorsza z punktu widzenia nauki. Niewydolność dyktatury natomiast sprzyja nauce. Są to te czynniki polityczne, które najmocniej określają stan i poziom nauki historycznej na omawianym przez nas obszarze.

8. N. Bierdiajew, *Istoki i smysl russkogo kommunizma*. Paryż, 1955, str. 121. Jest to któreś wydanie pracy z lat trzydziestych. To tłumaczy, dlaczego Bierdiajew deformację tę przesadnie ściśle wiąże z rosyjskimi warunkami. Lata, które nastąpiły pozwoliły rozciągnąć diagnozę na kraje o innej strukturze wyjściowej.

9. Braudel, *op. cit.*, str. 152.

10. Por. P. Korzec, *op. cit.*

W czasach stalinowskich np. obowiązywała zasada, że historii najnowszej nie wolno uprawiać jako nauki, a wszelkie publikacje z tej dziedziny muszą być jeśli nie powtórzeniem „Krótkiego Kursu Historii WKP(b)” to przynajmniej z nim zgodne. Ten model obowiązywał w ZSSR zresztą już od 1929 roku, tj. przed ukazaniem się tej książki. Na terenie państw demokracji ludowej został zaaplikowany około 1948 roku. W czystej postaci — bez „Krótkiego Kursu” — zachował się na terenie Rumunii, z niewielkimi zmianami na terenie Węgier, na terenie Bułgarii, zdaniem J. Tomaszewskiego, dopiero w połowie lat sześćdziesiątych zaczęły się dokonywać jakieś zmiany na lepsze. Na terenie Czechosłowacji system zakazów i nakazów był dość zwarty i utrzymywał się do końca 1963 roku. Publikowano co prawda szereg prac, ale służyły one raczej falsyfikacji niż nauce (Kral, Holotik). Zastój, który panował w Czechosłowacji zdawał się być gorszy niż w ZSSR. Nawet społeczeństwo zdawało się niezainteresowane własną przeszłością. Czeska nauka historyczna miała od dawna piękne tradycje w dziedzinie historii najnowszej, by wspomnieć wzorcową po dzień dzisiejszy pracę F. Peroutki „Budovani statu”, ale teraz historia najnowsza zanikła. Mój przyjaciel historyk był zgębiony, gdy w pociągu usłyszał rozmowę dwóch młodych ludzi, rozwiązujących krzyżówkę. Ludzie ci na próżno starali się zgadnąć, jak nazywał się ten „facet, którego spalono w Konstancji”. Nic nie zapowiadało więc eksplozji nauki, która nastąpiła w latach 1964-1969 i która owocowała pracami J. Krzena, R. Kvaczka, J. Bartoszka, L. Liptaka, J. Valenty i in. Warto może te nazwiska przypomnieć, bo epizod był krótki, z wieloma pracami, obecnie już skonfiskowanymi, świat nie zdążył się zapoznać, ludzie ci zaś, jeśli nie znajdują się nawet w więzieniu jak M. Hübl, to pozbawieni są możliwości kontynuowania badań.

W Polsce okres stalinowski nie różnił się zbyt wiele od wzorców, natomiast odejście od stalinizmu w nauce historycznej było wcześniejsze i chyba dlatego i trwalsze. Jest to kraj stosunkowo najpełniejszej wolności naukowej. Nawet w okresie stosunkowo ostrej restalinizacji w latach 1968-1970, gdy walczono przeciwko „syjonistom”, „kosmopolitom”, „liberalistycznym” i „objektywistycznym” ujęciom, nie było nawoływania do „partyjnej pryncypialności” — ten postulat jednak brzmiałby w Polsce zbyt komicznie.

W Polsce nie ma też tabu jeśli chodzi o wybór okresu i problemu badawczego, natomiast istnieje konieczność dostosowywania wyników badań do życzeń władz. Szczególnie drastyczna cenzura panuje w takiej preferowanej przez władze dziedzinie jak historia Polski i powszechna od 1939 roku. W tym zakresie

możliwość uprawiania nauki jest bardzo problematyczna. Dla przykładu — ukazały się obszerne prace z historii II-ej wojny światowej (J. Zamojski, W. W. Kowalski, H. Batowski, M. Turlejska), w których nie ma ani słowa o deportacji ponad miliona polskich obywateli do ZSSR w latach 1939-1941 oraz o mordzie w Katyniu. Autor pracy poświęconej sowieckim operacjom wojennym w 1944 roku na ziemiach polskich (K. Sobczak) prywatnie wcale nie ukrywał, iż na podstawie archiwaliów polskich i sowieckich doszedł do potwierdzenia wniosku, iż sowiecka ofensywa nad Wisłą została wstrzymana w sierpniu 1944 by dać Niemcom możliwość stłumienia Powstania Warszawskiego, ale w opublikowanej monografii dowodzi, że o wstrzymaniu ofensywy zdecydowały wyłącznie względy militarne. Inaczej mówiąc, autorzy mieli swobodę wyboru tematu, ale w tym wyborze zawarta była nieuchronność kłamstwa.

To są przykłady tabu bardzo drastycznych. Są one nie tylko polskie. Gdy zespół badaczy czechosłowackich opublikował w 1965 makietę pracy o Czechosłowacji w II-ej wojnie światowej¹¹, gdy okazało się, że makietta ta zawierała tezy nie do przyjęcia dla Związku Sowieckiego, zorganizowano ostrą kampanię przeciwko publikacji, wciągając do współpracy polskich i bułgarskich kolaborantów i po dzień dzisiejszy prześladować autorów. W ogóle problem historycznych stosunków zarówno ZSSR jak i Rosji z innymi państwami i narodami jest zawsze drażliwy i ambasada sowiecka w Polsce interweniuje raz za razem. Okazuje się, że mało kto jest w stanie zadośćuczynić wymaganiom „starszego brata”. Lista historyków polskich, którzy ściągnęli na siebie nagany, lub wręcz gromy, sowieckie byłaby długa i zaskakująca. Nie wszystkie jednak zakazy wywodzą się ze Związku Sowieckiego. Zakaz krytyki przeszłości własnej partii jest już oczywiście endogenicznego pochodzenia. Zakaz ten jednak nie jest nie do ominięcia, albowiem zygzaki linii politycznej i walki ścierających się grup stwarzają pewne luki w systemie zakazów. Czasami wystarczy chwalić jedną frakcję, by w ten sposób potępić przeciwną.

Polityka naukowa w Polsce ostatnich 15 lat, tj. od 1957 roku ma stałą tendencję do zaostrzania się, mimo to jednak proces denudacji ideologii komunistycznej powoduje, że powstają publikacje coraz bardziej odległe od pragnień władzy. Aprioryzm nie cieszy się popularnością ani wśród starszych ani wśród młodszych pracowników nauki.

11. *Odboj a revoluce 1938-1945. Nastin dejin czechoslovenskeho odboje. Autorsky kolektiv...* Praha, 1965.

Zwróćmy uwagę na jeszcze jedno zjawisko, związane z niepełnością dyktatury, a mianowicie na to, że inne zakazy obowiązują w druku, inne w wykładzie. Jako przykład przytoczę wykład wygłoszony w 1956 roku przez K. Laptera w INS przy KC PZPR o słynnym protokole dodatkowym do paktu Ribbentrop-Mołotow. Wykład ten miał duży rezonans polityczny. Oczywiście jednak nawet w okresie największego liberalizmu nie mógłby się na ten temat ukazać artykuł. Zresztą różnice idą dalej. Inaczej cenzurowane są pisma popularne, inaczej — naukowe, inaczej monografie. Był okres że najłatwiej jeszcze można było opublikować jakąś niecenzuralną myśl w piśmie *Z pola walki*, wydawanym przez KC. To różnicowanie cenzury nie jest zresztą specyfiką polską, podobne zjawisko zaobserwowałem w ZSSR.

Jeśli, jak zaznaczyłem wyżej, rządzenie sprowadza się do zakazów i nakazów, to w interesującej nas dziedzinie władza w Polsce może tylko wyegzekwować zakazy. To są pewne wywalczone przywileje świata naukowego. Nakazów władza nie jest w stanie wyegzekwować. Nie znam w ciągu ostatnich 15 lat przypadku, by historyk musiał napisać to, czego nie chciał. Jeśli tak robi, to albo dla kompromisu, albo kieruje nim oportunizm, ale o tym nieco dalej. By uprawiać ostrą cenzurę potrzebni są fanatycy, ale tych w Polsce nie ma zbyt wielu. Gdy np. publikowałem „Federalizm...” miałem z cenzurą dość dużo kłopotów, właśnie z powodu poruszania spraw polsko-sowieckich, ale ostatecznie jeden z wysokich szefów cenzury rozmyślił się, wstrzymał zakazy i stwierdził że on musi być tak mądry, by zrozumieć zawarte w pracy aluzje.

7. Jakie są warunki polityczne pracy historyków w ZSSR? Po okresie stalinowskiego „lodowatego mrozu” nastąpiło w okresie XX zjazdu (1956) pewne rozluźnienie czy też nawet deorientacja cenzury, co nie mogło jeszcze dać poważniejszych rezultatów naukowych. Następnie przyszło znów zaostrzenie cenzury, łagodzone powolnie rosnącym oporem historyków i wchodzeniem na rynek nowego, mniej skorumpowanego moralnie pokolenia badaczy. W 1963 roku dane mi było słyszeć wykład generała Bołtina o utarczkach jego zespołu z cenzurą — zresztą bardzo wysokiego szczebla, zważywszy oficjalne stanowisko Bołtina. Bołtin dawał wówczas wyraz nadziei, że proces łagodnej, powolnej liberalizacji stworzy większy *margines dla prawdy*. Tak się jednak nie stało, upadek Chruszczowa i konflikt z Chinami co prawda rozdził nadzieję na przyspieszenie liberalizacji, ale szybko okazało się, że są to nadzieje płonne.

Oczywiście, to wszystko co jest tabu w krajach demokracji ludowej, jest również tabu w ZSSR. Istnieją jednak i tabu tylko sowieckie. Nadal nie wolno wymieniać nazwisk z wielkich procesów lat 1934-1939. Wyłomem są tylko zestawy w *Sowieckiej Istorической Enciklopedii*. Rzadko pozwala się wymieniać nazwiska „całkowicie” zrehabilitowanych. Wyjątek to wyżsi oficerowie, niektórzy pisarze i niektórzy działacze kaukaski.

Sowiecka polityka zagraniczna jest poza krytyką. Zdanie Engelsa o kontynuacji w rosyjskiej polityce zagranicznej i jej niezależności od fluktuacji politycznych zdaje się znajdować dalsze potwierdzenie.

Równie pilnie strzeżona dziedzina to dzieje III Międzynarodówki. Do potężnego jej archiwum nie są dopuszczani nawet badacze, cieszący się bezwarunkowym zaufaniem CK. Gdzieś ok. roku 1965 na wielokrotne żądania i prośby Gomułki, T. Daniszewski otrzymał wycinkowy dostęp do tego archiwum, ale jego poszukiwania nie zostały zakończone i nie są kontynuowane. Dlaczego są to sprawy tak pilnie strzeżone? Każda odpowiedź na to pytanie byłaby w większym lub mniejszym stopniu tylko zgadywaniem. Zakazem uprawiania są objęte tak wielkie połacie pola historycznego, że trudno w ogóle mówić o nauce. W 1965 roku przeglądałem katalog prac kandydackich i doktorskich napisanych w ZSSR po 1945 roku z dziedziny historii najnowszej. Katalog zawierał tysiące pozycji, przeważnie makulatury naukowej. Nie było tam ani jednej pracy o niebolszewickich ruchach społecznych i politycznych w Rosji, nic o strukturze społeczeństwa przedrewolucyjnego ani porewolucyjnego, nic o kwestii narodowej. Historia KPZS dominowała w katalogu, ale prac nie będących czystą dezinformacją było najwyżej kilkadziesiąt. Badania nad klasą robotniczą, podjęte przez zespół pod kierownictwem S. G. Strumilina krótko po rewolucji, zostały przerwane na początku lat trzydziestych, gdy okazało się, że obiektywne materiały dowodzą, że sytuacja klasy robotniczej ulegała z roku na rok poprawie za caratu i z roku na rok pogorszeniu po rewolucji¹². Ostatecznie było to zgodne ze świadomością społeczną, ale naukowy dowód tej prawdy oczywiście był rzeczywiście władzom nie na rękę.

Nawet mieszczące się w ramach ortodoksji badania S. M. Stec-kiewicza nad PPS napotykały na ostre sprzeciwy, przezwyciężone ostatecznie tylko dzięki temu, że ostatecznie nie obejmowały one ZSSR.

12. Por. Z. B. Stiepanow, *Rabocziye Pietrograda...* Moskwa, 1965.

8. Przeciętą historyczną publikacją sowiecką z dziedziny historii najnowszej jest po prostu niestrawna. Nie jest to jednakże dowodem, że historycy sowieccy myślą równie prymitywnie jak prymitywne są ich druki. Chodzi o coś innego. Jeden z moich naukowych kolegów sowieckich twierdzi, że istnieją w Związku Sowieckim aż cztery prawdy historyczne. Pierwsza, którą się ma dla siebie. Druga — którą się wypowiada, trzecia, którą się formułuje na piśmie, czwarta zaś powstaje po ingerencji wszelkich możliwych redaktorów-ustawiaczy i cenzury. Istnieją tego przykłady: młody historyk, konsultant Sołżenicyna napisał banalną dysertację. Znana jest sprawa Siniawskiego, który w swym „jawnym” życiu napisał (wraz z Mienszutkinem) banalną pracę z historii pierwszych lat porewolucyjnych.

Nie twierdzę więc, że zastój jest całkowity. Zespół P. Wołobujewa w Moskwie i poszczególni badacze w Leningradzie rozpoczęli wbrew oporom jakieś nieśmiałe próby badań struktur społecznych. 13 wydanych tomów wspomnianej encyklopedii historycznej wskazują, że jakaś suma wiedzy i przemyśleń wśród historyków istnieje¹³.

Pozwolę też zwrócić sobie uwagę, że dorobkiem ostatnich lat jest stosowanie tajnych rozpraw. Forma ta przewidziana dla militariów stosowana jest ostatnio coraz częściej do prac humanistycznych. Daje ona nieco większy margines swobody w wypowiedzianiu swych poglądów, ale uniemożliwia nie tylko pełne lub częściowo opublikowanie rozprawy, ale nawet nie zezwala na przechowywanie egzemplarza rozprawy poza tajną kancelarią.

Ruch istnieje, ostatecznie historycy nie są ciałem wyizolowanym, oddzielonym od zachodzących w ZSSR zjawisk społecznych, a jeśli nawet są ciałem kreowanym, to wiadomo, że każde ciało stworzone dla życia pozornego nabiera z czasem pragnienia by żyć autentycznie.

Jednakże narodzenie się historii najnowszej w ZSSR jako nauki nie jest zabiegiem prostym. Ukształtowanie się szkół i tendencji wymaga zarówno sprzyjającego klimatu jak czasu oraz więzi międzynarodowych. Bo w szybkim renesansie nauki w Polsce i w Czechosłowacji niepoślednią rolę odegrało to, że w Polsce bardzo szybko odbudowano tradycyjne więzi naukowe z Francją, zwłaszcza z grupą *Annales*, zaś w Czechosłowacji dużą rolę odegrały wpływy marksistowskiej myśli włoskiej i austriackiej.

13. Na marginesie, encyklopedia ta aż prosi się o potraktowanie jako źródło do badań nad zrygawkami sowieckiej polityki a szczególnie polityki naukowej.

9. Warto chyba przy tej okazji zająć się terminami, którymi posługujemy się zazwyczaj w rozmowie, rzadziej w druku, przy wartościowaniu prac historycznych. Chodzi mi o pojęcia pejoratywne: Kompromis, oportunizm, usługowość, tendencyjność, fałszerstwo. Każde z tych pojęć ma inną metrykę semantyczną, ale wszystkie mają jakąś wspólną, część pola znaczeniowego w kompromisie bowiem zawiera się jakaś doza fałszu, w tendencyjności zazwyczaj czai się usługowość itd. To sprawia, że nie jesteśmy zbyt precyzyjni w wartościowaniu tych pojęć. A szkoda, bo różnice mimo wszystko są dość zasadnicze, o czym chciałbym przekonać zwłaszcza tych kolegów, którzy obserwują kraje bloku sowieckiego z zewnątrz, nie biorąc udziału w zgryzotach i sukcesach tamtejszych historyków.

Można stwierdzić, że jeśli pominiemy zjawiska ze sfery tzw. „samizdatu” (włączam tu Miedwiediewa i Amalrika) to postęp w nauce w ZSSR i w krajach demokracji ludowej jest osiągany wyłącznie na drodze kompromisu. Prawo do wypowiedzenia jakiejś prawdy okupowane jest koniecznością pewnych, czasem małych, czasem znacznych, ustępstw na rzecz obowiązujących dogmatów (w ZSSR) lub formuł (w Polsce).

Charakterystyczny przykład to znana sprawa publikacji jednego z ciekawszych historyków sowieckich średniego pokolenia Je. Burdżałowa. Jego artykuły o rewolucji lutowej (1956) i książka na ten sam temat (1967) zdobyły zasłużenie szeroką popularność poza granicami ZSSR. Ale prace te nie są pełną i czystą prawdą. Nadal bolszewicy są w nich kierowniczą siłą, na ich wezwanie masy obalały carat; nadal liberałowie, eserzy, mniešwicy przeciwdziałali rewolucji. Autor pominął autentycznych ludowych wodzów rewolucji, Kajurowa i Kirpicznikowa a nawet przywódcę bolszewików, nieprawomyślnego Szlapnikowa-Bielenina zepchnął w cień. O tym by napisać za czyje pieniądze zaczęto wydawać po rewolucji Prawdę nie może być ani słowa. Ale przecież w konkretnej sytuacji publikacje Burdżałowa spełniły pozytywną rolę, ujawniły nijaką rolę Stalina, rozbieżności między Leninem a bolszewikami i tym podobne sprawy.

Przykład zasługuje na zastanowienie. Z jednej strony w nauce winno mówić się prawdę i tylko prawdę. Ale gdyby Burdżałow postępował zgodnie ze średniowiecznym ślubowaniem doktorskim, jego szanse osiągnięcia częściowego postępu byłyby równe zeru. Naruszając obowiązek mówienia prawdy, autor pchnął naukę naprzód. Podobną miarę można chyba przyłożyć i do większości tych polskich prac, które są naukowym osiągnięciem.

Czy kompromis jest przejawem oportunizmu? Ocena zależy od dość subiektywnych elementów, ale ze względów czysto prak-

tycznych odmówiłbym prawa potępiania ludziom bezpłodnym, którzy co prawda — w swoim własnym tylko przekonaniu — żadnym kompromisem się nie splamili, ale i do żadnego postępu też się nie przyczynili.

Jeśli tendencyjność jest w ogóle nieuchronnością prac humanistycznych, wypływającą z prezentystycznego stosunku do badanych zagadnień, to ideałem tendencyjności byłoby własne wartościowanie zjawisk, przy pełnym odtworzeniu ich wieloznaczności. Ten ideał jest zawsze osiągany tylko przez wybitnych uczonych, w warunkach ZSSR — tylko w badaniach nad wcześniejszymi okresami. Można też założyć, że istnieją takie formy tendencyjności, które nie muszą powodować mijania się z prawdą. Na przykład opis hitleryzmu tylko wówczas może być prawdziwy, jeśli tendencyjny. Istnieje jednak tendencyjność i innego typu. Jako *extremum* może posłużyć przypadek Walichnowskiego i jego promotora Mariana Wojciechowskiego. I jeśli z uznaniem stwierdzić należy, że jurorzy nagród historycznych *Polityki* przeciwstawiali się naciskom, by przyznać nagrodę Walichnowskiemu, to jednak profesorowie i docenci uniwersytetu (bodajże) toruńskiego nadali mu tytuł uczonego.

Na marginesie warto sprostować obiegowy sąd iż tendencyjność, usługowość, fałszerstwo są atrybutami historyków, będących członkami rządzących partii. Trzeba również sprostować drugi sąd, wypływający z pierwszego, że bezpartyjni są bardziej odporni na naciski i pokusy. P. Wandycz miał dużo racji, gdy przy okazji poruszył tę kwestię, stwierdzając, iż „historyk partyjny lub historyk mający mocną pozycję i zaufanie czynników miarodajnych — przeważnie te rzeczy się pokrywają — może sobie pozwolić na większą swobodę w formułowaniu kontrowersyjnych niekiedy tez, niż historyk tolerowany...”¹⁴. Dla potwierdzenia tej tezy można dostarczyć wielu przykładów, choćby H. Jabłońskiego, którego artykuły o PPS opublikowane w latach bodajże 1952-53 stanowią rzeczywiście makabryczną literaturę, ale który swą książką o PPS (1956 r.) przyczynił się waleśnie do odnowy w polskiej historiografii i która to praca w dalszym ciągu wywiera rewolucjonizujący wpływ w ZSSR (mimo iż wydano ją tam w postaci dość okaleczonej).

Podziały na partyjnych i bezpartyjnych historyków miały swe znaczenie jeszcze kilkanaście lat temu, gdy komunizm był jeszcze wiarą. Obecnie trzeba przeprowadzić nowe linie podziału. Faktem jest, że wszyscy wyżej cytowani wybitni historycy czescy i słowaccy byli członkami rządzącej partii komunistycznej, fak-

14. *Zeszyty Historyczne* nr 17, 1970, str. 199.

tem jest też, że na liście historyków polskich postępujących poniżej wszelkiego poczucia godności znajduje się spore grono bezpartyjnych, którzy zresztą niejednokrotnie mają mocne oparcie we władzach, poparcie, którego niekiedy brak historykom, partyjnym z inercji.

10. Ocena prac historycznych powstałych w warunkach nam nieznanych jest rzeczą bardzo skomplikowaną. Często brak nam klucza do zrozumienia publikacji, które takiego klucza wymagają. Przy tej okazji warto zająć się chociażby pobieżnie pracą sprzed kilku lat, która zyskała szeroki rezonans światowy, została przyjęta jako czołowa publikacja „nowej fali” w sowieckiej nauce historycznej i zapowiedź zbliżającej się ewolucji stosunków politycznych. Chodzi o „22 czerwca 1941 roku” Niekricza. Jest to bez wątpienia ostra demaskacja Stalina, jego pronazistowskich sympatii i wyliczenie kosztów tej miłości. Mimo to teza Georges Haupta o Niekriczu jako czołowym rewizjonście¹⁵ nie znalazła uznania w ZSSR. Niekricz jest na Zachodzie znany z jednej pracy, natomiast w ZSSR ludzie dostrzegali całokształt jego dziejopisarstwa, w którym równocześnie z pracą dostrzeżoną poza granicami kraju znajdują się prace pisane z pozycji wojującego imperializmu. Niekricz jest jednym z nielicznych w ZSSR apologetów polityki sowieckiej w okresie między układem Ribbentrop-Mołotow a 22 czerwca 1941, włącznie z zajęciem krajów nadbałtyckich i wojną przeciwko Finlandii.

W ZSSR oceniano książkę jako wyraz poglądów tych kół generalskich, które powodowane bądź *esprit de corps*, bądź planami politycznymi, stawiały sprawę następująco: albo Stalin był w porządku i wówczas odpowiedzialność za zaskoczenie i klęskę spada na generalicję, albo generalicja i sowiecki sztab generalny właściwie spełniły swe obowiązki a wówczas odpowiedzialność spada na kierownictwo polityczne i jego koncepcje polityki zagranicznej. Niekricz należał do osób zaprzyjaźnionych z marszałkiem Rodionem Malinowskim, który udostępnił historykowi szereg poufnych dokumentów i wymógł wydanie książki. Ale koła militarne przegrały tę walkę, a jednocześnie niemal zmarł Malinowski, wraz z czym nastąpiła i osobista przegrana Niekricza, pozbawionego członkostwa w partii i pracy w Instytucie Historii Akademii Nauk ZSSR.

Józef LEWANDOWSKI

15. W przedmowie do francuskiego wydania książki w 1968 roku.

Paweł KORZEC

MATERIAŁY DO STUDIÓW NAD HISTORIOGRAFIĄ PRL W ZAKRESIE HISTORII NAJNOWSZEJ

Rozdział III*

ORGANIZACJA NAUKI

a) Instytut Historii PAN

Sytuacja istniejąca w 1956 roku w dziedzinie najnowszej historii Polski wymagała przede wszystkim szeregu zmian organizacyjno-administracyjnych, powołania do życia nowych placówek wydawniczych, lub też zmianę redakcji i stylu pracy dawnych. Zaznacza się w tym okresie osłabienie prowincjonalnych ośrodków uniwersyteckich, m.in. z braku fachowej kadry historyków. Życie naukowe przynajmniej na szereg lat skoncentrowało się w Warszawie.

Przed wszystkim rozbudowane zostały ośrodki badawcze Instytutu Historii PAN. Historią najnowszą zajmowały się aż 3 działy zgodnie z układem chronologicznym. Dział IV zajmował się okresem 1864-1918, dział V okresem międzywojennym 1918-1939. Powstał też w tym czasie Zakład Historii Polski w II Wojnie Światowej. Zakład ten objął w następnych latach także badania nad historią Polski Ludowej. Istniały również dwie regionalne placówki Instytutu Historii: Zakład Historii Śląska we Wrocławiu oraz Zakład Historii Pomorza z siedzibą w Poznaniu. Te dwa ostatnie zajmowały się niemal wyłącznie historią najnowszą, a zwłaszcza problematyką Ziem Odzyskanych oraz stosunków polsko-niemieckich.

Szczególnie ożywioną działalność rozwijała powołana do ży-

* Rozdział I-szy drukowaliśmy w *Zeszytach Historycznych* Nr 20 (1971), Rozdział II-gi w Nrze 22 (1972).

cia jeszcze w 1955 roku, pod przewodnictwem Natalii Gąsiorowskiej, Komisja Wydawnictw Źródłowych. Organizowała ona i subsydiowała poszukiwania archiwalne i publikacji źródeł głównie do historii najnowszej.

Kwartalnik Historyczny najstarsze polskie czasopismo historyczne, którego poziom bardzo podupadł w latach stalinizmu, został uznany oficjalnym organem Instytutu Historii PAN. Pod energiczną redakcją B. Leśnodorskiego poziom jego bardzo się podniósł. *Kwartalnik*, dotąd tradycyjnie zajmujący się historią dawną, zaczął zamieszczać artykuły i materiały poświęcone historii najnowszej. Nieraz poświęcano jej całe zeszyty, jak np. nr 4 z 1958 roku, poświęcony problematyce międzywojennej. Dyskusja nad *Kwartalnikiem Historycznym*, zorganizowana w 1961 roku przez redakcję, podkreślała walory pisma, aczkolwiek wydobywała również jego słabość. Najbardziej narzekano na niewystarczającą informację naukową oraz na zjawisko zamieszczania recenzji „grzecznościowych”. Domagano się zwłaszcza rozbudowania działu informacji i recenzji prac zagranicznych a także polskiej historiografii emigracyjnej¹.

Realizując uchwały słynnej narady Instytutu Historii z czerwca 1956 przystąpiono do wydawania czasopism specjalistycznych poświęconych najnowszej Historii Polski. W 1958 roku ukazał się pierwszy rocznik *Materiałów i studiów z okresu 1914-1939*². Pismo to odegrało niewątpliwie dużą rolę w rozwoju badań nad tym mało dotąd znanym okresem. Szczególnie interesujący był w pierwszych rocznikach dział materiałów. Udostępniono w ten sposób materiały archiwalne, mało dotąd znane historykom krajowym (np. Komitet Narodowy Polski 1917-1919), a już szczególnie trudno dostępne dla naukowców zagranicznych.

Pismo drukowało wiele rozpraw młodych historyków. Były to najczęściej fragmenty ich prac doktorskich i habilitacyjnych, na których ukazanie się trzeba było czekać nieraz kilka lat. Udostępnianie częściowych wyników badań, opartych zazwyczaj na mało dotąd znanej bazie archiwalnej, wzmacniało zainteresowanie oraz wymianę poglądów na tematy historii międzywojennej i wpływało dodatnio na poziom wykonywanych prac. Ponieważ było to pismo czysto fachowe przeznaczone dla małego grona historyków, nacisk czynników politycznych był w nim stosunkowo słaby, szczególnie w pierwszych rocznikach, ukazu-

1. Dyskusja nad *Kwartalnikiem Historycznym* 26. 4. 1961 K.W. 1961 nr 4.

2. *Najnowsze dzieje Polski. Materiały i studia z okresu 1914-1939*, t. I — 1958, ostatni tom 14 — 1969. Każdy tom zawierał około 250-300 stron oraz streszczenia w języku francuskim i rosyjskim.

jących się w latach, gdy historycy skutecznie jeszcze opierali się cenzurze. Sprzyjało to wysokiemu poziomowi wydawnictwa. W sumie można stwierdzić, że 14 tomów tego pisma, które ukazywały się w latach 1958-1969 to podstawowy zasób materiałów do historii międzywojennej Polski.

W 1957 roku niemal pod analogiczną nazwą zaczęło ukazywać się drugie seryjne pismo Instytutu Historii poświęcone II-ej wojnie światowej³. Skupiło ono grono najwybitniejszych specjalistów z tej dziedziny pod przewodnictwem St. Płoskiego.

W artykule inauguracyjnym pisma czytamy: „Stan badań nad dziejami narodu polskiego w okresie II wojny światowej pozostaje na poziomie budzącym poważne zastrzeżenia i uzasadnione niezadowolenie nie tylko w naukowych kołach historycznych, ale również wśród szerokich rzesz społeczeństwa”.

Biorąc pod uwagę katastrofalny stan badań, z inicjatywy Instytutu Historii została zwołana 20. III. 1956 roku narada historyków, prawników i publicystów pracujących nad tym okresem. Na naradzie powołano do życia komisję koordynacyjną badań w tej dziedzinie. Jej organem stało się wspomniane pismo. Ponieważ w 1957 roku powstał w Instytucie Historii PAN Zakład Historii Polski II Wojny Światowej, pismo to, od numeru 2-go, stało się organem tego Zakładu.

Pierwsze roczniki czasopisma istotnie wniosły duży wkład do rozwoju badań i znajomości historii II wojny. Zgodnie z programem redakcji obok działu artykułów szeroko rozbudowano dział dokumentacyjny (materiały archiwalne, wspomnienia, relacje) oraz informacyjno-recenzyjny (informacja bibliograficzna, recenzje, polemiki). Nowością był dość duży obiektywizm pierwszych tomów tej publikacji. Ponadto po raz pierwszy znajdujemy tu rzetelne prace i informacje dotyczące niekomunistycznego ruchu oporu oraz publikacji polskiej emigracji. Tak więc t. I zawierał cenny załącznik (65 stron) pt. „Materiały do bibliografii okupacji hitlerowskiej w Polsce 1939-1945” (uzupełnienia za lata 1944-1953). Stanowiło ono uzupełnienie bibliografii z tejże problematyki wydanej w 1955, która spotkała się z gwałtowną krytyką fachowców z powodu jej „politycznych kryteriów” i niedbałego opracowania oraz niemal całkowitego pominięcia publikacji zagranicznych⁴.

3. *Najnowsze dzieje Polski*. Materiały i studia z okresu II wojny światowej t. I 1957 r.

4. Kosicki J. i Kozłowski W.: *Materiały do bibliografii okupacji hitlerowskiej w Polsce 1935-1945*. Warszawa 1955. Recenzja tej publikacji zob. Chojnacki Wł. K.W. 1956 nr 6. Krytycznie ocenili ją także inni znawcy okresu: Pospieszalski K.M. i Sawoniak H.

W dziale materiałów opublikowano niemieckie relacje o powstaniu warszawskim. W dziale recenzyjnym znajdujemy dwie interesujące i kontrowersyjne recenzje o znanej emigracyjnej publikacji St. Kota⁵. Przy czym, rzecz charakterystyczna, M. Turlejska w obszernym artykule recenzyjnym daje pozytywną ocenę „Listów...” Kota, uważając je za interesujący przyczynek do stosunków polsko-sowieckich. Natomiast znany konserwatywny publicysta i niedawny premier rządu emigracyjnego St. Mackiewicz-Cat zarzucał Kotowi złośliwą tendencyjność i brak podstawowych zasad obiektywizmu historycznego.

Tomy II i III zawierały jeszcze sporo materiałów o działalności A.K. Na przykład meldunki dowódcy powstania warszawskiego, gen. Chruściela-„Montera”, dla Bora-Komorowskiego oraz wiele dokumentów niemieckich. Gdzieś od V (1961) roku pismo staje się mniej atrakcyjne. Mimo zapowiedzi redakcji dział recenzji i polemiki faktycznie nie istnieje. Widocznie poziom prac, na których ponownie zaciążył reżym partyjno-cenzuryjny, nie sprzyjał pisaniu prawdy.

Najpóźniej, bo w 1962 roku, zaczęła ukazywać się trzecia seria wydawnicza Wydziału Historii PAN pt. *Polska Ludowa*. Z trzech wymienionych publikacji ta ostatnia była najmniej wartościowa. Był to już okres wygasania swobody twórczej, w szczególności w tak drastycznej dziedzinie jak historii Polski po II-ej wojnie światowej.

W roku 1970 na miejsce wszystkich trzech wymienionych serii zaczęło wychodzić czasopismo kwartalne pt. *Najnowsze dzieje Polski*.

Z periodycznych publikacji Zakładu Historii PAN należałoby wymienić jeszcze jedno: *Acta Poloniae Historica*, którego materiały były drukowane w jednym z trzech języków zachodnich (angielski, niemiecki, francuski). W latach 1958-1965 ukazało się 12 zeszytów tej publikacji. Miała ona na celu umożliwienie polskim historykom przedstawienia wyników swych badań historykom Zachodu.

Prócz artykułów i przeglądów całych dziedzin historii Polski *Acta* dawały dużo materiału informacyjno-bibliograficznego. Znajdujemy w nich również artykuły z historii najnowszej, ale w tej dziedzinie problematyka była starannie selekcionowana pod względem politycznym i dawała materiały nie budzące szczególnych wątpliwości czy emocji. Szczególnie skromnie reprezentowane były publikacje dotyczące II wojny światowej, a zwłaszcza historii Polski Ludowej.

5. Kot St., *Listy z Rosji do generała Sikorskiego*. Londyn 1955.

W seryjnych publikacjach Instytutu Historii szczególne miejsce zajmowała praca nad wydaniem wielotomowego zarysu „Historii Polski”, będąca właściwie zasadniczym zadaniem powołanego w 1953 roku do życia Instytutu. W warunkach polskich było to przedsięwzięcie kolosalne, zwłaszcza w tomach dotyczących historii najnowszej. Po pierwsze brak było dotąd tego rodzaju publikacji syntetycznej. Ponadto sytuację utrudniał niedostateczny stan ogólnego dorobku naukowego, a w szczególności niezwykle trudne kryteria dydaktyczne i polityczne, jakich wymagano od tej publikacji. Nic też dziwnego, że każdy tom pochłaniał ogromną ilość prac przygotowawczych (zbieranie materiałów, referaty materiałowe, dyskusje), zatrudniał — prócz dość licznej grupy autorów i redaktorów oficjalnych — wielu autorów i pracowników anonimowych i oczywiście ogromne środki finansowe. Dążenie do optymalnego pogodzenia kryteriów naukowych z naciskami partyjno-politycznymi powodowało, że praca nad każdym tomem trwała wiele lat. Niekończące się dyskusje wielkich zespołów ludzi, nieraz specjalnie w tym celu zwoływanych, toczyły się nad każdym etapem wykonywanych prac. Dyskutowano więc projekty i konspekty poszczególnych tomów i ich rozdziałów, dyskutowano i przerabiano przygotowane już teksty. Jako pierwszy etap publikacji drukowano edycje próbne poszczególnych tomów, tzw. makiety. Dopiero po publicznej dyskusji nad makietami wydawano wersję ostateczną. Nic więc dziwnego, że realizacja tego zadania postępuje w żółtim tempie i że po 25 latach istnienia *Polski Ludowej* dotąd nie ukazał się pełny podręcznik historii Polski. Trzeba zresztą podkreślić, że bezustanne przeróbki i „poprawianie” tekstów poszczególnych tomów wpłynęły ujemnie na ich poziom naukowy. Nie oddają myśli i koncepcji poszczególnych autorów, są zbyt obszerne i na skutek tego nie mogą być przydatne dla studentów historii, zaś dla fachowców-historyków publikacja jest zbyt „wyważona” głównie pod względem politycznym i nie oddaje aktualnego stanu wiedzy o poszczególnych problemach. Wydaje mi się także że zazwyczaj tzw. makietą jest bardziej interesującą wersją niż redakcja ostateczna. Prawdopodobnie wpływała na to różnica okresu czasu między drukiem makiety i ostatecznej wersji. Makiety ukazywały się bowiem w latach względnej swobody twórczej. Dokładne porównania dwóch wersji tego samego tomu byłoby zapewne ciekawym przyczynkiem do studiów nad polską historiografią.

Ogromnym nakładem sił, po blisko 10-cioletniej pracy, ukazał się w 1963 roku tom III część 1 *Historii Polski*. Jego tekst

został dwukrotnie poddany wielkim publicznym dyskusjom, po raz pierwszy w maju 1958 roku, a następnie po ukazaniu się makiety na wielkiej konferencji w Jabłonie (20-21. IV. 1961), w której uczestniczyło 110 osób, a w dyskusji wzięło udział 38 osób. Ocena tej wieloletniej pracy wypadła tam druzgocąco. Zarzucano jej zaściankowść, brak konfrontacji z innymi krajami i ich przemianami, brak właściwych badań społecznych. W szczególności krytykowano sztuczne kryteria terytorialne i etniczne. Wyłączono z tomu ziemie wschodnie, należące do 1939 roku do Polski choć liczba Polaków była tam znaczna. Sztucznie zaś wyłączono ziemie zachodnie choć Polaków tam prawie nie było. Bardzo słaby był rozdział poświęcony emigracji polskiej, pominięto także sprawy mniejszości narodowych: Ukraińców, Białorusinów, Litwinów i Żydów. Historia ruchów politycznych, a zwłaszcza polskiego socjalizmu wyszła, mimo wielu dyskusji, niekształcona i ujęta dogmatycznie⁶.

Charakterystycznym przykładem „drogi przez mękę” w jakiej rodził się każdy tom tej publikacji może służyć opis przebiegu prac nad częścią 1 tomu IV (1919-1926).

Wstępna konferencja w sprawie prac nad IV tomem odbyła się 7. II. 1957 roku z udziałem pracowników V działu IH PAN oraz innych specjalistów uniwersyteckich. Redakcję objął H. Zieliński.

5. V. 1957 odbyła się dyskusja nad projektem 1 części tomu IV. Jej przedmiotem była struktura tomu, proporcja poszczególnych rozdziałów oraz poszczególne sprawy merytoryczne i metodyczne.

Cykl dyskusji merytorycznych otwarto 11. V. 1957 roku. Pierwsza poświęcona była znaczeniu traktatu wersalskiego dla niepodległości Polski, rola traktatu mniejszościowego itp.

11. VI. 1957 — dyskusja nad kryteriami oceny historii Polski okresu międzywojennego. Dyskutowano problemy kryterium „postępu dziejowego”. T. Jędruszczak omawiał rolę czynnika społecznego i narodowego w ramach tego kryterium. Mówiono o konieczności walki z prezentyzmem w ujmowaniu zagadnień historii najnowszej itd.

18. XI. 1957 — dyskusja nad zagadnieniem przewrotu majowego.

25. V. 1958 — dyskusja nad I wersją rozdziału dotyczącego

6. Zob. Dyskusja nad pierwszym wydaniem 1 części III tomu *Historii Polski* (1864-1900) w Jabłonie. K.H. 1961, str. 3, Makieta III tomu *Historii Polski*. „Teki Historyczne”, Londyn 1961-1962, t. IX.

wojny polsko-sowieckiej. Było to pierwsze spotkanie dla dyskusji poszczególnych rozdziałów.

W tomie I *Najnowszych dziejów Polski* z 1958 roku (str. 263-274) wydrukowany został obszerny plan 1 części IV tomu. (Byłoby niewątpliwie ciekawe porównanie tego planu, makiety i ostatecznej wersji publikacji).

Wydawałoby się, że po tak licznych przygotowaniach nie ma nic prostszego jak usiąść, napisać i opublikować tekst. A tymczasem makietę części 1 tomu IV *Historii Polski*, i to zredukowana do jej pierwszych rozdziałów (lata 1918-1921), opublikowana została dopiero w 1966 roku a więc równo w dziesięć lat od rozpoczęcia pracy nad nią. Można sobie wyobrazić ile lat trzeba będzie czekać na opracowanie całości tego podręcznika.

Mimo tak długotrwałych prac ich wynik został przyjęty raczej bardzo krytycznie. Generalne zarzuty: zbyt duża objętość i tendencja do drobiazgowości, słabe przedstawienie problematyki gospodarczej, brak pełniejszego obrazu struktury społecznej, słabo przedstawiony obraz stosunków i kwestii narodowościowych ziem polskich a zwłaszcza na tzw. kresach wschodnich. W szczególności skrytykowano niewykorzystanie najnowszych wyników badań, dyskusyjność wielu kwestii w dziedzinie stosunków polsko-sowieckich, cytatomanię itp.⁷

Gdy mówimy o Instytucie Historii PAN i jego osiągnięciach niesposób nie wspomnieć Prof. Dr. Tadeusza Manteuffla. Stał on na czele Instytutu od chwili jego powstania (1953) aż do swej śmierci w 1970 roku. Swoim autorytetem moralnym i talentem organizacyjnym zdołał nadać Instytutowi dużą rangę naukową i uchronić go przed zbyt wielkimi naciskami czynników pozanaukowych. Tego arystokratę i inwalidę z wojny 1920 roku (brak jednej ręki i trudności wymowy) cechowała rzadko spotykana odwaga cywilna i polityczna. Był on jednym z najzagorzalszych przeciwników tzw. partyjności w nauce historycznej. W wystąpieniach swoich odważnie gromił różne przejawy odstępstwa od prawdy, wulgaryzację i uproszczenie. Był jednym z pionierów destalinizacji w Instytucie Historii. W 1968 roku z kolei przeciwstawiał się skutecznie fali antysemityzmu nie dopuszczając do usuwania historyków Żydów. Usiłował też przeciwstawić się nowym tendencjom do wulgaryzacji i fałszowania nauki historycznej.

7. Dyskusja nad makietą części 1 tomu IV *Historii Polski* w IH PAN 20. V. 1964 zob. K.W. 1964 str. 5, Sprawozdanie z dyskusji nad opublikowaną „makietą” 1 części IV tomu *Historii Polski* w dniach 6-7 VI. 1966 w IH PAN zob. KH. 1966, str. 2.

Zakład Historii Partii przy KC PZPR. — (dyrektor T. Daniszewski). Po kampanii gwałtownej krytyki jakiej poddano Wydział Historii Partii w 1956 roku nastąpiła dość znaczna reorganizacja i rozbudowa tej instytucji. Zewnętrznym wyrazem zmian była częściowa zmiana nazwy. Zmiany były jednak dość daleko idące.

Przede wszystkim Zakład utracił w dużym stopniu swoją rangę dyktatora w nauce historycznej w ogóle, jak również monopol w dziedzinie badań najnowszej historii Polski w ogóle, a historii ruchu robotniczego w szczególności. Nastąpiła dość znaczna wymiana kadry pracowniczej. Dotąd w Zakładzie pracowali głównie weterani ruchu komunistycznego, a ściślej mówiąc wdowy po wymordowanych w ZSSR działaczach KPP. Zostali oni w dużym stopniu zastąpieni młodymi absolwentami uczelni państwowych i partyjnych. Zakład Historii Partii był jednak związany z instytutami historycznymi partii innych krajów socjalistycznych, a zwłaszcza z Instytutem Marksa-Lenina i Instytutem Słowianoznawstwa w Moskwie i to niewątpliwie wpływało hamująco na unaukowanie prac zakładu.

Po 1956 roku nastąpiła jednak znaczna rozbudowa funkcji usługowych Zakładu. Uporządkowana została i udostępniona jego bogata i wyspecjalizowana biblioteka. Uporządkowano wreszcie i zinwentaryzowano bardzo wartościowe zbiory archiwalne, z których do 1956 roku korzystać mogli tylko nieliczni wtajemniczeni. Dzięki swoim kontaktom międzypartyjnym i międzypaństwowym ZHP zdołało wyrewindykować z ZSSR niezwykle cenne zespoły archiwaliów polskich, jak np. tzw. „londyńskie” archiwum PPS, które w dużym stopniu wpłynęło na wzrost zainteresowania historyków dziejami tej partii. Utworzone przez ZHP wojewódzkie referaty historii partii również w pewnym stopniu przyczyniły się do ratowania i gromadzenia rozproszonych w terenie materiałów archiwalnych i cennych druków.

W 1960 roku opracowano powielony informator o zasobie archiwalnym Zakładu Historii Partii⁸. Była to niewątpliwie jedna z cenniejszych publikacji tej instytucji. Niestety *Informator* przeznaczony był jedynie „do użytku wewnętrznego”, co praktycznie oznaczało nawrót do ograniczenia informacji naukowej.

We wstępie kierownik archiwum A. Janowski przedstawiał historię powstania Archiwum ZHP, jego specyfikę, kryteria podziału i układu *Informatora*.

Zawierał on dane o 290 zespołach i kolekcjach przedstawiają-

8. *Informator o zasobie archiwalnym Z.H.P. przy KC PZPR.* Opracował Zelcer F., redakcja Janowski A., Warszawa 1960, 154 str.

cych łącznie blisko 500 metrów bieżących akt. Całość materiałów była podzielona na 3 periodyczne i 1 rzeczowy dział, a więc: 1) do 1918, 2) 1918-1939, 3) 1939-1944 i 4) archiwalia międzynarodowego ruchu robotniczego.

Informator nie uwzględniał akt dotyczących Polski Ludowej, wspomnień i relacji oraz materiału ikonograficznego. Do trzech ostatnich kolekcji miano wydać osobne informatory. Materiałów o Polsce Ludowej postanowiono, jak widać z tego, nie udostępniać.

500 m.b. to w zasadzie niewiele na zwykłe archiwum, ale tu gromadzono niemal wyłącznie akta bardzo wartościowe. Poważne środki finansowe pozwalały nabywać prywatne zbiory. Nabywano je też różnymi innymi sposobami.

Dla przykładu wymienię choćby kilka prywatnych kolekcji: Papiery po Adamie Próchniku (1898-1942), Ignacym Daszyńskim (1882-1936), Kancelaria wybitnego obrońcy politycznego Teodora Duracza, papiery R. Knolla, K. Świtalskiego itp.

Z pola walki. — W 1958 roku ZHP przystąpił do wydania własnego czasopisma pt. *Z pola walki* — kwartalnik poświęcony dzieciom ruchu robotniczego. W nazwie swojej nowe czasopismo nawiązywało do dawnych publikacji „Proletariatu”, a zwłaszcza do polskiego czasopisma historycznego ukazującego się w międzywojennym okresie w Moskwie. Redaktorem naczelnym mianowany został młody historyk Feliks Tych, który do dzisiaj nim kieruje*.

Pismo powołane zostało do życia w okresie największej dyskusji wokół spraw historii najnowszej. Jakby odcinając się od dawnych tradycji „partyjnej” historiografii, redakcja w programowym artykule wstępnym deklarowała, że „pismo nasze pragnie służyć interesom *rzetelnych wolnych od wszelkiej jednostronności* badań naukowych (podkr. moje — PK.) prowadzonych z pozycji materializmu historycznego i marksistowsko-leninowskich kryteriów metodologicznych”.

Układ pisma był dość stereotypowy, ale pierwsze jego roczniki były bardzo interesujące i żywo redagowane. Każdy numer zamieszczał zazwyczaj kilka obszernych artykułów. Tak np. w numerze I wydrukowane zostały artykuły dotyczące spraw polskich w rewolucji rosyjskiej 1917-1918 roku.

Dla historyka najciekawszy był dział materiałów i dokumentów. W dziale tym drukowano więc protokoły i sprawozdania ze

* Praca była napisana w 1970 roku. W międzyczasie Feliks Tych został usunięty ze stanowiska — zapewne ze względu na pochodzenie żydowskie.

zjazdów partyjnych KPP i PPS i inne ciekawe dokumenty. M.in. *Z pola walki* w szeregu numerach drukowało bogatą korespondencję Róży Luksemburg do Leona Jogichesa. Pismo postawiło sobie za zadanie zaprezentowanie społeczeństwu sylwetek i dorobku polskich działaczy rewolucyjnych, którzy zostali w latach trzydziestych wymordowani w ZSSR i wokół których do 1956 roku panowała zmowa milczenia. Tak więc zeszyt I publikował zyciorysy Henryka Bitnera-Bicza oraz Józefa Rotstadta-Krasny.

Pismo wiele miejsca poświęcało kronice naukowej krajowej i zagranicznej w zakresie historii ruchu robotniczego i socjalistycznego. Szczególnie cenny był dział bieżącej bibliografii, dotyczącej polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego.

Czasopismo ambitne i solidne w pierwszych latach swego istnienia zaczęło ulegać tendencjom i naciskom linii partyjnej. W szczególności dotyczyło to problematyki najnowszej, Historii II wojny światowej i Polski Ludowej. Dyskusja i polemiki oraz krytyczne listy do redakcji zaczęły coraz bardziej zanikać. W miarę ponownego wzrostu wpływów Zakładu Historii Partii, wzrastała pewność siebie i buta jego pracowników. Recenzje drukowane w *Z pola walki* znówu nabrały charakteru złośliwych i wyrokujących ocen.

Zmienił się natomiast klimat wewnętrzny w ZHP. Miejsce starych fanatycznych weteranów partyjnych zajęła grupa „młodoturków”. Byli to najczęściej absolwenci partyjnych szkół wyższych, którzy internacjonalistyczną żarliwość starszej i kierowniczej kadry, zastąpili ideami komunizmu nacjonalistycznego. Głucha walka wewnętrzna, trwająca przez lata w ZHP, wyładowała się w 1968 roku. Z ZHP usunięci zostali zarówno dyrektor Zakładu Tadeusz Daniszewski, jak również jego zastępca Józef Kowalski. Byli oni co prawda weteranami ruchu komunistycznego i najstarszymi pracownikami ZHP, ale zdyskwalifikowało ich żydowskie pochodzenie.

c) Zakład Historii Ruchu Ludowego

Przełom w dziedzinie badań nad historią ruchu chłopskiego i Stronnictwa Ludowego nastąpił w 1956 roku. Na spotkaniu byłych działaczy SL w 20 rocznicę wystąpień chłopskich w Galicji i na Lubelszczyźnie Czesław Wycech, ówczesny wiceprezes Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego (ZSL), poddał ostrej krytyce dotychczasowe opracowania dziejów ruchu ludowego i wysunął postulat obiektywnego badania wszystkich nurtów i orga-

nizacji ruchu ludowego. Wzorując się na ZHP, Komitet Naczelny Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego (ZSL) powołał do życia w 1960 roku swój własny Zakład Historyczny. Archiwum skoncentrowało dokumenty i rękopisy dotyczące historii chłopów i ruchu ludowego. Składa się ono w pierwszym rzędzie ze spuścizn osobistych wielu działaczy ruchu ludowego. Nowa placówka przystąpiła do wydawania *Roczników Dziejów Ruchu Ludowego*, posiadających duże walory materiałowe. Do 1964 roku ukazało się 5 roczników. Wiele wysiłku włożono w gromadzenie bibliografii zagadnień społecznych wsi i historii ruchu chłopskiego.

d) *Wojskowy Instytut Historyczny*. — Studia nad historią wojen i wojskowości, ze szczególnym uwzględnieniem historii najnowszej skoncentrowały się w Wojskowym Instytucie Historycznym. Duże możliwości materialne pozwoliły temu Instytutowi rozwinąć szerokie prace badawcze, w oparciu o własną kadrę (wyższe szkoły wojskowe), jak też we współpracy z historykami z katedr uniwersyteckich. Organem Instytutu jest ciekawie i na wysokim poziomie redagowany *Wojskowy Przegląd Historyczny*. Instytut wydawał też dwa razy na rok tzw. *Studia i materiały do dziejów wojskowości*. W tych ostatnich drukowali swoje prace wychowankowie Akademii Wojskowo-Politycznej. Oczywiście materiały dotyczące ostatnich dziesięcioleci (okres II wojny i Polski Ludowej) podlegały normalnym naciskom politycznym i WPH odegrał w badaniach nad tym okresem raczej niechlubną rolę.

e) Szczególną rolę odgrywał *Żydowski Instytut Historyczny*, pod kierownictwem nieżyjącego już Bernarda Marka. Prace Instytutu sprowadzały się w pierwszym okresie do gromadzenia dokumentów i pamiątek historycznych do dziejów Żydów Polskich. W Instytucie zgromadzono i uporządkowano bogate i jedyne w swoim rodzaju archiwum. Skoncentrowano tam archiwa niemieckich zarządów gett oraz archiwa tzw. Judenratów. Znalazły się tam także nielegalnie gromadzone archiwa odnalezione po wojnie (np. archiwum Ringelbluma) itp. Zgromadzono tysiące zeznań ludzi ocalałych z gett i obozów, jak również pamiątki i relacje ludzi nieżyjących. Archiwum ŻIH w Warszawie było niewątpliwie najbogatszą kolekcją do dziejów zbrodni hitlerowskich i martyrologii Żydów w latach II wojny światowej.

ŻIH oprócz licznych publikacji wydawał dwa czasopisma: *Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego* w języku polskim oraz *Bleter far geschichte* w yidish. W ostatnich latach Instytut próbował na szerszą skalę zająć się również historią Żydów pol-

skich przed II wojną światową, ale kurs nacjonalistyczny i antysemicki, który wyraźnie narastał od początku lat 60-tych, nie sprzyjał realizacji tych zadań. W 1968 roku, pod wpływem kampanii antysemickiej, znaczna większość pracowników opuściła Polskę. Wprawdzie ŻIH formalnie nadal istnieje, ale jest to już raczej instytucja ginąca. Dochodzą nas w dodatku niepokojące wiadomości o zabraniu z archiwum ŻIH jego najcenniejszych zespołów. Podobną co ŻIH problematyką zajmuje się główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich (dyrektor J. Gumkowski), która wydała kilka tomów swojego *Biuletynu* (m.in. pamiętnik komendanta Oświęcimia, R. Hessa).

f) Kontynuację międzywojennego Instytutu Spraw Narodowościowych stanowi Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, który w swych badaniach i publikacjach poświęca wyłącznie uwagę historii najnowszej. Instytut wydaje stałe czasopismo „Sprawy międzynarodowe”. Część prac instytutu, a zwłaszcza materiały źródłowe dotyczące historii stosunków międzynarodowych wydawane są w formie powielanych *Zeszytów historycznych*.

g) *Biuro Historyczne Centralnej Rady Związków Zawodowych*

Rzeczą charakterystyczną dla historiografii Polski Ludowej jest niemal całkowity brak zainteresowania i zaniedbanie historii polskiego ruchu zawodowego. W opracowaniach z historii ruchu robotniczego temat ten stanowił co najwyżej uboczny i marginesowy wątek. Zakład Historii Partii nigdy nie podjął poważniejszych badań tej tematyki. Dla porównania warto dodać, że w krajach kapitalistycznych zainteresowanie historią syndykalizmu jest duże i na wielu uniwersytetach istnieją specjalne instytuty lub katedry zajmujące się tymi badaniami.

Ten brak zainteresowania dla historii Ruchu Zawodowego był niewątpliwie wynikiem polityki rządzącej partii komunistycznej, która jak i w innych krajach socjalistycznych, zepchnęła Związki Zawodowe do roli swego narzędzia, lub — jak to mówiono językiem marksistowskim — „do roli transmisji partii do mas”. Faktycznie unicestwiając rolę Związków Zawodowych reżym komunistyczny nie był zainteresowany w prowadzeniu badań, które by wykazywały doniosłą rolę Z.Z. w międzywojennej Polsce, a nawet pod panowaniem cara.

Dopiero szeroka dyskusja, jaka rozwinęła się w końcu 1956 roku wokół zagadnień historii najnowszej, zwróciła uwagę na ten dotkliwy brak. W nowoukazujących się pracach już nieco więcej uwagi zwracano na te zagadnienia.

Równolegle z tą ewolucją zachodzącą w historiografii, obudziło się również zainteresowanie własną historią w organizacjach zawodowych. Coraz częściej ukazywały się artykuły o treści historycznej w organie *Z.Z. Przegląd Związkowy*. Sprzyjającym dla podjęcia badań naukowych momentem był fakt, że centrale Z.Z. dysponowały dużymi zasobami finansowymi. W 1959 r. uchwałą Plenum CRZZ powołane zostało do życia „Biuro Historyczne CRZZ”, które zainicjowało poważne imprezy badawcze. Od 1962 roku zaczął wychodzić *Biuletyn Biura Historycznego CRZZ*. Prace te mogły oczywiście przynieść rezultaty w następnych latach.

b) Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych

W przygotowaniu bazy dla rozwoju historiografii polskiej lat 1956-1964 wielki wkład dała służba archiwalna, która została po 1956 roku, pod kierownictwem Henryka Altmana, zreorganizowana i przystosowana do nowych potrzeb.

Przepisy archiwalne są w Polsce bardzo liberalne. Nie obowiązuje tu zasada udostępniania materiałów dopiero po 50 latach. W praktyce po 1956 roku udostępniono badaczom archiwalia do 1939 roku co oczywiście korzystnie wpłynęło na rozwój badań.

Zgodnie z decyzjami, które zapadły w wyniku burzliwych zebrań na przełomie 1956-1957 roku, Dyrekcja Archiwów Państwowych przystąpiła do akcji rewindykowania rozproszonych w różnych instytucjach akt archiwalnych. Ustawa o służbie archiwalnej przewidywała umieszczanie akt archiwalnych według zasady ich proveniencji. Jako szczególnie bezsporną przyjęto zasadę nierozbijania jednolitego zespołu archiwalnego.

W wyniku energicznych starań udało się Dyrekcji Naczelnej zrewindykować kilka tysięcy tomów akt z ZSSR. Były wśród nich liczne materiały kancelarii 10 gubernii Królestwa Polskiego oraz wspomniane już wyżej archiwum PPS.

Gorzej wyglądała sprawa rewindykacji akt znajdujących się w kraju. Zgodnie z ustawą Dyrekcja Naczelna Archiwów winna była przejąć kontrolę nad wszystkimi zespołami archiwalnymi. Chodziło przede wszystkim o wielkie ilości materiałów pierwszorzędnej wagi, które w latach 1944-1956 zostały zabrane z archiwów państwowych i innych instytucji przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Zabierano je przy tym bez dokonania jakiegokolwiek inwentaryzacji, łamiąc wszelkie zasady służby archiwalnej. (Zabierano niektóre kancelarie z większych zespołów, zabierano

nawet jedynie pojedyncze tomy akt). Zachodziła oczywiście obawa o zniszczenie zabranych materiałów, bądź na skutek nieumiejętnego obchodzenia się z nimi przez oficerów milicji, bądź też na skutek ich niewłaściwego magazynowania.

Pod presją opinii i ogłoszonej ustawy ówczesny Komitet do Spraw Bezpieczeństwa zgodził się na przekazanie spornych akt. Akcja rewindykacyjna zaczęła się po 1956 roku, ale była wyraźnie hamowana przez wpływowe czynniki policyjne i partyjne. Chodziło tu głównie o akta stronnictw i organizacji politycznych a także o dokumenty Wydziałów Społeczno-Politycznych i Bezpieczeństwa dawnych Urzędów Wojewódzkich. W gruncie rzeczy akcja ta nie przybrała poważniejszych rozmiarów. Archiwa Państwowe uzyskały zwrot niektórych trzeciorzędnej wartości (akta urzędów powiatowych). Gdy wkrótce na miejsce Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa przy Prezydium Rady Ministrów znowu powołane zostało do życia Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wszelka akcja rewindykacyjna ustała. Przy M.S.W. zostało utworzone odrębne archiwum do którego historycy praktycznie nie mają dostępu. Z ówczesnych oświadczeń czołowych pracowników służby archiwalnej wynika, że Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych nawet nie była poinformowana jakie zasoby archiwalne pozostały poza jej kontrolą w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Prócz energicznej akcji inwentaryzowania akt do historii najnowszej dyrekcja Archiwów Państwowych wydała szereg publikacji o charakterze informacyjnym, które ułatwiają historykom dostęp do archiwów. W 1957 roku wydany został katalog inwentarzy archiwalnych archiwów państwowych. W latach 1956-1960 opracowano 4-tomowy inwentarz do dziejów klasy robotniczej. Wydano także dwutomowy inwentarz materiałów do dziejów rewolucji 1905-1907 na ziemiach polskich (t. I 1956, t. II cz. 1 — 1957, cz. 2 — 1960). W 1956 roku wydano zbiór materiałów archiwalnych z okresu II wojny światowej. Dużą wartość naukową i informacyjną mają dwa czasopisma Archiwów Państwowych: 1) *Archeion* — periodyk poświęcony problemom archiwoznawstwa i informacji archiwalnej i 2) *Teki Archiwalne*, które drukują ciekawsze dokumenty lub grupy dokumentów do poszczególnych zagadnień.

Dyrekcja Naczelna Archiwów Państwowych inicjowała także szereg większych publikacji dokumentów archiwalnych, a jej pracownicy uczestniczyli niemal we wszystkich większych wydawnictwach źródeł.

W powyższym przeglądzie wziąłem pod uwagę tylko cen-

tralne instytucje naukowe, pomijając instytuty i katedry uniwersyteckie. W owym okresie dorobek uniwersytetów w zakresie historii najnowszej był stosunkowo skromniejszy i jego przegląd przerasta możliwości niniejszej pracy. Problem ten znajdzie zresztą częściowe oświetlenie w następnym rozdziale.

Paweł KORZEC

(Przedruk z *Revue de l'Est*, Nr 3, 1972, wyd. Centre National de la Recherche Scientifique, Paris).

ZESZYTY HISTORYCZNE

KWARTALNIKIEM

Postanowiliśmy w bieżącym roku przekształcić *Zeszyty Historyczne* na kwartalnik.

Zeszyty Historyczne będą w dalszym ciągu poświęcone zagadnieniom związanym z najnowszą historią Polski oraz — w miarę możliwości — historii krajów wschodnio-europejskich.

Liczymy na pomoc naszych Przyjaciół i Czytelników nie tylko w zdobywaniu nowych prenumeratorów, ale także w pracy redakcyjnej. Apelujemy przede wszystkim o nadsyłanie nam dokumentów, książek i ważniejszych wycinków dotyczących Polski i Europy Wschodniej. Pomoc naszych Czytelników krajowych może tu być najbardziej cenna.

Spodziewamy się również życzliwej pomocy i współpracy wszystkich historyków polskich i wschodnio-europejskich mieszkających stale lub przebywających przejściowo na Zachodzie.

Zeszyty będą się ukazywały 4 razy do roku w dotychczasowej objętości, tj. 240 stron każdy.

Prenumerata roczna będzie wynosiła: F. 80,00 (dol. 17,00; £.stg. 7.00).

Prenumerata ulgowa dla prenumeratorów KULTURY:
F. 70,00 (dol. 14,00; dol.A. 12,00; £.stg. 6.00).

Każdy kto zdobędzie nowego prenumeratora *Zeszytów* otrzyma bezpłatnie „Dzieje Polski” Adama Krzyżanowskiego, które ukazał się w „Bibliotece Kultury” w lutym br.

DOKUMENTY

Witold BABIŃSKI

WYMIANA DEPEZ MIĘDZY NACZELNYM WODZEM I DOWÓDCĄ ARMII KRAJOWEJ 1943-1944

I

PRZEDMOWA

Problematyka wojny ostatniej, udziału w niej Polski, ruchu oporu w Kraju — omawiana była obszernie w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. Daje się przy tym zauważyć, że w miarę upływu lat, im dalej od omawianych wypadków, wśród obfitych komentarzy i ocen zaciera się nieraz istotne i dokładne brzmienie dokumentów oryginalnych. Dlatego wydawało mi się rzeczą wskazaną i celową przypomnienie pewnych dokumentów podstawowych z okresu, w którym historia toczyła się szybko.

Praca niniejsza jest zbiorem depesz, jakie wymieniali od lipca 1943 do września 1944 roku generał Sosnkowski, jako Naczelnny Wódz, z generałem Komorowskim, jako Komendantem Armii Krajowej. Chodzi o depesze, które dają pogląd na okoliczności w jakich pobierano decyzje. Nie ma w zbiorze niniejszym normalnej korespondencji między Sztabami w Londynie i w Warszawie, nie ma comiesięcznych opracowań o sytuacji na frontach, widzianej z Londynu oraz comiesięcznych meldunków A.K. o sytuacji nieprzyjaciela i sytuacji własnej w kraju. Nie ma także kompletu krótkich, niemal codziennych meldunków z terenu o wykonywaniu „Burzy” i o przebiegu walk w Warszawie. Te sprawy zostały niejednokrotnie opisane źródłowo i nie nasuwają większych wątpliwości. Natomiast uważałem za celowe umieszczenie ocen sytuacji z okresu wiosna i lato roku 1944, gdyż w nich

zawarte są elementy, które w dużej mierze wpłynęły na pobierane ważne decyzje. Umieściłem także szereg bieżących meldunków z terenu, dających pogląd na zachowanie się Sowietów po obu stronach linii Ribbentrop-Mołotow. W szczególności uwzględniłem meldunki o najważniejszych walkach, w których Armia Krajowa współdziałała z Armią Czerwoną, a więc: Wołyń, Wilno, Lwów. Nie pominąłem także sprawy Baonu Stołpeckiego.

Całość zgrupowana jest według tematów z tym zastrzeżeniem, że szereg depesz omawia kilka tematów. Tym niemniej kilka działów zasadniczych powinno lepiej orientować czytelnika. Działy są następujące:

1. Naczelny Wódz.
2. Instrukcje.
3. Próby układu z Sowietami, kontakty z Armią czerwoną.
4. Baon Stołpecki Wołyń, Wilno, Lwów.
5. Przed powstaniem.
6. Powstanie.
7. Upadek powstania.
8. Różne (Narodowe Siły Zbrojne, misja Retingera).

Witold BABIŃSKI

20 maja 1970 r.

1. NACZELNY WÓDZ

Następujące krótkie zestawienie depesz dotyczy osoby i funkcji Naczelnego Wodza. Rozkaz Nr 8 jest jakby wyznaniem wiary. Wkrótce po objęciu obowiązków Naczelnego Wodza w bardzo trudnych warunkach rozpoczyna się akcja, zmierzająca do pozbawienia go najistotniejszych uprawnień. W sprawie tej premier odwołał się do Kraju, którego władze zajęły stanowisko zgodne z poglądem Naczelnego Wodza. Również stronnictwa polityczne, nie wyłączając stronnictwa ludowego, przeciwstawiły się projektowi premiera.

Równolegle wszczęto akcję, mającą na celu pozbawienia generała Sosnkowskiego obowiązków następcy prezydenta. O tym informował Naczelny Wódz generała Bora w depeszy 362 z 23 kwietnia 1944 roku (w dziale: Wołyń - Wilno - Lwów, gdyż główna część tej depeszy dotyczy sprawy 27 dywizji piechoty na Wołyniu).

Rozkaz Nr 19, dymisja Naczelnego Wodza, pożegnalny rozkaz Nr 22, interwencje wyższych dowódców — zawarte są w tym dziale.

Wreszcie — krótka wymiana depesz między ministrem Miko-

łajczykiem a generałem Roweckim, jakże charakterystyczna dla stosunków między wojskiem a politykami.

W. B.

NACZELNY WÓDZ

ROZKAZ DO SIŁ ZBROJNYCH Nr 8.

Żołnierze,

Naczelný Wódz Generał Władysław Sikorski życie zakończył. Padł na posterunku wśród niezmordowanej pracy dla Polski.

Poznałem Go przed 35 laty w tajnych organizacjach wojskowych, które następnie stały się podwaliną Polskich Sił Zbrojnych. Spotkałem Go później w Legionach, widziałem Go w polu jako Dowódcę 9. Dywizji Piechoty, a następnie V Armii, wstawionej bojami nad Wisłą i Wkrą. Patrzyłem na Jego kolejną działalność jako Premiera w Polsce, Szefa Sztabu Głównego, Ministra Spraw Wojskowych, Organizatora naszych Sił Zbrojnych na obczyźnie. Był to wybitny żołnierz, znakomity pisarz wojskowy, człowiek olbrzymiej pracy i wielkiego talentu, mąż stanu, który dobrze zasłużył się Ojczyźnie. Śmierć Generała Władysława Sikorskiego oznacza dotkliwą i bolesną stratę dla Polski. W skupieniu i powadze Polskie Siły Zbrojne oddają cześć Jego prochom, rozumiejąc, że najgodniej to uczynią zdławiając swe wysiłki w myśl wskazań Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, — wypełniając w całości żołnierski nakaz wiernej służby.

Decyzją Głowy Państwa brzemień odpowiedzialności, które z tak wielkim poświęceniem i odwagą dźwigał Zmarły, na moje przełożyła barki. Z głębokim wzruszeniem stoję z powrotem w szeregach żołnierskich na wspólną dolę i niedolę. Obejmując Naczelne Dowództwo oświadczam w ślad za najwyższym Zwierzchnikiem Polskich Sił Zbrojnych, że jestem sługą Ojczyzny i niczym więcej, aniżeli Jej sługą być nie chcę i nie pragnę.

Żołnierz jest obywatelem Swojej Ojczyzny i troska o Jej los i honor serce jego przepełnia. Lecz Armia nie uprawia polityki. Wykonuje ona decyzje Prezydenta i Rządu. Oddana wyłącznie swoim wojskowym zadaniom i przeznaczeniom, sposobi się nieustannie do boju, mając wzrok utkwiony w pola bitew, oczekujących Ją na drodze do Polski.

Polska pierwsza podjęła walkę w obronie swych granic oraz za wspólną Sprzymierzonym sprawę wolności. Żołnierz polski pojmuje głęboką treść i znaczenie wiernego braterstwa broni, które go łączy z bohaterskimi armiami naszych Sojuszników w walce o tryumf prawa i sprawiedliwości. Braterstwa tego dochowa do końca.

Nasi towarzysze broni, którzy w Kraju w najtrudniejszych warunkach toczą z okupantem bój codzienny i niezłomny, są dla nas najlepszym wzorem cnoty żołnierskiej. Wszystkie siły wytyżymy, aby stać się godnymi przykładu, jaki nam dają.

Wojsko nasze jest kością z kości i krwią z krwi całego Narodu, który walczy, cierpi, przelewa krew i ponosi największe ofiary z niezachwianą wiarą w zwycięstwo i wyzwolenie Ojczyzny od nienawistnego niemieckiego najazdu. Rozumiejąc, że głównym celem nieubłaganej walki jest odbudowa Rzeczypospolitej wolnej, całej, niepodległej, silnej i bezpiecznej, — żołnierz polski widzi w swych tęsknotach Ojczyznę sprawiedliwą, w której człowiek pracy znajdzie pełnię praw politycznych i społecznych, zaś cały Naród podstawy dobrobytu i warunki szczęśliwego życia osobistego.

W poczuciu podstawowej prawdy, że nie tylko obowiązkiem, ale i prawem każdego obywatela jest żyć i pracować dla Ojczyzny, walczyć dla Niej i umierać za Nią, nasze Siły Zbrojne w tym doniosłym okresie dziejowym, bardziej aniżeli kiedykolwiek, winny świecić przykładem zgodnego wysiłku dla Polski, wspólnej sprawy w atmosferze koleżeństwa i wzajemnego zaufania, prawdziwym zjednoczeniu bez względu na różnice przekonań i pochodzenia.

Od wszystkich wojskowych, bez względu na stopień i starszeństwo, żądam przede wszystkim nieustannego uzupełniania i pogłębiania wiedzy fachowej. Dużą już pracę macie poza sobą, lecz wiele jeszcze pozostaje do zrobienia. Żołnierz polski na obczyźnie jest w tym szczęśliwym położeniu, że może od wojsk Sprzymierzonych nauczyć się zasad i sposobów wojny nowoczesnej, która jest wojną trudną i skomplikowaną. Wymaga ona wielkiej dokładności i gruntowności w pracy, a więc zalet, których przykład tak wysoki stawiają nam bezpośrednio przed oczyma brytyjskie siły zbrojne. Wiedzę nagromadzoną trzeba zanieść do Kraju, a przedtem opłaci się ona sowicie na polu bitwy.

Wymagam właściwego stosunku do szeregowych, dla których oficer powinien być nie tylko zwierzchnikiem, lecz także opiekunem i wychowawcą w ramach rozumnie pojętej dyscypliny. Żołnierz sercem płaci za serce, łaknąc ciepła i pomocy moralnej zwłaszcza w czasach obecnych, gdy prawie każdy Polak ma poza sobą ciężkie przejścia i nosi w duszy niejeden dramat osobisty. Koleżeństwo i wzajemne zaufanie, posłuch i dyscyplina z tych źródeł płynące są to zalety w znacznej mierze stanowiące o bitności wojska.

My, starsi oficerowie, musimy pamiętać, że jedną z naszych trosk istotnych winno być szerokie otwarcie drogi dla młodzieży, którą ma się sposobić do wzięcia na swoje barki odpowiedzialności za Polskę i Jej Siły Zbrojne.

Chylę czoło wobec pamięci tych, którzy w ciągu lat czterech walki o istnienie Polski życie swoje za Nią oddali. Składam hołd ceniom żołnierzy, którzy polegli w bitwach na lądzie, w powietrzu i na morzu, okrywając chwałą polskie sztandary, polskie skrzydła i polską banderę. Przesyłam słowa przyjaźni i otuchy towarzyszom broni, którzy spełniwszy swój obowiązek żołnierski

na polu bitwy, oczekują na koniec długiej niewoli i możliwość dalszej pracy dla Polski.

Słowami wiernej pamięci wspominam trudy tych, którzy nad Wojskiem polskim Naczelne Dowództwo sprawowali w chwilach przełomowych Polski dawnej i Polski Odrodzonej. W obliczu żałoby, która okrywa nasze Siły Zbrojne, myśl moja biegnie sponad świeżej mogiły do trumny Marszałka Piłsudskiego, pod rozkazami którego mój Zmarły Poprzednik zapisał tak chlubną kartę w dziejach oręża polskiego.

Żołnierze! Obejmując nad wami dowództwo, zbliżam się do Was z pełnym zaufaniem i sercem otwartym.

Po długich dniach żołnierskiego wysiłku najwyższą nagrodą dla tułacznych wojsk Rzeczypospolitej będzie chwila, w której Bóg Wszechmocny pozwoli nam stanąć na ziemi ojczystej, ze słowami dziękczynnej modlitwy na ustach, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku wobec imienia i przyszłości Polski.

Londyn, dnia 11 lipca 1943 r.

NACZELNY WÓDZ
SOSNKOWSKI
Generał Broni

13/7.

93.

ODPIS!

NACZELNY WÓDZ

Otrzymałem do wiadomości dekret Prezydenta Rzeczypospolitej Polski o mianowaniu Pana Generała Naczelnym Wodzem.

Sprawując po stracie Grota Komendę Sił Zbrojnych w Kraju melduję się posłusznie wraz z podległymi szeregami pod rozkazy Pana Generała.

LAWINA 1150
13. VII. 43.

25/7.

103.

DEPESZA SZYFR

Nr 397 VV 555

TAJNE

nadana dn. godz.

otrzymana dn. 25. VII. 44 godz. 22.15

z Wandy przez Centralę

odszyfrowana dn. 26. VII. 44 godz. 09.30

Naczelny Wódz.

Wyróżniony przez Pana Generała awansem na generała dywizji i odznaczeniem orderem Virtuti Militari IV klasy, czuję się w obowiązku zameldować Panu Generałowi, że to tak wysokie wyróżnienie rozumiem jako odznaczenie przez moją osobę wszystkich żołnierzy, którzy stoją pod mymi rozkazami, ich bowiem postawie w pracy i poświęceniu zawdzięczam osiągnięcia Armii Krajowej.

Wyróżnienie to zobowiązuje nas wszystkich do tym wydatniejszej pracy. Ja ze swej strony zapewniam Pana Generała, że pełniąc funkcje Komendanta Armii Krajowej, dam ze siebie wszystko w miarę mych możliwości.

L aw i n a 1397 — 21. VII. 44
(dać do prasy żołnierskiej)

Depesza-szyfr:
Nr 317.
z Wandy VI.

30/7.

113.
Odpis

TAJNE.

Godziemba. Na depeszę 3703.

W imieniu podległych mi Sił Zbrojnych w Kraju dziękuję Panu Generałowi za okazane naszym szeregom serce i uznanie dla naszej pracy. Słowa Pana Generała będą nam bodźcem do zwiększenia wysiłków.

W osobie Pana Generała widzimy tego, który pierwszy dawał nam wskazania do organizowania walki i pracy podziemnej. Tym wskazaniom i rozkazom Siły Zbrojne w Kraju zawsze były wierne i nadal wierne im pozostaną.

Z osobą Pana Generała łączyć nas będą nie tylko więzy posłuszeństwa należne Naczelnemu Wodzowi ale i nie mniej serdecznego żołnierskiego oddania. —

L aw i n a 1296.
30. VII. 43.

Za zgodność:

NACZELNY WÓDZ
L. dz. 3640 (O. Spec.) 43.

Londyn, dnia 21 lipca 1943 r.

PAN PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
do rąk własnych.

Przedstawiam Panu Prezydentowi odpis depeszy Dowódcy Armii Krajowej z dnia 25 maja 1943 r. —

Załącz. 1.

NACZELNY WÓDZ
SOSNKOWSKI
GEN. BRONI

Uwaga: STEM = min. St. Mikołajczyk
KALINA = gen. Rowecki
RAWA = płk Protasewicz (przedstawia sprawy gen. Sikorskiemu)
ANTONI = płk Iranek-Osmecki.

ODPIS!

DEPESZA SZYFROWA

NACZELNY WÓDZ do rąk własnych.

Otrzymałem następującą depeszę nadesłaną do Kraju Nr 42, z dnia 9. IV. 43:

„Powtarzamy naszą z 17. III. 1943. N. przyleciał do Was na Komen-
danta Kwatery Głównej. Człowiek wybitny sanator, prawa ręka Sosnkow-
skiego, który na pewno rozpocznie akcję przeciw rządową, który tu w wojsku
kierował z ramienia Sosnkowskiego jego sprzysiężeniem. Dowiedzieliśmy się
niestety za późno o tym. Miejcie się na baczności i ostrzeżcie innych. Na-
tychmiast meldujcie, gdy zauważycie jakąś akcję w jego strony.

STEM”.

Stwierdzam, że oficer wyznaczony przez Pana Generała na odpowiedzialne
stanowisko do walczącego Kraju stał się obiektem tego rodzaju zarzutów
i politycznej intrygi.

Melduję, że Siły Zbrojne w Kraju są już uodpornione na tego rodzaju
intrygi, godzą one jednak w harmonię między czynnikami cywilnymi a
wojskiem, uzyskaną z takim trudem po trzechletnich rozdźwiękach na tere-
nie Kraju.

Podkreślam przy tym, że w wyniku tej depeszy nastąpiło zdekonspirowa-
nie nazwiska i funkcji oficera pracującego w konspiracji. —

K A L I N A.

881. 25 V. 1943.

SZEF SZTABU NACZELNEGO WODZA.

Melduję, że zapewne chodzi o Antoniego. Proszę Pana Generała o przed-
stawienie sprawy Naczelnemu Wodzowi ze zwróceniem uwagi, że pierwsza
depesza Stema była nadana 17. III. br., a więc w cztery dni po jego odlo-
cie. W tym czasie mógł on jeszcze nie być dostatecznie zakonspirowany.
Podobna akcja grozi nie tylko wymienionemu oficerowi, ale może położyć
do gruntu zarówno Organizację Krajową konspiracyjną oficerów po przyby-
ciu, jak i całą robotę przerzutu.

Proszę Pana Generała o interwencję u Naczelnego Wodza, by czynniki
polityczne nie dekonspirowały pracy wojskowej i oficerów — wysyłanych na
rozkaz Naczelnego Wodza do Kraju. —

R A W A.

5. VI. 1943.

NACZELNY WÓDZ DO LAWINY 4. X. 1943.

L. dz. /43 Depesza szyfr 2.
dn. 4. 10. 43.

Dowiaduję się że Premier zwrócił się do Stronniectw Politycznych w
Kraju o poparcie jego zamiaru wydania nowego dekretu o organizacji na-
czelnych władz wojskowych na czas wojny. W związku z tym proszę
zakomunikować członkom P.K.P. i odpowiedzialnym działaczom grup poli-
tycznych, które w walce o Polskę biorą udział, następujące moje uwagi
i stwierdzenia:

Od chwili objęcia przeze mnie naczelnego dowództwa Premier stanął na
stanowisku, że dekret o organizacji naczelnych władz wojskowych na czas
wojny z dn. 27. V. 42., przeprowadzony przez gen. Sikorskiego jest nie-
wystarczający i musi być zastąpiony nowym. Powody tego stanowiska Pre-
miera są niejasne i zdaniem moim mają mało wspólnego z meritum
sprawy. W lipcu br. Premier wystąpił z pierwszym projektem nowego de-
kretu, a gdy musiałem go odrzucić wystąpił w sierpniu z drugim, analogicz-
nym do pierwszego. Oba zmierzały do odebrania Naczelnemu Wodzowi pod-
stawowych uprawnień koniecznych dla spełniania obowiązków i ponoszenia
odpowiedzialności za Siły Zbrojne i prowadzenie wojny. Nie N.W., ale
Rząd, względnie Min. Obrony Narodowej miałby kierować organizacją oraz

wyszkoleniem Sił Zbrojnych. Obsada personalna jednostek wojskowych, struktura wewnętrzna i wyposażenie bojowe miałyby należeć do Rządu. Zniweczyłoby to związek między polem walki a pracą wyszkolenia i po przez sprawy personalne podważyłoby niedopuszczalnie autorytet N.W. w wojsku. Oba projekty Premiera zmierzały dalej do odebrania N.W. dowództwa nad Armią Krajową (traktując ją w tym celu jako organizację uzbrojonych cywilów), i planowanie operacyjne związane z uwolnieniem Kraju od okupacji. Zniweczyłoby to jedność Sił Zbrojnych, jednolitość dowodzenia operacyjnego oraz możliwość planowania współdziałania z armiami i działaniami sojuszników. Lipcowy projekt Premiera był całkowicie sprzeczny z Konstytucją z art. 63 pkt. 2, 3, 4. Odmówiłem kategorycznie przyjęcia i stwierdziłem, że ani ja, ani żaden szanujący się generał nie mógłby w takich warunkach przyjąć obowiązków i odpowiedzialności stanowiska N.W. Ponieważ polityczna strona prowadzenia wojny należy do Prezydenta i Rządu a wojskowa do N.W. zaproponowałem zorganizowanie ścisłej współpracy tych czynników przez utworzenie Komitetu Obrony Państwa pod przewodnictwem Prezydenta R.P. w składzie: Premier, N.W., Min. Obr., Min. Spr. Zagr. i Szef Szt. jako sekretarz. Takiemu Komitetowi N.W. przedstawiałyby plany działań wojennych, dostosowane do celów wojny ustalanych przez Prezydenta i Rząd. Sierpniowy projekt dekretu ułożony przez Premiera nie różnił się merytorycznie od pierwszego. Dążył do podziału nieodzownych funkcji N.W. pomiędzy nim a Min. Obr. Nar., rezerwując niektóre istotne funkcje dowodzenia dla Rządu. Był on sprzeczny zarówno z Konstytucją art. 3, 11, 12, 13, 17, 25, 63, i 79, jak z doświadczeniami obecnej wojny. Usiłował podważyć kompetencje N.W. przez element parlamentarnej odpowiedzialności Rządu względnie Min. Obr. Nar., w warunkach emigracji całkowicie fikcyjnej. Faktem jest że obecnie Rząd i N.W. obok moralnej odpowiedzialności wobec Narodu ponoszą odpowiedzialność prawną tylko przed Prezydentem, a to zgodnie z konstytucją. Odrzucając kategorycznie drugi projekt Premiera oświadczyłem iż sprzeciwiam się zwłaszcza próbie odebrania N.W. dowodzenia Armią Krajową. Odparłem zdecydowanie argumenty odmawiające działaniom bojowym w Kraju charakteru operacyjnego, a żołnierzom Armii Krajowej miana żołnierzy. Podtrzymałem mój projekt powołania Komitetu Obrony Państwa pod przewodnictwem Prezydenta nie zaś, jak chce Premier Komitetu Wojennego Rady Ministrów pod przewodnictwem Premiera; funkcje takiego Komitetu byłyby sprzeczne z Konstytucją.

3.

L. dz. K. 5941/43
dn. 20. X. 1943 r.
otrzymana dn. 21. X. 1943 r.

Dokładne streszczenie uchwały Stronnictwa Ludowego i P.P.S.:

Miedzy obu stronnictwami jest harmonia i współpraca w PKP i w potrzebie rozszerza się. Rząd może liczyć na pełne nasze poparcie i Stronnictwa Pracy. P.P.S. potwierdza nasze depesze Nr 74 i 75 o Stronnictwie Narodowym i pozycji Rządu w Kraju. Nie znamy projektu statutu wojskowego. Stoimy na stanowisku rozgraniczenia kompetencji Rządu i N.W., którego autorytet winien być podtrzymany i postawiony ponad intrygami elementów destrukcyjnych i warcholskich. Armia krajowa i armia na emigracji winny podlegać jednemu naczelnemu dowództwu, które powinno zapewnić armii należyte miejsce w planach operacyjnych aliantów, aby polskie formacje

zachowały samodzielność, jedność organizacyjną i taktyczno-dowódczą w stałej łączności z armią krajową. W tym kierunku winien harmonijnie współpracować Rząd z N.W. W wystąpieniach Rządu do Sowietów wyczuwamy zbyt dużą miękkość i ostrożność.

ciąg dalszy nastąpi

L. dz. K. 6043/43
otrzymana 25. X. 1943.

Dokończenie

Rozwój wydarzeń nakazuje utrzymanie w czujności opinii społeczeństwa i rządów alianckich co do agresywności sowieckiej, której dowodem w Kraju jest: wzmożona propaganda, planowe rozmieszczenie oddziałów sowieckich wzdłuż Bugu, rzezie Polaków przez Ukraińców na Wołyniu, kierowane przez ukryte jaczki bolszewickie. Siłę dywersyjnych oddziałów sowieckich, do brze uzbrojonych przez desant obliczam na sto tysięcy.

Kierownictwo Trójkąta i Koła.

SZTAB NACZELNEGO WODZA
ODDZIAŁ SPECJALNY

L. dz. 619/Tjn. 44
Londyn, dnia 1. II. 1944 r.

ŚCIŚLE POUFNE

8.

NACZELNY WÓDZ

Przedstawiam treść depeszy Lawiny z dnia 22. XII. 43, otrzymaną dnia 31. I. 44 r.:

„Naczelnny Wódz do rąk własnych. Poufne.

Przesyłam tekst uchwały KPK w odpowiedzi na odwołanie się Premiera do Kraju.

Tekst przesłany premierowi zawiera tylko pewne, nieistotne poprawki stylistyczne, głównie w punkcie 4-ym, zasadniczo nie różniąc się niczym w treści od pierwowzoru, który przedkładałam, a który otrzymałem od Gł. Del. Rządu.

L a w i n a.

„PKP i Pełnomocnik na Kraj komunikują Rządowi swoje jednomyślne stanowisko w następujących sprawach:

1) Popierając inicjatywę rządu w sprawach rozdziału kompetencji Rady Ministrów, a zwłaszcza w zakresie roli i odpowiedzialności rządu w prowadzeniu wojny, uważamy za właściwe i słuszne i w naszych warunkach, możliwe rozwiązanie tego problemu po myśli zasadniczych postanowień dekretu z 42 roku. Należy jedynie uzupełnić dekret przez ustanowienie platformy do stałej i skoordynowanej współpracy rządu i Naczelnego Wodza. Za taką platformę uważamy powołanie komitetu obrony państwa w składzie — Prezydent — przewodniczący, premier — zastępca, minister spraw zagranicznych, minister obrony narodowej i ewent. jeszcze jeden-dwóch ministrów, oraz Naczelnny Wódz i szef sztabu. Przy Komitecie winien działać stały sekretariat.

Dowodzenie armią krajową winno należeć do uprawnień Naczelnego Wodza w myśl uznawanej przez nas zasady: jedność armii w kraju i na obczyźnie, oraz jednolitość dowodzenia.

2) Ponawiamy stanowczo wyrażone przez nas żądanie rozdzielenia stanowisk następcy Prezydenta i Naczelnego Wodza zarazem w naszych skomplikowanych warunkach za najbardziej zdrowe rozwiązanie tej sprawy uważamy przyjęcie zasady że Prezydent mianuje swego następcę spośród 3 kandydatów zaproponowanych przez Radę Narodową.

3) Oświadczamy, że uważamy za fakt niepodlegający dyskusji obowiązującą ważność dobrowolnego zrzeczenia się przez Prezydenta 1 listopada 1939 roku części uprawnień osobistych, stanowiących jego osobiste prerogatywy a dotyczące powoływania Rządu i Naczelnego Wodza. Byłoby bardzo pożądanym dla uspokojenia opinii w Kraju by Prezydent przy pierwszej okazji ponowił publicznie to swoje oświadczenie.

4) Wreszcie zwracamy uwagę na wielką szkodę publiczną wynikającą z przeciągającego się niezłatwienia wymienionych spraw i domagamy się rychłego ich zakończenia.

Dziesiątkowany przez okupanta i zagrożony przez sowiety Kraj oczekuje od najwyższych czynników konstytucyjnych *nie sporów lecz wykazania dobrej woli oraz usilnej i harmonijnej współpracy dla Polski*”.

N.W. 2/II.

W związku z powyższym melduję, że naświetlenie stanowiska P.P.S. w sprawie, o której w depeszy mowa, przedstawiłem w piśmie pod L. dz. 6767 z dnia 8. XII. 43 r.

SZEF ODDZ. SPEC. SZTABU N.W.
(—) PROTASEWICZ
ppłk dypl.

DEPESZA SZYFR
Nr. 528.

TAJNE 4848.

z Wandy przez Centralę

nadana dn. godz.
otrzymana dn. 6. IV. 44 godz. 13.30
odszyfrowana dn. 6. IV. 44 godz. 14.35

Naczelny Wódz.

Przesyłam: „Obradujący w konspiracji w dniu 20. III. rb. trzeci Zjazd delegatów Chłopskiej Organizacji Wolności „Racławice” przesyła Ci, Panie Generale, jako Naczelnemu Wodzowi Polskich Sił Zbrojnych, w skład których wchodzi 600 plutonów P O Z utworzonych przez naszą organizację — najserdeczniejsze pozdrowienia i zapewnienia karnej żołnierskiej postawy chłopów w walce o wolność Ojczyzny”.

L a w i n a 528 — 23. III. 44.

DEPESZA-SZYFR
6. 9. 44.
L. dz. 7966.

Ścisłe tajne 54.

L A W I N A
do rąk własnych.

Mój rozkaz do Armii Krajowej został opublikowany w urzędowym „Dzienniku Polskim” dnia 4 września, a więc dnia następnego po negatywnej odpowiedzi Churchilla zakomunikowanej Wam depeszą Premiera z dnia 3 września. Dnia 5 września otrzymałem odpowiedź od Eisenhower’a, od Komitetu Brytyjskich Szefów Sztabów, od Brytyjskiego Ministra Lotnictwa. Pisma te potwierdzają techniczne motywy odmowy Churchill’a stwier-

dzają, że brytyjska wyprawa powietrzna na większą skalę jest niemożliwa ze względu na trudności i straty, stwierdzają wreszcie, że jedynej skutecznej pomocy udzielić może Rosja, do której Rząd brytyjski zwraca się w tej sprawie ponownie. Eisenhower zapewnia o swoim przychylnym stanowisku, lecz w końcu odsyła do Rządu brytyjskiego i amerykańskiego.

Mój rozkaz do Armii Krajowej rozpętał tutaj burzę. *News Chronicle* z dnia 5. IX. zamieszcza artykuł Stefana Litauera, długoletniego współpracownika naszego Ministerstwa Informacji i b. redaktora P.A.T.'a. Artykuł ten ma tytuł: „Polski Premier grozi dymisją. Kryzys z powodu Naczelnego Wodza”. Początek artykułu brzmi: „Poważna sytuacja powstała w łonie polskiego Rządu, jako skutek rozkazu dziennego wydanego przez N.W. do Armii Krajowej, walczącej o Warszawę. Prem. Mikołajczyk, polski Premier, zagroził dymisją, jeśli wystąpienie Gen. Sosnkowskiego będzie podtrzymane przez polski Rząd lub przez Prezydenta Rzeczypospolitej. Polski Wódz Naczelny oskarża Aliantów o nieudzielenie Warszawie dostatecznej pomocy i o umyślne pozostawienie miasta własnym losom”.

Po streszczeniu głównych ustępów rozkazu artykuł kończy się słowami: „Takie oskarżenie, ciśnięte na oślep przez sprzymierzonego Wodza Naczelnego przeciwko Aliantom, po których stronie rzekomo walczy, jest rzeczą niesłychaną. Rozkaz wywołał najgorsze wrażenie w Londynie i Waszyngtonie, nie mówiąc już o Moskwie, gdzie akcje Gen. Sosnkowskiego stały zawsze bardzo nisko. W polskich kołach rządowych rozkaz gen. Sosnkowskiego jest uważany za otwartą rebelię, której celem jest sabotowanie pojednawczej polityki prem. Mikołajczyka. Polski premier będzie musiał zająć definitywne stanowisko przy czym może on być pewny poparcia brytyjskiego Rządu i brytyjskiej opinii publicznej. Nadmieniam, iż w myśl Konstytucji 1935 roku, która dotychczas obowiązuje Rząd Polski, Wódz Naczelny może być zdymisjonowany tylko przez Prezydenta R.P.”.

Tyle artykuł tzw. polskiego publicysty.

Część prasy brytyjskiej dn. 5. 9. podała wiadomość o rozkazie w oprawie raczej przychylniej.

Tegoż dnia 5. 9. doszło do spotkania w składzie: Eden — Mikołajczyk, Romer, Raczynski. O spotkaniu tym doniósł Reuter w komunikacie do prasy brytyjskiej użytym przez nią lecz nie opublikowanym w całości. Komunikat twierdzi niesłusznie, że straty w samolotach nad Warszawą były w ciągu sierpnia o wiele większe. Kończy się następującym ustępem:

„Wydaje się pewnym, że ten zdumiewający rozkaz dzienny będzie miał poważne reperkusje, chociaż może on służyć pożytecznemu celowi wyjaśnienia wielu spraw. Rozkaz wydaje się umyślną próbą ze strony Naczelnego Wodza przeszkodzenia wysiłkom Premiera Mikołajczyka, aby osiągnąć porozumienie z Rosjanami i z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego.

Obecnym planem Premiera Mikołajczyka jest powołanie gabinetu wojennego, w którym polski szef sztabu będzie działać w charakterze doradcym przy zniesieniu stanowiska Naczelnego Wodza.

Wydaje się, że w swym wysiłku unicestwienia tych planów Naczelny Wódz poważnie się przerachował i że wszystko to prawdopodobnie nie może się nie skończyć kryzysem, w którym p. Mikołajczyk bez wątpienia będzie podtrzymany przez opinię aliancką”.

W następstwie tych wszystkich wydarzeń Premier nalega na Prezydenta w kierunku usunięcia Naczelnego Wodza mając oczywiście poparcie ministrów solidaryzujących się z jego polityką.

Oczywiście celem rozkazu było ruszenie z martwego punktu sprawy pomocy dla Was.

Myślę, że wystąpienie moje zmusza: a) nasz Rząd do bardziej stanow-

czego tonu, b) porusza silnie opinię publiczną; rozkaz jest omawiany w całej prasie brytyjskiej łącznie z wiadomościami o sytuacji w Warszawie i o potrzebie dokonania czegoś istotnego, c) może jeszcze nadłamać bierność Aliantów.

6. 9. 44.

NACZELNY WÓDZ
SOSNKOWSKI
Generał Broni

Odpis z odpisu

TAJNE

Depesza-szyfr.
Nr 3951.
z Cairo.

Nadana dnia 27. V. 1944 r.

Dla

Naczelnego Wodza

do rąk własnych.

Uchwała Rady Narodowej w Londynie, w sprawie rzekomej niemożności łączenia obowiązków Naczelnego Wodza ze stanowiskiem następcy Prezydenta R.P. dotarła do żołnierzy 2-go Korpusu w dniu zwycięstwa pod Cassino, wywołując w szeregach jak najgorsze wrażenie.

Skwapliwe rozpowszechnianie tej wiadomości przez propagandę niemiecką i sowiecką wytworzyło u nas powszechne wrażenie, iż uchwała idzie na rękę kampanii wrogiej, wymierzonej w Pana Generała jak i Siły Zbrojne stojące pod Pana naczelnym dowództwem.

Żołnierz nasz widział w Panu Generale nie tylko swego Naczelnego Wodza jak i również niezłomnego orędownika zasad nienaruszalności naszych granic oraz utrzymania pełnej suwerenności Polski wobec naszych potężnych sąsiadów i wrogów.

W warunkach tych godzenie choćby pośrednio w osobę Pana Generała musi być traktowane jako próba wejścia na drogę ustępstw i kapitulacji.

Ufam, że Pan Prezydent R.P. zdoła uchronić nas od posunięć, które byłyby dowodem naszej politycznej słabości, zupełnie niewspółmiernej z nadludzkim wysiłkiem oddziałów polskich we Włoszech, oraz, że żołnierzowi naszemu zaoszczędzone będą wiadomości świadczące smutnie o rozgrywkach wewnętrznych w Londynie, dziejących się wówczas gdy żołnierz tu ciężko walczył na froncie. —

A n d e r s, gen. dywizji
Dowódca A.P.W.

Depesza Nr 6234.
Za zgodność:

8228.

LAWINA — do rąk własnych.

Biorąc za pretekst Rozkaz Nr 19, Premier, grożąc własną dymisją, zażądał od Prezydenta usunięcia Naczelnego Wodza. Jak wiecie, jest to od dawna punkt kardynalny programu sowieckiego.

Rozkaz Nr 19 wydany był w jedynym celu ruszenia z martwego punktu sprawy pomocy dla Warszawy. Myślę, że osiągnął on zamierzony skutek.

Depeszę Waszą do Rokossowskiego, skierowałem do Premiera ze swoją uwagą, że ustęp drugi wydaje mi się zbędny. Obawiam się, że ustęp ten, niekonieczny z punktu widzenia sytuacji wojskowej, mógłby być zrozumiany, jako wyrażenie potencjalnej zgody na lansowane tutaj od dawna roz-

wiązanie polsko-rosyjskie: Gabinet wojenny, szef sztabu, jako doradca techniczny plus komitet dowódców odcinkowych ze wschodu i zachodu. Nie można, wedle mego zdania, tej sprawy wyrwać z całokształtu rozwiązań ogólnopolitycznych.

Premier opinii mojej nie podzielił i przekazał tekst całkowity Waszej depeszy do Rokossowskiego. —

L. 8228/o. spec.

12. IX. 44.

NACZELNY WÓDZ
S O S N K O W S K I
GEN. BRONI

Dowódca

Jednostek Wojska

w Wielkiej Brytanii

G.O.C. Polish Units

4. 9. 44 r.

Panie Generale!

Przesyłam do wiadomości Pana Generała odpis pisma mego z dnia 26. IX. 44 r. do pana Prezydenta R.P. Pismo to zostało wręczone Panu Prezydentowi R.P. do rąk własnych, dnia 27. IX. 44 o godzinie 15.30.

(—) Janusz Głuchowski
gen. bryg.

Do pana Generała broni

Kazimierza Sosnkowskiego

Odpis

26. IX. 1944.

DO PANA PREZYDENTA RZPLITEJ POLSKIEJ,

Zwracam się do Pana Prezydenta w imieniu podległego mi wojska i czuję się w obowiązku zameldować, że ostatnie ataki na N.W. wzbudzają w wojsku wzburzenie i zarazem wielkie zdziwienie, że nikt tych ataków nie odpiera. Wojsko jest dumne ze swego Naczelnego Wodza, otacza Go głębokim szacunkiem i miłością.

Wdzięczne jest N.W. za Jego prawe i wyraźne stanowisko w sprawie Warszawy i widzi w Nim niezłomnego i nieustępliwego obrońcę interesów i praw Polski.

Mając takiego N.W. wojsko wie o co się bije, wie kto nim dowodzi i chętnie oddaje swe życie, wierząc, że ofiary nie pójdą na marne.

Na twierdzenie B.B.C., że N.W. jest „niepopularny”, wojsko zapytuje, Gdzie? i wśród kogo?, czy chcą wmówić, iż wśród wojska? Wojsko zna dobrze swoje uczucia do Naczelnego Wodza i zna swoją wiarę w Niego.

B.B.C. twierdzi, że N.W. w rozkazie swoim napisał, że Polska została „sprowokowana do wojny przez Anglię”. Wojsko rozkaz ten zna dobrze i wie, że to twierdzenie jest kłamstwem.

Uderzenie w Nacz. Wodza jest uderzeniem w najistotniejsze uczucia wojska, w jego morale, w jego nerwy, tak szarpane strasznie przez życie i obecne warunki. Łatwo jest dzisiaj wywołać krańcowe odruchy w tym wojsku.

Melduję to Panu Prez. — Najwyższemu Zwierzchnikowi Sił Zbrojnych i proszę P. Prez. o obronę Nacz. Wodza i obronę wojska, by mogło wszystkie swe siły i myśli oddać dla pracy dla Polski.

(—) J. Głuchowski

(Wręczone P. Pr. 27. IX. 44)

Teczka: Rząd w sprawie granic.

T a j n e.

nadana dnia 5. X.

otrzymana dnia 6. X.

Odpis depeszy Nr 2464 z Włoch dla

Pana Prezydenta R.P. Władysława Raczkiewicza.

1. Melduję, że po przybyciu do Korpusu i zorientowaniu się w nastrojach, że odejście gen. SOSNKOWSKIEGO uważane jest przez wszystkich żołnierzy, jako ustępstwo na rzecz Sowietów. Przyczyniły się do tego nie tylko ciągłe ataki sowieckie, ale i wypowiedzi prasy brytyjskiej i własnej.

2. Wojsko jest w niezwykłym stopniu zaniepokojone ostatnią notatką Reutera, że Rząd Polski debatuje nad zmianą organizacji Naczelnych Władz Wojskowych. Żołnierz jest przeświadczony, że jest to dalszym etapem realizacji ustępstw z praw suwerennych, pod naciskiem Z.S.S.R. Umacniają to przekonanie również ostatnie ataki sowieckie na gen. Bora.

3. Powodowany największą troską i niepokojem o morale i całość Korpusu melduję, że żołnierze nie dopuszczają nawet myśli o stworzeniu Rządu pod okupacją Sowietów, a tym samym wejścia do niego zdrajców Kraju i agentów sowieckich. Wszyscy mają żywo w pamięci analogiczne sprawy w Estonii, Litwie i Łotwie oraz śledzą z uwagą rozgrywające się obecnie wypadki w Rumunii, Bułgarii i Jugosławii.

4. Żołnierz wyraża głęboką wiarę w Pana Prezydenta, w którym widzi majestat Rzeczypospolitej Polskiej i obrońcę suwerenności, niepodległości i całości Polski. Głęboko wierzy, że Pan Prezydent nie dopuści do dalszych ustępstw, prowadzących do kapitulacji. Morale i dyscyplina Korpusu są jak dotąd na najwyższym poziomie. Żołnierz ma głęboką wiarę w przyjaźń brytyjską i amerykańską, natomiast nie wierzy Sowietom, odrzucając stanowczo penetracje agentów rządu sowieckiego, których grę i cel istotny aż nadto dobrze przejrzał.

5. Proszę Pana Prezydenta, aby zechciał przekazać od żołnierzy 2-go Korpusu Panu Generałowi Sosnkowskiemu, bojownikowi niezłomnemu o suwerenność, niepodległość i całość polskiej sprawy, najgłębszych uczuć wdzięczności oraz oddania mu serc naszych żołnierskich. —

A N D E R S — gen. dyw.

Dowódca 2-go Korpusu.

Dep. Nr 7459.

Za zgodność odpisu:

28/9.

Odpis depeszy szyfr Nr 7631. z Cairo z dn. 28. IX. 44.

Naczelnny Wódz.

Podana przez prasę wiadomość o uchwale Rady Ministrów, domagającej się dymisji N.W. wywołała głęboki wstrząs w wojsku. Żołnierze uważają to za koniec oporu przeciwko Rosji a w konsekwencji i za koniec Niepodległości Polski. Żołnierze 3-go Korpusu to ludzie poważni, dojrzały społecznie.

Mimo, że większość z nich pozostawiła rodziny w Rosji — postawa ich w stosunku do postulatów rosyjskich jest wroga i nieustępliwa, budzi szacunek i uznanie, o czym proszę Pana Generała zameldować Panu Prezydentowi,

T o k a r z e w s k i generał
Nr 7406.

Naczelnny Wódz do rąk własnych.

1. 15.

Dochodzące nas z komunikatów radiowych wiadomości o podjętej kampanii przeciw Naczelnemu Wodzowi napawają nas wielką troską i bólem.

W tych tak ciężkich chwilach stoimy sercem i myślą przy osobie Naczelnego Wodza który jest dla nas żołnierzy symbolem zwartości i jedności rozrzuconych dziś po różnych częściach Europy Wojsk Polskich.

Stojąc z dala od rozgrywek politycznych chcemy widzieć armię silną i zwartą a każdy atak wymierzony w osobę Naczelnego Wodza godzi w naszą zwartość.

Mogę zapewnić Pana Generała o naszym pełnym oddaniu jego osobie jako temu z którym nas wiążą nie tylko węzły tradycji ale głębokie zaufanie żołnierskie i wiara w Wodza. Dziś gdy ważą się losy Polski i nasze niech te proste żołnierskie słowa będą wyrazem oddania i przywiązania do instytucji i osoby Naczelnego Wodza.

L a w i n a 1914 — 30. IX. 44.

Adiut. i Z-ca D-cy. 38.

D-TWO JEDNOSTEK WOJSKA W WIELKIEJ
BRYTANII

R O Z K A Z NR 85.
M. p. dnia 1. X. 1944 r.

Żołnierze,

Podaję wam do wiadomości Rozkaz Nr 22, Naczelnego Wodza, Generała Broni Kazimierza Sosnkowskiego.

W sobotę 30. IX. 1944 roku słyszeliśmy przez radio słowa z pisma Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, że „generał Sosnkowski dobrze zasłużył się Ojczyźnie”.

Żołnierze!

Przez cały czas dowodzenia przez Naczelnego Wodza, Generała Broni Kazimierza Sosnkowskiego, patrzyliśmy na każdy Jego krok, słuchaliśmy uważnie każdego Jego słowa. Dumni byliśmy z Niego, a serca i myśli najlepsze były zawsze przy Nim w czasie Jego walki o prawa Polski i w czasie Jego trudnej pracy dla Sił Zbrojnych.

Dziś, gdy czytamy słowa Jego rozkazu, stoimy na baczność bez komendy oddając Mu najwyższą cześć żołnierską.

Nasze serca i nasze najlepsze uczucia zostają przy Nim, by towarzyszyć Mu w Jego niezłomnej walce o Polskę i Jej prawa. —

D-CA JEDN. WOJSK W WLK. BRYTANII
(—) G Ł U C H O W S K I
GENERAŁ-BRYGADY.

NACZELNY WÓDZ

ROZKAZ Nr 22.

Żołnierze,

Pan Prezydent Rzeczypospolitej decyzją Swoją zwolnił mnie ze stanowiska Naczelnego Wodza.

Moim następcą na tym stanowisku został mianowany bohater gen. Bor-Komorowski długoletni Dowódca Armii Krajowej, który czynami ponad ludzką miarę zyskał sobie najgłębszy szacunek każdego żołnierskiego serca.

Ze słowami szczerzego wzruszenia i podziwu zwracam się do żołnierzy Armii Krajowej oraz tych wszystkich, którzy w walce pod okupacją brali udział, a zwłaszcza do niezłomnych kobiet polskich i bohaterskiej młodzieży. Oby krwawe zmagania Warszawy poruszyły sumienie świata oraz przyczyniły się do tryumfu zasad prawa i sprawiedliwości, gdy rozstrzygać się będzie przyszłość Polski.

Z dumą wspominam kilkanaście ubiegłych miesięcy i liczne zwycięstwa odniesione przez nasze Siły Zbrojne w powietrzu, na lądzie i na morzach. Zwycięstwa te stoją przed Narodem jak pomniki polskiego męstwa w nieustającej walce o niepodległość, całość i honor Ojczyzny. Świecą one blaskiem nieprzemijającej sławy, zdobytej na polach bitew, ramię przy ramieniu z Siłami Zbrojnymi Sprzymierzonych.

Sława żołnierska, tak droga dla każdego z Was osobiście, jest własnością Ojczyzny, wyłącznie Jej celom służyć musi i służyć będzie.

Żołnierzu polski! nie szczędząc krwi i ofiar, dajesz w ręce swemu Rządowi wszystko co Siły Zbrojne dać mogą dla obrony interesów Rzeczypospolitej. Rozumiemy dobrze, że nie po to we wrześniu 1939 roku Naród nasz pierwszy oparł się Niemcom, — nie po to fiordy Norwegii, piaski Afryki, góry Italii, pola Francji, równiny Belgii i Holandii — były świadkami Waszych bojów, — nie po to Warszawa walczy wśród gruzów i pożogi, by u schyłku tej wojny żądano od Polski ofiar z jej ziem oraz praw suwerennych, które posiadała, gdy pięć lat temu wraz z Sojusznikami przeciwstawiła się agresji.

Chwila dziejowa, którą przeżywamy szarpie nam dusze i niepokoi serca. Wymaga ona całkowitej dyscypliny wewnętrznej w naszych szeregach. Ich spójność moralna, ich solidarność ideowa, umocniona wśród tylu trudów niewymownych, musi być ochraniać i zachowana jako skarb bezcenny i niezbędny w obliczu ciężkich prób i niebezpieczeństw, oczekujących Was i naszą sprawę narodową. Źródłem siły moralnej niech będzie dla Was pewność, że pełnicie służbę dla Polski, że nie ma takiej mocy, która by mogła Was zmusić do zapomnienia tej wielkiej prawdy.

Służąc Rzeczypospolitej, Żołnierz Polski nie wypuści broni z ręki, dopóki wróg nie będzie pobity ostatecznie. Idźcie nadal drogą wierności wzajemnym zobowiązaniom, łączącym Polskę z Sojusznikami, których wspaniały wysiłek zbrojny kształtuje losy świata. Obrona Polski wiązała się zawsze w przeszłości i wiąże się również obecnie z walką o ideały, z obroną praw narodów i człowieka do wolności i szczęścia. Niechże Wasz trud bojowy mnoży nadal wartości, które muszą wreszcie przynieść Ojczyźnie pełną sprawiedliwość.

Czasy są niezmiernie trudne, przeto odchodząc z posterunku Naczelnego Wodza, myślę o doli żołnierza polskiego. Troska o nią nigdy mnie nie opuści.

Za jasne i miłe chwile, których tyle Wam zawdzięczam, Bóg zapłać, kochani chłopcy. Tym spośród Was, którzy stoją w ogniu, życzę wiele szczęścia żołnierskiego. Rannym ślę słowa serdecznej pamięci oraz życzenia rychłego powrotu do sił.

Tym, którzy mi byli pomocni przy wykonywaniu niełatwych moich obowiązków, w imieniu służby dziękuję.

Żołnierze, — cudowni, niezrównani żołnierze naszych jednostek bojowych!

Jeszcze Polska nie zginęła; Jej sprawa musi zwyciężyć. —

Londyn, dnia 30 września 1944.

NACZELNY WÓDZ
(—) SOSNKOWSKI
Generał Broni.

2. INSTRUKCJE

Instrukcja dla Kraju z dnia 27 października 1943 roku była kompromisem między stanowiskiem Premiera a stanowiskiem Naczelnego Wodza. Jakkolwiek Instrukcja przewidywała także alternatywy teoretyczne, ale w danych warunkach sprawę powstania stawiała jasno. Osią sprawy była niewątpliwie procedura ujawniania Armii Krajowej wobec wkraczających wojsk sowieckich. A więc pytanie: czy zawarcie porozumienia z Sowietami, którego nie mógł dokonać Rząd, wspierany przez zachodnich sprzymierzeńców, wolno przerzucić na Armię Krajową? Naczelnny Wódz był zdania, że w braku porozumienia politycznego z Sowietami ujawnianie spowoduje represje sowieckie, co z kolei postawi Armię Krajową w sytuacji walki na dwa fronty. Akcja zaś dywersyjna A.K. może w najlepszym razie, wobec powszechnej nienawiści do Niemców, przerodzić się w próbę zbrojnego powstania niestety bez uzbrojenia, na terenie zalanym przez milionowe armie niemieckie.

Depesza Komendanta A.K. No. 2100 (wysłana 24 listopada 1943 roku, odszyfrowana w Londynie 2 stycznia 1944) zmieniła

Instrukcję z 27 października 1943 roku właśnie w punkcie najważniejszym: ujawniania się. Zmiana była po myśli Premiera, ale wbrew stanowisku Naczelnego Wodza, co jasno widać z zebranych depesz łącznie z instrukcjami gen. Bora dla Okręgów.

Część depesz tego działu była drukowana w streszczeniu lub wyciągach w mojej książce: „Przyczynki historyczne do okresu 1939-1945” (B. Świderski, Londyn, 1967).

W. B.

ODPIS! 2

DEPESZA-SZYFR

LAWINA.

Dziś rozpoczęły się narady wspólne Rządu i N. Wodza nad dalszym prowadzeniem wojny, przy czym tematem głównym była sprawa dyrektyw dla Kraju i Armii Krajowej w związku z sytuacją wyłonioną na Wschodzie i ze sprawą rosyjską na terenie międzynarodowym. Rząd domagał się ode mnie gotowych planów wojskowych dla Kraju.

Aczkolwiek mam przerobione liczne alternatywy dyrektyw nawiązane do różnych sytuacji wojskowo-politycznych, stwierdziłem, że planu wojskowego podać nie mogę, dopóki nie usłyszę decyzji politycznych Rządu i wysunąłem następujące 3 warianty sytuacji politycznej w związku ze zbliżaniem się frontu do granic Polski:

Wariant 1-szy:

Rosja zobowiązuje się restytuować granice z 1939 roku. Alianci zobowiązanie to zaopatrują w swoje gwarancje. Na ogarniętych działaniami wojennymi terytoriach Polski zjawiają się międzyalianckie komisje mieszane oraz alianckie oddziały wojskowe. Administrację na obszarach zajętych sprawują przedstawiciele Rządu Polskiego. Formacje wojskowe Berlinga zostają rozwiązane, względnie podporządkowane dowództwu polskiemu.

Wariant 2-gi:

Rosja upiera się przy swych celach zaborczych i imperialistycznych. Wkraczając na terytorium Polski z dywizjami Berlinga, stwarza polityczne fakty dokonane, tworzy rząd polski komunistyczny, stosuje wobec ludności represje i prześladowania.

Wariant 3-ci:

Rosja na zewnątrz nie podnosi roszczeń granicznych, przyjmuje pozornie formułę amerykańską rozstrzygania tych spraw po wojnie, jednak wkraczając na terytorium polskie, wprowadza wojska Berlinga, stosuje represje i prześladowania, ani komisji ani oddziałów międzyalianckich nie dopuszcza, stwarza fakty dokonane, organizując wybory i plebiscyty.

Domagałem się powzięcia przez Rząd dla każdego z wariantów wymienionych, decyzji politycznej, określającej zasadniczą postawę Kraju i jego Sił Zbrojnych. Decyzji tej nie otrzymałem, gdyż została ona odroczonej do czasu rozmów Rządu z Sojusznikami, które mają być przeprowadzone w dniach najbliższych.

Obrady Rządu przy moim współdziale mają być kontynuowane po uzyskaniu elementów w toku tych rozmów. Skoro tylko decyzja polityczna Rządu zapadnie, prześlę Wam niezwłocznie dyrektywy wojskowe. Stoję na

stanowisku iż rozmowy Rządu z Sojusznikami brytyjskimi winny przynieść wyjaśnienie, czy Sowiety, jeśli wkroczą do Polski, mają być przez nas uważane za sprzymierzeńca, czy za wroga. W moim zrozumieniu charakter sprzymierzeńca Rosja może uzyskać jedynie po dopełnieniu warunków wyliczonych w wariantcie pierwszym. —

(—) SOSNKOWSKI N.W.
5371. 5. X. 43.

Uwagi Naczelnego Wodza z dn. 22. X. 43 r. w sprawie „Instrukcji dla Kraju”, przedyskutowanej na K.S.K.

„... W pkt. 1 (str. 1), który mówi o uderzeniu na Niemców od tyłu przy ich cofaniu się z linią frontu na teren Polski, nie jest jasne o którym z niemieckich frontów mowa. Byłoby w każdym razie przyjęciem dowolnym, że bez jednoczesnego i to dostatecznie bliskiego działania armii alianckich od zachodu, czy od południa, moment cofania się linii frontu wschodniego na teren Polski będzie dla Niemców „momentem najkrytyczniejszym”. Można w tych warunkach przyjąć za prawdopodobne, że cofanie to będzie odbywać się jeszcze planowo, cały teren Polski będzie zavalony wojskami niemieckimi, a wynik powstania będzie rzeczywiście tylko „rozpaczliwym uderzeniem” i „końcem walki” i będzie hasłem do masowej rzezi ludności w Polsce.

Rozpaczliwe akty są w życiu narodów niekiedy nieuniknione ze względu na zbiorowe uczucia społeczeństwa, na symbolikę polityczną tych aktów i ich znaczenie moralne dla potomności.

Jestem jednak przekonany, iż Rząd zechce rozważyć dobrze symbolikę i znaczenie aktu rozpaczliwego, dokonywanego w warunkach, które wbrew naszym intencjom mogłyby się rzeczy ułatwić, przy naszej niejako pomocy, realizację interesów drugiego okupanta. Okupantem zaś nie obrońcą byłaby Rosja Sowiecka, która nie dopełni warunku uszanowania i integralności naszego terytorium i naszej suwerenności państwowej.

W związku z powyższymi uwagami proponuję następujące sformułowanie względnie poprawki do alternatywy I.

„W momencie, który zostanie podany Krajowi przewiduje się wydanie polecenia do wystąpienia czynnego przeciw Niemcom. Akcja ta będzie uzgodniona z Aliantami i nosić będzie charakter:

albo powstania,

albo wzmożonej akcji sabotażowo-dywersyjnej. Nie jest wskazane wprowadzanie terminu „generalne powstanie”, jako powstania na wielką skalę w odróżnieniu od terminu „partyzantka”, jako powstanie na mniejszą skalę, ponieważ: a) powstanie w Kraju, będzie zawsze generalne i zawsze będzie nosić charakter partyzantki, b) obydwa te terminy różnią się od przyjętych w Kraju i mogą doprowadzić do nieporozumień...”

„... Uruchomienie powstania zależeć będzie od następujących warunków:

- a) Front na wschodzie utrzyma się poza granicami Polski przynajmniej do lata 1944.
- b) Alianci Anglosascy wejdą tak głęboko na kontynent Europy (od zachodu czy południa), by móc przede wszystkim skutecznie wesprzeć powstanie z powietrza, a następnie dać bezpośrednią pomoc Krajowi przez wkroczenie na tereny objęte powstaniem.
- c) Alianci Anglosascy wesprą maksymalnie lotnictwem, jednostkami desantu powietrznego i materiałem.

- d) Anglicy dotrzymają swych zobowiązań zaopatrzenia Armii Krajowej w potrzebny sprzęt do kwietnia 1944.

Postulat przewiezienia naszych wojsk spadochronowych do Kraju może być utrzymany jako postulat słuszny, aczkolwiek stanowi on tylko szczegół nie wpływający zasadniczo na warunki uruchomienia powstania”...

Instrukcja dla Kraju z dnia 27. X. 1943 r.

W momencie, który zostanie podany Krajowi, przewiduje się wydanie polecenia Krajowi do wzmożenia działań zbrojnych przeciw Niemcom. Przewiduje się następujące dwie alternatywy:

I.

Rząd Polski po uzgodnieniu z Aliantami dochodzi do przekonania, że należy dać rozkaz do powstania.

Celem tego powstania będzie:

- 1) Opanowanie jak największego obszaru Rzeczypospolitej, jako podstawy do przywrócenia na ziemiach Polski suwerenności Państwa Polskiego i odtworzenia Sił Zbrojnych w Kraju;
- 2) Zadanie ciosu Niemcom od tyłu w najkrytyczniejszym dla nich momencie;
- 3) Ochrona Polski od całkowitego zniszczenia przy systematycznym wycofywaniu się Niemców ze wschodu.

Z punktu widzenia politycznego:

- 1) Polska, która pierwsza rozpoczęła walkę z Niemcami o całość terenu Rzeczypospolitej i nie wydała QUISLINGA kontynuuje w tym okresie swą walkę ostatecznym uderzeniem na Niemców.
- 2) Polska w krytycznym momencie załamывania się Niemców odzyskuje suwerenność na terytorium własnym.
- 3) Polska wnosi kosztem wielkich ofiar doniosły wkład do wspólnego zwycięstwa Sprzymierzonych.

Okoliczności jakie muszą towarzyszyć takiej perspektywie powstania:

Front na wschodzie utrzyma się poza granicami Polski do czasu, gdy Alianci Anglosascy:

- a) wejdą tak głęboko w kontynent Europy (od zachodu czy południa), by móc przede wszystkim skutecznie wesprzeć powstanie z powietrza, a następnie dać bezpośrednią pomoc Krajowi przez wkroczenie na tereny objęte powstaniem;
- b) dotrzymają swych zobowiązań zaopatrzenia Armii Krajowej w potrzebny sprzęt;
- c) wesprą jak najwydatniej powstanie lotnictwem, jednostkami desantu powietrznego i materiałem;
- d) zrzucają wraz z Polską Brygadą Spadochronową, względnie innymi elementami wsparcia, łączników brytyjskich i amerykańskich do powstańców;
- e) Rząd Polski przynajmniej Premier i Naczelny Wódz lądują w Polsce, względnie na życzenie Kraju lądują na terenach inwazji alianckich, z których prowadzi się akcję wsparcia powstania, wraz z przedstawicielami brytyjskimi i amerykańskimi;
- f) w braku uprzedniego porozumienia polsko-sowieckiego Rząd Polski przy pomocy Sprzymierzonych układa się z Sowietami celem zabezpieczenia Kraju i koordynacji działań wojennych przeciwko Niemcom.

W wypadku załamania się niemieckiego frontu wschodniego (rzeczywistego rozkładu morale armii niemieckiej) i paniki na tyłach należy przewidzieć możliwość powstania, celem opanowania przynajmniej części Kraju, nawet gdyby warunki podane wyżej (dozbrojenie i wsparcie bezpośrednie przez Aliantów) nie były jeszcze wypełnione. Ocena powyższej możliwości należy do Kraju, decyzja ostateczna i wybór momentu do Rządu.

II.

W wypadku, gdy okaże się, że nie ma zgody Aliantów na powyższy plan i że strategia ich nie przewiduje tych możliwości, a niemiecki front załamuje się ale jeszcze bez oznak rozkładu. Rząd wzywa Kraj do wzmożonej akcji sabotażowo-dywersyjnej przeciw Niemcom. Akcja ta jednak ma wtedy tylko charakter polityczno-demonstracyjny i ochronny.

Rząd doloży wszelkich starań, by i w tym wypadku Alianci zaopatrzyli Armię Krajową i ludność cywilną w środki konieczne do samoobrony i dywersji.

B.

W związku z możliwością wejścia wojsk sowieckich na ziemie polskie bez uprzedniego całkowitego lub częściowego ich oswobodzenia, przewiduje następujące ewentualności:

I.

Przyjmuje się, że stosunki dyplomatyczne polsko-sowieckie zostały przywrócone. Sowiety wkraczają. Władzę obejmuje Rząd Polski na całym terenie Rzeczypospolitej Polskiej (Na posiedzeniu Rady Ministrów dnia 27. X. propozycja moja „w granicach sprzed 1939 roku” została jednomyślnie odrzucona przy czym Rząd stwierdził, że nie można ani na chwilę przypuszczać, że inaczej to rozumie. Dodanie tych słów byłoby drażliwym dla prestiżu Rządu osłabieniem formuły.) ujawniając administrację podziemną i przystępuje do odtworzenia Polskich Sił Zbrojnych, które do czasu objęcia władzy przez Rząd Polski, pozostają w konspiracji. Na obszarze okupacji niemieckiej Armia Krajowa postępuje w myśl art. A. II. Z Rządem lub jego przedstawicielami zjawiają się przedstawiciele brytyjsey i amerykańsey. Nawiązuje się współpracę z przedstawicielami wojsk sowieckich.

W wypadku, gdyby Sowiety, mimo przywrócenia stosunków dyplomatycznych polsko-sowieckich, wkraczając na nasze ziemie wschodnie, przywracali na nich stan bezprawnej inkorporacji, Rząd Polski zakłada protest u Narodów Zjednoczonych, żądając ich interwencji, celem przywrócenia na tych ziemiach stanu zgodnego z prawem międzynarodowym.

W wypadku aresztowań i represji przed objęciem władzy przez Rząd Polski wystąpienia czynne należy ograniczyć do niezbędnych aktów samoobrony.

II.

Nie ma nawiązania stosunków polsko-sowieckich. Wkroczenie wojsk sowieckich poprzedza wystąpienie zbrojne przeciw Niemcom w art. A. II.

Rząd Polski zakłada protest u Narodów Zjednoczonych przeciw naruszeniu suwerenności polskiej przez wkroczenie Sowietów na teren Polski bez porozumienia z Rządem Polskim, komunikując równocześnie, że Kraj z Sowietami współpracować nie będzie. Rząd zarazem przestrzega, że w wypadku aresztowania przedstawicieli ruchu podziemnego i jakichkolwiek represji przeciw obywatelom polskim, organizacje podziemne przejdą do akcji samoobrony.

Władze Krajowe i Siły Zbrojne w Kraju pozostają nadal w konspiracji i oczekują dalszych decyzji Rządu Polskiego.

W wypadku aresztowań i represji, wystąpienia czynne należy ograniczyć do niezbędnych aktów samoobrony.

C.

W wypadku porozumienia niemiecko-sowieckiego władze Krajowe i Siły Zbrojne w Kraju pod obu okupacjami schodzą głębiej pod ziemię, zawieszają działania zbrojne, z wyjątkiem najkonieczniejszych aktów samoobrony i oczekują na dalsze decyzje Rządu, rezerwując swe siły do ostatecznego zrywu w momencie zbliżania się Armii Alianckich.

6029/173.

8/X. 43.

LAWINA do rąk własnych.

Komunikuję moje osobiste uwagi w związku z naszą sytuacją międzynarodową. Wyjazd Ministra Edena do Moskwy poprzedziła gwałtowna bardzo niepomysłna akcja prasy angielskiej w sprawie całości naszych stosunków z Rosją. Akcja ta trwa nadal i jej najgroźniejszym wyrazem jest artykuł wstępny *Times'a*, z dnia 17. bm. Widoczna inspiracja ze strony czynników sowieckich oraz wpływowych angielskich kół rusofilskich. Chodzi wyraźnie o skłonienie nas do nawiązania z Rosją dyplomatycznych stosunków bez wycofania się jej z aneksyjnego stanowiska co do naszych granic, ani rozwiązania wojsk Berlinga oraz być może o wyzyskanie naszej krajowej organizacji wojskowej dla interesów frontu wschodniego, aż do wywołania powstania w chwili dogodnej dla armii sowieckich. Inspiracje, niestety nie tylko prasowe, zmierzają do uzyskania zrzeczenia się przez nas kresów wschodnich (od północy linia Curzona z pozostawieniem nam być może i to w najlepszym jedynie wypadku Lwowa) w zamian za ogólnikowe obietnice ewentualnego oddania nam w przyszłości Prus Wschodnich, Gdańska i Śląska. Wobec wypadków na frontach i w związku z moskiewską konferencją powyższe tendencje mogą wytworzyć sytuację bardzo dla nas niebezpieczną. Można przypuszczać, że Anglia i Ameryka rozumieją dziś trochę lepiej niebezpieczeństwa mogące im grozić ze strony Rosji. W każdym bądź razie położenie Anglo-Sasów w Moskwie jest niezmiernie trudne, a ze względu na potrzeby wojny z Niemcami i organizowanie pokoju oba państwa Anglosaskie będą wytrwale dążyły do zacieśnienia z Rosją współpracy wśród jak najlepszych stosunków. Rosja będzie zapewne stroną, stawiającą warunki i żądania. Jeśli będą zbyt wygórowane, mogą utrudnić porozumienie. Żądania wojskowe Rosji mogą objąć sprawę działań organizacji krajowej, a także terminu i celu naszego powstania. Uznanie przez Anglię i Amerykę linii Ribbentrop-Mołotow może być postawione przez Rosję, jako warunek jakichkolwiek porozumień, a nawet rozmów politycznych co do Niemiec i Środkowej Europy. Podobne żądania mogłyby liczyć na poparcie poważnych odcłamów opinii angielskiej i amerykańskiej. Niezależnie od najlepszej woli Rządów Anglii i Ameryki sprawy nasze mogą się znaleźć w tym samym położeniu, jak sprawy Czechosłowacji w Monachium, tj. przy najmniejszym zachwianiu naszej stanowczości stać się obiektem katastrofalnych dla nas decyzji. Możemy liczyć na lojalność Sojuszników, oraz przyjazny stosunek Roosevelta i Churchilla, musimy jednak zdawać sobie sprawę, że w obecnym okresie wojny porozumienia i konflikty pomiędzy wielkimi mocarstwami, wynikające z ich imperialnych interesów, będą miały

bardzo poważne znaczenie. Potrzebne jest jasne sprecyzowanie stanowiska naszego i nieustępliwa jego obrona. Nawet w wypadku nacisków alianckich na konieczność kompromisów musimy usztywnić politykę anglosaską, dając jej punkt oparcia w naszym własnym zdecydowaniu, którego brakowało Czechosłowacji w okresie Monachium. Jestem zdania, że:

- 1) w sprawie charakteru, zasięgu i momentu akcji zbrojnej w Kraju powinniśmy, jak to czynią Anglia i Ameryka w sprawie drugiego frontu, utrzymać zupełną samodzielność i swobodę decyzji. Kontynuując wojnę z Niemcami aż do zwycięstwa, możemy wywołać powstanie w Kraju tylko wtenczas, gdy sami uznamy to za wskazane, zarówno ze względu na dobro Polski, jak kolosalne ofiary, których powstanie będzie wymagało od ludności. Jasną jest zasada, że zachowanie swobody decyzji, dotyczącej powstania jest dla nas tak ważnym argumentem politycznym, że nie możemy zrzekać się tej swobody inaczej jak w związku z wiążącymi gwarancjami Sojuszników w naszych sprawach terytorialnych. Narady Rządu w sprawie instrukcji dla Kraju trwają od dawna; dylematy do rozstrzygnięcia są nad wyraz trudne wobec szybkiego rozwoju sytuacji na froncie wschodnim podczas, gdy zgodnie z inspirowaną mową Smuts'a właściwej inwazji Anglosasów na kontynent oczekiwać należy nie rychłej jak wiosną 1944, chyba, że zupełne załamanie się Niemiec zmusiłoby Anglosasów do działań wcześniejszych bez względu na stan przygotowań;
- 2) Sugestie jakichkolwiek wyrzeczeń się na wschodzie w zamian za perspektywę uzyskania w przyszłości Prus Wschodnich, Gdańska i Śląska uważam za niebezpieczną, zarówno ze względów merytorycznych jak taktycznych. W chwili obecnej znaczenie realne i nieodwracalne miałyby jedynie nasze zrzeczenia się. Zanim nie mamy pełnych gwarancji Anglii i Ameryki co do przyłączenia ziem poniemieckich, które należą się nam z tytułu naszej roli w tej wojnie, nie powinniśmy przyjmować żadnych rozmów na temat naszych przyszłych granic, traktując zawsze ich integralność z 1 września 1939 roku jako warunek podstawowy i niezmienny. Rząd stoi na tym samym stanowisku i wierzę, że bronić go będzie nieustępliwie;
- 3) wydaje mi się, że nie powinniśmy dyskutować projektów nawiązania dyplomatycznych stosunków z Rosją inaczej jak pod warunkiem uznania przez nią granic sprzed września 1939 roku i wypuszczenia naszych deportowanych obywateli. Zaznaczam, że jest to moja opinia osobista, być może niezawsze zgodna z taktyką naszej rządowej polityki;
- 4) nie trafia mi do przekonania wysuwany tutaj argument, że należy jak najprędzej nawiązać stosunki dyplomatyczne z Rosją bez żadnych politycznych i wojskowych warunków, albowiem jeśli tego nie zrobimy, to Rosja utworzy własny Rząd Polski, co będzie dla sprawy naszej bardzo niebezpieczne. Utworzenie przez Rosję komunistycznego Rządu Polskiego będzie zależało całkowicie od stopnia jej możliwości wojskowych, stosunki z nami i Aliantami nie będą miały na to wpływu. Jest prawdopodobne, że utworzenie przez Rosję czerwonego Rządu Polskiego mogłoby zaostrzyć czujność opinii tutejszej i amerykańskiej, jak to miało miejsce z komitetem niemieckim, oraz być może ułatwić walkę z bolszewizmem w Kraju. — Przypominam, że podobna groźba była wysuwana przez Majskich przy rokowaniach z nami o układ z 1941 roku;
- 5) na wypadek zajęcia przez wojska sowieckie części naszego terytorium w obecnej sytuacji politycznej powinniśmy:
 - a) stwierdzić wobec Aliantów, że fakt ten nie może naruszyć naszych praw suwerennych, domagać się od nich jako Sojuszników naszych i Rosji obrony życia, praw i mienia naszych obywateli, oświadczyć, iż

gdyby Rosja powtórzyła praktyki 1939-1940 roku, wówczas akty obrony i samoobrony ludności muszą być z góry uznane za usprawiedliwione;

- b) domagać się, by w odpowiedzi Alianci przyjęli do wiadomości nasze stanowisko i stwierdzili, że nie uznają zmian terytorialnych wynikłych z działań wojennych, oraz że będą czuwać nad losami naszej ludności.

Używając tutaj przekonywać Rząd i Stronnictwa, iż na obecnym zakreście dziejowym trzeba pociągnąć do współodpowiedzialności za losy Polski wszystkich uczciwych Polaków i zaprząć do współpracy najteższe głowy bez względu na uprzedzenia i spory wewnętrzno-polityczne. Ze smutkiem wyznaczyć muszę, że głos mój na razie nie znajduje dostatecznego oddźwięku.

Jeszcze raz powtarzam, że wszystkie uwagi zawarte w tej depeście stanowią mój pogląd osobisty, który podaję do Waszej wiadomości w poczuć obowiązku moralnego.

(—) SOSNKOWSKI

1.

Depesza N. W. do Lawiny L.dz. 6761, tj. 43 z dnia 2. 12. 43.

„Lawina. W ślad za ustaloną przez Rząd w porozumieniu ze mną Instrukcją dla Kraju podaję komentarze do niej:

1) Alternatywa I. oparta jest na założeniu, że powstanie w Kraju będzie ściśle skoordynowane z działaniami Aliantów Anglosaskich na kontynencie Europy.

Przyjąwszy to założenie, ustaliliśmy zakres i wielkość wymaganego przez Kraj (raport operacyjny Nr 154-III) wsparcia powstania oraz warunki jego wykonania. Opracowane plany przedstawiliśmy najwyższym czynnikiem wojсковym Wielkiej Brytanii jak i Ameryki.

2) Dotychczas, mimo usilnych starań Rządu i moich, nie zdołaliśmy uzyskać zasadniczej decyzji w tej sprawie. Hamuje to nasze przygotowania i uniemożliwia na razie podanie Wam konkretnych danych co do pomocy jaka może być zapewniona Krajowi w decydującym momencie.

Odwlekanie decyzji wywołane jest odległością frontu Sprzymierzonych od Polski oraz względami politycznymi. Rząd i ja nie tracimy nadziei, że sprawa ta zostanie dla nas pozytywnie załatwiona.

3) W depeście Nr 96 zawiadomiliśmy Was o trudnościach, jakie mamy w realizacji ustalonego planu przerzutu w okresie jesień 1943 - wiosna 1944. Przyczyną ich są duże straty samolotów na szlaku północnym i wobec tego konieczność zmontowania południowej bazy przerzutowej, co po zajęciu południowych Włoch stało się obecnie możliwe. Nie jestem w stanie przewidzieć rozmiarów przerzutów z południa, dążę jednak do maksymalnego nasilenia lotów na obu szlakach przerzutu.

4) Rozwój wypadków może uczynić prawdopodobną hipotezę podaną w ostatnim ustępie punktu I. Instrukcji Rządu.

Rozkład armii niemieckiej może doprowadzić do konieczności uruchomienia powstania, nawet bez pomocy z zewnątrz. Badajcie pod tym względem sytuację stale i wyniki meldujcie — ze swej strony będziemy podawać nasze spostrzeżenia. Na razie, na podstawie dostępnych nam materiałów wnioskujemy, że stan moralny na froncie i wewnątrz Niemiec spadł bardzo nisko, jednak armia niemiecka nie zdradza dotychczas znamion rozkładu. W wypadku przewidzianym w ostatnim ustępie pkt. I. Instrukcji Rządu, Rząd i ja uczynimy wszystko, aby uzyskać od Anglosasów jak naj-

szybsze wsparcie powstania. Rozmiarów tego wsparcia obecnie określić nie mogę. Będzie to niewątpliwie zależało od bliskości frontu anglosaskiego w Europie, od posiadanych środków szczególnie lotnictwa transportowego oraz od sytuacji politycznej. Nie mogę również określić obecnie w jakim czasie w stosunku do momentu wybuchu powstania żądana pomoc może do Kraju nadejść. Musicie się z tym liczyć, że przez pewien przeciąg czasu Kraj może być zdany na własne siły.

5) W stosunku do hipotezy B. II. Instrukcji Rządu — wkroczenie wojsk sowieckich na teren Polski bez nawiązania stosunków politycznych określić musicie sami na terenach wschodnich te elementy A.K., których ukrycie na miejscu jest zupełnie niemożliwe. W każdym razie powinny pozostać na miejscu kadry organizacyjne dobrze zakonspirowane, przede wszystkim w takich ośrodkach jak Lwów i Wilno oraz oddziały dywersyjne i samoobrony, oraz komórki wywiadowcze. Jest to jednocześnie odpowiedzią na dep. 1822.

6) Uważam, że na razie wszelkie wytyczne bardziej szczegółowe miałyby charakter raczej teoretyczny.

(—) SOSNKOWSKI
Naczelny Wódz”.

DEPESZA SZYFR

Nr 916.

TAJNE 4.34/44.

nadania dn. godz.

otrzymana dn. 1. I. 44. godz. 13.25

odszyfrowana dn. 2. I. 44. godz. 21.45

z W a n d a 1

3/I. 44.

Ścisłe Tajne!

Do rąk własnych Naczelnego Wodza.

1) Na podstawie przesłanej przez Pana Generała za L 5989 (166) Instrukcji Rządu dla Kraju wydałem do Obszarów i Okręgów rozkaz który przedstawiam (zał. Nr 1). Jak z treści jego wynika nakazałem ujawnienie się wobec wkraczających Rosjan dowódcom i oddziałom które wezmą udział w zwalczaniu uchodzących Niemców. Zadaniem ich w tym momencie będzie dokumentować swym wystąpieniem istnienie Rzplitej.

W tym punkcie rozkaz mój jest niezgodny z Instrukcją Rządu. Nie widzę jednak możliwości wytworzenia na ziemiach Polskich pustki przez brak wystąpienia wobec Rosjan czynnika wojskowego reprezentującego Rzplita i jej legalne władze. Wszystkie nasze akcje w przeciwnym razie przypisywane były by czynnikom stojącym na usługach Sowieców. Pogląd mój podziela Delegat Rządu i Krajowa Reprezentacja Polityczna.

(Dalszy ciąg w nr. stac. 917.)

Lawina 2100 26. XI. 43.

Otrzymuje: N.W. — pilne 3/I.

DEPESZA SZYFR

ŚCISŁE TAJNE

4.

Nr 917.

nadana dn. godz.

otrzymana dn. 1. I. 44. godz. 14.05

z W a n d a 1

odszyfrowana dn. 3. I. 44. godz. 10.00

R B U R Z A

Dalszy ciąg L. 2100

Schowanie i utrzymanie w konspiracji naszej obecnej szeroko rozbudowanej organizacji będzie pod okupacją sowiecką niemożliwe. Praktycznie ograniczę ilość mających się ujawnić dowództw i oddziałów do niezbędnego minimum, resztę postaram się zabezpieczyć przez formalne rozwiązanie.

2) Przygotowuję w największej tajemnicy na wypadek drugiej okupacji rosyjskiej zawiązkową sieć szkieletową dowódczą nowej organizacji tajnej do dyspozycji Pana Generała. Szczegóły zamelduję po wykończeniu swych decyzji w tej sprawie. W każdym razie będzie to odrębna sieć nie związana z szeroką organizacją Armii Krajowej, rozszyfrowanej w dużej mierze przez czynniki pozostające w służbie sowieckiej.

L a w i n a 2100 — 24. XI. 43.

(Następne depesze w tej sprawie będą miały Nr stac. 918-925-a)
Odpisano w 2 egzemplarzach.

Otrzymuje: 1) N.W. — 3. I. 43 r.

2) Koncept dn. 9. I. 43 — u szefa OS.

DEPESZA SZYFR

TAJNE

L.dz. 34.

Nr 210/MN — Wanda 1
211/KR — „
82 — Wanda 5
83 „

nadana dn. godz.
otrzymana dn. 6. I. 44. godz.
odszyfrowana dn. 7. I. 44. godz. 20.30

Do rąk własnych Naczelnego Wodza.

Ścisłe Tajne!

Załącznik Nr 1 do 2100 —
„P.Ż.P. 1300/III dnia 20. XI. 43.

Gwałtowny rozwój działań na wschodzie zwiększa prawdopodobieństwo bliskiego załamania się Niemiec a szczególnie frontu wschodniego oraz związaną z tym możliwość głębokiego odwrotu wojsk niemieckich — mogą już w niedługim czasie wytworzyć na ziemiach naszych położenie w którym Armia Krajowa wzmoże swe działania z bronią, co będzie wymagać od dowódców wszystkich szczebli, stanowczej i jasnej decyzji, jednolitości postępowania, inicjatywy i poświęcenia. W związku z powyższym na podstawie instrukcji Rządu dla Kraju przesłanej mi przez Naczelnego Wodza rozkazuję:

I. Wszystkie nasze przygotowania wojenne, zmierzają do działań zbrojnych przeciw Niemcom. W żadnym wypadku nie może dojść do działań zbrojnych przeciw Rosjanom wkraczającym na ziemie nasze w ślad ustępujących pod ich naporem Niemców, poza koniecznymi aktami samoobrony, co jest naturalnym prawem każdego człowieka.

II. Działania zbrojne przeciw Niemcom mogą mieć formę:

a) powszechnego i równoczesnego powstania na bazie z osłoną na wschodzie, albo

b) „wzmoczonej akcji dywersyjnej” na wszystkich ziemiach Rzplitej. Jedną z tych dwu form działań obronnych będzie zrealizowana.

III. Zarządzenia wydane na wypadek powstania przeciw Niemcom pozostają wszystkie nadal w mocy.

1. Określone dotychczasowymi rozkazami cele powstania i zadania poszczególnych okręgów są nadal ważne.

2. Jeśli powstanie miałooby miejsce, to będzie ono zarządzane przeze mnie, na podstawie decyzji najwyższych władz Rzplitej, trzema rozkazami, jak to było dotychczas ustalone nakazującymi kolejno.

Odpis w 2 egz. otrzymano o godz. 11.05.

1) N.W.

2) ref. O.OP.

DEPESZA SZYFR

TAJNE

L.dz. 34.

strona — 2.

a) wzmożony nasłuch,

b) stan czujności i

c) pogotowie, które automatycznie przechodzi w walkę powstańczą.

IV. Zarządzenia do „Wzmoczonej akcji dywersyjnej” wydają następujące:

1. „Wzmoczona akcja dywersyjna otrzymuje kryptonim „Burza”.

2. Cel i zadania Burzy:

podkreślenie naszej woli bicia Niemców i to nawet w wypadku niekorzystnego dla nas stosunku sił, czyli wśród okoliczności nie zezwalających na podjęcie powszechnego powstania, oraz samoobrona przed wyniszczeniem nas przez wycofujących się Niemców.

3. Wykonanie Burzy.

Działania będą polegały na zaciętym nękanii cofających się straży tylnych niemieckich (ew. nawet oddziałów tylnych straży tylnej), na silnej dywersji na całej głębokości terenu w szczególności na komunikację.

4. Siły i środki które należy wprowadzić w grę przy wykonaniu Burzy:

a) Na terenie osłony — całość uzbrojonych sił i posiadanych środków.

b) Na terenie bazy — wszystkie oddziały partyzanckie i dyspozycyjne — potrzebna ilość plutonów powstańczych posiadających uzbr. — wszelkie środki walki w granicach stanu posiadania.

Dalszy ciąg nastąpi —

Otrzymano o godz. 11-tej.

strona 3.

DEPESZA SZYFR

TAJNE

Nr 212/WG

nadana dn. godz.

otrzymana dn. 8. I. 44. godz. 12.45

z W a n d a 1

odszyfrowana dn. 8. I. 44. godz. 15.50

Dalszy ciąg zał. 1 do L.2100 —

5. Uruchomienie Burzy. Rozkaz wykonawczy do Burzy wydam komendantom obszarów i okręgów w momencie ogólnego odwrotu Niemców poprzez Ziemie Polskie przy pomocy specjalnego hasła radiowego załączonego do niniejszego rozkazu wraz z zarządzeniami technicznymi łączności. Rozkaz niniejszy jest jednocześnie rozkazem wzmoczonego nasłuchu dla Burzy. Odebranie przez radio obszaru lub okręgu hasła uruchamiającego Burzę jest równoznaczne z upoważnieniem kmtów obszarów i okręgów do rozpoczęcia akcji. Mogą oni przelać swoje uprawnienia na inspektorów lub komendan-

tów obwodów i deom im równorzędnym gdyż istotą niej w są równocześnie rozpoczyn le cz i podejmowanie akcji w miarę dojrzewania możliwości skutecznego nękania Niemców. W wypadku nie otrzymania rozkazu do uruchomienia Burzy do momentu w którym nastąpił odwrót Niemców, dcy terytorialni wszystkich szczebli rozpoczynają walkę z własnej inicjatywy. Żądanie oddziałów biorących udział w Burzy kończy się z chwilą nadejścia Rosjan.

V. Stosunek do Rosjan.

1. Znajdującym się na ziemiach naszych sowieckim oddziałom partyzanckim nie należy w żadnym wypadku utrudniać prowadzenia walki z Niemcami. Unikać obecnie zatargów z oddziałami sowieckimi. Te nasze oddziały które miały już takie zatargi i nie mogłyby z tego powodu ułożyć poprawnie stosunków z oddziałami sowieckimi powinny być przesunięte na nowy teren. Z naszej strony dopuszczalna jedynie akcja samoobrony.

Ciąg dalszy nastąpi.

Zrobiono 2 odpisy

1) u N.W.

2) u Szefa O.O.P. / 8. I. 43.

otrzymano o godz. 3.45.

strona 4.

DEPESZA SZYFR

Nr 85

z W a n d a 5

L. dz. 34

TAJNE

nadana dn. godz.

otrzymana dn. 7. I. 44. godz. 13.00

odszyfrowana dn. 7. I. 44. godz. 21.00

Ciąg dalszy zał. 1 do L. 2100 —

2. Przeciwdziałanie tendencji ludności do ucieczki na zachód przed niebezpieczeństwem rosyjskim. Zwłaszcza masowe opuszczanie terenów przez ludność polską z rejonów, gdzie tworzy ona wyraźne polskie skupiska, byłoby równoznaczne z likwidacją polskiego stanu posiadania na tych terenach.

3. Wobec wkraczającej na ziemie nasze regularnej armii rosyjskiej — wystąpić w roli gospodarza. Należy dążyć do tego aby naprzeciw wkraczającym oddziałom sowieckim wyszedł polski dowódca mający za sobą bój z Niemcami i wskutek tego najlepsze prawo gospodarza. W daleko trudniejszych warunkach w stosunku do Rosjan znajdzie się dea i ludność polska, której uwolnienie od Niemiec dokonane będzie jedynie przez Rosjan. Miejscowy dowódca polski winien się zgłosić wraz z mającym się ujawnić przedstawicielem cywilnej władzy administracyjnej u dowódcy oddziałów sowieckich i stosować się do jego życzeń pamiętając:

a) że odcięcie od naczelnych władz Polskich jest tylko przejściowe i że one, a nie Rosjanie, pozostają nadal i w każdym wypadku właściwą władzą przełożoną i że charakter i zakres działań władzy sowieckiej winien być dla obywatela polskiego określony przez legalne władze Rzplitej.

b) że wszelkie próby wcielenia oddziałów polskich do wojsk rosyjskich czy też oddziałów Berlinga są gwałtem i należy im się stanowczo przeciwstawić powołując się w takich wypadkach na instrukcje otrzymane od właściwej władzy polskiej, która ze swej strony zrobi wysiłek celem jak najszybszego nawiązania łączności z terenami uwolnionymi spod okupacji niemieckiej.

VI. Bariera.

Równocześnie odwołuję akcję Bariera jako nie aktualną. Przygotowania zrobione do Bariery wykorzystać do Burzy.

otrzymano o godz. 11-ej.

Odpisano w 2 egz.

- 1) Szef Sztabu 7. I. 44.
- 2) Szef O. OP. / 8. I. 44 r.

Wyciąg z pisma N.W. do Premiera z dnia 30. 12. 43.

„... Myśl zasadnicza uchwał z dnia 25. X. 43 da się streścić w trzech punktach:

- 1) Powstanie zbrojne w Polsce we współdziałaniu z armiami sowieckimi musi być poprzedzone przez nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Sowietami, przy czym Rząd Polski obcuje przy integralności granic wschodnich Rzeczypospolitej.
- 2) Armia Krajowa zostanie odpowiednio uzbrojona (Rząd zna cyfry i wie doskonale jak nikły jest stan obecny uzbrojenia naszych Sił w Kraju),
- 3) Moment powstania będzie odpowiednio wybrany.

Bez spełniania tych warunków, próba powstania przerodzić się musi w rzeź masową ludności polskiej, przy czym morze krwi przelanej co najmniej nie da spełniania polskich celów wojny.

Przy składaniu *aide mémoire* trzeba to wszystko otwarcie i wyraźnie powiedzieć Rządowi Brytyjskiemu, tym bardziej, iż jak Panu Premierowi wiadomo, nasze wspólne i długotrwałe wysiłki o uruchomienie przerzutu broni do Kraju rozbiły się, jak dotychczas, o niezrozumiałe trudności, wysuwane stale ze strony brytyjskiej. Byłoby jak myślę nieuzasadnionym optymizmem przypuszczać, że rząd sowiecki uzbroi w Polsce kogokolwiek poza własnymi partyzantami i poza komunistami. Zagadnienie to oświeć aż nadto wymownie memoriał emisariusza Dey Armii Krajowej. Memoriał ten przesyłam jednocześnie Panu Premierowi w języku polskim i angielskim”.

L.dz. 281/26/Tjn.

DEPESZA - SZYFR

Dnia 13. I. 1944 r.

L a w i n a do rąk własnych.

Na depeszę Waszą 2100 z załącznikiem do niej z dnia 20 listopada otrzymanym 6 stycznia.

Motywy Waszej decyzji ujawnienia się aby wobec wkraczających w ziemie polskie Rosjan — reprezentować Rzeczpospolitą i Jej legalne władze — zasługują na najwyższy szacunek.

Decyzja powyższa, a więc wykonywanie punktu B. II. Instrukcji Rządu z dnia 27. X. 43 r. w warunkach jawności jest w moich oczach ofiarnym porywem Kraju, mającym na celu zadokumentowanie praw Polski do istnienia.

Jasne są trudności i komplikacje jakie stąd wyniknąć mogą wobec tego, że Sowiety nie zdradzają najmniejszej chęci do przywrócenia stosunków dyplomatycznych z Polską, na podstawach dla nas dopuszczalnych.

W razie gwałtów sowieckich, brak reakcji ze strony rządów alianckich może doprowadzić do walki Kraju na dwa fronty. W najlepszym zaś wypadku wzmożona akcja dywersyjna gotowa przerodzić się samorzutnie, wobec powszechnej nienawiści do Niemców, w próbę zbrojnego powstania —

niestety bez dostatecznego uzbrojenia — na terenie zalanym przez milionowe armie niemieckie.

Ocenę swoją zakomunikowałem Premierowi dnia 4 stycznia, a więc zaraz po otrzymaniu depeszy 2100, oświadczając jednocześnie, że w tych okolicznościach obowiązkiem moim może stać się niebawem być przy zastępach Armii Krajowej.

Ze względu na polityczną stronę tego kroku, prosiłem Premiera o spowodowanie, bym mógł to uczynić za wiedzą i i zgodą rządu brytyjskiego i amerykańskiego.

Rząd na pismo powyższe dotychczas nie zareagował, ani też nie podjął rozmów ze mną na temat decyzji Kraju.

Przestudiowanie treści Waszego rozkazu punkt V. „Stosunek do Rosjan” nie zmieniło mojej oceny. Sowiety stoją niezmiennie na stanowisku, że przynależność do Rosji ziem na wschód od linii Mołotow-Ribbentrop nie podlega dla nich dyskusji. Jestem przekonany, że na tych terytoriach nie zamierzają oni uznać w żadnych okolicznościach ani naszych praw gospodarza, ani tego by charakter i zakres działania władzy sowieckiej był określony przez legalne władze polskie. Wreszcie próby wcielenia czy przyłączenia oddziałów Waszych do wojsk Berlinga, są bodaj więcej niż prawdopodobne.

Pragnąc, w przewidywaniu wejścia wojsk sowieckich na nasze ziemie, dać nowy dowód dobrej woli wobec Rosji i ułatwić nawiązanie z nią stosunków, nasz Rząd złożył Rządowi Angielskiemu w dn. 31 grudnia ub.r. *Aide-Mémoire*, w którym stwierdził: naszą nieprzerwaną walkę z Niemcami, jej zakres, zasługi i ofiary; zaprotestował przeciw insynuacjom, jakoby Armia Krajowa tępiła komunistów i walczyła z partyzantami; wystąpił z wnioskiem, aby działania Armii Krajowej zostały włączone do planów strategicznych aliantów przez porozumienia Sztabu Polskiego, Sowieckiego, Angielskiego i Amerykańskiego przy uprzednim załatwieniu podstawy politycznej.

Na konferencji u Premiera a przy współudziale Min. Spr. Zagr., Min. Obr. Nar., Amb. Raczyńskiego i moim stwierdzono ponownie, iż zgodnie z Instrukcją Rządu z dn. 27. X. 1943 r. podstawę polityczną stanowi przywrócenie stosunków dyplomatycznych polsko-sowieckich z tym, że w razie przekroczenia granic Polski przez wojska sowieckie, władzę na terenie R.P. obejmować będzie Rząd Polski. Czynniki angielskie zdradzają natomiast wzmożone zainteresowanie możliwościami działań Armii Krajowej, jednak bez chęci zwiększenia przerzutów broni i z dość wyraźną tendencją do traktowania sprawy naszego wojskowego współdziałania z Rosją niezależnie od postawy politycznej. Przeciwwstawiam się tej tendencji zdecydowanie. Współdziałanie takie bez uprzedniego porozumienia politycznego musi doprowadzić do groźnych komplikacji i scysyj, toteż Instrukcja dla Kraju przewidywała, że bez nawiązania stosunków Rząd z Sowietami współpracować nie będzie.

Dnia 4 stycznia br. na skutek wiadomości korespondenta Reutera z Moskwy o przekroczeniu przez oddziały wojsk sowieckich naszej granicy, Rząd zadecydował wystąpić z publicznym oświadczeniem. Tekst oświadczenia uchwalony przez Rząd został przedyskutowany na naradzie u Pana Prezydenta z udziałem Premiera, Min. Obr. Nar., Min. Spr. Zagr. i moim. W tekście tym było wyraźne stwierdzenie, że Rząd Polski winien objąć suwerenną władzę na całości ziem R.P. i że współdziałanie wojskowe musi być oparte na uprzednim porozumieniu politycznym. Postanowiono jednocześnie, że Rząd złoży notę Rządom Alianckim, w której zakomunikuje swe stanowisko bardziej kategorycznie i szczegółowo.

Ze swej strony zwróciłem Rządowi uwagę na potrzebę uzyskania pozy-

tywnej reakcji na jego protest ze strony rządów brytyjskiego i amerykańskiego. Pozytywną reakcją nazwałem publiczną deklarację tych rządów:

1. że przyjmują do wiadomości nasz protest,
2. potwierdzają w powstałej sytuacji, iż ze swej strony nie uznają zmian terytorialnych wynikłych z działań wojennych,
3. że użyją wszystkich swych wpływów, by zapewnić ludności naszych ziem, zajmowanych przez armie sowieckie bezpieczeństwo i poszanowanie praw.

Uzyskanie tego od rządów alianckich Premier określił jako rzecz trudną. Następnego dnia Min. Romer negocjował z Anglikami tekst publicznego oświadczenia Rządu.

Na skutek presji angielskiej tekst został znacznie osłabiony w dwóch bardzo istotnych punktach. Mianowicie ustęp o przywróceniu suwerennej władzy państwowej polskiej nad całością ziem Rzeczypospolitej, został zmieniony w ten sposób, że zamiast słów „nad całością uwolnionych ziem” umieszczono słowo „nad uwalnianymi ziemiami”. W ustępie brzmiącym „Rząd Polski oczekuje, że Związek Sowiecki podzielać pogląd na potrzebę przyszłych przyjaznych stosunków między obu państwami, uznaje obecnie prawa Rzeczypospolitej i jej obywateli” skreślono słowo „obecnie”.

O zmianach tych nie zostałem poinformowany a zmieniony tekst oświadczenia Rządu został opublikowany dnia 6 stycznia.

Nie jest wykluczone, że może mieć miejsce nacisk Sprzymierzonych na przyjęcie przez Rząd Polski terytorialnych żądań sowieckich. Uważam, że wszelkie ewentualne próby kompromisów terytorialnych byłyby bezcelowe i zgubne. Wedle mego zdania istotnym celem gry Sowietów jest przekształcenie Polski w wasalną Republikę Komunistyczną lub zgoła w XVII Republikę Sowiecką, na co wyraźnie wskazuje mieszanie się w nasze sprawy wewnętrzne i personalne.

Armia Krajowa i moja osoba są w dalszym ciągu głównym celem ataków sowieckich. Nastroje w Siłach Zbrojnych na obczyźnie podniecone lecz dotychczas opanowane.

(—) SOSNKOWSKI

SZTAB NACZELNEGO WODZA

10.

ODDZIAŁ SPECJALNY

L.dz. 957/Tjn. 44.

NACZELNY WÓDZ (od Lawiny)

Londyn, dnia 7. II. 1944 r.

Przedstawiam treść depezy z dnia 3. II. 1944 r. otrzymanej w dniu 7. II. 1944 r.:

„Naczelnny Wódz do rąk własnych.

Na 281 (26).

Nie mam żadnych złudzeń co do wrogiego stosunku do nas, a w szczególności do Armii Krajowej i czynnika podległego Delegatowi Rządu. Decyzje ujawnienia się naszych oddziałów podjąłem po szczegółowej analizie położenia. Wpłynęły na nią przede wszystkim:

- 1) Wola zadokumentowania wobec sowietów obecności czynnika reprezentującego suwerenność Rzplitej i postawienia w ten sposób sowietom progu, na którym przejawić się musi ich rzeczywisty stosunek do naszej państwowości.
- 3) Przeświadczenie, że gdyby oddziały nasze, zresztą na kresach wschodnich nieliczne i słabe, które wystąpią do walki z Niemcami, nie ujawniły

się, sowieci zyskałyby argument, że na ziemiach tych polskość nie ma, a nasz czyn zbrojny przypisany byłby partyzantce sowieckiej, lub oddziałom PPR.

4) Opinia dowódców terenowych o niemożności zakonspirowania wobec sowietów naszych oddziałów partyzanckich, a nawet konspiracyjnych ze względu na już dziś działające w terenie rozpoznanie sowieckie.

Rozkaz 2100 nie wyczerpuje szczegółów instrukcji, które wydałem ustnie i osobiście wszystkim kmdtom okręgów, rozumiejąc trudności, na które Pan Generał zwraca uwagę. Ustaliłem szczegółowo stopień nasilenia walki z Niemcami i jej charakter, wydałem zarządzenie, by wzmożona dywersja nie przerodziła się samorzutnie w próbę zbrojnego powstania przeciw Niemcom, w niekorzystnych dla nas warunkach.

Rozkazy, którymi określiłem naszą postawę wobec sowietów wyłączając walkę zbrojną przeciw Rosji, czyli walkę na dwa fronty. Natomiast nie wykluczając zbrojnej samoobrony w razie rosyjskiego terrorku.

Postępowanie sowietów w stosunku do ludności polskiej i naszych oddziałów na zajmowanych przez nich terenach, posłuży nam do ewent. korektyw wydanych już zarządzeń.

Proszę o instrukcję Pana Generała, czy nasze oddziały, które ujawnią się, mają na kategoryczne żądanie sowietów składać broń, czy też stawiać w tym wypadku zbrojny opór”.

SZEF ODDZ. SPEC. SZTABU N.W.
(—) PROTASEWICZ

N.W. 7./II.

W załączeniu przedstawiam

L. 281 wysłanej do Ławiny 13. I. 44.

Odpowiedź N.W. na Radzie Ministrów w dn. 2. 2. 44 na projekt Premiera z dn. 1. 2. 44, uzupełnienia Instrukcji dla Kraju z dn. 27. 10. 1943.

„Sprzeciwiam się proponowanym przez Pana Premiera zmianom Instrukcji dla Kraju z dn. 27. X. 43. Zmiany te oznaczałyby obalenie podstawowych zasad ustalonych w tej Instrukcji i nie kwestionowanych w najmniejszej mierze ze strony Kraju. W szczególności uważam za niedopuszczalne:

- 1) Różniczkowanie, zalecanie badania reakcji Władz Krajowych na zachowanie się władz sowieckich w dwóch zonach terytorialnych, określonych w projekcie Instrukcji jako:
 - a) tereny „dotąd niekwestionowane” oraz
 - b) tereny „uważane przez władze sowieckie jako zaanektowane na rzecz Republiki Białoruskiej czy Ukraińskiej”.

Obok niezależnienia współpracy wojskowej pomiędzy Armią Krajową, a armią czerwoną od uprzedniego politycznego porozumienia pomiędzy Rządem Polskim a Rządem Sowieckim, różniczkowanie reakcji Władz Krajowych na różnych terenach Rzeczypospolitej, musiałoby być rozumiane jako gotowość z naszej strony do pogodzenia się z aneksyjnymi faktami dokonanymi, które były, są lub będą stwarzane na naszych ziemiach wschodnich przez władze sowieckie.

- 2) Składanie deklaracji politycznych przez Władze Krajowe, wobec wkra-
czających władz sowieckich o treści proponowanej w projekcie Pana Premiera. Szłoby to znacznie dalej niż rzeczywiste intencje Kraju, zgodnie z którymi nasze organizacje podziemne miałyby wystąpić wobec wkra-
czających wojsk sowieckich w roli suwerennego gospodarza całego tery-
torium R.P. Poza tym proponowane zmiany przesuwają w znacznej
mierze na barki Armii Krajowej i organizacji podziemnych zadanie po-

rozumienia politycznego z Sowietami, które należy do podstawowych obowiązków Rządu.

- 3) Podporządkowanie, w niewyjaśnionej sytuacji politycznej, oddziałów Armii Polskiej „rozkazom odpowiedzialnym za dany odcinek bojowy komendantów armii sowieckiej”. Tego rodzaju postępowanie bez uprzedniego porozumienia politycznego, wprowadzałoby oddziały Armii Polskiej na poziom oddziałów Berlinga. Przewidywałoby ono współpracę wojskową z sowietami bez uprzedniego porozumienia politycznego, dokonanego na podstawie uznania przez rząd sowiecki praw Polski, co uważam za niemożliwe i sprzeczne z intencjami Kraju.

11.
Nr 947/7. II. 44.

2 lutego Premier zainicjował narady nad uzupełnieniem Instrukcji Rządu z dnia 27. X. 1943 roku biorąc asumpt z Waszego rozkazu załączanego do depešy Nr 2100. Narady toczą się w Rządzie przy moim udziale, a częściowo i Prezydenta.

Projekt Premiera przedstawiony na wstępnej konferencji u Pana Prezydenta i na Rządzie Ministrów zawierał ustępy, które:

1. Zalecały badanie władz sowieckich w dwóch zonach, określonych jako:
 - a) tereny „dotąd nie kwestionowane”
 - b) tereny „uważane przez władze sowieckie jako zaanektowane na rzecz republiki Białoruskiej czy Ukrainskiej”.
2. polecały Organizacjom Podziemnym składanie wobec władz sowieckich obszernych, i daleko idących oświadczeń politycznych, co przesunąłoby na barki lokalnych organów administracji i dowódców poszczególnych oddziałów Armii Krajowej niewykonalne zadanie szukania porozumienia politycznego z Sowietami,
3. przewidywały w niewyjaśnionej sytuacji politycznej mobilizację ludności zajętych obszarów Kraju i podporządkowanie naszych Sił Zbrojnych „rozkazom odpowiedzialnych za dany odcinek bojowy komendantów armii sowieckiej” — co bez uprzedniego porozumienia politycznego pomiędzy Rządem naszym a sowieckim sprowadzałoby oddziały Armii Krajowej na poziom oddziałów Berlinga.

Moim zdaniem wszystko powyższe:

- a) byłyby sprzeczne z podstawowymi zasadami Instrukcji z dnia 27. X. 1943 r.
- b) zniszczyłoby zmiany wprowadzone Waszym rozkazem i ich intencje,
- c) musiałyby być zrozumiane przez Anglików, którym tekst ma być przedłożony, jako gotowość z naszej strony stopniowego godzenia się z aneksyjnymi faktami dokonanymi, tworzonymi na Kresach Wschodnich przez władze sowieckie.

Uważając, że byłyby zgubne jakiegokolwiek dalsze zachwianie naszej stanowczości w obronie integralności granic wschodnich oraz zasady uzależnienia współpracy wojskowej z Sowietami od uprzedniego porozumienia politycznego, sprzeciwiłem się projektowi Premiera i zaproponowałem proste przyjęcie do wiadomości przez Rząd i przeze mnie Waszego rozkazu z uzupełnieniem: „w wypadku, jeśli by się okazało, że ujawnieni na podstawie tego rozkazu przedstawiciele polscy zostali aresztowani — władze krajowe wydadzą zakaz ujawniania się na dalszych terenach. W każdym razie, obok ujawnionych przedstawicieli, przygotować drugi zastępczy skład osobowy

władz cywilnych i wojskowych, który by już w każdym wypadku pozostał w ukryciu, starając się o skomunikowanie z władzami polskimi i informując o losie ujawnionych przedstawicieli, o losie miejscowej ludności oraz o postępowaniu Sowietów na tych terenach”.

Obrazy Rządu nie zostały jeszcze zakończone. Na razie zdecydowano jedynie przyjąć do wiadomości Wasz rozkaz.

Nr 1217/134.
nad. 14. II. 44.

ŚCISLE Tajne 14.

LAWINA
do rąk własnych

Na depezę Waszą z dnia 3 lutego, stanowiącą odpowiedź na moją 281/26.

Zgadzam się w zupełności z tezą dotyczącą woli zadokumentowania bezkompromisowej walki z Niemcami. W tym duchu były poczęte i powzięte instrukcje Rządu i Naczelnego Wodza z dnia 27. X. 43. przekazane Wam depeszą moją Nr 5989/166.

Dyrektywy powyższe zmieniliście w punkcie istotnym, postanawiając ujawnienie Waszych oddziałów wobec wkraczających wojsk sowieckich. Decyzję Waszą ja interpretowałem jako gotowość przyjęcia narzuconej walki w granicach samoobrony skoro Rosja nie uszanuje naszej niepodległości i naszych suwerennych praw gospodarza. Premier i niektórzy członkowie Rządu interpretowali tę samą decyzję jako wyraz realizmu nakazującego współdziałanie z wkraczającą armią czerwoną aż do poddania się pod rozkazy sowieckich dowódców nawet bez uprzedniego porozumienia i nawiązania stosunków dyplomatycznych.

Powstała polityczna i psychologiczna komplikacja. Z jednej strony postąpiliście samodzielnie wobec instrukcji Rządu i moich, stanowiących wynik długiej dyskusji. Z drugiej strony Rząd i ja sądzimy, że wola Kraju stanowi czynnik, nad którym niesposób jest przejść do porządku dziennego. Ostatecznie, Rząd zaakceptował Wasz rozkaz na posiedzeniu Rady Ministrów dnia 2. II. 1944 r. o czym zakomunikowałem Wam depeszą Nr 947. Co więcej Premier dnia 6 lutego postanowienie Wasze podał do wiadomości Premierowi Brytyjskiemu, identyfikując je z wolą Rządu Polskiego.

Tło polityczne sytuacji zobrazowałem Wam dostatecznie w szeregu depesz w przekonaniu, że na obecnym zakręcie dziejowym mam obowiązek mówienia Krajowi całej prawdy. Byłaby przecież niegodną Waszego hartu duchowego sama myśl o oszczędzaniu Waszych nerwów przez retuszowanie rzeczywistości.

Skoro nie macie złudzeń co do wrogiego stosunku Sowietów do Was i do Armii Krajowej, to nie możecie ich mieć również co do skutków ujawnienia Waszych oddziałów bez uprzedniego porozumienia politycznego pomiędzy Rosją i Polską. Historia Baonu Stołpeckiego mówi sama za siebie. Cenę jakiej Rosja żąda jest wiadoma i sami macie na pewno odpowiedź na pytanie, czy cenę tę zapłacić można. Moje zdanie w tej sprawie jest znane.

Jeszcze raz powtarzam swoją opinię: Moskwa dąży do sowietyzacji Polski i uczynienia z niej 17 republiki w granicach, które określi Stalin — Anglia i Ameryka nie chcą lub nie mogą — na razie przynajmniej — przeciwstawić się czynnie tym dążeniom. Nie uchronią nas dyplomatyczne dobre chęci przyjaciół, połączone z kategoryczną odmową wszelkich gwarancji rzeczywistych. Być może, że wcześniej czy później Wielka Brytania stanie

wobec konieczności rozprawy z imperializmem rosyjskim — cała kwestia polega na tym, kiedy to nastąpi i czy zdołamy przetrwać złe czasy. Wreszcie wojna może się przeciągnąć i nie są wykluczone w jej toku rozliczne a nieprzewidziane przemiany. Nasza racja stanu wygra integralnie tylko wtedy, gdy Niemcy i Rosja osłabią się wzajemnie tak, że rozstrzygające zwycięstwo wraz z zajęciem terytoriów niemieckich i polskich przypadnie państwu anglosaskim. Bieda polega na tym, że państwa te nie doceniają swojej siły, są jak gdyby zmęczone wojną i na razie pozostawiają Rosji nadmiernie dużą swobodę ruchów w Europie, a przede wszystkim w tej połaci z którą nasze losy są związane. Na tym zdaje się polega dramat Polski w związku z konferencją w Teheranie. Oto szerokie tło dla rozstrzygnięć co do postępowania w obecnej przełomowej chwili. Są dwie drogi — obie oparte na założeniu bezkompromisowej walki z Niemcami:

1. Pierwsza polega na ścisłym wykonywaniu Instrukcji z dnia 27. X. 1943. Instrukcja ta obstała przy naszych prawach pomimo wszystko i wbrew wszystkim. Pod naciskiem wydarzeń na frontach, pod naciskiem sprzymierzeńców nasz Rząd stanowisko to, jak gdyby do pewnego stopnia osłabił — co więcej chce wziąć z Waszej samodzielnej decyzji asumpt dla usprawiedliwienia polityki stopniowych ustępstw a co najmniej dla porzucenia zasadniczego stanowiska Instrukcji z dnia 27. X., że bez uprzedniego porozumienia politycznego współpracować z Sowietami nie będziemy.
2. Druga droga polega na ustąpieniu w obliczu nacisków rosyjskich, obecnie nie hamowanych, lecz raczej popieranych przez politykę państw anglosaskich. Są co prawda tacy, którzy sądzą, że jest to sposób jedyny aby ocalić biologiczną substancję Narodu i zrealizować wizję przesunięcia granic zachodnich Polski ku szlakom Chrobrego. Ci, którzy tak myślą łudzą się przy tym, że obecne władze polskie mogą być partnerami Rosji — w roli do której predestynowani są przez Moskwę inni aktorzy, a więc Związek Patriotów, Wasilewska, Berling, P.P.R. itd. Nie można się łudzić, że droga ta nie prowadzi do sowietyzacji Polski.

Jestem zdecydowanym zwolennikiem pierwszej drogi, — przy czym nie biorę pod rozwagę trzeciej alternatywy, teoretycznie istniejącej. Mam na myśli śliską i niebezpieczną drogę Wallenrodyzmu oddziałów zdekonspirowanych.

Oczekujecie ode mnie instrukcji, czy Wasze oddziały, które się ujawniają w myśl Waszej własnej decyzji mają na kateryczne żądanie Sowietów składać broń, czy też stawiać w tym wypadku zbrojny opór.

Mozna oczywiście twierdzić, że obowiązkiem Naczelnego Wodza jest wydać odpowiednie rozkazy, choć pytanie Wasze wypływa z samodzielnej zmiany Instrukcji z dnia 27. X. 43.

Nie zupełnie Was rozumiem. Z jednej strony, — rozkazy Wasze słusznie wyłączają walkę zbrojną na dwa fronty, z drugiej zaś oświadczacie, że nie wykluczają one zbrojnej samoobrony. Czyż zbrojna samoobrona nie jest walką zbrojną, czy sądzicie, że do konieczności samoobrony nie dojdzie. Wszyscy wyłączamy walkę zbrojną na dwa fronty o ile to od naszej woli zależy. Walka ta jednak może być nam narzuconą przez postępowanie Sowietów.

W rozkazie Waszym z dnia 19 listopada w punkcie V. nakazujecie, że wszelkie próby wcielenia oddziałów polskich do wojsk czerwonych lub do oddziałów Berlinga są gwałtem, któremu należy się stanowczo przeciwstawić. Zapytuję, co oznacza dla oddziału wojskowego stanowcze przeciwstawienie się gwałtowi. Czy liczyacie, że bez uprzedniej umowy politycznej dowództwo sowieckie będzie tolerować obok siebie oddziały polskie podległe legalnym władzom Rzeczypospolitej. Mówicie w swoim rozkazie o zbrojnej samoobro-

nie wobec rosyjskiego terroru, a jednocześnie zapytujecie, czy oddziały Wasze na żądanie Sowietów mają składać broń. Czyż możliwa jest samoobrona bez broni.

Zalecam Wam:

1. Wedle granic możliwości trzymać się Instrukcji z dnia 27. X. 43.
2. Unikać zbrojnych starć z Rosją, ograniczając je do samoobrony i przeciwstawienia się gwałtom sowieckim.
3. W wypadku aresztowań, gwałtów i rozbijania zakazać ujawniania się na dalszych terenach, a zagrożone oddziały wedle możliwości wycofywać.

Przed wszystkim musicie na tej samej drodze, na której nastąpiła zmiana Instrukcji Rządu i Naczelnego Wodza, to znaczy razem z Delegatem Rządu i Krajową Reprezentacją Polityczną rozstrzygnąć zasadnicze pytanie: — czy współdziałanie wojskowe z Sowietami jest możliwe i wskazane bez uprzedniego porozumienia politycznego, skoro w tym wypadku współdziałanie oznacza podporządkowanie się rozkazom dowódców czerwonych, a w konsekwencji prawdopodobnie wcielenie do armii sowieckiej lub do oddziałów Berlinga. Porozumienie polityczne o ile w ogóle jest osiągalne oznaczałoby w sytuacji obecnej zgodę na terytorialne żądania Sowietów.

Moje stanowisko w tej sprawie jest konsekwentnie negatywne. Natomiast nie jestem pewien czy w łonie Rządu nie znajdują się zwolennicy współpracy w każdym wypadku, który powoływać się będą na opinię brytyjską i operować jako argumentem rozkazem Waszym o ujawnianiu oddziałów.

Wódz Naczelny nie może wydawać rozkazu o składaniu broni wobec gwałtu i przemocy. Raz jeszcze powtarzam: aż do granic możliwości ludzkich należy unikać otwartej walki z Sowietami. Wszystko co można było powiedzieć w tej sprawie zawarte jest w zasadzie samoobrony, określonej przez Rząd i potwierdzonej w Waszym rozkazie jako prawo naturalne każdego człowieka. Niezależnie od sformułowań, w obliczu złej woli Sowietów, efekt praktyczny będzie zawsze ten sam, o ile rzeczywistym celem ujawnienia się ma być dokumentowanie suwerennych praw naszych jako gospodarzy na całości terytorium Rzeczypospolitej.

Depesza Stalina do Churchilla w której Stalin domaga się części Prus Wschodnich z Królewcem oraz Małopolski Wschodniej z linią podziału gdzieś na wschód od Przemyśla jest faktem. Obawiam się, że w dniach najbliższych może nastąpić nacisk Rządu Brytyjskiego na Rząd Polski z użyciem najmocniejszych argumentów. Moje osobiste zdanie: trzeba oprzeć się i przetrwać wszystko, dopełniając z naszej strony najskrupulatniej żołnierskich obowiązków sojuszniczych. Nie można zwalniać państw anglosaskich z ich zobowiązań moralnych i politycznych względem nas i ułatwić im ratowanie twarzy kosztem naszych ustępstw i naszego honoru. Większość naszej Armii na Wschodzie jest już w linii bojowej na froncie włoskim.

(—) SOSNKOWSKI

(Sekretowane)

DEPESZA-SZYFR

Pilne 17
ŚCIŚLE Tajne
L. 1427/67. 20. II. 44.

LAWINA
do rąk własnych

W związku z decyzją Kraju ujawniania władz cywilnych i niektórych oddziałów Armii Krajowej podaje Wam teksty uchwał Rady Ministrów.

Uchwała z dnia 2 lutego br.

Rząd Polski przyjmuje do wiadomości rozkaz Komendanta Armii Krajowej wydany w porozumieniu z Delegatem Rządu i Krajową Reprezentacją Polityczną na podstawie instrukcji Rządu R.P. dla Kraju z dnia 27 października 1943 r.

Uchwała z dnia 18 lutego br.

Uzupełnia się instrukcję z dnia 27 października 1943 r. w dziale B. II. jak następuje:

Władze Krajowe wydadzą polecenia terenowym przedstawicielom władzy administracyjnej, by wraz z dowódcą miejscowego odcinka czy oddziału Armii Krajowej wystąpili do dowództwa wkraczających oddziałów sowieckich z następującym oświadczeniem:

„Na rozkaz Rządu Rzeczypospolitej Polskiej zgłaszam się jako przedstawiciel polskiej władzy administracyjnej (jako dowódca wojskowy) z propozycją uzgodnienia współdziałania z wkraczającymi na teren Rzeczypospolitej Polskiej siłami zbrojnymi Sowietów w operacjach wojennych przeciw wspólnemu wrogowi”.

Należy poza tym oświadczyć, że oddziały Armii Krajowej, istniejące lub mogące powstać, są częścią Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej, podlegając nadal Rządowi Polskiemu, rozkazom Naczelnego Wodza i Dowódcy Armii Krajowej.

W wypadku, jeżeliby ujawnieni przedstawiciele polscy zostali aresztowani, Władze Krajowe wydadzą na dalszych terenach zakaz ujawniania się władz administracyjnych i Sił Zbrojnych.

W każdym razie obok ujawnionych przedstawicieli przygotować drugi, zastępczy skład osobowy władz cywilnych i wojskowych, które już w każdym wypadku pozostałyby w ukryciu, starając się o skomunikowanie z władzami polskimi, informując je o losie ujawnionych przedstawicieli, o losie miejscowej ludności oraz o postępowaniu Sowietów.

Wzywa się ludność polską, aby nie opuszczała swych siedzib.

Rząd R.P. w swej działalności politycznej pracuje w dalszym ciągu nad zabezpieczeniem suwerennych praw Rzeczypospolitej i bezpieczeństwa Jej obywateli, oraz nad wytworzeniem warunków, koniecznych dla uzgodnienia walki Kraju przeciw Niemcom z planem strategicznym Aliantów i Rosji Sowieckiej.

Powyższy tekst uchwały Rządu z dnia 18 lutego jest na ogół wynikiem długotrwałych sporów i dlatego też odbiega znacznie od pierwotnego tekstu uzupełnień instrukcji, proponowanych przez Premiera Mikołajczyka (patrz depesza moja Nr 947 z dnia 7 lutego 1944 r.). Nie wszystko jednak zostało uzgodnione. Żądałem mianowicie, aby w ostatnim ustępie uchwały z dnia 18 lutego przed słowami „warunków koniecznych dla uzgodnienia walki Kraju itd.” — wstawić słowa: — „w ten sposób”. Przeczytajcie cały ostatni ustęp z dodaniem tych słów, a zrozumiecie, że chodzi o wyznawaną konsekwentnie przeze mnie tezę zasadniczą, że bez uprzedniego porozumienia politycznego, dokonanego na sprawiedliwych dla Polski podstawach, współdziałanie wojskowe z Sowietami jest niemożliwe, a w praktyce niewykonalne lub prowadzi do zamiany jednej okupacji na drugą. Wobec nieuwzględnienia przez Rząd mojej poprawki, zgłosiłem do protokołu oświadczenie, że istnieje w tej sprawie zasadnicza różnica zdań pomiędzy Rządem a Naczelnym Wodzem.

Już dnia 19 lutego pojawiły się w prasie angielskiej komentarze, dotyczące posiedzenia i uchwał z dnia 18 lutego, stwierdzające, że Rząd Polski gotów jest współdziałać wojskowo z Sowietami nawet bez uprzedniego porozumienia politycznego. Ta okoliczność utwierdza mnie w przekonaniu, że mój sprzeciw był uzasadniony.

(—) SOSNKOWSKI

20 lutego 1944 r.

DEPESZA-SZYFR

23.
ŚCIŚLE TAJNE

Generał L A W I N A
do rąk własnych

W uzupełnieniu depeszy Naczelnego Wodza Nr 1427 z dn. 20. II. Dodatkowo komunikuję, że w dniu 18. II. 1944 r. Rząd zatwierdził następującą treść depesz do Kraju:

- a) Należy przez dodatkowe jednorazowe ujawnianie się skontrolować zachowanie się Sowietów na terenach na zachód od Bugu. W wypadku aresztowań ponowić zakaz dalszego ujawniania się. W ten sposób uzyskamy dodatkowe argumenty polityczne w obronie interesów R.P. oraz jej ludności.
- b) Delegat Rządu oraz Dowódca A.K. zdecydują zależnie od warunków, które organy władz krajowych i oddziały wojskowe mają się ujawnić, a które mają pozostać w konspiracji.

(—) SOSNKOWSKI

DEPESZA-SZYFR

(Sekretowane)

Pilne 18.
ŚCIŚLE TAJNE

L. 1452/171 21. II. 44.

L A W I N A
do rąk własnych

Nawiązując do depeszy Waszej z dnia 24 listopada 1943 r. zawierającej stwierdzenie rozszyfrowania niektórych oddziałów przez czynniki pozostające w służbie sowieckiej oraz na depeszę Waszą z dnia 3 lutego 1944 r. punkt 4 przesyłam Wam tekst uchwały Rady Ministrów, powziętej w mojej obecności dnia 18 lutego br.

„Delegat Rządu oraz Dowódca Armii Krajowej zdecydują zależnie od warunków, które organa Władz Krajowych i oddziały wojskowe mają się ujawnić, a które mają pozostać w konspiracji”.

Na końcowe pytanie Waszej depeszy z dnia 3 lutego oraz w nawiązaniu do mojej depeszy Nr 1217/134 z dnia 13 lutego br. podaję do Waszej wiadomości, że na tymże posiedzeniu Rady Ministrów po mojej deklaracji, iż jako Naczelnny Wódz nie mogę wydawać instrukcji o składaniu broni na kategoryczne żądania Sowietów, Rząd udzielił odpowiedzi następującej:

„W razie odrzucenia zgłoszonej przez dowódcę ujawnionego oddziału propozycji uzgodnienia współdziałania, oddział należy rozwiązać, broń zabezpieczyć, unikać konfliktów z armią rosyjską”.

K. S.

21 lutego 1944 r.

K.S.Z.K.

dn. 23-III-44 r.

Nr 144/III/KSZ.

Rozkaz szczególny

K. OKR./Obsz.

I. Wkroczenie wojsk sow. na część terenów wsch. Polski przez wbiecie głębokich klinów we front niemiecki zmusza do liczenia się, że w ten sam sposób mogą być opanowywane i dalsze nasze tereny. Działania te mogą być poprzedzone przez sow. oddz. part.

Taki sposób działania sow. zmusza kmdt. okr. i podległych mu d-ców do bacznego śledzenia położenia na jego terenie i wydania na czas rozkazów, aby móc wykonać mój rozkaz liczba 1300/III.

II. Ze względu na dobro sprawy polskiej zależy, abyśmy wzięli czynny udział przy oswobodzeniu Kraju z okupacji przez uderzenie na niemieckie straże tylne. Podkreślam, że uderzenia te powinny rozpocząć się, poczynając od naszych granic wsch., czym najlepiej podkreślimy przynależność Ziemi Kresowych do Rzplitej.

Przypominam, że na podstawie rozkazu L. 1300/III. p. IV-5 uderzenie na straże tylne niemieckie powinno nastąpić automatycznie z chwilą cofania się Niemców, nawet bez zarządzenia powszechnego Burzy przez KSZK.

Walka ta z Niemcami będzie miała duże znaczenie pol. i musi być bezwzględnie przeprowadzona, niezależnie od zachowania się sow. w stosunku do nas.

III. Rozkazuję Kmdt Okręgu w wypadku cofania się Niemców, nawet z części jego okręgu, natychmiastowe rozpoczęcie akcji Burza, siłami opuszczonego przez Niemców terenu.

IV. Zwracam uwagę przed przedwczesnym mobilizowaniem, zwłaszcza dużych oddz. mających wziąć udział w Burzy, gdyż łatwo mogą być one wycofane przez cofających się Niemców i odrzucone na zach. przed wykonaniem zadania na swoim terenie. Małe oddz. lub stosunkowo późno zmobilizowane dają większą gwarancję, że cofający się front niem. pozostawi je na własnych tyłach, co pozwoli im na wykonanie zadania.

V. Oddziały biorące udział w walce, będą zmuszone do ujawnienia się wobec regularnych wojsk sow. i mają postępować w myśl rozkazu L. 1300/III. p.V.

Przy ujawnieniu się d-ca polski powinien wystąpić do dowódcy regularnego oddziału sow. z następującym oświadczeniem: „Na rozkaz Rządu Rzeczypospolitej Polskiej zgłaszam się jako d-ca wojskowy, z propozycją uzgodnienia, z wkraczającymi na teren Rzeczypospolitej Polskiej siłami zbrojnymi sowieckimi, współdziałania w operacjach wojennych, przeciw wspólnemu wrogowi”. Należy poza tym oświadczyć, że oddz. A.K. istniejące, lub mogące powstać, są częścią Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej, podlegają nadal Rządowi Polskiemu, rozkazom Naczelnego Wodza i Dowódcy Armii Krajowej.

Komendant okr. w wypadku stwierdzenia, że na jego terenie władze sow. notorycznie rozbijają nasze oddziały, wcielają do armii sow. lub oddziałów Berlinga, albo aresztują ujawnionych d-ców, jest upoważniony, bez porozumienia się z K.G., do wydania rozkazów nie ujawniania dalszych oddziałów.

Ze względu na wiadomy sposób postępowania sow. w stosunku do naszych

oddziałów rozkazuję: jeżeli ujawnienie ma nastąpić nie w polu, bezpośrednio po walce, a w garnizonie, gdzie znajdują się nasze dowództwa terytorialne — ujawniający się d-ca winien posiadać zakonspirowanego zastępcę, który nie ujawni się. W wypadku aresztowania ujawnionego d-cy obejmie on dowództwo, lecz już z konspiracji.

W razie odrzucenia zgłoszonej przez d-cę ujawnionego oddziału — propozycji uzgodnienia współdziałania z oddz. sow. należy broń zabezpieczyć, oddziały nasze rozwiązać, unikając konfliktów z armią sow.

VI. Ze względu na nienawiązanie stosunków dyplomatycznych, pomiędzy Rządem naszym, a Sowietami, nie jest wskazane nawiązywanie pośpieszne z naszej inicjatywy łączności z dowództwami sow. Należy raczej dążyć do wykonania zadań Burzy samoistnie, jak długo to się da.

Nie mniej jednak, w wypadku, gdyby wykonanie zadań Burzy zmuszało do uzgodnienia akcji bojowej z Sow., należy ujawnić się, zgodnie z punktem V. niniejszego rozkazu i ułożyć warunki współdziałania w akcji. W wypadku, jeżeli oddz. sow. będą poszukiwały łączności z nami, nie należy jej unikać, ujawnić się i ułożyć warunki współdziałania, zachowując ostrożność w związku z niepewnością co do sposobu zachowania się Sow. wobec ujawnionych oddziałów.

VII. Wykonanie akcji Burza i ujawnienie się oddziałów pozwoli na wyciągnięcie korzyści politycznych, o ile Rząd nasz otrzyma możliwie szybko dokładne meldunki, dotyczące:

- 1) Działalności bojowej własnych oddziałów, przeprowadzających akcję Burza.
- 2) Stosunku Sow. do ujawnionych własnych oddziałów.
- 3) Stosunku Sow. do ludności polskiej.
- 4) Zachowania się Niemców w stosunku do ludności polskiej podczas wycofywania się.

Meldunki te mają być przesłane drogą radiową lub kurierską, w myśl wskazówek wydanych na odprawie w styczniu br.

Zał. 2. do M.243.

Odpis.

K.G.

Dn. 14. IV. 44 r.
L.634/III.

Rozkaz szczególny
dla Komendanta Okr. Pełnia.

- I. Dobro sprawy polskiej wymaga najsilniejszego zaakcentowania wobec Sowietów dążenia ludności do pełnej niepodległości i suwerenności.
- II. Zadaniem Komendanta Okr. Pełnia będzie przeprowadzenie akcji Burza w/g następujących wytycznych:
 - 1) Akcja Burza powinna być wykonana wszystkimi siłami Okręgu. Uderzenie na strażę tylne cofających się Niemców muszą nastąpić na swoich terenach, unikając wycofywania się na zach.
 - 2) Należy dążyć, aby możliwie w dużej ilości, przynajmniej w większych osiedlach, była zorganizowana samoobrona wojskowa (garnizon). Zadaniem samoobrony będzie natychmiast po opuszczeniu miejscowości przez Niemców, opanować ją i zorganizować obok władz cywilnych władze wojskowe. Jako widomy znak opanowania miejscowości przez A.K. Wywiesić flagi biało-czerwone i wystawić w odpowiednich miejscach posterunki, celem zapewnienia bezpieczeństwa publicznego.

3) Cała akcja Burzy na terenie Okr. Pełnia musi dowodzić, że teren jest opanowywany przez A.K. w miarę cofania się Niemców.

III. Oddziały biorące udział w walce, oraz dowództwa terytorialne i komendy garnizonów będą musiały ujawniać się wobec regularnych wojsk sow. i mają postępować w myśl rozkazu szczególnego Nr 144/III/KSZ. p. V. z dn. 23. III. 44 r.

IV. W stosunku do polskich organizacji komunistycznych zachować się negatywnie, ale nie zaczepnie. W wypadku czynnego wystąpienia komunistów przeciwko A.K. lub władzom cywilnym, wyznaczonym przez pełnomocnika Rządu, należy zająć zdecydowaną postawę i nie dopuścić do podważenia autorytetu legalnej władzy. Zachowanie się w stosunku do komunistów polecam specjalnie taktowi miejscowych dowódców.

V. W sprawie zakresu ujawniania się władz administracji cywilnej, pełnomocnik Rządu wydaje specjalne zarządzenia delegatowi okręgowemu, z którym Kmdt Okr. musi być w kontakcie.

Z.r. (—) R o b a k

Analogiczne rozkazy szczególne jak Nr 144/III. i 634/III. otrzymały Okręg Len, Kania i obszar Woda (te ostatnie dla podokręgów wsch.).

Pełnia = Białystok.

Odpis.

Zał. 3. do M. 243.

N.W. W załączeniu przesyłam odpis rozkazu wysłanego w teren w sprawie stosunku do Sowietów, jako potwierdzenie rozkazów ustnych, wydanych na bieżących odprawach.

L a w i n a .
12. 07. 44.

K.S.Z. w Kraju
1300/III.
12. VII. 44.

Stosunek do Sowietów.

A. Położenie.

Sowiety są w wojnie z Niemcami, są więc faktycznie naszym kombatantem przeciwko Niemcom.

Sowiety kwestionują nasze granice wschodnie i integralność terytorium R.P. Ziemie leżące na wschód od tzw. Linii Curzona uważają za swoje. Sowiety zerwały i nie podtrzymują stosunków dyplomatycznych z Rzplಿತ. Sowiety negują właściwość faktyczną Władz Naczelnych Rzplitej, znajdujących się na emigracji i organów ich w Kraju.

Sowiety otwarcie zwalczają wszelkimi sposobami wszystkie czynniki reprezentujące suwerenną Rzplitej.

Sowiety dążą do rozwiązania zagadnienia polskiego wyłącznie przez siebie w myśl interesów i celów politycznych Z.S.R.R. Rozwiązanie takie starają się ubrać w pozory współdziałania z nimi Polaków. Stąd: tworzenie Związku Patriotów Polskich w Moskwie, Oddziałów Berlinga i agentur prosowieckich w Kraju. Sowiety stosują szeroki wachlarz sposobów działania w stosunku do społeczeństwa polskiego, od pozyskania zaufania i wpływu na umysły do groźb i niszczenia sprzeciwu włącznie.

Taka postawa sowiecka wobec sprawy polskiej jest w rzeczywistości postawą wroga tej Rzplitej, której nienaruszalności interesów bronimy. Sowiety są

więc z jednej strony potężnym kombatantem naszym w walce z Niemcami, a z drugiej groźnym zaborcą, bijącym zasadniczą naszą niepodległą postawę.

B. Myśl przewodnia w naszym stosunku do Sowietów musi uwzględnić tę dwojaką postać, w jakiej Sowiety występują. Da się to sformułować następująco:

Jedynie w walce z Niemcami współdziałamy z Sowietami.

Stawiamy Sowietom opór polityczny, polegający na ciągłym i nieustępliwym dokumentowaniu samodzielności wszystkich przejawów życia polskiego zorganizowanego, a więc również zagadnień wojska i wojny. Opór ten ma być zbiorowym przejawem woli Narodu Polskiego w utrzymaniu niepodległego bytu.

C. W wykonaniu praktycznym tej złożonej myśli przewodniej, aby nasza walka z Niemcami prowadzona we współdziałaniu z Sowietami nie mogła być wygrana przez Sowiety, jako atut polityczny dla twierdzenia, że Kraj chce iść na współpracę z nimi, a tym samym godzi się na odrywanie Ziemi Wschodnich — konieczne jest jasne i zdecydowane podkreślenie na każdym kroku całkowitego podporządkowania się Krajowi oraz A.K. Rządowi i N.W. i solidarności wspólnego bez zastrzeżeń stanowiska politycznego. Z tego względu rozkazują ściśle trzymać się poniższych wytycznych w wypadku zetknięcia się dowódców i oddziałów A.K. z wojskami lub oddziałami part. sow.:

- 1) D-cy A.K. prowadzą jak najdłużej działania bojowe przeciw Niemcom zupełnie samodzielnie, nie szukają pochopnie łączności z oddziałami sowieckimi. Nawiązują łączność z własnej inicjatywy tylko w wypadkach nieodzownej potrzeby taktycznej — potrzeby pola walki.
- 2) Przy każdym zetknięciu się z oddziałami sowieckimi d-cy oddz. A.K. ujawniają się oświadczając: „Na rozkaz Rządu Rzplitej Polskiej zgłaszam się jako d-ca (podać nazwę oddziału) z propozycją uzgodnienia z wkraczającymi na teren Rzplitej Polskiej siłami zbrojnymi Sowietów współdziałania w operacjach wojennych przeciwko wspólnemu wrogowi”. Należy poza tym oświadczyć, że oddział (wymienić nazwę) jest częścią A.K. i podlega Rządowi Polskiemu, rozkazom N.W. i D-cy A.K. a bezpośrednio d-cy (podać funkcję bezpośredniego d-cy).
- 3) Wolno udzielać Sowietom na ich prośby wiadomości o położeniu Niemców. O własnych oddziałach wolno informować tylko o najbliższych znajdujących się.
- 4) Współdziałać bojowo należy tylko w ramach zadań zasadniczych postawionych przez D-cę A.K. i na terenach dla tych zadań wyznaczonych. Wychodzenie poza zadania i tereny wyznaczone przez przełożonych d-ców oddz. A.K. bez zgody D-cy A.K. jest niedopuszczalne.
- 5) Dopuszczalne jest korzystanie podczas walki z doraźnej materiałowej pomocy sowieckiej. Wszystkie powiązania w tej dziedzinie o charakterze trwałym wymagają decyzji d-ców Okręgów a ważniejsze nawet decyzji D-cy A.K.
- 6) Postawa żołnierzy A.K. w stosunku do Sowietów musi być pełna godności, wykluczająca służalczość lub nadskakiwanie.
- 7) Żołnierze A.K. nie powinni prowadzić rozmów na tematy polityczne z żołnierzami sowieckimi. Rozbieżność zapatrywań i celów polskich i sowieckich jest tak duża, że wszelkie rozmowy są bezcelowe. Żołnierz A.K. powinien zawsze i jedynie podkreślać, że walczy o niepodległość Polski i o ustroj wewnętrzny, o którym zadecyduje wolny Naród Polski.
- 8) W wypadku usiłowania przez Sowietów wcielania oddziałów polskich do

wojsk sowieckich lub oddziałów Berlinga należy: a) protestować, b) dążyć do wycofania się i uniknięcia rozbrojenia siłą lub wcielenia, c) w ostateczności broni zabezpieczyć, a oddziały rozformować, d) w wypadku chęci niszczenia oddziału przez Sowiety siłą fizyczną — bronić się. Podkreślam jednak, że walka z Sowietami jest niepożądaną ostatecznością i to tak w stosunku do oddziałów regularnych sowieckich jak partyzanckich oraz band komunistycznych (PPR i AL).

- 9) Przy ujawnianiu się w garnizonach tj. tam, gdzie jest zorganizowana własna samoobrona miejscowości, d-ca ujawniający się winien mieć nieujawnionego a zakonspirowanego z-cę, który obejmie dowództwo w konspiracji w wypadku aresztowania d-ców.
- 10) Zasadniczo ujawniają się tylko oddziały uzbrojone. D-ca po ujawnieniu się jest obowiązany przysyłać meldunki do swoich przełożonych: a) dotyczące jego działalności bojowej, b) stosunku Sowietów do ujawnionego oddziału, c) zachowania się Sowietów w stosunku do ludności cywilnej.

K.S.Z. w Kraju

(—) B ó r.

Odpis.

KG.

Dn. 11. VII. 44 r.
Nr 1301/III.

Zał. Nr 4. do M.243.

Komendant Okręgu Sarna.

W ślad za rozkazem 1300/III. oraz rozkazami uzupełniającymi 1.144/III. z dn. 23. III. 44. i 634/III. z dn. 14. IV. 44.

- I. Przebieg wypadków na niemieckim froncie środkowym wskazuje, że cofanie się Niemców przybiera rozmiary bezplanowego odwrotu. W najbliższym czasie jest możliwe opuszczenie przez nich terenu Okręgu. Liczę się z następującymi możliwościami na waszym terenie.
 - a) z pospiesznym odwrotem niemieckim
 - b) z próbami powstrzymania Sowietów przez przeciwwuderzenie niemieckie
 - c) z rozkładem sił niemieckich i bezładną ucieczką.
- II. Większość terenów Okręgu Sarna leży na zach. od tzw. Linii Curzona, lecz na wschód od Linii Ribbentrop-Mołotow. Ta okoliczność, przy niewyjaśnionych naszych stosunkach z Sowietami, może być precedensem do sporu o te ziemie.
Dobro sprawy polskiej wymaga specjalnego podkreślenia polskości Okręgu Sarna. Konieczny jest jak największy udział polski przy oczyszczaniu terenu Okręgu z okupacji niemieckiej.
- III. Zadanie Komendanta Okręgu postawione na wypadek powstania Burzy pozostaje bez zmian.
- IV. Wytyczne wykonania:
 - 1) Powstanie na waszym terenie może być aktualne w wypadku, jeżeli nastąpi nagłe załamanie się Niemców. Zostanie ono wtedy zarządzone powszechnie przez K.G.
 - 2) Bardziej prawdopodobne jest wykonanie przez was Burzy. Sposób jej przeprowadzenia musicie uzależnić od położenia wojskowego jakie się wytworzy na waszym terenie.
 - a) W wypadku pospiesznego odwrotu niemieckiego musicie dążyć do uderzenia na niemieckie straża tyłne możliwie silnymi oddziałami. Zależy również, aby z chwilą opuszczenia przez Niemców

wyprzeżyć Sowiety w opanowywaniu większych miejscowości: Grodna, Wołkowyska, Białegostoku, Suwałk, Augustowa, Zambrowa, Łomży i Ostrołęki. W garnizonach tych powinny ujawnić się terytorialne władze wojskowe i cywilne.

- b) W wypadku stwierdzenia zgromadzenia większych sił niemieckich na waszym terenie, celem podjęcia akcji zaczepnej lub obronnej dla powstrzymania naporu sowieckiego, będziecie prawdopodobnie zmuszeni przetrwać okres bitwy w ukrytym oczekiwaniu. Rozpoczęcie działania dopiero z chwilą odwrotu Niemców. W tych okolicznościach przy dużym nasyceniu terenu wojskami niemieckimi, będziecie mogli rozpocząć akcję Burza drobnymi oddziałami, które następnie należy łączyć w większe zgromadzenia.
- c) W wypadku stwierdzenia przez was rozkładu sił niemieckich, które może być wcześniejsze u was, niż na całym terenie Polski, a przez to powszechne zarządzenie powstania może być dla was opóźnione, musicie wykorzystać ten moment i opanować ważniejsze miejscowości przed wkroczeniem wojsk sowieckich oraz zorganizować i dobroić większe siły.
- 3) Natychmiast po opanowaniu terenu musicie dążyć do stworzenia większych zgromadzeń waszych oddziałów, organizując zgromadzenie 29. d. p. w rej. Białystok, Grodno, Suwałki i 18. d. p. w rej. Łomża, Zambrów, dołączając do nich oddziały Suwalskiej i Podlaskiej b.k.
- 4) Polecam wszystkim oddziałom nadać numerację i nazwy oddziałów wchodzących w skład 18 i 29. d. p. lub b.k.
- V. Stosunek wasz do Sowietów jest uregulowany poprzednimi rozkazami oraz w szczegółach reguluje go załącznik do niniejszego rozkazu. W wypadku stawiania przez Sowiety propozycji organizacyjnych, co już miało miejsce na Wołyniu, musicie się zwracać o decyzje do K.G. Gdybyście musieli, ze względu na trudności łączności decydować samodzielnie, to: w żadnym wypadku nie wolno wam dopuścić do podporządkowania was i waszych oddziałów oddziałom polskim organizowanym przez Sowiety (Berling, Wasilewska itp.) lub dać się wcielić do armii sowieckiej. Wolno wam uzgadniać taktyczne działania w walce z Niemcami z dowódcami sow., lecz musicie bezwzględnie pozostać w charakterze A.K. podległej jej Dowódcy i N.W.
- VI. Polecam niezwłocznie pod waszą osobistą odpowiedzialnością, nawiązać łączność radiową z K.G. Dotychczasowy brak łączności z wami jest w najwyższym stopniu karygodny i naraża K.G. na niemożliwość sprawnego dowodzenia Okręgiem. Prócz łączności radiowej muszę otrzymywać od was meldunki w myśl punktu VIII rozkazu 144/III. Musicie również utrzymać łączność przy pomocy co najmniej oddziałów łącznikowych z Okr. Grzyb, które najlepiej naświetlą wam zbliżające się położenie.
- VII. Od zrozumienia przez was postawionego wam zadania i od dokładnego jego wykonania zależeć będzie przyszłość ziem, nad którymi jesteście dowódcą. Wiadomości przesyłane przez was do K.G. będą miały podstawowe znaczenie w prowadzeniu naszej polityki w stosunku do Sowietów, jak również przy pobieraniu decyzji, dotyczących działań w okręgach położonych dalej na zachód.

(—) B ó r.

Sarna = Białystok
Grzyb = Nowogródek

Sztab Naczelnego Wodza
Oddział Specjalny.

Naczelny Wódz.

L.dz. 6873. Tjn. 44.

Londyn, dnia 24. VIII. 1944 r.

W załączeniu przedstawiam pismo D-cy Armii Krajowej
z 9. V. 44 otrzymane w ostatniej poczcie z Kraju.

Z-ca Szefa Sztabu N.W. dla Spraw Kraj.

(—) Tabor, gen. bryg.

Załączników: 2.

Rozdzielnik:

Pan Minister Obrony Narodowej.

Szef Sądownictwa Wojsk.

„Naczelny Wódz.

Z ogłoszeniem dekretu Prezydenta Rzplitej z 1. IX. 42 o tymczasowej organizacji władz na ziemiach R.P., sytuacja na odcinku administracji państwowej w dziale spraw wojskowych na terenie Kraju, układa się w ten sposób, że z chwilą objęcia jawnej władzy Delegat Rządu będzie posiadał uprawnienia MON sprawę wydawania rozporządzeń z artykułu 6 i rozporządzeń i zarządzeń w sprawach łączących się bezpośrednio z działaniami wojennymi, nie będącymi w związku z obronnością Państwa.

Art. 1: ... Potrzeby jednolitego kierownictwa sprawami wojska w Kraju w obliczu zbliżającej się walki z okupantem, oraz szybkiego i fachowego normowania wyłaniających się zagadnień wyjątkowych, zwłaszcza na odcinku mobilizacji i administracji zasobami ludzkimi i materiałowymi, niezbędnymi dla przeprowadzenia wysiłku zbrojnego w Kraju, wymaga powierzenia działu administracji spraw Obrony Narodowej Kraju Komendantowi Sił Zbrojnych w Kraju, który pełni obecnie obowiązki Delegata MON.

W tym celu, jak dla oparcia uprawnień Delegata MON na właściwej podstawie, gdyż rozkaz 1. M. 42 L. 5012.42 podstawy prawnej nie daje — proszę o spowodowanie wydania niżej załączonego dekretu. Wydanie tego dekretu wymagać będzie zmiany art. 5 pkt. 2 dekretu z dnia 1. IX. 42 o tymczasowej organizacji władz na ziemiach RP, polegającej na dodaniu po słowach: „Spraw Zagranicznych” słów: „Spraw Obrony Narodowej”.

D-ca Armii Krajowej — 9. V. 44”.

Załącznik do L. dz. 6873. Tjn. 44.

Dekret Prezydenta Rzplitej z dn. o Delegacie Ministra Obrony Narodowej w Kraju:

Na podstawie artykułu 25 ust. (5), art. 63 ust. (1), art. 74 i 79 ust. (2) Ustawy Konstytucyjnej stanowią co następuje:

Art. 1. Ustanawia się urząd Delegata Ministra Obrony Narodowej w Kraju.

Art. 2. Delegat MON w Kraju:

- a) Pełnienie obowiązków Delegata MON powierza się D-cy Armii Krajowej,
- b) reprezent. wobec Delegata Rządu w Kraju sprawy Armii Krajowej,
- c) kieruje sprawami mob. i administracji zasobów ludzkich i materiałowych, potrzebnych dla organizacji przeprowadzenia wysiłku zbrojnego Kraju,
- d) administruje budżetem Armii Krajowej i nadzoruje jego wykonanie,

e) przygotowuje wnioski do prac MON w sprawach związanych z Armią Krajową.

Art. 3. 1. Delegat MON w Kraju może wydawać tymczasowe rozporządzenia w zakresie Sił Zbrojnych z Kraju, w przypadkach, w których obowiązujące przepisy upoważniają Naczelnego Wodza lub MON do wydawania rozporządzeń i zarządzeń.

2. Tymczasowe rozporządzenia i zarządzenia Delegata MON w Kraju będą ogłoszone z powołaniem się na podstawę ustawodawczą, w sposób odpowiedni do okoliczności.

3. Kto wykracza przeciw nakazom lub zakazom zawartym w tymczasowym rozporządzeniu lub zarządzeniu Delegata MON w Kraju, podlega karze, przewidzianej za naruszenie odpowiedniego rozporządzenia — lub zarządzenia Naczelnego Wodza lub MON.

Art. 4. 1. Organem pracy Delegata MON w Kraju jest Departament Obrony Narodowej.

2. Organizacja departamentu ON oraz warunki współpracy określa delegat MON w Kraju, po uzgodnieniu z Delegatem Rządu.

Art. 5. Urząd Delegata MON w Kraju ulega likwidacji z chwilą przejęcia działu Administracji Narodowej Kraju przez MON.

Art. 6. Wykonanie dekretu niniejszego porucza się Ministrowi Obrony Narodowej i Delegatowi MON w Kraju.

Art. 7. Dekret niniejszy wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

3/8.

131.

Odpis depezy z Kraju — L.dz. 6381/Tjn. 44 r.

„Premier, Naczelnny Wódz.
Na 692 Premiera.

Nie widzę żadnej rozbieżności między instrukcją zasadniczą Rządu a rozkazami AK — w wytycznych Naczelnego Wodza.

Działając w ścisłym porozumieniu z Del. Rz. wydaję zarządzenia zależnie od sytuacji, trzymając się lojalnie zasadniczych wytycznych Rządu i rozkazów Naczelnego Wodza.

Cały teren otrzymał rozkaz wykonania Burzy. Pomimo wrogiego stosunku Sowieców do władz wojskowych i administracji cyw. również i na zachód od Linii Curzona nie cofnąłem rozkazu ujawniania się. Ewentualną zmianę decyzji uzależniam od rozwoju wypadków po ujawnieniu się w stolicy. Jestem zdecydowany ujawnić się z Del. Rz.

D-ca Armii Krajowej — 3. VIII. 44.”

DEPESZA-SZYFR

Nr 7358.

26. 8. 44.

LAWINA

42.

Zgodnie z dotychczasowym systemem postępowania oddziały Armii Krajowej ujawniały się wobec Sowieców po walce z Niemcami.

Oddziały nasze w następstwie walk i ujawniania się są rozbrajane, wcielane do armii Berlinga, lub do armii sowieckiej, a częściowo, zwłaszcza kadra dowódców więziona lub internowana, przy czym represje sowieckie wystąpiły co najmniej z równą siłą na zachód od tzw. „Linii Curzona”.

Dotychczasowe walki A.K. dowiodły:

- a) woli Polski bicia się do końca z Niemcami,
- b) najdalej posuniętej dobrej woli Polski, wyrażonej pomiędzy innymi przez to, że Armia Krajowa, mimo nie nawiązania stosunków polsko-sowieckich, współdziałała operacyjnie z armią czerwoną,
- c) że jedyną realną siłą wojskową na obszarze Polski byli i są żołnierze skupieni w A.K.

Wobec zatrzymania się frontu i wielkiego nasilenia terenów naszych wojskami niemieckimi, w warunkach niedostatecznego zaopatrzenia ze strony Aliantów i braku z ich strony dostatecznej opieki politycznej, oraz wobec prześladowań i wyraźnej złej woli ze strony sowieckiej, widzę w porozumieniu z Rządem, potrzebę zmiany dotychczasowych zasad postępowania.

W związku z tym zarządzam na terenach poza Warszawą ograniczenie akcji „Burza” do ochrony ludności i do samoobrony wobec wycofujących się Niemców. W sprzyjających warunkach można podejmować akcje dywersyjne na komunikacje, zależnie od posiadanych zasobów.

Co do ujawniania się na tych terenach doszedłem do przekonania, że należy go zaprzestać. Uchwała Rządu z dnia 18 lutego mówi, że w wypadku jeżeliby ujawnieni przedstawiciele polscy zostali aresztowani, władze Krajowe wydadzą na dalszych terenach zakaz ujawniania się władz administracyjnych i Sił Zbrojnych.

Oczywiście Wasze zarządzenia co do odsieczy, nie mogą być pokrzyżowane. Decyzje, dotyczące prowadzenia walki o Warszawę, oraz ewent. ujawniania się kierowniczych czynników polskich w Warszawie — pozostawia się władzom Krajowym. Ostatnio sposób reagowania przyjaciół na nieustające wysiłki nasze tutaj, a również i na wasze apele — pozwalają żywić niejaką nadzieję, że przeciw sytuacji zaopatrzenia Warszawy może ulec pewnej poprawie.

Dajcie odwrotnie Waszą odpowiedź, czy wytyczne moje zawarte w depeszach z dnia 7 i 25 lipca br. zostały przez Was przekazane dowódcom terenowym.

25. 8. 1944.

(—) SOSNKOWSKI

29/8.

L.dz. 7519.

Odpis depeszy D-cy Armii Krajowej.

Naczelny Wódz do rąk własnych.

Na 7558 (793):

Rozkaz dotyczący ograniczenia Burzy w wykonaniu sprowadzi się do całkowitego zaprzestania walki z Niemcami przez Armię Krajową. Samoobrona nie zaakcentuje woli walki gdyż będzie się ograniczać do ukrywania się w dalszym ciągu, walka anonimowa będzie zaliczana na wysiłek kombatantów sowieckich.

Przy dzisiejszym nastawieniu społeczeństwa i żołnierzy A.K. rozkaz zaprzestania walki wprowadzi najgorszy nastrój gdyż całość przygotowań i pięcioletnie ofiary będą traktowane jako nieprzemyślane i podważanie już ostatecznie zaufania do Rządu, N.W. i kierowników krajowych.

Strat przez aresztowania sowieckie nie umniejszą się gdyż żołnierze A.K. są zakonspirowani jedynie wobec Niemców.

Widzę konieczność prowadzenia konsekwentnie dalszej walki z Niemcami.

Projektuję zmianę formy walki która polegałaby na opanowaniu większymi siłami dużych ośrodków jak Radom lub Kielce i Piotrków lub też nast. rej. paru większych ognisk walki w terenie otwartym.

Jeśli nie jest koniecznością akt polityki demonstrującej zaprzestanie walki z Niemcami wobec stosunku Sowietów do A.K. proszę o zezwolenie prowadzenia walki w tej nowej formie.

Do archiwum gdzie zdeponowane są 5480 ((596), 6030 (669) nie mam dostępu.

Zasadniczo wszystkie rozkazy Pana Generała są rozprawdane jeśli przeznaczone są dla terenu.

Dowódca Armii Krajowej
Dn. 29. VIII. 44.

Za zgodność:

(—) Utnik, ppłk.

DEPESZA-SZYFROWANA

L.dz. 7519/tj. O.S.

31.8. 44.

Lawina do rąk własnych.

Na depeszę Nr 1726 z dnia 29. bm.

Instrukcja Nr 7358 z dnia 25 sierpnia dotycząca ograniczenia „Burzy” nie mówi o zaprzestaniu działań przeciwko Niemcom lecz odwrotnie podkreśla konieczność bicia się z nimi do końca. Nie była ona bynajmniej pomyślana jako akt polityki demonstrującej zaprzestanie walki z Niemcami wobec stosunku Sowietów do Armii Krajowej. Celem Instrukcji było dostosowanie form i zakresu walki do powstałych warunków oraz wprowadzenie należytej proporcji pomiędzy poniesionymi ofiarami a efektem politycznym. Sowieckiej czy komunistycznej tendencji do zaliczania wszystkich osiągnięć na swój rachunek i traktowania Armii Krajowej jako kolaborantów nie unikniemy kosztem żadnych ofiar, gdyż tendencje te płyną ze świadomej złej woli i perfidnej polityki, mającej na celu wytepienie w Polsce elementów prawdziwie niepodległościowych. Co do opinii świata, to aczkolwiek sprawa przedstawia się nieco inaczej, jednak pamiętać trzeba, że pięcioletni nasz krwawy wysiłek ma przeciw sobie ludzki oportunizm zawsze ustępliwy w obliczu siły. *Mundus vult decipi.*

Imponderabilia związane z nastrojami społeczeństwa w Kraju i stanem moralnym żołnierzy Armii Krajowej ocenić możecie jedynie Wy i na tej ocenie muszą polegać całkowicie. Podałem Wam zgodnie ze swoim poczuciem obowiązku i sumienia elementy sytuacji międzynarodowej i wojskowej oraz wnioski, które wedle mego przekonania wysnuć stąd należy. Argument, że proponowane ograniczenie „Burzy” miałoby załamać moralnie Armię Krajową i Społeczeństwo jest oczywiście argumentem wobec którego jestem bezsilny.

Musicie wobec tego sami określić dopuszczalny sposób ograniczenia „Burzy” i zredukowania ofiar.

Ze swej strony wzywam Was za całym naciskiem do zaniechania wszelkich inicjatyw nadających „Burzy” cechy i formy powstania. Rząd ze swej strony teraz podkreśla ryzyko i ofiary połączone z opanowaniem większych miast i z walkami ulicznymi, w warunkach niemożności dostatecznego za-

opatrzenia Was stąd w broń i amunicję. Dodaję, że z punktu widzenia oddziaływania na opinię międzynarodową nie zachodzi potrzeba podkreślania przez walkę terytorialnych praw Polski do Kielc, Radomia, Piotrkowa lub Krakowa w przeciwieństwie do Lwowa, Wilna i obszarów Kresowych których polskość była zawsze kwestionowana wobec świata przez Sowiety.

(—) SOSNKOWSKI

30. VII. 1944.

(Ciąg dalszy nastąpi)

WŁ. GOMUŁKA NA AKTYWIE PARTYJNYM HUTY WARSZAWA 7. 5. 1964 (dok.)

Jestem zawsze jak najdalszy od formułowania jakichś oskarżeń, przymiotników itd., ale rzeczywiście w obecnej linii generalnej Komunistycznej Partii Chin zaistniało wielkomocarstwowe, nacjonalistyczne odchylenie i to właśnie cechuje tę linię i dlatego jest im potrzebna ta polemika, dlatego potrzebna im jest ta rzekoma obrona linii marksizmu-leninizmu. Będę się starał krótko to uzasadnić.

Do tej linii oni usiłują przyciągnąć inne partie, usiłują narzucić tę linię innym partiom, międzynarodowemu ruchowi robotniczemu, ażeby wzmocnić swoją pozycję, ażeby realizować swoje cele.

Myśmy szeroko omawiali zagadnienia dzisiejszej epoki po naradach moskiewskich (pierwszej w 1957 roku i później w 1960 roku). Są w tej sprawie referaty na naszym Plenum, są uchwały, jest wiele, wiele artykułów. Wszyscy są zorientowani o co chodzi, jaki jest charakter dzisiejszej epoki, jakie są nasze własne cele i zadania jako komunistów i jako międzynarodowego ruchu komunistycznego. Wszyscy wiedzą, że dominuje dzisiaj nad światem sprawa wojny i pokoju i tu trzeba koncentrować nasze siły, nasze wysiłki, ażeby zapobiec temu grożącemu niebezpieczeństwu.

Czy Chińczycy, czy Komitet Centralny Komunistycznej Partii Chin jest tak naiwny, że nie widzi obecnego układu sił w świecie, i czy nie zdają oni sobie sprawy z niebezpieczeństwa wojny jądrowej? Otóż tak nie jest. Oni naiwni nie są i oni dobrze zdają sobie sprawę z dzisiejszej sytuacji, dobrze sobie zdają z tego sprawę i cała zresztą ich taktyka, całe ich postępowanie o tym właśnie świadczy. Chińczycy dobrze wiedzą o tym, że

w rozwiniętych krajach kapitalistycznych nie można dziś dokonać rewolucji, jak też dobrze wiedzą o tym, że nie można dziś obalić imperializmu tymi środkami i metodami, jakie oni proponują, tzn. wzywając konkretnie klasę robotniczą do rewolucji. Proszę bardzo, wzywajcie do rewolucji klasę robotniczą — Wielkiej Brytanii, Niemiec Zachodnich, czy nawet Francji i Włoch. Tam sytuacji rewolucyjnej nie ma. Nie ma tam warunków na to, ażeby poprzez rewolucję obalić władzę kapitalizmu, przejąć władzę; nie ma tam takiej sytuacji, to są mrzonki. Obalić imperializm tą drogą nie można. Wiedzą oni dobrze, że w tej sytuacji, jaka dziś istnieje i w tym układzie sił, przy tej groźbie, jaką ludzkości niesie niebezpieczeństwo wojny jądrowej, w nowej sytuacji, jaką stworzyły nowe rodzaje broni, jest nowa jakościowo sytuacja, kiedy z wojny w istocie rzeczy nikt nie może wyjść ani zwycięskim, ani zwyciężonym, kiedy wojna zniszczy dorobek cywilizacyjny jednych i drugich i nie tylko dorobek — zniszczy całe narody fizycznie, bo taka jest rzeczywistość.

Założmy, że to jest jasne dla każdego, że całą Europę Zachodnią, wszystkie narody można w przeciągu jednej godziny zniszczyć, obrócić wszystko w popiół i w tym Polskę też. Wszystko to, co osiągają zmasowane rakiety średniego zasięgu. Przy użyciu rakiet dalekiego zasięgu można zniszczyć nawet i Stany Zjednoczone. Były takie obliczenia — kiedyś przytaczałem je za różnymi amerykańskimi specjalistami — ile milionów ludzi zginie w przeciągu godziny w Związku Radzieckim a ile w USA. Wojna stała się absurdem. Oni to dobrze wiedzą. W tej sytuacji trzeba było prowadzić politykę dla postępu w świecie, postępu socjalizmu i obalenia imperializmu. My nie mówimy jaka to ma być polityka. Mówimy o tej walce antywojennej, która mobilizuje narody przeciwko tym tendencjom i siłom zimnowojennym, agresywnym. Nasza linia opiera się na zasadzie pokojowego współistnienia państw w tej sytuacji i opiera się na całym procesie ewolucyjnych przemian, które będą zachodzić i muszą zachodzić, które zachodzą i będą zachodzić w świecie pod wpływem tych osiągnięć, które posiada i będzie posiadać w coraz większej mierze świat socjalistyczny.

Dzisiaj właściwie to nasze hasło pokojowego współzawodnictwa, które leży u podstaw naszej polityki pokojowego współistnienia, jest w istocie hasłem rewolucyjnym. To jest strategiczne hasło, obliczone na przemiany zachodzące w świecie kapitalistycznym pod wpływem naszych osiągnięć. Bo jeśli jest taka sytuacja, jak mówiłem, a taka ona jest, to trzeba mieć na to jakieś inne rozwiązanie. O tej sprawie my mówiliśmy niejednokrotnie. Ja tutaj nic nowego nie mówię. Mówiliśmy i na III Zjeź-

dzie. Zresztą mowa jest o tym szeroko w dokumentach narad, w wielu artykułach itd.

Tym bardziej, że ta walka z wojną, walka z niebezpieczeństwem wojny, to co najważniejsze, to co socjalizmowi daje najszersze możliwości działania — współzawodnictwo, to jest cały okres historyczny. Związek Radziecki nakreślił sobie swój plan budowy komunizmu, plan na 20 lat do 1980 roku, nakreślił zadania i zadania te realizuje. Realizacja tych zadań wiele zmieni w świecie, zmieni przede wszystkim pozycję samego Związku Radzieckiego. Stworzy mu o wiele szersze, aniżeli dzisiaj posiada, możliwości udzielania pomocy krajom słabo rozwiniętym. I równocześnie w ogóle socjalizm stanowi przykład dla tych nierozwiniętych krajów tak zwanego trzeciego świata, że na drodze kapitalistycznej możliwości rozwoju dla tych krajów nie ma.

Nie jest to ta sama sytuacja, jaka istniała przed 100 czy przed 150 laty, kiedy kapitalizm rozwijał się na Zachodzie. Nie jest tak, że dziś te zacofane kraje mogą pójść taką samą drogą. Nie mogą one pójść taką drogą. Wówczas sytuacja była inna, po prostu układ ekonomiczny, układ cen był inny. Wówczas była jakaś proporcja. Ceny za maszyny i surowce były daleko bardziej korzystne dla tych krajów surowcowych, aniżeli to jest dzisiaj.

Dziś kraje kapitalistyczne rozporządzają dużym potencjałem produkcyjnym, wielką nagromadzoną siłą roboczą, mają możliwości pewnego rozwoju i jeszcze pewną przewagę nad nami, nad krajami, które dawniej były słabo rozwinięte i dziś jeszcze daleko nieraz od tych krajów odstają. Dopiero pewien okres historyczny, przez który nasze kraje przechodzą, umożliwi wyrównanie tych różnic. Mówiliśmy zresztą o tym w tezach zjazdowych.

Rozwój krajów socjalistycznych jest 2-3 razy szybszy, aniżeli rozwój krajów kapitalistycznych wysoko rozwiniętych, a jeśli chodzi o tzw. trzeci świat, kraje nierozwinięte, to nie mają one możliwości dogonienia, nadrobienia swojej odstałości gospodarczej na drodze kapitalistycznej, gdyż sytuacja stała się inna; ceny stale się pogarszają, surowce są coraz tańsze, maszyny coraz droższe i ta dysproporcja coraz bardziej się zwiększa. Jeszcze przed 5 laty czy przed 10 laty produkcja na głowę ludności całego tzw. trzeciego świata, a więc tych nierozwiniętych krajów, które wchodziły jeszcze w system kapitalistyczny, była 10 razy mniejsza na głowę ludności, aniżeli w krajach rozwiniętych. Obecnie jest już 11 razy mniejsza, a za 5 lat ta rozpiętość będzie dalej rosła. Czyli droga rozwoju dla tych krajów — to jest tylko droga socjalizmu. Wielu przywódców tych krajów zdaje sobie sprawę, że po tamtej drodze kapitalistycznej iść nie można, gdyż prowadzi to tylko do coraz większej zależności od kapitału. Nie

jest rzeczą przypadku, że my dzisiaj słyszymy w różnych krajach trzeciego świata hasło socjalizmu. To mówi Nasser. Na przykład Nasser nawet daleko zaszedł w dziedzinie uspołecznienia środków produkcji, chociaż to co on robi — to nie są nasze klasyczne metody socjalizmu, ale to również nie jest droga kapitalizmu; to nie jest klasyczna droga kapitalizmu. To również mówi Algieria. Ben Bella — najbardziej światły umysł w tych krajach, przecież jasno stawia sprawę, że możliwa jest tylko droga socjalizmu. Ale przeciwko tej drodze socjalizmu pozostaje jeszcze cała ideologia, inna, nie marksistowska, nie leninowska.

Ben Bella w Algierii zamknął partię komunistyczną, zdelegalizował partię komunistyczną, a sam powiada, że buduje socjalizm. Występują tutaj sprzeczności, ale równocześnie to jest specyfika sytuacji. Czy w tej Algierii z Partią Komunistyczną on chce budować socjalizm? Nie może zrobić tego przy tych nastrojach istniejących w tym kraju, przy tej religijności, przy całej specyfice rozwoju historycznego. To wszystko się odbywa na wielkiej fali nacjonalizmu i antyimperializmu, ale to, co robi Ben Bella to są dobre rzeczy, jest to zdecydowany antyimperialista, zdecydowany wróg burżuazji, który przeciwstawia się imperializmowi. Weźmy jego konkretne posunięcia, uspołecznienie szeregu środków produkcji a równocześnie ostrożność, gdyż zależy mu na wielu czynnikach nie tylko wewnętrznych, ale i zewnętrznych, na pomocy ze strony Francji itp. Te wszystkie czynniki dyktują mu tego rodzaju postępowanie.

Weźmy Gwineę, Ghanę, w pewnym stopniu Indie i szereg różnych krajów afrykańskich, tam się przecież też słyszy hasła socjalizmu — chcemy budować socjalizm. Te kraje są na różnym poziomie. W niektórych wypadkach trudno to sobie wyobrazić. Tam jeszcze żadnej klasy robotniczej nie ma, jeszcze wszystkie formacje ustrojowe znajdują się poza formacją kapitalistyczną. A też mówią oni o socjalizmie. Była rewolta niedawno na Zanzibarze, małej wyspie z 200.000 mieszkańców. Teraz nastąpiło połączenie z Tanganiką. Na pewno maczali w tym palce różni imperialiści, ażeby zahamować antykapitalistyczne tendencje. To jest proces, który się odbywa w tych krajach i który będzie trwać przez dziesiątki lat. Tutaj żadnych praw ekonomicznych nie można ominąć. To wszystko musi narastać, ale równocześnie dziś już nie można iść drogą kapitalistyczną, tylko drogą socjalistyczną.

Skąd się to wszystko bierze? Powstaje to właśnie pod wpływem tych osiągnięć, które ma już dzisiaj świat socjalistyczny, między innymi i nasz kraj. Przecież akurat tak się w historii

rozwoju ruchu rewolucyjnego i w ogóle świata zdarzyło, że rewolucje wypadały w najsłabiej rozwiniętych krajach kapitalistycznych. Nie zaczęły się od Zachodu, tylko od Rosji bardzo zacofanej i w której zrobiono olbrzymi skok od wielkiego zacofania kraju, o bardzo niskim potencjale ekonomicznym, jaki posiadała carska Rosja. Dzisiaj w wielu wypadkach ZSRR stoi u szczytu techniki i nauki, czego wyrazem sputniki, okręty powietrzne itd. Skok olbrzymi.

Za lat 5, 10, 15, kiedy będziemy dwa razy silniejsi niż dzisiaj, możliwości naszego oddziaływania będą większe i świat się będzie zmieniał. I to jest właśnie ta strategia pokojowego współistnienia, strategia naszej walki o rewolucję socjalistyczną. Jeśli my powiadamy, że nasze osiągnięcia, nasza walka o produkcję, o realizację naszych planów, naszych zaleceń, ma znaczenie nie tylko dla nas, dla naszego narodu, ale, że to jest również nasz wkład w międzynarodową walkę klas, to nie jest frazes. Taka jest dzisiejsza rzeczywistość. To jest ten wkład. My oddziaływujemy tym lepiej, im lepiej będzie u nas, im bardziej podnosi się stopa życiowa, im lepiej ludzie żyją.

Myśmy zbudowali niemało. Mówimy o tym w tezach zjazdowych. Zbudować średnio biorąc w ciągu trzech lat władzy ludowej połowę tego potencjału produkcyjnego, który posiadała Polska w 1938 roku przy tych olbrzymich zniszczeniach wojennych, powiększyć produkcję przemysłową 9 razy, dziewięć razy zbudować taką Polskę jaka istniała w 1939 roku w ciągu 20 lat — to wielka rzecz. Przyszłe pięć lat, które teraz planujemy i będziemy planować, mają coraz mocniejszą bazę. W latach 1966-1970, według naszych założeń, co roku będzie powstawał potencjał produkcyjny $\frac{3}{4}$ tej wielkości, jaki posiadała Polska w roku 1938; będzie więc powstawała co roku nowa Polska. To jest właśnie ten marsz już z innej bazy. Wychodzi się z innej bazy i szybszym krokiem można maszerować. Jeszcze dość daleko mamy do rozwiniętych krajów kapitalistycznych i wiele rzeczy będziemy musieli rozwiązać, ale to jest właśnie droga, którą my idziemy i Komunistyczna Partia Chin dobrze zdaje sobie sprawę z tego, że to jest droga słuszna.

Oni atakują nasze hasło powszechnego rozbrojenia; co to znaczy rozbrojenie? Chruszczow wysuwa rzekomo żądanie rozbrojenia narodów walczących z imperializmem, aby nie miały one broni do walki.

Jeśli chodzi o Związek Radziecki, o Chruszczowa, to on każdej walce prowadzonej o wyzwolenie przez narody pomaga. Jeżeli weźmiemy pod uwagę walki prowadzone w różnych krajach, to — wszędzie radziecka broń, radzieccy ludzie. Weźmy

Indonezję. Ostatnie Indonezja odzyskała Irian. Dlaczego odzyskała Irian? Wiadomo, poszła broń radziecka i nie tylko broń, ale i ludzie radzieccy poszli do łodzi podwodnych i imperializm tu stanął nie wiedząc co robić. I Indonezyjczycy mają rację. Nie mówię już o starych sprawach, Egipt itd. Ostatnio był Jemen. Tam były radzieckie samoloty i radzieccy lotnicy.

Jeden z generałów amerykańskich powiedział, że gdyby doszło na świecie do powszechnego rozbrojenia, to by nas te hordy komunistyczne gołymi rękami zadusiły. Jeśli wziąć pod uwagę wszystkie narody walczące z imperializmem, to trzeba przyznać, że byłaby to dla nich bardzo dobra sytuacja. Chińczycy mówią, że my żądamy, ażeby się rozbroić, aby nie walczyć z imperializmem. Te wszystkie kłamstwa, jakie podnosi Komunistyczna Partia Chin w stosunku do KPZR w sprawie walki narodowo-wyzwoleńczej służą nie naszej sprawie.

Czym właściwie należy tłumaczyć atak chiński na Komunistyczną Partię Związku Radzieckiego? Jak już wspomniałem na wstępie, idzie tu o wielkomocarstwowe interesy. Jest to faktycznie szowinistyczne, wielkomocarstwowe, nacjonalistyczne odchylenie od generalnej linii.

Co oni chcą osiągnąć? Dlaczego atakują Komunistyczną Partię Związku Radzieckiego? To, że w wojnę nie wierzą, to już niedwuznacznie powiedziałem w Moskwie. Nie wierzą. Chińczycy tak samo nie wierzą, że imperializm napadnie, tak jak i my nie wierzymy, chociaż w ogóle nie wyklucza się różnych możliwości tak z jednej, jak i z drugiej strony. Taka jest mniej więcej sytuacja z bronią jądrową. Wojny z zastosowaniem broni jądrowej nie wygra ani jedna, ani druga strona. I oni też o tym wiedzą. Wobec tego mogą sobie pozwolić na atak na Komunistyczną Partię Związku Radzieckiego.

Lecz czemu ma służyć ten atak? Ten atak ma służyć umocnieniu ich pozycji. I tu trzeba sobie Towarzysze powiedzieć jak to rzeczywiście jest.

Chiny są wielkim krajem. Jest to wielki naród, to wielkie państwo zostało przez imperializm odcięte od wpływu na wydarzenia międzynarodowe. Wiadomo o co chodzi imperialistom — Stanom Zjednoczonym przede wszystkim. O to, by nie wzmocnić pozycji socjalizmu. W Organizacji Narodów Zjednoczonych wolą trzymać przedstawiciela Ciang Kai-szeka, swojego agenta. Nie chcą dopuścić Chin do ONZ i dziś jeszcze nie dopuszczają. Wygodnie im poprzez izolację Chin prowadzić walkę z całym obozem socjalistycznym.

Jeśli chodzi o politykę naszą i Związku Radzieckiego, to rzecz

jasna, co tylko można było, to zawsze się robiło, aby ułatwić Chińczykom wejście na arenę międzynarodową. Ale wiecie jaki jest układ sił w ONZ. Można przeczytać dokumenty, wystąpienia nasze, głosowania. Jest tam jeszcze w ONZ większość mechaniczna i po prostu nie dopuszczają. Chiny nie mając możliwości oddziaływania na politykę międzynarodową na skutek tej izolacji, mogły oddziaływać na stosunki międzynarodowe tylko poprzez obóz socjalistyczny, poprzez kształtowanie polityki obozu socjalizmu. W tej sytuacji przywódcy ChRL zastosowali inną taktykę i inną metodą postanowili dobić się swojej pozycji międzynarodowej — poprzez osłabienie Związku Radzieckiego, poprzez atak na Związek Radziecki.

Poprzednio byli oni razem z obozem, popierali naszą politykę, polityka była wspólna. Wówczas mieli oni nadzieję i podnosili zresztą tę sprawę, że zdobędą własną broń jądrową, że wyprodukują broń jądrową przy pomocy Związku Radzieckiego. I Związek Radziecki rzeczywiście się zaangażował w tym kierunku, zawarł nawet z nimi umowę, że da im pomoc, specjalistów dla wyprodukowania broni jądrowej. Ale później z tej umowy wycofał się i jeżeli Chińczycy mówią, że Związek Radziecki nie zrealizował tej umowy, to mają rację. Związek Radziecki postanowił nie udzielać pomocy dla wytwarzania broni jądrowej. Nastąpiło to już w sytuacji takiej, kiedy dalsze rozprzestrzenianie broni jądrowej grozi niebezpieczeństwem zwiększenia napięcia i powiększa niebezpieczeństwo wojny, zaostrza stosunki międzynarodowe.

Jest to pewien łańcuch. Jeśliby Chiny przy pomocy Związku Radzieckiego wyprodukowały i posiadały tę broń jądrową, to automatycznie wysuwa się sprawa Japonii, wysuwa się sprawa Niemiec Zachodnich i łańcuszek idzie. W tej chwili na przykład na świecie jest około 20 państw, przeważnie na Zachodzie, ale nie tylko tam, które mogłyby produkować już broń jądrową, których potencjał produkcyjny jest do tego zdolny. Jeśli 20 państw posiadałoby broń jądrową, to 20 czy 10 razy zwiększyłoby się niebezpieczeństwo wybuchu wojny, w stosunku do obecnej sytuacji, kiedy właściwie 4 państwa posiadają broń jądrową, a w gruncie rzeczy są tylko 2 potęgi atomowe — Związek Radziecki i Stany Zjednoczone. Również Wielka Brytania i Francja posiadają broń atomową, ale są tylko dwie potęgi — ZSRR i USA.

Związek Radziecki odmówił Chinom pomocy. Pierwotnie im pomagał, a później odmówił, odwołał specjalistów i nie dał swej pomocy dla wyprodukowania broni jądrowej. I to było główną podstawą tego ataku, jaki się rozpoczął na Związek Radziecki.

A oni izolowani przez imperializm mogą oddziaływać tylko poprzez obóz socjalistyczny na politykę międzynarodową i oni chcą oddziaływać jako wielkie mocarstwo najliczniejsze na świecie. Oni powiadają, że „co czwarty człowiek na świecie — to Chińczyk. I my nie będziemy mieli prawa oddziaływać na świat, kształtować jego oblicza?” Trzeba więc inną drogą wybrać i wybrali drogę ataku na Związek Radziecki. A co to oznacza? Przecież to oznacza bezwarunkowe osłabienie obozu socjalistycznego. Dzisiaj jeszcze formalnego rozłamu w międzynarodowym ruchu komunistycznym nie ma, ale nie jest wykluczone, że może on nastąpić, nie musi, ale może. Obecnie jest ostra, zażarta walka, jaką prowadzi KP Chin przeciwko Związkowi Radzieckiemu i przeciwko KPZR i innym partiom. I ta polityka daje im pewne rezultaty.

W świecie imperialistycznym również istnieją spory, przede wszystkim spory między Francją i USA. Poprzez ten atak i osłabienie naszego obozu — przywódcy ChRL potrafili się dobić stosunków dyplomatycznych z Francją. Czy to źle, że dobili się oni tych stosunków? Nie, bardzo dobrze, źle tylko, że się dobili tymi metodami. Gdyby Chiny były jednolitym członem obozu socjalistycznego, nie mogłyby nawiązać stosunków dyplomatycznych z Francją, nie miałyby perspektywy nawiązania stosunków dyplomatycznych z krajami kapitalistycznymi.

My jako całość przedstawiamy większą siłę, a imperializm nie chce nam ułatwić pozycji; chce nam utrudniać pozycje, chce osłabić naszą pozycję. Wygrywa się więc każde rozbicie w polityce przeciwnika. My to robimy w stosunku do państw imperialistycznych, imperialiści to robią w stosunku do nas i to jest zupełnie naturalne. I właśnie dla tych celów jest im to potrzebne. Czy tu nie ma żadnych różnic ideologicznych? Ja bym nie powiedział, że nie ma różnic ideologicznych. Są przede wszystkim różnice dotyczące historycznego rozwoju, są różnice w poziomie życia. Wiemy jaki był i jaki jest obecnie poziom życia i rozwój historyczny Chin.

Jest to jeden z tych krajów o bardzo niskim poziomie życia i o słabym potencjale ekonomicznym. To jest kraj, który był w pewnej mierze półkolonią, wyzyskiwaną przez kapitalistów. Tak samo jak cała masa narodów trzeciego świata — Azji, Afryki, Ameryki Łacińskiej. Gradacja jest różna, ale to jest to samo. Rozwinięty świat kapitalistyczny liczy 600 milionów ludzi, a te nierozwinięte kraje ponad półtora miliarda i jeszcze Chiny. Są duże zbieżności przede wszystkim w poziomie życia narodu chińskiego i w poziomie życia tych nierozwiniętych krajów. Są także

duże zbieżności w rozwoju historycznym, w stopniu eksploatacji przez imperializm i kolonializm.

I przywódcy KP Chin po prostu wykalkulowali sobie: my przecież możemy mieć za sobą poparcie tych narodów, my możemy do nich trafić. (Jeśli się mówi nieraz o rasistowskiej polityce, to trudno się z tym zgodzić, że jest to rasistowska polityka, bo to jest polityka nie tyle rasizmu, ile polityka która umożliwia, czy też zawiera wiele elementów umożliwiających jednoczenie tych narodów z Chinami z uwagi na tę konkretną sytuację). I przywódcy KP Chin też liczą na to: będziemy mieli większe oparcie i będziemy mogli większy wpływ wywierać na świecie, będą się z nami bardziej liczyć.

Kontynuują oni swoje własne wysiłki, nad wyprodukowaniem broni jądrowej. Mogą tę broń wyprodukować, ale ich potencjał ekonomiczny jest bardzo słaby, a są to rzeczy niezmiernie kosztowne, jak powiadają znawcy i specjaliści. Ale czyni się tam takie wysiłki, że mogą oni wyciągnąć to, co potrzebne z narodu i tę broń wytworzyć. Jest to kwestia wielu lat pracy, 10-15 lat, ale oni się tego nie wyrzekają. To są te cele strategiczne. Nie chodzi tutaj o to i byłoby niesłuszne powiedzieć, że Chińczycy to są ci zakłęci dogmatycy, którzy niczego nie rozumieją, niczego się nie nauczyli z rozwoju historii, czepili się starych formuł Marksa i Lenina i próbują żywcem przenieść je do nowej, dzisiejszej rzeczywistości.

Tak nie jest. To tak wygląda w dyskusji ideologicznej i my musimy prowadzić tę dyskusję, ażeby wykazywać niesłuszność ich argumentów, ale za podszewką leży interes państwowy, dążenie do mocnej pozycji w świecie. I taka jest dzisiejsza rzeczywistość świata i taki jest jeszcze w dużej mierze — można by powiedzieć — dzisiejszy etap rozwoju socjalizmu.

Socjalizm to piękna idea. Socjalizm to idea, która zakłada zjednoczenie wszystkich narodów, przekreślenie jakichkolwiek różnic narodowych. I tak kiedyś będzie. Ale nim się do tego dojdzie, do tego etapu, to jak nas obecna praktyka uczy, a praktyka to jest najmądrzejszy nauczyciel, trzeba przejść wiele, wiele etapów.

Na przykład mówimy: Nacjonalizm. Co to jest nacjonalizm? Kiedyś w rozmowie z Walterem Ulbrichtem powiedziałem: za sto lat, czy za dwieście lat, jak przyszłe pokolenia będą oceniać naszą politykę, nasz etap historyczny, to powiedzą: jacy oni wszyscy byli nacjonałści, ci komuniści w tym czasie.

Weźmy pierwszą lepszą sprawę, sprawę maszyn, sprawę wy-

nalazków. Na przykład dany kraj rozwiązuje technicznie coś na bardzo wysokim poziomie. Mamy Radę Wzajemnej Pomocy Gospodarczej i powiadamy, że będziemy się dzielić tymi zdobyczami i faktycznie w wielu sprawach się dzielimy. Ale są takie sprawy gdzie jakiś kraj osiągnie coś lepszego dla siebie i powiada: nie dam, bo ty będziesz ze mną konkurować, a ja tego potrzebuję dla siebie, bo chcę mieć mocniejszą pozycję w eksporcie. Taka jest rzeczywistość i przeskoczyć przez to nie można. Nam współpraca w ramach RWPG dużo daje, wiele spraw rozwiązujemy, spraw surowcowych, podział produkcji, planowania itd. ale w wielu sprawach trudno się jest porozumieć. Najciężej jest o porozumienie w przemyśle maszynowym, w produkcji różnych obrabiarerek, NRD i Czechosłowacja mają tu wysoki poziom i powiadają, że muszą z tego żyć, muszą to sprzedawać, żeby kupić żywność. Oni tego bezpośrednio nie mówią, ale będą wam kręcić, wiercić, że jest taka przeszkoda, czy inna i koniec końców nie dadzą.

Trzeba zrozumieć etap, na którym jesteśmy. Trzeba zrozumieć to, co powiadam, że za 200 lat będą nam mówić, że byliśmy nacjonalistami, ale taki jest etap historyczny. To co dziś Chińczycy robią — to jest skracanie daleko na drogę nacjonalistyczną, to jest używanie bardzo brzydkich metod dla podniesienia pozycji swego kraju, ale nie można powiedzieć, że oni nie mają u siebie ustroju socjalistycznego, że nie są komunistami. Oni są komunistami. Ale na obecnym etapie naszego rozwoju historycznego trzeba przechodzić i przez takie rzeczy, których żadna teoria nie przewidywała i to jest ten proces przechodzenia. Ale to nas jako całość osłabia, bezwarunkowo nas osłabia. Im większe są więzy internacjonalistyczne pod każdym względem i pod względem współpracy gospodarczej i przede wszystkim na dzisiejszym etapie pod względem jednolitej polityki zagranicznej w stosunku do imperializmu, tym bardziej jesteśmy silni i tym większe są szanse naszego zwycięstwa. Nas jest 30 milionów, a Chińczyków jest 20 razy tyle. Może gdybym ja był Chińczykiem, myślałbym innymi kategoriami. Diabli wiedzą. (*wesołość na sali*). Oni nam zarzucają, że my jesteśmy rewizjonistami. To są wszystko szyldy, które są im potrzebne do walki.

Oni w tych swoich materiałach powiadają, oceniając rok 1956, że w roku 1956 Chruszczow sprowadził armię do Polski, ażeby pomóc rewizjonistom; powiadają, że Armia Czerwona, która nas za Stalina wyzwoliła, przy tow. Chruszczowie została wprowadzona do Polski, żeby wprowadzić rewizjonistów do władzy w Polsce i uratować drogę do powrotu kapitalizmu. To są bzdury.

Taka jest Towarzysze rzeczywistość, w której żyjemy. Taka jest w gruncie rzeczy istota sporu. Na zewnątrz toczy się spór

o co innego. Na zewnątrz chodzi im o walkę o rewolucję, o walkę z imperializmem itd. Co do walki z imperializmem, to my wszyscy zgodni jesteśmy co do tego, że przecież nawet nie w tym sprawa, ażeby Chińczycy powtarzali to samo co inne partie. Nie w tym sprawa. Mogą nawet innego języka używać w walce. Mają prawo do tego, bo mają inną pozycję, są bardziej atakowani.

Dlatego też trzeba Towarzysze tę sytuację rozumieć. Jeśli się mówi o wielkich sprawach polityki, ruchu międzynarodowego, to trzeba wiedzieć, co za podszewką tego się dzieje, umieć czytać, a nie dosłownie to brać. Chińczycy nie są głupi. Chiny plują na Związek Radziecki, mówią, że Chruszczow się porozumiał z imperialistami przeciwko nim. Co to znaczy? Czy oni wierzą, że grozi niebezpieczeństwo wojny? Oni wiedzą, że gdyby napadli Amerykanie, to Związek Radziecki będzie ich bronił, to nie jest tylko kwestia solidarności, ale Związek Radziecki musi ich bronić, bo niezależnie od tego, jak by tam Chińczycy czy Albańczycy nie pluli i nie beczczęsili tego Związku Radzieckiego, to gdyby stanęła sprawa, że imperializm chce w tych krajach ustanowić swoje porządki, to wówczas trzeba ich bronić, bo nas to wszystkich uśmierca. Więc oni mogą sobie pozwolić na to, żeby pluć, bo i tak — wy będziecie nas bronić. Oni powiadają: brońcie nas towarzysze radzieccy swoją bronią atomową, a my was będziemy nazywać rewizjonistami.

Jakie są perspektywy jedności? Te perspektywy zależą od wielu czynników, zależą przede wszystkim od postawy innych partii komunistycznych świata. Chińczycy teraz poszli na tworzenie różnych frakcji i także ta grupka nasza, która te broszury wydała, chce tworzyć jakąś chińską frakcję. Nam niebezpieczeństwo takiej frakcji nie zagraża. Ale w innych krajach potworzono takie frakcje. Frakcje te osłabiają naszą jedność i pomagają polityce chińskiej, to umacnia wszystkie ich dążenia i toczy się teraz walka. A teraz jest etap walki ideologicznej.

W Moskwie powiedziałem, że Chiny swoje narodowe interesy wysunęły na czoło i podporządkują im wszystkie inne sprawy i, że jest to niesłuszna droga. W tym sformułowaniu mieści się wszystko.

My dalej nie będziemy o tym wszystkim mówić publicznie, bo oni mówią o ideologicznej stronie sprawy i trzeba prowadzić walkę ideologiczną na tej płaszczyźnie, którą nam narzucają. I w zależności od tego jak wszystkie partie będą prowadziły tę walkę ideologiczną — jeżeli nie uda się Chińczykom rozbudować swoich frakcji — to wówczas zwiększy się możliwość jedności i wówczas będą oni musieli ustępować. Jeżeli uda im się większe

sukcesy osiągnąć, to będą bardziej nieustępliwi i będą twierdzić, że dyskusja ideologiczna jest im potrzebna. My prowadzimy naszą kampanię. Znacze nasz język, który jest inny nawet niż w Związku Radzieckim, gdyż nas tak nie atakują.

Jesteśmy jak najdalej od tego, ażeby się przyczepiać, robić różne analogie do trockizmu itd. Uważamy, że nie to jest najważniejsze. To często ludzi bałamuci i nie bardzo sobie zdają sprawę z tego, co to w rzeczywistości jest. Widzimy tak mniej więcej tę sprawę, jak ją tu przedstawiłem i będziemy używać języka spokojnego.

Ja tu zajmuję Towarzyszom dużo czasu, ale tego tak prosto nie można wytłumaczyć. Widzicie ile się tu różnych wątków spleta w tej całej walce, w tej całej działalności grupki, która została przeciwko nam podjęta. Jest tu szereg różnych spraw międzynarodowych i wewnętrznych i wynikających z niezrozumienia i osobistych itd.

Ale do czego prowadzą te wszystkie wątki? Prowadzą one w gruncie rzeczy do ataku na platformę naszej partii. Prowadzą do osłabienia jej, skalowania linii politycznej partii. I przede wszystkim to się odbywa na najbardziej chwytliwej płaszczyźnie, na płaszczyźnie rzekomego wyzyskiwania robotników, na płaszczyźnie pogarszania się ich warunków bytu materialnego. To jest zagadnienie bardzo szerokie, można by na ten temat dużo mówić. Pozwólcie, że Wam tutaj jeszcze coś przeczytam:

„Zamykamy okres XX-lecia Polski Ludowej, a tu zamiast stałej poprawy warunków życia narodu coraz więcej trudności. Życie staje się coraz cięższe, powszechny niepokój budzi niepewność jutra i brak perspektywy. Zamiast iść naprzód cofamy się. Zawsze mówiono, że kapitalizm to inflacja, to bezrobocie, to wygodne życie jednostek kosztem mas pracujących. A socjalizm to praca, to stabilizacja waluty, to stopniowe podnoszenie poziomu życiowego mas pracujących w mieście i na wsi. To prawda, trwa wielkie i niezbędne Polsce budownictwo. Nie można jednak zaprzeczyć, że to przede wszystkim zasługa pracującego wysiłkiem narodu mniej zaś chwiejnych i przeczących sobie organów planowania i zarządzania”.

To jest bzdura. Zawsze klasa robotnicza buduje, zawsze jest jeden wspólny front. Ale nie mogąc temu zaprzeczyć, powiadają, że nie jest to zasługa tych, którzy rządzą, ale tych którzy pracują.

„Nie można też zaprzeczyć, że w naszym kraju dają się ostatnio we znaki plagi nieplanowe i planowane: inflacja, spadek

stopy życiowej, a nawet wstyd powiedzieć — bezrobocie. XX-lecie Polski Ludowej nie jest jednolite. Składa się z dwóch wyraźnych etapów. Pierwszy etap to okres od wyzwolenia kraju do roku 1956, drugi etap trwa od 1956. Porównanie dwóch etapów XX-lecia jest pouczające. Inspiratorzy obecnego kursu polityki partii rządu, twórcy tzw. nowej polityki, na czele z nowym kierownictwem wyłonionym na VIII październikowym plenum KC PZPR zdaje sobie sprawę, że porównanie dwóch etapów wypada dla nich niekorzystnie i dlatego unikają takich porównań”.

Kompletna bzdura. Ale w całej tej broszurze przez wszystkie strony przewija się ten właśnie motyw: pogorszenie stopy życiowej, ciężkie warunki, odpowiedzialność za to rządu, odpowiedzialność kierownictwa itd. Bo to ma być ta chwytna płaszczyzna, na tym punkcie ma się organizować walkę przeciwko kierownictwu i obalić jedność partii. Mówimy o 20-leciu i byłoby bzdurą, gdybyśmy z tego 20-letniego dorobku Polski Ludowej chcieli wyodrębnić dwa etapy. To jest wspólny wysiłek całego narodu i w przeszłości. Do roku 1956 klasa robotnicza bardzo dużo dokonała. Wysiłkiem partii realizowano określoną linię i istnieje wielki dorobek do roku 1956, jak również istnieje wielki dorobek i po roku 1956. Byłoby bzdurą rozdzielać to na jakieś dwa etapy. Jeżeli oni mówią, że my nie chcemy porównywać dwóch etapów, to proszę bardzo, porównujcie te dwa etapy na podstawie cyfr, na podstawie waszej fabryki i na podstawie całego kraju. W 6-latce myśmy na inwestycje dawali rocznie średnio około 51 miliardów złotych, w latach następnej 5-latki dawaliśmy średnio rocznie na inwestycje prawie 72,8 miliardów złotych, a teraz w tych trzech latach (1961-1963) wydajemy średnio i rocznie na inwestycje 104 miliardy złotych. Dzisiaj możemy wydawać więcej, bo jest większa baza a wówczas była mniejsza baza. W następnej 5-latce będziemy jeszcze więcej wydawać, będziemy budować w ciągu roku taki potencjał produkcyjny w przemyśle, jaki istniał w roku 1939; powstanie co roku jedna Polska. Myśmy na Nową Hutę do roku 1955 wydali 9,5 miliarda (wartość majątku trwałego netto), do roku 1963 — 16,5 miliarda. Płace brutto w przemyśle w roku 1955 wynosiły średnio 1.200 złotych miesięcznie, w roku 1963 — 1990, prawie 2000. Zmieniły się i ceny

Nie mam czasu robić tutaj wszystkich porównań, ale proszę bardzo weźcie i porównajcie sobie, ogólnie biorąc, czego teraz można kupić więcej. W przeliczeniu na mięso można kupić 22 % więcej, w tłuszczu i słoninie — 67 % więcej, chleba żytniego — 62 %, wyrobów cukierniczych — 62,2 %, mleka około 60 %,

masła — 27 %, tkanin wełnianych 60-procentowych — ponad dwa razy więcej; przy większych płacach ponad dwa razy więcej. Buciki męskie — 266 i 266 (tutaj jest bez zmian, ale płaca wzrosła). Na przestrzeni tego czasu — nastąpiła realna poprawa. Mówienie o tym, że wówczas było dobrze, szła podwyżka płac, a teraz jest źle, spada płaca i gospodyni ma coraz mniej — to są bzdury i wymysły, ale idące na tej najbardziej podchwytliwej płaszczyźnie. Rzeczywiście w ostatnich latach tempo płac zostało zahamowane, bo na to nie pozwala nasz stan gospodarczy.

Myśmy to uzasadniali na plenach wielokrotnie i nie będę powtarzać tych argumentów. Zawsze powiadamy: tyle można, dalej nie można, bo nie ma. Wiecie o ile w ciągu ostatnich trzech lat wzrosła wydajność pracy. Płace wyprzedzają wzrost wydajności pracy. W waszej Hucie płace wzrosły powyżej 10 %, a wydajność poniżej 9 %. Nie ma cudów w ekonomice. Ma się wówczas, jeżeli się wypracuje.

Jeśli weźmiemy inne sprawy, jak ubezpieczenia, to np. na wszystkie ubezpieczenia społeczne, a więc renty, zasiłki rodzinne, opiekę społeczną i inne wydatki socjalne w 1955 roku wydawaliśmy ogółem 29 miliardów złotych, a w 1962 roku — 68,6 miliardów złotych, a w tym roku przekroczymy 70 miliardów złotych. A więc jest pokaźny wzrost. Na same renty wydajemy w 1964 roku blisko 15 miliardów złotych. W 1955 roku wydawaliśmy prawie 3 miliardy złotych, a więc pięć razy podwyższyliśmy. Czy to rozwiązuje całą sprawę rent? Nie, bo mamy jeszcze stary portfel rent i nie możemy sobie pozwolić na całkowite rozwiązanie tej sprawy.

Jeśli chodzi o wydatki na kulturę, oświatę i naukę, to w przeliczeniu na jedną osobę, na statystycznego Polaka wynosi to rocznie 900 złotych, to jest około trzy razy więcej niż w 1955 roku. Same wydatki na zdrowie, opiekę społeczną, w przeliczeniu na mieszkańca, wynoszą około 600 złotych rocznie.

To kosztuje. Mówi się, że to nie jest wzrost stopy życiowej, ale to jest poprawa warunków życia i to jest wzrost stopy życiowej. Weźmy budownictwo mieszkaniowe. Dzisiaj budujemy daleko więcej, jak budowaliśmy w przeszłości. Mam tutaj konkretne cyfry. W każdym bądź razie jest to około trzykrotnie więcej. W 1955 roku na tysiąc osób przyrostu naturalnego budowaliśmy 472 izby, czyli inaczej mówiąc na jedną izbę, którą się zbudowało od razu przypadało więcej niż dwie osoby. W latach 1962 i 1963 na tysiąc osób przyrostu naturalnego budujemy 1,215 izb, a więc już więcej niż jedną izbę na jednego nowonarodzonego. Ale czy to znaczy, że problem mieszkaniowy został

rozwiązany? Jeszcze nie. Jeszcze trzeba dużo wysiłku, ażeby rozwiązać ten problem. Ale postęp jest, a tutaj ten paszkwilant pisze, że boimy się porównać dwa okresy, że warunki życia się pogorszyły. Cała sprawa w tym, że gdyby ludzie, którzy to czytali, znali te sprawy, gdyby te sprawy były lepiej przedstawione w Waszej Organizacji partyjnej, to byłoby od razu wiadomo, że to nieprawda, że to jest kłamstwo i wtedy każdy przyszedłby i powiedział: taką bzdurę mi tutaj dali.

Ale jeśli tego się nie wie, jeśli Wolna Europa codziennie trąbi, że jest źle, że katastrofa itd. to myśli się, że może rzeczywiście jest źle i może warto to przeczytać. Może rzeczywiście kierownictwo jest winne. To jest sprawa odpowiedniego prowadzenia tej roboty. Te rzeczy trzeba rozumieć po to, ażeby dać odpór przeciwnikowi.

Jest inna sprawa szersza — rolnictwo. Co nam zarzucają? Że budujemy socjalizm na jednej nodze, to znaczy w mieście, a na wsi nie budujemy socjalizmu. Trzeba więc to prostować. Trzeba budować kołchozy. Znowu trzeba by oddzielny referat wygłosić, gdybym chciał o tych wszystkich sprawach powiedzieć. Jaka jest rzeczywistość? W tezach zjazdowych mówimy jakie mieliśmy średnie zbiory w latach 1950-1955 z hektara; mieliśmy 12,7 q, a w latach następnych średnie zbiory wynoszą 17,2 q. Jest to olbrzymi postęp, wielki postęp. Czy temu, że wówczas było 12,7 dogmatycy są winni? Żadni dogmatycy nie są winni, tylko dzisiaj my możemy dać więcej dla rolnictwa; dajemy przede wszystkim więcej nawozów sztucznych i będziemy dawać coraz więcej, będziemy coraz więcej nawozów wytwarzać. A tak sobie lekko postawić sprawę — budujcie kołchozy — nie można.

Powiem Wam tutaj o naszych słabościach. Naszą słabością, słabością całego obozu łącznie ze Związkiem Radzieckim jest to, że myśmy nie rozwiązali problemu rolnictwa, problemu produkcji rolnej i na tym odcinku mieliśmy niemało rzeczywistych błędów. Myśmy przeznaczali na rolnictwo mało środków, a jak nie da się tych środków nie ma wyższych plonów, nie można zaspokoić rynku, są trudności w zaopatrzeniu i wtedy jest niezadowolnienie. itd. To jest główna słabość. I nie jest żadnym przypadkiem, że od jakichś 4 lat myśmy dość dobrze skoncentrowali nasze siły na rolnictwie. Ostatnio i Związek Radziecki mocno się wzięł za tę sprawę i przeznacza teraz olbrzymie środki na rolnictwo. Rozwiąże się tam te problemy, ale na to potrzeba, moim zdaniem, 6-7 lat; niemniej Związek Radziecki rozwiąże te problemy i będzie miał dosyć zboża i mięsa. My też do roku 1970 w zasadzie powinniśmy rozwiązać kwestię zniesienia im-

portu zbóż. Środki na to dajemy. A iść — jak nam proponują — na kolektywizację — to jest awantura. Wziąłbym któregośkolwiek z tych dogmatyków i posłałbym go na wieś.

My dajemy ulgi spółdzielniom, które istnieją; nie krzyczymy o tym, nie piszemy, ale stosujemy różne formy pomocy, żeby te spółdzielnie się rozwijały. Pod tym względem jesteśmy w porządku. Wziąć tego Mijała, czy tego Waszego Łebka, czy jak tam (*wesołość na sali*), posłać go na wieś, proszę bardzo, idź i zakładaj tam spółdzielnie, pomożemy ci; idź i zakładaj. Ale wziąć i administracyjnym sposobem przymusić?

Kupujemy co roku 2,5 miliona ton zbóż w krajach kapitalistycznych, bo nie możemy w socjalistycznych. Doprowadzić do takiej sytuacji, ażeby było gorzej i mniejszy urodzaj i przyjść do Was Towarzysze i powiedzieć, że produkcja zbóż spadła, produkcja mięsa spadła, nie mamy za co kupić u kapitalistów, a w krajach socjalistycznych nie ma i dlatego musimy zmniejszyć o połowę, czy o trzecią część zaopatrzenie — nie możemy, bo powiecie nam: jacyż z was politycy, jacyż z was odpowiedzialni kierownicy — i będziecie mieli rację, i słusznie.

To jest jedna sprawa. Drugą sprawą jest u nas zagadnienie zatrudnienia. Mówiliśmy o tym na Plenum. Półtora miliona nowych miejsc pracy trzeba stworzyć. Stawiamy sobie zadanie, aby utrzymać stan zatrudnienia na tym poziomie. A jak się robi kolektywizację w rolnictwie, to trzeba mniej ludzi, bo maszyna ich zastępuje i na pewno można by jeszcze połowę ludzi zwolnić. A gdzie oni pójdą? Czy damy im w mieście pracę? Dla nas centralnym zagadnieniem jest stworzyć półtora miliona miejsc pracy dla tych nowych ludzi. Musimy je stworzyć i stworzymy, przy wszelkich trudnościach, jakie będziemy mieli. Wszystko podporządkujemy temu i miejsca pracy dla młodzieży stworzymy, ażeby nie było w Polsce ludzi zbędnych, żeby nie było tych, którzy uczą się, czy wyrosli, a teraz władza pracy im nie daje. To jest najgorsze, co może robotnika spotkać, co może on przeżyć. Dlatego nie będziemy tego robili.

A inne kraje to robią. Robią, owszem, ale jest cały szereg innych warunków. Przede wszystkim Niemcy siły roboczej mają niewiele, mają o wiele wyższy poziom, o wiele wyższe nawożenie mineralne, dwa — trzy razy wyższe i mają nawet inną kulturę rolną. To samo można powiedzieć o Czechosłowacji: brak siły roboczej. Ale to ich niezmiernie wiele kosztuje. W Czechosłowacji uciekają ze wsi, z kołchozów. Tam problem jest bardzo ostry. Oni teraz zmuszeni są wprowadzać te same ubezpieczenia

socjalne dla chłopów kołchoźników, jakie mają robotnicy. Czy nas stać na to? To wszystko jest zagadnienie warunków.

Powiadają: kapitalizm się odrodzi. Bzdura. To jest komplet-na bzdura. Żaden kapitalizm się nie odrodzi. Co to znaczy odradzanie się kapitalizmu? Zwiększa się wyzysk, wzrasta najemna siła robocza u prywatnych chłopów, zwiększają się gospodarstwa kułackie, zwiększają się ich dochody itd. Tych wszystkich zjawisk u nas nie ma. Występują odwrotne zjawiska. Musimy teraz stosować i będziemy stosowali różne sposoby, aby większym gospodarstwom, które mają duże rezerwy produkcyjne, stwarzać takie warunki, ażeby mogły rozwinąć produkcję. To znaczy nie będziemy dawać specjalnej pomocy, ale stwarzać odpowiednie warunki — przede wszystkim dawać im nawozy sztuczne. Jeśli dzisiaj mamy w kraju średnio 17 q z ha, to tam gdzie dajemy więcej nawozów, a więc przede wszystkim biedniejszym chłopom, zbiory przekraczają 22 q z ha, natomiast u tych bogatszych chłopów, którym się dotychczas mniej nawozów dawało, zbiory wynoszą 12-13 q z ha. Jak się da im te same nawozy, to zbiory mogą podskoczyć do 20 q z ha. I to gospodarstwo wówczas stawia się na nogi, kraj ma i ono może się rozwijać.

Dlaczego myśmy do dzisiaj tych nawozów nie dawali? Jeszcze ich w dostatecznej ilości nie mamy, a gdy chodziło o wybór komu dać, to zawsze kierowaliśmy się klasową polityką, nie wiem czy najśluszniej. W zasadzie słusznie, ale nieraz głupstwa z tego wychodziły. Tak było na przykład jeśli chodzi o zniesienie dostaw od małorolnych chłopów, podczas gdy olbrzymia większość małorolnych pracuje w fabrykach i doskonale im się powodzi. Teraz założyliśmy, że potroimy nawożenie. Do roku 1970 zbudujemy i będziemy nowe fabryki budować, podwyższymy i podniesiemy ich poziom. U nas nie ma w zasadzie prywatnego handlu produktami rolniczymi. Wszystko, czy prawie wszystko, skupuje państwo. Jest monopol skupu zboża, jest monopol skupu mięsa, tych podstawowych artykułów. Jest tylko prywatna sprzedaż międzychłopska zboża i te nadwyżki w mieście. Co najmniej 90 % produkcji towarowej rolnictwa skupuje państwo i państwo oddziałuje na rozwój rolnictwa i my mamy wszelkie instrumenty ku temu, ażeby kierować rozwojem wsi i nie pozwolić na żaden rozwój kapitalizmu. To są dogmatyczne bzdury, że budujemy socjalizm na jednej nodze. Będziemy na Zjeździe na ten temat mówić.

Był zaatakowany samorząd robotniczy. Jakie jest znaczenie samorządu robotniczego — to chyba dobrze wiecie. Trudno mi na ten temat szeroko mówić, ale to jest forma demokracji robotniczej. W zależności od tego jak potrafią robotnicy wyko-

rzystać te prawa, te instytucjonalne prawa stworzone przez naszą partię i dane klasie robotniczej, w zależności od tego jak Wy potraficie to wykorzystać dla siebie — w takim stopniu będziecie gospodarzami. Nie potraficie — to będziecie mniejszymi gospodarzami. Ale walczymy o to, żebyście w jak największym stopniu czuli się gospodarzami swego zakładu.

Wasze wyniki produkcyjne ostatniego kwartału świadczą o tym, że Wasz samorząd robotniczy i Wasza organizacja partyjna pracują dobrze. Świadczą o tym wyniki produkcyjne, świadczy o tym wzrost kadry, wzrost świadomości ludzi, rośnie cała klasa robotnicza, rośnie nowa klasa robotnicza, która jeszcze nieraz nie ma tradycji, rośnie, jak rosną mury i kominy Waszej Huty. Z każdym rokiem coś przybywa, Wam przybywa i w waszej świadomości, w waszym poczuciu gospodarności. Samorząd robotniczy — to jest dobra demokratyczna instytucja, którą klasa robotnicza posiada.

A tutaj jest próba przeciwstawienia robotnikowi inżyniera, technika, inteligencji w ogóle. To jest brudna, parszywa robota, to — co najgorszego można sobie przedstawić w fabryce, w każdej załodze. Właściwie na czym polega istota rzeczy? Jeżeli perspektywicznie weźmiemy, jeżeli weźmiemy daleką perspektywę, to wszyscy muszą się w wielu zakładach coraz bardziej podciągać do poziomu techników. Już są zakłady, i będą w przyszłości, gdzie człowiek bez średniego wykształcenia, bez dyplomu technika nie może pracować.

Wspólny jest interes załogi składającej się z inżynierów, techników, z administracji, z klasy robotniczej. Jest to jeden wspólny kolektyw i musi on razem pracować. Są pewne określone zadania i muszą one istnieć w stosunku do zwierzchnictwa administracyjnego.

Taki jest porządek organizacji, że zwierzchnik, dyrektor, czy inny zwierzchnik, skoro od niego się określonych rzeczy wymaga, to on określonych rzeczy musi wymagać od ludzi, którzy powierzeni są jego opiece. Inaczej porządku nie ma, powstaje anarchia. Ale przy tym wszystkim można współżyć i na ogół wszędzie (czasami pojawiają się jakieś wyskoki antydyrektorskie) układa się współpraca, a im lepiej się ta współpraca układa, tym lepsze są wyniki, tym lepsza jest załoga.

W ogóle jeśli chodzi o technikę, to przecież w tym cała nasza nadzieja — w nauce i technice cała nasza nadzieja. My kładziemy olbrzymi nacisk i będziemy kłaść coraz większy nacisk na rozwój nauki, na zwiększenie kadry inżynieryjno-technicznej, na podnoszenie jej kwalifikacji itd. Inaczej my się nie możemy

rozwiązać. Dzisiaj wielu rzeczy nie możemy rozwiązać w naszej gospodarce, wielu spraw nie możemy rozwiązać, bo jest jeszcze niski poziom naszej nauki, naszych konstruktorów, naszych inżynierów itd. Musimy nieraz kupować w krajach kapitalistycznych to, czego sami nie potrafimy rozwiązać. To jest decydujące ogniwo postępu.

I w stosunku do tego ogniwa, w stosunku do ludzi z dyplomami rzuca się oskarżenia, że tylko ludzi z dyplomami się wysuwa, a robotników się odsuwa. Bzdura! My chcemy każdemu robotnikowi stworzyć warunki do podnoszenia kwalifikacji. Im wyższe będą jego kwalifikacje, tym większe będą korzyści i jego osiągnięcia dla całej gospodarki narodowej. To jest konieczne i niezbędne w ogóle dla naszego postępu i rozwoju. Taka jest rzeczywistość, a nie przeciwstawienie.

To jest konieczność i mam wrażenie, że i o tych sprawach będziecie mówić, gdy o wszystkich swoich sprawach będziecie mówić tutaj w Dniu Hutnika, gdy będziecie mówić o swoich osiągnięciach itd.

W każdym bądź razie trzeba powiedzieć, że te wszystkie pomysły, które tutaj są, są obrócone przeciwko najżywotniejszym interesom załogi, interesom partii, interesom całego naszego kraju.

Uważałem za potrzebne, ażeby Wam Towarzysze jako aktywowi w tym zakładzie trochę szerzej naświetlić pewne sprawy, których — założmy — nie mógłby Wam wyświetlić Komitet Zakładowy. Dlaczego to robię? Czy bym uważał, że jest tu wielkie niebezpieczeństwo? Nie, absolutnie, wcale nie uważam, że jest jakieś niebezpieczeństwo, które by organizacji całej groziło. Absolutnie tak nie jest.

Ale zasłży pewne fakty. Zatrzymano kilku aktywistów, jeden z nich siedzi. Ten, który siedzi, bardzo wyzywająco się zachowuje. Potrafi powiedzieć prokuratorowi: „ty skurwysynie”. Uważa, że można w ten sposób powiedzieć. Będzie miał sprawę za obrazę władzy. Uważam, że trzeba Wam Towarzysze wyświetlić sprawę, której nie mógłby wyświetlić Komitet Zakładowy, gdyż najgorsza jest rzecz, jeśli pewne sprawy pozostawia się w niedomówieniu, jeśli powstaje u kogoś jakieś niepełne przekonanie, niedosyt, czegoś brak, coś jest ukrytego.

My idziemy do Zjazdu Partii jako partia jednolita, zwarta, idziemy z wielkimi osiągnięciami. Bardzo silnie wzrosła nasza partia w ostatnim okresie od III do IV Zjazdu. Nie będę cyfr przytaczał, ale partia nasza jest jednolita, jest zwarta, chociaż braków jak zawsze jest niemało, gdyż zadania, które stoją przed

nami, są coraz to inne i coraz to większe. To zjawisko będzie zawsze występowało i my stale musimy czuć niedosyt naszej pracy, pewne niezadowolenie z tych osiągnięć, które już posiadamy, gdyż potrzeby u nas wzrastają i stale musimy podnosić naszą działalność na każdym odcinku, między innymi i na odcinku organizacji partyjnej, na odcinku — powiedziałbym — tym decydującym, na odcinku świadomości politycznej i ideologicznej, świadomości partii i wszystkich jej członków, gdyż jeśli człowiek wie o co chodzi, o co walczy, to daje mu to siłę, energię do pracy, przekonanie. A jeśli nie wierzy, to znacznie gorzej pracuje.

To też był powód, ażeby przyjść i poruszyć te sprawy.

Wierzę, że Wasza organizacja partyjna będzie nadal się rozwijać. Całą sprawę spokojnie sobie rozważcie w dyskusjach. Coś nie coś Wam to pomoże, co Wam tutaj mówiłem i przedyskutujcie to. Warto przedyskutować te tezy zjazdowe, dobrze się przypatrzeć takim gospodarskim okiem, z czym przyjść na IV-ty Zjazd Partii. Zadań jest wiele w dziedzinie postępu technicznego, planowania, jakości itd. i Wasza organizacja, która jest dobrą organizacją w Warszawie, jest najsilniejszą organizacją bodajże na terenie Warszawy, będzie w tym rzeczywiście przodującym zakładzie również przodującą warszawską organizacją partyjną.

(Burzliwe długotrwałe oklaski)

WSPOMNIENIA

Stanisław STEMPOWSKI

Z PAMIĘTNIKA (WOJNA. POGROM — 1914-1917)

(I koniec wojny się zbliża (VI. 2) i mój koniec też. Przeleżałem całych 6 tygodni, serce mi nawaliło a za nim snąć i wszystko inne, bo wstałem jakiś przyhołomszony, zdurniały, niezdolny zebrać myśli i skupić na czymś jednym. Boję się, że już nie będę umiał nic napisać, same jakieś blade strzępy z tego, co niedawno udawało się wywoływać z nicości żywe i mnie olśniewające. Wtedy nie było czasu, albo możliwości. Przejrzałem koniec moich zapisek o szczególności winikowieckiej, wydało mi się to wszystko bardzo niedołężne i starcze, więc nakleiłem kilka fotografii i dalej tak pisać nie mogę. Siły żywotne wyciekły ze mnie, zewsząd troski i smutki obsiadają, jakże tu wspominać gli tempi felici nella miseria! Przeskakuję tedy do początku klęsk, może opis jej będzie bliższy moim obecnym nastrojom. Paginację rozpoczynam nową, ołówkiem (tymczasową), jak żyć będę w lepszym czasie, może mi się uda lukę wypełnić).*

1-go czy 2-go sierpnia 1914 roku wyszedłem jak zwykle rano boso i nago w narzuconym płóciennym płaszczu na ganek, wziąłem przygotowane wiadra z karmą dla ryb i skierowałem się do parku. W furtce natknąłem się na stężały już trup Cymbunia, który od pewnego czasu był sparaliżowany i włóczył zadem po ziemi. Niedobry omen — martwy przyjaciel na „dzień dobry”. Jakoż wkrótce zobaczyłem idącego ku mnie Sockiego z papierem w ręku, co zawsze było niedobrym znakiem. Był to nakaz wypłacenia wszystkiej służbie męskiej jej należności po dzień dzisiaj.

* Ma się rozumieć 2-ej wojny światowej, kiedy autor pisał swoje wspomnienia.

szy oraz wysłania na godzinę 9-tą rano do gminy wszystkich koni do wojskowej komisji poborowej. Jednocześnie dowiedziałem się, że Rosja wypowiedziała wojnę i zarządziła mobilizację. A więc rozpoczęło się to dawno oczekiwane i to w taki cudowny, cichy, słoneczny dzień jesienny. — Nie miałem czasu zastanawiać się nad doniosłością rozpoczynającego się wydarzenia dziejowego, które miało zaważyć na losach państw, narodów i na moim także. Głowa przepełniona była mnóstwem drobnych trosk i frasunków i co chwila trzeba było o czymś, i to natychmiast, decydować. Przed zabranie mi koni i parobków chciałem skończyć rozpoczęty siew rzepaku, a że pole przeznaczone pod rzepak leżało na szczęście w stronie Owsianik (nasza gmina), część tedy koni z bronami i siewnikiem wysłałem tam z tym, że będą się aż nadejdzie ich kolej stawiania przed komisją, o czym zawiadomi ich ekonom wysłany z całym taborem. Pieniądze miałem i zaraz wypłaciłem pensję wszystkim parobkom, którzy otrzymali powołanie jako rezerwiści a rodzinom ich kazałem wydać ordynarię. Wszystko odbywało się na wesoło, nikt nie czuł grozy wojny, tylko Hub z Pawełkiem błagali, żeby bułanka ukryć i nie posyłać na komisję, bo nie wróci — i nie wrócił. Tymczasem zajęli się pogrzebem Cymbunia na uświęconym miejscu w parku. — Około południa wstąpił Piotr po drodze do Lityna, dokąd jechał zdobywać pieniądze, gdyż wojna zaskoczyła go z kilkoma rublami w kieszeni. Pożyczyłem mu jeszcze kilka na opłacenie zajazdu a Maria dała list i pieniądze do wysłania Jurkowi do Szwajcarii, gdzie przebywał w sanatorium dra Montet — *Mon Repos* — na Mont Pelerin, pod Vevey. Pieniądze te i list dziwnym trafem jeszcze doszły i były ostatnie. Wszelka komunikacja z Jurkiem została przerwana. Wieczorem przyleciał na swoim Peugeot Tadeusz i pokazał mi wezwanie do stawienia się w ciągu 4 dni w uniformie jako oficer rezerwowi. Był zrozpaczony. Miał rozpoczętą przebudowę domu, przygotowanie gorzelni do jesiennej kampanii, dzierżawę na Osikowej i w Hryszkach, rozpoczętą młóckę — nie mógł sobie wyobrazić jak to wszystko będzie mógł porzucić, prosił mnie o ratunek. Z Tadeuszem nigdy nie byłem w bliskich stosunkach, dzieliło nas 5 lat wieku, a przy tym był on z tych zapatrzonych w siebie, którzy nie dają się lubić. Psuty był jako mizynek przez Ojca i przez to nie douczył się, wykoleił się w wojsku a potem zdziwaczał na swej fermie, którą wciąż rozbudowywał, przeprowadzał kolejkę, urządzał zwierzyńiec, ogradał (!) lasy drutem kolczastym itp. Teraz widząc go w opresji, przez pamięć na Ojca, którego piękną duszę poznałem dopiero przed jego śmiercią, postanowiłem zaopiekować się jego faworytem i uczynić dlań wszystko co uczyniłby

Ojciec. Pojechaliśmy tedy nazajutrz do Lityna, gdzie miałem znajomego sekretarza naczelnika wojskowego (*siekratar wojskawo prisutstwa*) Brujewicza, który mi załatwił był sprawę niestawienia się Jurka do poboru. Na pytanie jakie są szanse zwolnienia się Tadeusza odrzekł, że skład powiatowej komisji jest taki, że nic zrobić się nie da i radził jechać zaraz do Latyczowa, gdzie był nasz kolega dr Władysław Chodorski lekarzem powiatowym. I tu nic nie wskórawszy wróciliśmy w straszną ulewę do tegoż Lityna, gdzie Tadeusz, stanąwszy przed Komisją, otrzymał mobilizacyjny rozkaz stawienia się nazajutrz, tj. 4-go dnia w Kamieńcu-Podolskim do 118 sotni pospolitego ruszenia (*118-ja opołczenskaja sotnia*). Wróciliśmy tedy na gwałt do domu i rano autem ruszyliśmy do Kamieńca o 120 km. odległego, gruntową drogą, głębokimi jarami. Ostatnie 30 km. od Dunajowiec była szosa i tu o zmroku już lecieliśmy jak opętani wśród groźnej pustki i przy łunach płonących stert folwarcznych, które podpalali Kozacy, żeby nie dostały się w ręce wroga (taki był nastrój!). Tadeusz zdążył jeszcze zameldować się w Komendanturze a ja przeszedłem się po mieście moich lat szkolnych. Oczekiwano lada dzień wkroczenia Austriaków i nastrój był podniecony, bynajmniej nie paniczny. Nazajutrz rano udaliśmy się do kwatery owej 118 sotni, która mieściła się na dole nad Smotryczem w znanym mi ogrodzie Witta (jako 2-klasista kąpać się tam omal nie utonałem). Przy domu, w którym mieściła się kancelaria i mieszkał dowódca urządzone były pod akacjami i morwami prymitywne ławy i stoły z nieheblowanych desek, na których karmiono opołczeńców. Ziemia usłana była grubą warstwą obgryzionych kości wołowych, które grzechotały pod nogami i nad którymi unosiły się hucząc roje much. Wszystko to wyglądało na nudną sielankę raczej niż na przygotowania do wojny. — Tadeusz wydał mi zupełną plenipotencję na zarządzanie wszystkimi jego interesami, pożegnaliśmy się i powróciłem jego autem do domu.

Tu zastałem nową przyjemność. Pod moją nieobecność policja aresztowała i wywiozła do więzienia w Lityniu wszystkich obywateli austriackich, moich i brata służących, w tej liczbie bardzo potrzebnego fachowca maszynistę (Chodurskiego) wraz z synem jego pomocnikiem, stelmacha, który zostawił mi żonę z sześciorgiem dzieci, a także Pawełkowego korepetytora, maturzystę z Krakowa Drabczyka, który przybył niedawno na wakacje. Zabrałem prowizję i ciepłą odzież i pojechałem do Lityna. Naczelnik więzienia sprawił mi przedziwną niespodziankę, tylko w państwie rosyjskim można było coś podobnego zobaczyć. Przyjął mnie u siebie w prywatnym swoim mieszkaniu,

gdzie nad kanapą zobaczyłem od razu dwa sporych rozmiarów portrety Herzena i Bakunina. Wiedziałem tedy, z kim mam do czynienia, a i on również musiał coś wiedzieć o mej przeszłości, gdyż rozmowa potoczyła się otwarcie i nawet serdecznie. Pozwolił mi widzieć się ze wszystkimi moimi pupilami, zapewnił mnie, że im się tu nic złego nie stanie i przyrzekł, że gdy będą ich wysyłać dalej na wschód, zawczasu mnie o tym zawiadomi, żebym mógł ich pożegnać i wyekwipować należycie. Kilka razy odwiedzałem więźniów, którzy korzystali z zupełnej swobody wewnątrz więzienia, a nawet raz zaprosił mnie naczelnik do siebie na obiad, na którym był i Drabczyk. Nabrałem szacunku dla tego urzędnika rosyjskiego, a dowiedziałem się później, że przed rokiem stryj Felician, który wpadł w nędzę i był chory, znalazł przytułek u tego naczelnika i w jego mieszkaniu zmarł. Zapomniałem jego nazwiska.

Zaczęły się dla mnie naprawdę szalone dni. Dobrze było jeżeli bodaj jedną noc w tygodniu spędziłem w swoim łóżku. Tłukłem się kolejami i nie wyłaziłem z auta, które mi jednak zimą 1915 roku zabrano za 4 tysiące rubli a kosztowało przed rokiem 8.500! Największe kłopoty były z prowadzeniem gospodarstwa bez rąk roboczych. Z samych Winikowiec wzięto 114 chłopców! Wziętych parobków zastępowałem bądź wyrostkami, bądź starymi, ale i to było coraz trudniejsze wobec przedsięwziętych przez władze wojskowe robót ziemnych na wielką skalę a obliczonych na możliwość cofania się przed Niemcami. Przez zasiane pola kopano bardzo głębokie zygzakami rowy z ziemią odrzucaną na stronę „nieprzyjaciela” (zachodnią), połączone jeszcze głębszymi schronami, przykrytymi potrójnym pułapem z bierwion dębowych przysypanych ziemią. Przez Winikowce szła również tzw. amerykańska szosa, którą na gwałt budowano na wypadek cofania się lub uszkodzenia węzłowej stacji kolejowej w Zmierzynie lub nasypu pod Serbinowcami*. Szosa ta szła po

* W pierwszych dniach wojny pułk jazdy austriackiej wtargnął na Podole. Wystrzelił nie wiadomo po co kilka pocisków armatnich na miasto Kamieniec i posunął się szosą aż do Dunajowiec nie napotykając żadnego sprzeciwu, prócz kilku strażów ze strony uciekającej przed nim owej 118 sotni, w której był Tadeusz. Sotnia ta uciekała tak zapamiętała ku Barowi wpoprzek jarów wpadających do Dniestru, że przez całą dobę nie zlaźła z koni i Tadeusz tak natłukł był sobie zadek, że musiał zostać w Hulach u Feliksa Kumanowskiego, skąd podgoiwszy się wpadł do domu na kilka dni. Otóż gdyby ten pułk jazdy, *nota-bene* dowodzony przez Polaka, zamiast straszyć Żydków kamienieckich i radować serca okolicznego ziemiaństwa posunął się był z Dunajowiec do leżącego o 60 km. toru kolejowego łączącego Zmierzynkę z Płoskirowem, wysadził tunel w Zmierzynie albo z takim trudem usypany i wciąż podpierany nasyp pod Serbinowcami, wojna potoczyłaby się zapewne zgoła inaczej. Tą właśnie koleją na moich

przeciwkoprostokątnej trójkąta Płoskirów-Zmierzynka-Winnica a więc znacznie skracała drogę ucieczki. Roboty prowadziły się bez sensu za pomocą orania najpierw do składu starej drogi, potem tłumy wypędzonej ludności łopatkami podrzucały zoraną ziemię jedni drugim z brzegów na środek drogi. Ponieważ po deszczu lessowa nasza ziemia stawała się grząską breją nie do przebycia, nawożono z wierzchu piasek setkami furmanek, a piasek jest u nas rzeczą bardzo rzadką, jest drobny i z domieszką gliny, co tylko czyniło błocko na „szosie” nie do przebycia. W Winikowcach dozorował tych robót, prowadził spisy i wypłaty robotnikom, oficer awansowany bez cenzusu z prostego żołnierza czyli „margarynowy”, takich zwano w Rosji *zauriad-praporszczyk*, chłopci zaś zwali prościej — *razwrat-praporszczyk* (*razwrat* = rozpusta). Miałem z nim niejedną utarczkę, gdyż zjawiał się np. na folwarku i zabierał mi robotników od młocarni lub z magazynu. Protesty nic nie pomagały przed tym grubianinem, który zaledwie pisać umiał niegramatycznie, gdyż jego wojenna racja była ważniejsza. Pomogła wreszcie łapówka. Z czasem zelżało nieco, gdyż na te roboty, które trwały prawie całą wojnę, przywieziono do Winikowic kilkuset gołdów ze wschodniej Syberii, byli to poganie słabo rozumiejący po rosyjsku. — Z przymusowych robót, które spadły na włościan i odrywały ich od właściwej i tak potrzebnej zarówno dla nich jak i dla państwa pracy, prócz kopania na setki wiorst rowów i schronów oraz podrzucania ziemi na „szosach”, trzeba wymienić jeszcze trzecią nie mniej uciążliwą — pilnowanie dniem i nocą słupów telegraficznych i telefonicznych, na które jakoby „wróg czyhał”. W nocy i wieczory jesienne i zimowe biedni ci wartownicy uzbrojeni w widły palili ogniska, na które ściągali zewsząd kradzione oczywiście paliwo i byli z tego powodu plagą niszczycielską dla sąsiadujących z taką drogą siedzib. Płoty, parkany, drzewka przydrożne, drewniane mostki polowe, nawet słomiane poszycia dachów szły na ogień i trudno było się upilnować.

Przed wojną jeszcze zapisałem się był na członka Syndykatu Rolniczego w Płoskirowie i zostałem wkrótce wybrany przez ogólne zebranie do zarządu. Była to intryga Mariana Baranieckiego, twórcy i prezesa syndykatu, żeby wciągnąć mnie do pracy

oczach co kwadrans, dzień i noc, sunęły powoli ogromne pociągi z wojskiem, furazem i amunicją w stronę Podwołoczysk. Tędy przywieziono owe armie, które zajęły Tarnopol i Lwów. Tymczasem jak nie wiadomo po co przyszedł, tak i odszedł pułk austriacki pogościwszy po dworach polskich. Byli w Przewrociu u „marszałka” gubernialnego, nacjonalisty rosyjskiego i spryciarza p. Rakowicza, z którym głupi Polacy utrzymywali towarzyskie stosunki. Otóż ów Rakowicz udawał we własnym domu lokaja i usługiwał Austriakom przy obiedzie — i nikt go nie wydał, że to łajdak-moskal.

społecznej i bodaj raz na miesiąc mieć mnie w Płoskirowie. Energia, pracowitość i ruchliwość tego kulawego grubasa o krągłym, jowialnym obliczu była imponująca. Prowadził u siebie w Baranówce selekcyjną stację nasienną „Siew”, był członkiem bardzo czynnym Podolskiego T-wa Rolniczego w Winnicy, gdzie również spotykaliśmy się, pisywał artykuły do warszawskiej *Gazety Rolniczej* i brał udział w życiu rolniczym Królestwa, gdzie miał brata Tomasza notariusza w Miechowie. Ceniłem w nim to, że chociaż skoligacony z całym wysokim ziemiaństwem podolskim i mający wygląd szlagona, a w dodatku dobry kompan do polowań (w konkursach strzelania w Monte-Carlo brał nagrody!) i niezrównany opowiadacz anegdot z wielkim poczuciem humoru — był jednak człowiekiem o głębszych aspiracjach i niezłomnych przekonaniach demokratycznych. Na początku wojny, na jednym z zebrań zarządu, Baraniecki rzucił myśl, żeby ziemiaństwo podolskie okazało pomoc rolnikom Królestwa i wzięło na zimę do przekarmienia konie i bydło rasowe, którym groziła ewakuacja i śmierć od rekwizycji. Napisałem odezwę, zwołano ogólne zebranie i uzbierano szereg ofert. Z tym pojechaliśmy we dwu z Marianem do Warszawy. Przedstawiliśmy cały plan na posiedzeniu Centralnego Komitetu Obywatelskiego. Podziękowano nam i oświadczone, że z ewakuacją i ocaleniem obór rasowych sami sobie dadzą radę, natomiast proszą, żebyśmy z pomocą rolniczą, zwłaszcza siewną, udali się do Lwowa, co nam łatwiej przyjdzie, gdyż z Królestwa nikogo tam nie puszczają i na żadną akcję szerszą nie pozwolą ze względów politycznych; od CKO miał tam na nas czekać Ludwik Górski i ułatwić nam wejście w porozumienie z tamtejszymi ziemianami. Zapamiętałem na zawsze tę podróż w zimie do Warszawy i z powrotem w natłoczonych wagonach, rozmowy z wojskowymi wracającymi z frontu o wszach i atakach na bagnety, wyczekiwania na stacjach na nie wiadomo kiedy mające nadejść i odejść pociągi, a zwłaszcza nocleg w strasznym Kowlu w żydowskim hotelu na gołych sprężynach jednego wspólnego z Marianem łóżka; ogrzewaliśmy się leżąc przytuleni plecami do siebie. Meszures wprowadził nas w nocy do ciemnego pustego pokoju, z którego wyszła jakaś postać kobieca. Marian zlustrował zaraz pokój i rzekł: — Wiesz, to musiała być jakaś porządna kobieta. — Dlaczego? — spytałem. — Bo przed wyjściem otworzyła lufcik. — Istotnie w tym hotelu w stylu wiedeńskiej secesji panowały brudy i smród nie do opisania — na końcu korytarza było wyjście na galerię, przy której mieściły się klozety; otóż dostępu do nich nie było, gdyż cała galeria była gęsto usiana wigwamami. — Od nas dostać się do Lwowa przez Podwołoczyska nie było możliwości, szły bowiem

co pół godziny pociągi z wojskiem amunicją, armatami, aprowizacją itp., nawet na perony stacyjne nie wolno było cywilom wstępować. Żeby nadać sobie pozór urzędowy, wystaraliśmy się od prezesa Podolskiego T-wa Rolniczego hr. Heidena o zaświadczenie, że jesteśmy przez T-wo delegowani w celu okazania pomocy w wiosennej kampanii siewnej w zajętej części Galicji. Inny papier stwierdzający nasz urzędowy charakter otrzymaliśmy od podolskiego gubernatora (hr. Ignatiewa). Biletów na przejazd nie sprzedawano, wcisnęliśmy się tedy do klasowego wagonu w Płoskirowie, zajętego przez oficerów, wierząc w moc naszych pełnomocnictw. Jakoś do b. granicy dojechaliśmy szczęśliwie nie niepokojeni ani nagabywani, ale za Podwołoczyskami zaczęła się nasza niedola. Ponieważ jechaliśmy na korytarzu siedząc na tłumoczkach, na każdej stacyjce wchodził żandarmer, wysadzali nas i prowadzili do komendanta stacji. Na jednych stacjach nasze papiery czyniły wrażenie, na innych trzeba było dawać żandar-mom łapówki, żeby pozwolili znów wsiąść do wagonu wbrew orzeczeniu komendanta. Dokuczyło nam to setnie, toteż Marian przed każdą stacją wchodził do klozetu, przed którego drzwiami lokował się na swych tobołach ochotnik dzikiej dywizji w czerkieskim stroju i strasznej „papasze” na głowie, młody Starzeński z Paniowiec. Mnie zaś wziął do swego przedziału jakiś generał, który widząc nasze peregrynacje do komendantów ulitował się, kazał mi się położyć na aksamitnej kanapce i nakrył mnie swoim generalskim szynielem. Tak dojechaliśmy szczęśliwie do Lwowa. Tym samym pociągiem przekradał się do Lwowa młody Bukar z Nowosiołki. Szachrajowaty spryciarz prowadził jakieś nieczyste interesy z intendenturą wojskową, coś dostarczał, coś nabywał. Pokazał nam (znał oczywiście Mariana i pewnie był z nim też skoliigacony) na terenie stacyjnym we Lwowie, dość zniszczonym i zastawionym mnóstwem wagonów towarowych, niesamowity obrazek: kilka wialni z głośnym klekotem, a więc jawnie, od-dzielało od owsa piasek. Dowcip cały polegał na tym, że kolej- ą iść mogły jedynie rzeczy dla wojska przeznaczone. Otóż komisje zakupywały np. owies dla armii po cenach ustanowionych, a więc po 80 kop. za pud, domieszywały do owsa piasek i w tej postaci jechał owies do Lwowa, gdzie cena rynkowa była 3 ruble za pud, owies jako towar wojskowy jechał darmo. Tu druga komisja wojskowa odrzucała ten owies jako niezdatny do użytku. Wtedy to wialnie oddzielały piasek i czysty owies, jako wolny od rekwi-zycji, szedł na rynek (kto wie czy nie maczał w tym rąk Bukar (!)). Ta sama historia była i z byłem skupowanym u nas po wsiach i folwarkach dla wojska po cenach urzędowych. We Lwowie sprawdzając listę przyjezdnych w hotelu George’a zna-

lażem na jednym numerze: Franciszek Pułaski i Briljant, a o kilka linii niżej na tablicy: graf Aleksiej Tołstoj. Ten późniejszy powieściopisarz sowiecki i apologeta Stalina, wówczas rozpoczynający swoją karierę literacką, był korespondentem wojennym któregoś z konserwatywnych dzienników moskiewskich. Nie podejrzewał wtedy Łajdaczyna, że w 1940 roku po raz drugi zawita do „zdobytogo” Lwowa z żoną, żeby zakupywać co się da — wszystko, cały Lwów! — po Polakach i Żydach nocami wywożonych w głąb Rosji. Szakał! — We Lwowie stanęliśmy w hotelu Francuskim przy ul. Karola Ludwika. Ta szeroka ulica wysadzana drzewami wyglądała bardzo żałośnie: zaśmiecona słomą i sianem, którym karmiono pędzone dla wojska bydło, z poobgryzаныmi przez konie wojskowe drzewami czyniła wrażenie targowicy w zapadłej mieścinie nazajutrz po jarmarku. Tablice z napisami na pomniku Jana III zakryte były przez moskali deskami, gapiący się na pomnik żołnierze brali Sobieskiego za Chmielnickiego Bohdana i słyszałem jak mówili, że „nasz Chmielnicki w Kijowie ładniejszy od tutejszego”. — Był grudzień, zimno, miasto nieopalone, głodne i ciemne, o zmroku nie wolno było wychodzić na ulicę, tylko za przepustkami. Ludność załęczniona i przygnębiona, gdyż władze austriackie do ostatniej chwili zapewniały o bezpieczeństwie i nagle znikły razem z prezydentem miasta, który wywiózł wszystką gotówkę, nie wypłaciwszy ani pensji urzędnikom i funkcjonariuszom miejskim, ani zapomóg rodzinom powołanych do wojska. Dwaj wiceprezydenci Tadeusz Rutowski i Neuman (?) znaleźli się w rozpaczliwym położeniu wobec pustej kasy. Rutowski pierwszy podczas tej wojny wpadł na pomysł wypuszczenia tymczasowych wojennych pieniędzy papierowych, a Neuman wynalazł sposoby żywienia ludności w zorganizowanych tanich kuchniach, do których żywność (cukier, kaszę, mąkę itp.) sprowadzał koniami i ciężarówkami z Płoskirowa przy pomocy tamtejszego aptekarza Stefana Derewojeda. W najgorszym położeniu znalazła się inteligencja. Opowiadano mi, że żony powołanych oficerów zmuszone były sprzedawać się żołdatom moskiewskim by wyżywić swe dzieci. Zwiedzając z prez. Neumanem owe kuchnie i przytułki, chodząc wieczorami (mieliśmy przepustki!) po kawiarniach przepełnionych żołdactwem doszedłem do takiego zdenerwowania, że pewnego razu w kawiarni słuchając czyjegós opowiadania o niedolach inteligencji lwowskiej dostałem spazmatycznego płaczu. Musieliśmy jednak z Marianem umocnić swoje stanowisko urzędowe, żeby się zabezpieczyć przed władzami wojskowymi. W tym celu udaliśmy się na zamek, by uzyskać audiencję u namiestnika hr. Bobrinskiego. Wpisał nas adiutant na listę i wyznaczył dzień i godzinę.

Przemowy miał mieć Marian jako brzuchacz i wąsal bardziej ode mnie wyglądający na rolnika. Jadąc dorożką na zamek zaczął wygłaszać przede mną swoją mowę z taką powagą i tak fatalnym językiem rosyjskim, że wybuchnąłem niepohamowanym śmiechem, do którego i on się przyłączył, ale obiecał zemstę. Znaleźliśmy się w długiej poczekalni, ozdobionej portretami byłych namiestników galicyjskich. Oczekująca publiczność składała się z napływowych moskali — popów, urzędników, wojskowych — wśród których czuliśmy się nieswojo. Wczorajszy adiutant, który był szczegółowo wypytał o cel naszej wizyty, przeprowadził nas przez amfiladę pustych sal i zostawił przed drzwiami zawieszonymi ciężką kotarą. Kiedy znów się ukazał i poprosił wejść, Marian, który miał wejść pierwszy, nagle cofnął się w bok i pchnął mnie naprzód. Za kotarą znalazłem się nos w nos naprzeciwko dygnitarza w uniformie haftowanym złotem, który wyszedł nam naprzeciw i stał przed wejściem. Zaprosił nas siadać przy biurku i ja zacząłem improwizowaną egzortę. Okazało się, że mówiłem po rosyjsku lepiej niż ów rosyjski dygnitarz wychowany w Anglii i mówiący cudzoziemskim akcentem, grając. Słuchając mojej przemowy sięgnął po przygotowaną zapewne zawczasu notatkę i patrząc w nią odrzekł, że zdaje sobie sprawę z ważności zasiewów wiosennych i nasion, w której T-wo nasze rolnicze ofiaruje swą fachową pomoc, ale niestety on nie ma jeszcze w swej administracji odpowiednich organów, do których mógłby nas skierować, radzi więc udać się nam do miejscowego T-wa Rolniczego i w jego imieniu polecić zajęcie się naszą sprawą. Dodał, że na terenie Galicji istniały aż trzy towarzystwa: ukraińskie, które on już zawiesił za jego działalność polityczną; rosyjskie, świeżo założone przez adwokata Dudykiewicza, ale z nimi nie ma co rozmawiać; i wreszcie stare polskie, dokąd mamy się udać i z nim współpracować. Prosto z zamku, już zupełnie jawnie i oficjalnie, pojechaliśmy do siedziby T-wa Rolniczego. Zastaliśmy prezesa p. Dąmskiego w futrze, w nieopalanym pustym i martwym lokalu i zwiastowaliśmy mu radosną nowinę, że zamiast drzeć ze strachu i czekać z dnia na dzień zamknięcia mogą odtąd rozwijać jawną działalność i od hr. Bobrńskiego spodziewać się wszelkiej pomocy. Tam na korytarzu spotkalismy Kleina, administratora Borenicz hr. Mycielskiego, który opowiedział nam o spaleniu przez Kozaków pałacu w Boreniczach (lali benzynę do hallu!), o swej podróży do Wiednia i o przejściu z powrotem frontu podczas bitwy. (Owego Kleina później wywieźli moskale na Sybir, skąd powrócił dopiero po przewrocie bolszewickim i został w Warszawie administratorem Agrilu).

Pośrednictwo Ludwika Górskiego okazało się tedy zbyt cenne wobec pośrednictwa hr. Bobrńskiego, ale za to wprowadził on nas do prezydenta Rutowskiego, który zaprosił nas do ratusza na konferencję. Po zajęciu przez moskali Lwowa pierwszy namiestnik hr. Szuwałow wygłosił do mieszkańców przemówienie w sali ratuszowej i ktoś sfotografował go na tle obrazu Styki „Polonia”. Zestawienie było drastyczne i mogło spowodować niepożądane skutki, Rutowski tedy zarządził remont sali, zasnuł ją rusztowaniami i zakrył obraz płachtami. To samo zrobiono i z całym gmachem sejmowym, żeby ochronić go od zajęcia przez wojsko lub od użytkowania przez moskali. Na konferencji w ratuszu w gabinecie prezydenta ze ślicznymi starymi meblami o ciśnionej skórze poznaliśmy Leona Pinińskiego, b. namiestnika, Pawła Dzieduszyckiego, mojego późniejszego przewodnika po Lwowie i kilku innych z inteligencji miastowej (J. G. Pawlikowskiego). Informowano nas o nastrojach, potrzebach, zamierzeniach. Podobała mi się bardzo spokojna i pełna godności postawa Rutowskiego. Podczas tego posiedzenia wszedł typowy austriacki urzędnik z bokobrodami à la Franc-Jozef i zameldował Rutowskiemu, że generał rosyjski chce go natychmiast widzieć i jest w poczekalni. Na to Rutowski spokojnie: — Proszę zapisać jak się nazywa? — Po chwili urzędnik wraca: Generał Kuropatkin. — Rutowski: — Bardzo ładne nazwisko. Niech zaczeka. — Wytrzymał go ze trzy minuty, po czym przeprosił nas i wyszedł. — W niedługim czasie wywieźli Rutowskiego moskale do Kijowa, gdzie go potem odwiedzałem (wywieźli również do Kurska metropolitę unickiego Andrzeja Szeptyckiego).

Miałem przed wyjazdem z Winnicy od Grocholskich i Adamostwa Sobańskich kilkaset rubli dla doręczenia Dzieduszyckim w celu rozdania pomiędzy, zdaje się, zakonnice. Udałem się tedy na ul. Kurkową i poznałem całą rodzinę Tadeusza Dzieduszyckiego, ojca znanego mi z Podola Włodzimierza i świeżo poznanego Pawła (został podobno później jezuitą). Przyjęto mnie jak swego, zwłaszcza że zjawił się i Ludwik Górski, który był ich krewnym. Byłem parę razy na obiedzie i spędzałem wieczory jako że nie byłem skrępowany przepustką. Ogłoszony został wtedy w gazetach tekst adresu ziemiaństwa Kongresówki do cara, podpisany m.in. przez Dmowskiego, Stan. Wojciechowskiego, no i... Czekała. Był tam ustęp o Austrii bardzo przykry i z tego powodu wysłuchałem słów najwyższego oburzenia z ust starego Dzieduszyckiego, stojącego wiernie przy Franc-Jozefie. Zobaczyłem wtedy naocznie jak polskie ziemiaństwo w każdym zabrze stało przy tronach, żeby dla własnej wygody ocalić majątek i przywileje stanowe. A gdzież ten polski patriotyzm, którego

brak wytykali „wywrotowcom”? — Pobyt mój we Lwowie przedłużał się na kilka tygodni, gdyż miałem jeszcze swoją osobistą sprawę do załatwienia. Dłużyły mi się zimowe wieczory, więc skorzystałem z zaproszenia hr. Leona Pinińskiego żeby obejrzeć jego galerię obrazów, dla której ocalenia nie opuścił jak inni dygnitarze Lwowa. Mieszkał w swoim pałacyku przy ul. Matejki 3. O zmroku otworzyła mi drzwi służąca i powiedziała, że bym szedł schodami na górę na głos fortepianu, gdyż to gra pan hrabia. Od drzwi wchodowych zaczynało się istne muzeum — posągi, obrazy, urny, meble starożytne zaludniały całą przestrzeń i schody. Na piętrze zobaczyłem uchylone, ogromne jak w kościołach, drzwi i przez szparę ujrzałem w głębi dużej komnaty za fortepianem przy jednej świecy Leona Pinińskiego w kożuszkę grającego sonatę Bethoveena. Oprowadził mnie po salach wypełnionych obrazami oświetlając je elektrycznością. Zimno było wszędzie jak w psiarni, toteż w końcu zaprowadził mnie do jedyne go pokoju opalanego, w którym czekała nas pani domu z herbatą. Spędziłem miły wieczór z tymi kulturalnymi ludźmi rozmawiając o wszystkim, tylko nie o wojnie. — Osobista moja sprawa polegała na tym, że dowiedziałem się przypadkiem, iż 118 sotnia, która tak bohatersko uciekała z Kamieńca, stoi w Winnikach pod Lwowem. Wybrałem się tam i odnalazłem Tadeusza. Chciałem, żeby tu położył się w szpitalu i próbował zwolnić się, ale nic z tego nie wyszło, szpitale lwowskie bliskie frontu przepełnione były rzeczywiście chorymi i rannymi, trzeba było szukać dalszych i zaciszniejszych. Okazało się, że Tadeusz może dostać od swego dowódcy — było w sotni tylko 3 oficerów — 10-dniowy urlop dla załatwienia swoich spraw majątkowych. Pojechałem tedy naprzód do Płoskirowa, żeby mu szpital odpowiedni przygotować. Rozpytując wśród znajomych z Syndykatu dowiedziałem się o szpitalu Związku Miast, na którego czele stał dr Marian Stawiński, miejscowy lekarz powołany do wojska. Odznaczał się on wielką uczynnością, sprytem życiowym i niesłychaną odwagą dochodzącą do bezczelności. Na komisjach każdego żołnierza ze szkaplerzem lub z medalikiem katolickim na szyi uznawał za niezdolnego do służby wojskowej i kiedyś pokazał mi przez okno zwolnionych przez siebie Mazurów z okolic Płoskirowa*, którzy mu piłowali i rąbali drwa na zimę na

* W okolicach Płoskirowa był szereg wsi (Różyczna, Hreczna, Tatarzyńce i inne) zasiedlonych samymi prawdziwymi Mazurami, którzy tu przywedrowali jeszcze za Rzplitej, zachowali swój strój, język, religię i obyczaj. Mężczyźni nosili granatowe maciejówki, kobiety strzygły włosy nad czołem i uszami i nosiły czepeczki. Liczono ich na c-a 30.000. Co się z nimi stało pod bolszewikami, nie mam pojęcia. Adam Moszczeński w swym

podwórz. Jednego z nich przywołał: — „Sowa, chodźcie no tu!”. Ogromny chłopisko o torsie jak dobra beczka, istny Ursus z „Quo vadis” z uśmiechem dziecka zbliżył się jakby zawstydzony bijącym od niego zdrowiem i siłą. — „Pilnujcie się żeby was znowu nie brali” — rzekł doktor z ojcowskim uśmiechem. — „Sowa to mój faworyt i moja duma, że mi się udało takiego Herkulesa uwolnić” — rzekł do mnie, gdy Sowa się oddalił. Dr Stawiński miał też w szpitalu kilku legionistów rannych pod Mołotkowem, którym groziła szubienica (na początku wojny legionieści nie byli uznani za regularne wojsko strony wojującej!), tych otaczał szczególniejszą opieką.

Otóż brat Tadeusz spędziwszy urlop w domu, w drodze powrotnej zatrzymał się w Płoskirowie i „nagle zachorował”. Dr Stawiński wziął go do szpitala i położył do łóżka w legionowym pokoju. Dalszych perypetii z uwalnianiem brata z wojska, które ciągnęło się dość długo, dobrze nie pamiętam: dowódca 118 sotni nie doczekawszy się powrotu brata przysłał do Hubertowa wachmistrza, którego przyjąłem bardzo hojnie i który przekonał się, że brata w majątku nie ma, a gdzie jest — nie wiadomo (!), leżał u Stawińskiego. Potem nadchodziły depesze od komendanta miasta Lwowa gen. Nowosielskiego, żeby dostarczyć Tadeusza żywego lub martwego do Lwowa — a doktor S. śmiał się z tych depesz i szykował „chorego” na komisję. Komisje wojskowe funkcjonowały nieregularnie przez cały ciąg wojny, miały bowiem prawo sprawdzania w każdym czasie stanu zdrowia nawet ludzi zwolnionych ostatecznie od służby wojskowej, nawet stuprocentowych inwalidów — o ile powzięły jakiekolwiek wątpliwości. Przy takim stanie rzeczy trudno się było przemknąć szczęśliwie przez wszystkie komisyjne sieci, a wobec zupełnego braku oficerów niższych stopni (była to wojna w której zginęło najwięcej tzw. „praporszczyków rezerwy”, tj. inteligencji), otrzymanie przez oficera dymisji było prawie nie do pomyslenia. A jednak dr Stawiński dokonał tego cudu z Tadeuszem i muszę zaznaczyć, że uczynił to zupełnie bezinteresownie. Robił na mnie w najtrudniejszych chwilach walki o Tadeusza wrażenie sportsmena, który postanowił za wszelką cenę wygrać zakład. Jeżdżąc często do Płoskirowa w sprawach Syndykatu, Tadeusza, syna mego Huberta no i pieniędzy, gdyż miałem rachunek bieżący w Banku Syberyjskim (dyrektor Kanigowski) i w Zjed-

„Pamiętniku do hist. pols. w ostat. latach panow. Augusta III i pierwszych Stan. Poniat. (W-wa, 1905, str. 153) pisze na początku XIX wieku, że Mazury z Mazowsza sprowadzeni zostali do kłucza i miasteczka Płoskirowa „przed kilku wiekami, dotąd utrzymali język mazowiecki i obrządek łaćniński i oświeceńsi są od innych gmin Ukrainy” (str. 21).

noczonym, zbliżyłem się z całą rodziną Stawińskiego. Zajmowali cały dom parterowy podobny do dworu wiejskiego, na bocznym pięterku mieściły się pokoje dla położnic, gdyż doktor był ginekologiem-chirurgiem. Duszą i sercem domu była p. Anna Stawińska, osoba drobna, czarna, z wąsikiem na górnej wardze, chudziutka i wątła, o miłej twarzy i ciemnych mocno podkrążonych oczach. Mówiąc sepleniała trochę i uśmiechem podbijała serca. Duch mocny przebywał w tym wątłym ciele, była głęboko religijna, co przejawiało się nie w bigoterii i formalizmie zewnętrznym, lecz w czynnej dobroci względem ludzi i świata. W tym miała swe źródło jej nadzwyczajna działalność społeczna. I cokolwiek dobrego czynił doktor, dla którego była autorytetem moralnym, wszystko płynęło przez panią Annę. Dzięki niej, wpadłszy na krótko do Płoskirowa, spędziłem noc w szpitalu na dyżurze przy ciężko rannych. Niezapomniane na zawsze przeżycie! W przyćmionym oświetleniu nocnym ślaniałem się w amfiladzie sal, wśród szeregu łóżek, na których miotały się i jęczały różnymi językami, obandażowane potworne resztki ludzkie, ziejące mdlącym fetorem ropiejących ran i trupim zaduchem zgangrenowanych kikutów. W separacie widziałem straszliwe konanie ogromnego Kaukazczyka na tężec, rano wynieśli go twardego jak drewno i buchającego po śmierci parą. — Innym znów razem towarzyszyłem p. Annie do więzienia. Wiozła w zaręczawku butelkę spirytusu w prezencie dla naczelnika więzienia (z ogłoszeniem mobilizacji wzbroniona została sprzedaż trunków) a ja wiozłem w dwu koszach podarunki dla więźniów — tytoń, cukier, ciepłą bieliznę. Wpuszczono nas do środka, był wieczór zimowy. Strażnik zaprowadził nas na piętro w skrzydle, gdzie mieszcili się czasowi więźniowie przywożeni z Galicji i stąd wyprowadzani dalej w głąb Rosji. Strażnik szedł naprzód przyświecając nam latarnią. Na korytarzach wzdłuż ścian stały zwarte szeregi postaci ludzkich wyłaniających się na chwilę z mroku i znów weń zapadających. Rozdawaliśmy na prawo i na lewo prezenty aż do ich wyczerpania. Czyniliśmy to w milczeniu, gdyż nie wolno było rozmawiać. Przeważnie byli to chłopci ukraińscy wywożeni całymi wsiami jako element wrogi Rosji według wskazówek moskalofilów z Dudykiewiczem na czele. Zapach i cała atmosfera więzienna przypominały mi żywo moje wywczasy kijowskie, wdzięczny byłem p. Annie za ukazanie mi jeszcze i tego oblicza wojennego zdżiczenia i zbrodni molocha państwowego. Poza tym było wiadomo, że p. Anna jest pogotowiem ratunkowym dla wszelkiej niedoli przewalającej się w tych okropnych czasach przez Płoskirów i każdy spieszył jej z pomocą i datkiem, ktokolwiek poczuwał się do obowiązku społecznego. — Kiedy

zachorowałem i sam leżałem w domu, bo Maria z Pawełkiem była w Kijowie, dr Stawiński przyjechał po mnie (60 km.) autem Morawskiego i zabrał mnie do siebie. Tam leżąc w jednym z pokojów dla położnic, na górze, byłem codziennie doglądany przez p. Annę i przyjrzałem się z bliska poczynaniom tej iście anielskiej postaci. — W tym czasie przez Stawińskich poznałem Waleriana Marowskiego ze Skarżyniec pod Płoskirowem. Był to zupełnie innego typu człowiek. Uczony leśnik o praktycznym inżynierskim umyśle, twardy i zawzięty racjonalista-ateusz, prowadził w oryginalny sposób swoje gospodarstwo wglądając sam w każdy szczegół i wykonując wszystko według własnych teorii i pomysłów. Od wież ciśnień na oborach, które rozprowadzały rurami wodę, do sposobu uwiązywania krów przy żłobach, jaseł i żłobków do indywidualnego żywienia, od automatycznych zamkniętych poidel dla drobiu do stołu jadalnego w mieszkaniu wszystko było obmyślane oryginalnie i w domu wykonane. Żeby dać pojęcie o tym opiszę szczegółowo ów stół, przy którym nieraz jadałem. Był duży i okrągły, żeby panowała równość bez hierarchii stołowej. Miał dwa blaty jeden nad drugim — spodni był większy i nieruchomy, na jego brzegach stały talerze, kieliszki i sztucce, górny zaś blat był mniejszy, unosił się nad spodnim na jakieś 10 cali i obracał się lekko i cicho dokoła żelaznej osi. Usługiwanie przy stole nie było i podawania, w ogóle służby nie było. Dania, przystawki, sól, oliwa, butelki chleb itp. stały na górnym blacie i gospodarz obracając ręką ten blat zatrzymywał po kolei przed każdym półmiskę czy wagę. Wreszcie każdy mógł sobie sam przysunąć co mu potrzeba nikogo nie niepokojąc. Jeszcze oryginalniejsze było wewnętrzne życie tego domu, w którym często wypadało mi przebywać, gdyż Hub odbywał tam praktykę rolniczą. Pani Marowska straciła na dyfteryt dwoje dzieci i wskutek jakiejś operacji więcej dzieci mieć już nie mogła. Cicha, pogodna, niesłychanej dobroci czterdziestoletnia blondyna, trochę już tyjąca, niańczyła i wychowywała syna swego męża, zrodzonego z zarządzającą domu p. K. Ten mormoński trójkąt małżeński, któremu przyświecała rodzicielska potrzeba posiadania dzieci, trójkąt radosny, pełen wzajemnej kurtuazji, szczerości i delikatności zarazem, był zaiste budujący i godny większego podziwu niż wszystkie stoły i żłoby. Oczywiście utrzymanie ciągłej harmonii z uznanych przez cały świat dysonansów było dziełem przede wszystkim pani Marowskiej, która czyniła to pogodnie, jak gdyby jej to nic, żadnego wysiłku nie kosztowało. Marowski miał ogrodnika w wieku lat dwudziestu kilku, Ukrainca — chłopca mocno spolonizowanego, inteligentnego i czytanego, który pod wpływem sztundystów

a może i samego racjonalisty-pryncypała stworzył był sobie system religijny nie pozwalający mu nosić broni a więc służyć w wojsku. Przed wojną udało mu się jakoś przy pomocy Marowskiego i zapewne dr. Stawińskiego zwolnić od służby wojсковей, ale teraz zupełnie świadomie nie stawiał się na wezwanie mobilizacyjne i musiał się skryć. Pas był przyfrontowy, na wsi nigdzie nie mógł przebywać, a w Płoskirowie panowała groza wojenna, nocami skrzypiały szubienice, na których tracono „szpiegów”. Prosił mnie tedy Marowski czy bym jego Mielnika (tak się zwał) nie przytulił gdzieś u siebie w leżącej na uboczu Hucie. Mielnik ukrywał się w podmiejskim ogrodzie, dzierzawionym przez ogrodnika Dąbrowskiego. Według udzielonych mi wskazówek udałem się na poszukiwanie Mielnika, żeby się z nim omówić jak ma się do Huty dostać. Za miastem wśród obszernego sadu, grząd warzywnych, inspektów itp. stała niewykończona, jeszcze bez drzwi i okien, chata cała zawałona oknami od inspektów, matami, taczkami i mnóstwem rupieci ogrodniczych. Sprawdziwszy, że nikt za mną nie szedł i nikogo nie ma w pobliżu, wszedłem do wnętrza, rozsunąłem według wskazówek graty i zapukałem w umówiony sposób w podłogę, spod której wyłonił się mój Mielnik. Podziemie było obszerne, mieszkał tam jeszcze młody sztundysta — wróg militarysty, — i zupełnie przysposobione na siedzibę ludzką. Miałem wrażenie, że jestem u pierwszych chrześcijan w katakumbach na Suburze za Nerona. Ow Mielnik przechował się u mnie w sadach Huciańskich aż do końca wojny i doprowadził te sady do wzorowego porządku. — W zamian za Mielnika oddałem Marowskiemu Hubę do przechowania. Miał lat 19, stawał do mobilizacji jako parobek Marowskiego u niego zameldowany i za pośrednictwem dr. Stawińskiego otrzymał był w Płoskirowie biały bilet (zupełnie zwolniony od służby). W Litynie za bardzo byłem na widoku i nie mogłbym syna zwolnić a w Winikowicach po zwolnieniu nie mogłem go trzymać! — Na wiosnę Marowski ciężko zachorował na owrzodzenie żołądka (*ulcus ventriculi*) z krwotokami grozącymi życiu. Szpitale były przepełnione rannymi, o operacji nie mogło być mowy i za poradą dr. Stawińskiego zdecydowano wieźć chorego do Warszawy. Podjąłem się tego, miałem bliskie stosunki w warszawskim świecie lekarskim. Stanęliśmy w lecznicy dr. Solmana przy alei Szucha, wówczas za miastem. Zaimponował mi ateusz-racjonalista swoim pełnym spokojem pogodnym zachowaniem się. Podczas licznych konsylium wybrał sobie na operatora Solmana — „pan siwy, ja też nie młody, pan mnie będzie operować”. Kazał sobie narysować jak ma być żołądek przeszyty przez środek i dwunastnica z nim połączona z pominię-

ciem pylorusa (odźwiernik); sporządził testament i telegraficznie wezwał żonę. — Powrócił zdrów do domu, podobno żyje dotąd w Polsce i ma z panią K. jeszcze trzech tęgich chłopaków.

Latem w pierwszym roku wojny wjechał na podwórze w Winiłowcach eleganckim kabrioletem rudy jegomość, a za nim wóz drabiniasty z paszą i uwiązanymi doń kilku końmi, a kilka innych biegło luzem. Jegomość sam powoził, uwiązał więc lejce do kozła i oddał mi malutki liścik od p. Anny Stawińskiej polecający go mojej opiece jako syna znajomego. Spytałem go, dokąd jedzie — odrzekł, że jedzie z Galicji gdzie miał z bratem pod Kopyczyńcami dzierżawę, jedzie od dworu do dworu na wschód, prosi o nocleg i skierowanie go do kogoś dalej. Konie wyglądały okropnie, wychudzone i całe oblaźłe jakby sparszywiałe, co je uchowało zapewne po drodze od rekwizycji. Kazałem konie umieścić gdzieś osobno a rudego pana z jego parobkiem zostawiłem na noc. Rano okazało się, że ów wierny parobek z Galicji uciekł do domu zostawiwszy swego pana na pastwę losu. Nie mógł więc jechać dalej sam z tyłu końmi i został u mnie. Wkrótce wyznał mi w tajemnicy, że jest oficerem artylerii fortecznej, wzięty był do niewoli przy kapitulacji Przemyśla i pędzony w licznej partii przez Lwów, zdołał przy pomocy braci i żydków uciec i oto wędruje na wschód gdzie oczy poniosą. Nazywa się Piotr Gotwald. Nie mam zaufania do galicjan i nie lubię rudyh ludzi, a ten był w dodatku pokryty piegami, oczy miał wyłupiaste żółte, cały był jakby nabrzękły, mówił po lwowsku i był mi obcy. Ale gdzież go miałem dalej pędzić? Powiedziałem żeby został a że był rolnikiem, zaproponowałem mu, że będzie mnie wyręczał w gospodarstwie podczas moich częstych wyjazdów. Zamieszkał we dworze i przechował się u mnie przeszło rok. — Brak mi było stałych parobków przy remanencji, prosiłem tedy przez ziemstwo o jeńców do roboty. Tegoż lata w żniwa przysłało mi 15 wziętych w jakiejś bitwie na Wołyniu. Przyjechali w ulewę przemoknięci, obdarci i bosy na trzeci dzień po bitwie, co mieli wartościowego na sobie zrabowali kozacy. Była to zaiste Austria w miniaturze: było 4 Turków z Bośni, w tym jeden mułła, wszyscy bardzo urodziwi i rośli, 2 Czechów doskonałych rzemieślników — rymarz i ślusarz, 2 Polaków — Janek Tarnawski spod Krakowa i Alojzy Hanzel ze Skoczowa na Śląsku Cieszyńskim, kilku Ukraińców, z tych Kaczora zrobiłem stangretem, i kilku Rumunów z Siedmiogrodu. Trzeba było przede wszystkim ubrać ich i uzuć. Żołnierz eskortujący był niedługo, gdyż rozejrzawszy się w materiale ludzkim uszczęśliwionym, że się dostał w dobre ręce i że przetrwa bezpiecznie wojnę, złożyłem oświadczenie władzom, że biorę na siebie odpowie-

działność za wszystkich jeńców i proszę o zabranie konwojenta, który przyda się na froncie — wałkoń był i niezdolny kacapisko. — Hanzel był sztabfeldfeblem telegrafistą polowym, inteligentny i dobry Polak, musiałem go wydzielić z roboczej kompanii, zrobiłem go tedy mleczarzem, zwłaszcza że Maria miała wyjechać z Pawełkiem na stałe do Kijowa. Dostał pokoik we dworze. Cichy był, skromny, rumieniący się i z tą jego cichością związany jest mój haniebny czyn, którego się dotąd wstydzę. Wracając z pola przez folwark usłyszałem w mleczarni głośny gwar i śmiechy. Zająrzałem przez oszklone drzwi i krew mi uderzyła do głowy: pięć dziewczek zamiast szorować naczynia i uprzątać mleczarnię po robocie, przyparły biednego Hanzla do ściany i śmiejąc się i wykrzykując szczypały go i targały. Wszedłem i huknąłem co to się dzieje? Odskoczyły czerwone, rozgnione tą dziwną zabawą, którą podrywały autorytet biednego Hanzla. Trząsałem się z oburzenia i kiedy najbliżej stojąca piękna, a więc pewna bezkarności, Serafina beczelnie patrząc mi w oczy, coś hardo odpowiedziała, uderzyłem ją w twarz i wygnałem z mleczarni. Nigdy potem, a i dziś nawet nie mogę zrozumieć, jak mogłem ja, który nigdy nikogo nie uderzył, właśnie spoliczkować dziewczynę i widzieć jak na jej pięknej twarzy nabrzmiał zaraz lewy policzek! Za tę cenę podparty został autorytet Hanzla i mógł nadal zostać mleczarzem. Janka Tarnawskiego zrobiłem nocnym stróżem, lubiłem wychodzić w nocy z psami niby dla kontroli, by rozmawiać z nim o Krakowie i o jego wsi. Czułem, że jest mi bliski i że mogę na niego liczyć i że mnie nie zdradzi. — Na wiosnę 1916 roku dostałem jeszcze 15 jeńców do Winikowic i tyłuż do Huty. Byli to sami Rumuni z Siedmiogrodu, którzy już zimę spędzili na Syberii przy robotach kolejowych. Zbiedzeni byli i wychudzeni w swych wiatrem podszytych austriackich płaszczach, ratowali się od zimna derkami. Przypędzono ich pieszo ze stacji Braiłów (o 28 km.) na wieczór do Winikowic. Poszedłem zobaczyć jak ich rozlokowano na noc i czy ich nakarmiono. Zdziwiony byłem że na stole zostało dużo jedzenia a kilku jeńców siedziało skurczonych jakby chorych. Powiedzieli mi, że dawno tak dobrej stawy nie jedli i który się na nią rzucił łapczywie — dostał boleści i wymiotów, boją się więc jeść. Dałem im po kieliszku wódki z kroplami miętowymi. Nazajutrz rano poszedłem na folwark zobaczyć moich nowych jeńców i natknąłem się na wzruszającą scenę. W promieniach wschodzącego słońca klęczeli Rumuni z obnażonymi głowami a przed nimi na ziemi leżała czapka napełniona ziarnem kukurydzy. Ogromny chłop, siwiejący już na skroniach, o pięknej smutnej twarzy mówił głośno słowa w nieznanej mi mowie

patrzac na wschodzące słońce. Wy tłumaczył mi potem, że dziękowali Bogu za to, że po ciężkiej tułaczce dostali się do kraju, gdzie rośnie ich rodzona kukurydza. Sprowadzałem z Besarabii wagonami kukurydzę na ordynarię dla czeladzi i na karm, leżała jej tedy cała góra w śpichrzu — tam ją zobaczyli jeńcy, gdy śpichrz otworzono, i wpadli w szal radości zakończony ekstazą religijną. Ów odmawiający modlitwę dziękczynną nazywał się Pietro Buczilla, rodem z Siedmiogrodu, gdzie zostawił gospodarstwo i rodzinę. Miał już pod czterdziestkę i na Syberii dostał reumatyzmu. Był poetą i pisał poemat pt. „Razboi”, co po rumuńsku oznacza wojnę (bardzo trafnie!). Przywoziłem mu z miasta w prezencie kajeciki, które wypełniał pięknie kaligrafowanymi wierszami. Żeby go zwolnić od ciężkiej pracy z innymi jeńcami poleciłem mu nakaszać co dzień trawę w parku dla krów. Łagodny był i rzewny, był faworytem Marii, w cichości nosiła mu do gotyckiej altany kawę, którą bardzo lubił. — Wśród tych kilkunastu Rumunów był jeden Cygan, dowiedziałem się o tym w dziwny sposób. Po kilku dniach wypoczynku poleciłem brać jeńców do lekkiej roboty, zabrał ich ogrodnik do przekopywania ziemi między rzędami malin. Około południa przechodząc przez ogród usłyszałem w malinach ożywione głosy i odgłosy uderzeń. Poszedłem tam i zobaczyłem jeńca rozciągniętego na ziemi i dwu innych okładających go kijami. Na moje zapytanie odpowiedzieli, że biją Cygana, który się pomiędzy nich zamieszkał i nie chce nic robić a oni za niego nie chcą ponosić odpowiedzialności, zwłaszcza że im tu ufają i nie ma przy nich żadnego dozorczy. Istotnie Cygan okazał się pomimo otrzymanych plag do żadnej roboty niezdatny. Po pewnym czasie popasała w Winikowcach duża partia jeńców prowadzona do jakiegoś majątku i Rumuni potajemnie od straży eskortującej zamienili Cygana na Rumuna, który okazał się doskonałym pastuchem przy krowach.

Wielu z idących na wojnę oddawało pod moją opiekę swoje rodziny. Pierwszy uczynił to piękny młodzieniec, kooperatysta, Petro Szulak, przyprowadziwszy swą młodą żonę i dwu małych chłopaczków mówiąc, że tak są niezaradni, iż „przy misce gotowej stawy mogą z głodu poginać”. Z czasem ta dobrowolnie przeze mnie podjęta opieka rozwinęła się w szeroką akcję, którą musiałem jakoś zorganizować, żeby mi nie pochłaniała zbyt wiele czasu. Tu nieocenionym pomocnikiem, jak zawsze, okazał się znów Samiło Mazur. Czy trzeba było „sołdatce” wyorać i zasiać pole, czy pomóc sprzątnąć z pola, czy zawieźć zboże do młyna, czy przywieźć z lasu opał itp. — znajdował on na to tysiące

sposobów, a czynił wszystko zawsze na wesoło, ochoczo, żartując i miał mir i posłuch u ludzi. — W celu zaopatrzenia ludności w tani opał a żołdatek w opał darmowy ziemstwo nabywało w lasach rządowych działki lasu na wyrąb po cenach znizonych, o ile znalazł się ktoś na miejscu do przeprowadzenia tej eksploatacji. Podjąłem się chętnie, gdyż brak opału był największą bolączką moich trosk opiekuńczych. Las rządowy graniczył z Winihowieckimi polami, rąbali swoi chłopci pod kierownictwem Samiży. Drzewo i gałęzie składało się w ćwiartki, na które cena kalkulowała się w taki sposób, aby można było zwrócić ziemstwu sumę zapłaconą za działkę lasu, opłacić koszt rąbania oraz dać żołdatkom według spisu darmo opał. Najwięcej kłopotu było ze sprzedażą i wydawaniem drzewa, które odbywało się dla każdej wsi w pewne określone dni. Tu Samiży, nie umiejąc pisać, dokazywał cudów swą niezwykłą pamięcią. Wieczorem przynosił mi pieniądze, wyliczał kto brał drwa — w celu uniknięcia spekulacji, gdyż cena była śmiesznie niska, nie wolno było sprzedać temu samemu dwa razy — a ja przygotowywałem spisy i rachunki dla ziemstwa — i nigdy nie było żadnej omyłki!

W pierwszym roku wojny późną jesienią zdarzyła się kradzież w naszym domu, mianowicie znikły z kuchni wiadro blaszane, czajnik blaszany, kilka rondli i innych drobiazgów. Kucharka i dziewczęta śpiące obok kuchni nic nie słyszały, drzwi wchodowe były zaryglowane i dwa okna kuchenne zamknięte. Obejrzałem je uważnie i na futrynie jednego z nich zobaczyłem napis atramentowym ołówkiem: „*smotriet' okoszko*”. (Patrzeć okno). Istotnie na dolnej szybie w kąciaku był nieduży otwór, przez który zapewne odszczepnięty był haczyk i okno otwarte. Kazałem kowalowi zaraz wstawić żelazne kraty do okien a za sprawców kradzieży uznałem w duchu owych stróżów przy słupach telegraficznych na drodze nieopodal przechodzącej. Przypadek jednak zadał kłam moim przypuszczeniom. — Ponieważ z powodu różnych „nieprawomyślnych” robót, które mi wypadało prowadzić oraz dla osłonięcia ukrywających się u mnie osób musiałem z władzami cywilnymi i wojskowymi żyć w dobrych stosunkach, urządziłem w lasach nieobecnego brata Tadeusza, którego również chciałem zaprezentować jako „przelewającego krew” — polowanie z naganką. Duży kompleks tych lasów ciągnął się daleko od wsi i od wielkich dróg wzdłuż bagien porośniętych olszyną i łożyną, przez które dostać się można było tylko po kładkach z obalonych drzew. Zwierzyny było pełno, gdyż od granicy lasy były otoczone siatką (!) i żaden pies nie miał do lasu dostępu, straż miała bowiem nakaz strzelania do

psów*. Środkiem lasów ciągnął się prostopadłe do bagien głęboki jar o złowrogiej nazwie „Bahrijów jar”, posępny i ciemny, w którym wywodziły się co roku gniazda wilków, pełno w nim było walających się kości. Lasy były przysposobione do polowań, miały poprzecinane linie dla myśliwych i ponumerowane stanowiska, ułatwiało to rozstawienie strzelców, gdyż każdy wyciągał numer i szedł na swoje stanowisko. Polowanie nasze miało się ku końcowi, w przedostatnim już miocie krzyki naganki naprzeciwko mojego stanowiska naraz ucięły i stopniowo cała naganka ucichła, słysząc było tylko w jednym miejscu ożywiony gwar. Na moje sygnały nie otrzymywałem odpowiedzi aż przybiegł strzelec z wiadomością, że odkryto jakąś kryjówkę i cała naganka zbiegła się do niej. Poszliśmy z bliżej stojącymi gośćmi na gwar. Okazało się, że przedzierający się przez gęstwinę naganiacz zobaczył na rosnącej krzakiem dwie suszące się „walonki” (wojłokowe buty), zaciekawiony zbliżył się i natknął na okrągły otwór w ziemi do połowy zakryty żelazną pokrywą zamaskowaną liśćmi. Narobił hałasu i naganiacze, nawołując się wzajem, zbiegli się w to miejsce. Radzono kto odważy się wejść do środka i zbadać tę zagadkową kryjówkę, a nuż tam ktoś siedzi i pchnie nożem? Po długich zachęcaniach się wzajemnych i żartach odważył się wreszcie błaznujący zwykle eks-żołnierz. Spuścił się ostrożnie w ciasny otwór i oświadczył, że stanął nogami na ziemi. Potem zniknął i wołał, że schodzi schodami ziemnymi w dół. W kryjówce mieszkańców nie było. Ośmielili się i inni. Okazało się, że w przestronnej izbie były dwa legowiska z pościelą, poduszkami i derkami, był stół na nim świece, był w ziemnej niszy rodzaj spiżarni z zapasami, jak dzieża pełna słoniny, mąka w worku, kasza, nawet drożdże. Wśród naczyń, które wyniesiono na wierzch, poznałem moje rondle, czajniki i wiadro. Stefanek zaś, były chłopak kredensowy z Huty, poznał naczynia huciańskie. Nie wyraziłem swojego domysłu, ale nie miałem wątpliwości że była to kryjówka mojego Makara Kanderąła, który znikł był z Winikowiec i o którym krążyły pogłoski, że ma jakiegoś towarzysza i obrabowują cerkwie. Kazałem wszystkie wyniesione przedmioty znieść z powrotem do kryjówki, zakryć otwór i zostawić to w spokoju, ale byłem pewien, że chłopci wrócą tu i zrabują wszystko o ile właściciele, których gwar polowania był zapewne wypłoszył, nie zdążą uprzątnąć. Bałem się wkroczenia policji, która się niewątpliwie o tej kryjówce dowie. Ale sam

* Z tego powodu ciągnął się długo przez wszystkie instancje sądowe proces wytoczony Tadeuszowi przez stryja Rafała o zastrzelenie wyżła, który zapędził się jakoś poza siatkę za zającem (dobry wyżeł!).

chciałem wobec biednego Makara mieć sumienie czyste, pamiętałem jego ucieczkę do mnie spod kijów chłopskich i jego pełne życzliwości „smotret’ okoszek”. — Zanim zniknął Makar z naszego horyzontu na zawsze, dał mi jeszcze dowód, że nie ma do mnie żalu za mimowolne przyczynienie się do zburzenia jego tak pięknie urządzonej kryjówki. Oto któregoś wieczora Maria wypuściła na dwór Kaifasza, który obces rzucił się na kogoś znajdującego się na ganku. Maria poświeciła w tę stronę latarką i ujrzała pod stołem przy oknie dwie duże nogi przykucniętego mężczyzny. Przerażona wbiegła do domu i na jej wołanie pierwszy wyskoczył Pawełek z dubeltówką, ale już na ganku nie było nikogo, po ujadaniu zaś Kaifasza i człapaniu po tającym już śniegu słychać było, że ktoś biegł do parku. Po śladach zbadaliśmy, że było dwu ludzi, jeden z dużymi stopami i ten widać było czekał przy tarasie, drugi — „mała stópka” to był ten, który stał przy oknie i widocznie starał się przez szparę w firance zbadać, co się w domu dzieje, a spłoszony zeskokczył z tarasu i razem z oczekującym na dole uciekł. Dopiero na wiosnę wydało się, że Makar z towarzyszem „Małą Stópką”, obawiając się snąc wracać do odkrytej kryjówki żeby nie wpaść w zasadzkę, zamieszkali u mnie na strychu ogromnej krowiarni i stajni robotczej. Strych ten zapełniany bywał jesienią sianem i paszą na całą zimę. Spuszczało się siano przez drzwi w suficie w środkowej części nad krowiarnią i stajnią i stopniowo wybierając dochodziło się na wiosnę do dna, które było przy dwu facjatach. W facjatach były okna a w tej od ogrodu nawet balkon wsparty na słupkach. Okna były na głucho zabite gwoździami i nikt tam nie zaglądał. Do balkoniku można było dojść z Wykrętów zaroślami. Tą drogą w razie potrzeby przedostawał się Makar z towarzyszem po słupku i przez okno na górę, gdzie miał w sianie wygodne i ciepłe legowisko. Karmić go mogła ukradkiem któraś z sióstr, które mieszkaly we wsi. Myślę, że pod moje skrzydła chował się Makar jedynie w opresji, gdy po dokonaniu większej kradzieży musiał się na jakiś czas ukryć. U mnie zaś nigdy nic nie zginęło i zachowałem o tym dziwnym i nieszczęśliwym złodziejasku jak najlepsze wspomnienie. A siostrze jego, nie tej, której wymierzyłem za Hanzla policzek, lecz starszej Tanasce zawdzięczam moje życie — o czym opowiem w swoim miejscu.

Pomimo białego biletu i służby w innym powieciu u Marowskiego, Hub nie mógł dłużej się uchylać od służby w wojsku wobec coraz to nowych powołań do superrewizji i wobec tego, że moja osoba była wciąż na widoku i coraz to ktoś zapytywał co się dzieje z moimi synami. Starszy syn Piotra, Wacio, stanął jako ochotnik z własnym automobilem i miał przywilej wyboru

— poszedł jako szofer na front kaukaski*. Szukałem sposobu dostania się bądź do kolumny sanitarnej przyfrontowej, bądź do służby w pociągach sanitarnych, jakimi zarządzali różni tzw. główni pełnomocnicy o sutych kręconych złotem epoletach; w tym celu jeździłem z Hubą i do Kijowa i do Winnicy, ale na próżno. Było mnóstwo organizacji tyłowych, różne „wodotopy” i „skotodochi”, gdzie dekowali się ludzie w wieku do lat 45, ale wszędzie trzeba było bardzo skomplikowanych zachodów. Ostatecznie oddałem Hubę jako ochotnika jakiemuś inżynierowi wojskowemu o polskim nazwisku Sas-Żelechowski, ale parszywej kacapskiej duszy. Ten kompletował sobie w Zmierzynie kolumnę, która miała objąć jakąś fabrykę niemiecką w Górnym Tokmaku nad morzem Azowskim, zamienioną w warsztaty do naprawy samochodów wojskowych. Hub dostał się pod komendę Polaka, awanturnika i spryciarza, Dolanowskiego, który twierdził, że pochodzi w prostej linii od Tadeusza Kościuszki (!), i niebawem wyruszył na południe. Jeździłem tam do niego aż dwa razy, bo trzeba było opłacić jego starszyznę żeby wyjednać znośniejsze warunki życia — był prostym żołnierzem i mieszkał w koszarach. Wszystkie miasta poczynając od Elizawetgradu, miasteczka i wsie były ex-niemieckie (Niemców wysiedlono na Syberię), przez Niemców zbudowane i czyniły wśród tych stepów egzotyczne wrażenie. W Tokmaku było mnóstwo fabryk i kilka banków, wszystkie budynki kryte czerwoną dachówką, o białych ścianach. Ale blokco było rosyjskie, takiego nie widziałem nawet u nas w Barze. Na głównym placu przed bankami w świetle łukowych latarni elektrycznych pływały w olbrzymich kałużach stada kaczek.

Szukając w Kijowie ratunku dla Huby natknąłem się na Wienicysława Dersevilla, syna mojego sąsiada z Popówki. Miły ten młodzieniec, malarz obecnie przebywający w Paryżu, dekował się w jakiejś organizacji tyłowej. Byłem u niego w biurze, gdzie na stole, na stosach papierów, spał inny dekownik Antoni Białkowski, historyk. Nic mi nie mogli doradzić, ale za to oddali pod moją opiekę dwu malarzy, którzy spędzali byli lato w jakimś dworze na Litwie i od Niemców uciekli razem z gospodarzami aż do Kijowa. Tutaj tułali się mieszkając pod podłogą w Teatrze Polskim. Zabrałem ich obu i umieściłem w pustym dworze w Hucie, gdzie już w ogrodzie ukrywał się sztundysta Mielnik oraz mieszkał z żoną i synkiem wysiedlony z Galicji nauczyciel Bel-

* Oddział jego otoczony przez Turków musiał się poddać i podczas chwilowego zawieszenia broni Wacio wyjechał nagle na swym aucie z szeregu i pędem zajechał przed front turecki. Ten czyn odwagi ocenił dowódca frontu Wehib-Pasza i wziął go na swego szofera.

czyk. Stara Cambarotowa (wdowa) gotowała im jeść, w ogrodzie i sadzie mieli w bród warzyw i owoców, kąpali się w stawach. Obdarcy byli, sprawiłem im tedy płócienną ubrania i obuwie z łyka lipowego. Zarośli, zdziczeli i malowali całymi dniami — wydobyli z szaf zapasy płócien mojej Matki i zamalowali ich z pół kilometra. Że to się sнуło wszędzie, szukając widoków, trzeba ich było zameldować, dałem im tedy konie, kopertę z listem i włożonymi 50 rublami i posłałem do Serbinowicz do stanowego (naczelnik policji). Napisałem, że to są wysiedleńcy bez dokumentów, że starszy Kraśnik Zdzisław (dziś wybitny akwarelista) liczy 48 lat wieku a młodszy Krasowski 16 lat. Powrócili zrozpaczeni i oświadczyli, że są zgubieni, bo stanowy poznał się na kłamstwie i zapytał: „Który z panów ma 48 a który 16 lat?”. Uspokoiłem ich. Kraśnika po roku musiałem jednak, tak jak i Hubę, oddać do tyłowej organizacji jako specjalistę od tartaków (!) a Krasowski musiał znów ukryć się pod podłogą teatru i z czasem został dekoratorem teatralnym a nawet aktorem.

Jesienią 1915 roku zajechał do Winikowicz autem, po drodze do Winnicy, znany mi ziemianin z Paszkowicz pod Płoskirowem, Rosjanin Kisielow, młody i mówiący dobrze po polsku. Był u nas na obiedzie i omówiliśmy się, że kiedy będzie wracał tą samą drogą do Płoskirowa, zabierze mnie tam na zebranie Syndykatu. Nazajutrz więc jechaliśmy przez Latyczów tą samą drogą, lasami rządowymi i hr. Markowa, którymi w dzieciństwie wędrowałem z Matką na odpust. Droga była fatalna, pełna błotnistych jam i wybojów, szliśmy tedy pieszo i znacznie wyprzedziliśmy auto. Czekając na nie usiedliśmy już na wyjeździe z lasu na rowie i paliliśmy papierosy. Przed nami rosła puszysta matowozielona rozeta naparstnicy (*Digitalis purpurea*), pokazałem ją Kisielowowi i powiedziałem jak zbierałem z Matką naparstnicę do naszej domowej apteczki. Zapomniałem zupełnie o tej podróży, kiedy w rok potem w lipcu 1916 roku, zajechała przed ganek pocztowa bryczka z dzwonkiem, wyskoczył z niej urzędnik, wpadł do mego gabinetu i już od progu zasypał mnie pytaniami: czy to ja jestem Stanisław syn Huberta, czy wiem gdzie rośnie digitalis, czy nie mylę się co do jej wyglądu (pokazał mi kolorową rycinę w atlasie) czy nie mógłbym się podjąć dostarczenia tej rośliny itp. Okazało się, że jest to kierownik jakiejś stacji aklimatyzacyjnej na południu Rosji (Zieliński, Rosjanin, głupiec), któremu polecono z Petersburga odnaleźć mnie i za moim pośrednictwem zbadać, gdzie na Podolu rośnie dziko naparstnica. Skąd do mnie trafiono? — Otóż odbyła się w Pitrze pod przewodnictwem wariata księcia Piotra Oldenburskiego, kierownika wszystkich spraw zdrowotnych armii narada nad tym, jak zara-

dzić brakowi najniezbędniejszych środków leczniczych m.in. naparstnicy, która sprowadzana była z Bawarii. Liście tej pięknie kwitnącej rośliny zawierają niczym nie dające się zastąpić w niedomaganiach serca glukozydy, ale tylko gdy rośnie w stanie dzikim, pielęgnowana w ogrodach dla ozdobnych purpurowych kwiatów, traci swoje własności lecznicze. Wiadomo było (choćby ze Szmahlauzena „Flora jugozapadnoj Rossiji”), że naparstnica rośnie dziko na całym południu Rosji w strefie lasów liściastych, ale nikt się zbieraniem na większą skalę nie zajmował, bo i po co? — Wszak pracowity i akuratny Niemiec dostarczał jej na cały świat*. Po radzie petersburskiej rzucono się do wydobycia jodu z wodorostów morza Czarnego dla zastąpienia modnej wówczas przy leczeniu ran jodiny oraz do poszukiwania dziko rosnącej naparstnicy. Poszukiwania te nie dały rezultatu i wtedy przypomniano sobie opowiadanie obecnego na radzie Kisielowowa o mnie i o naparstnicy w lasach Łatyczowskich. Na próżno tłumaczyłem przysłanemu do mnie urzędnikowi, że od czasu kiedy Szmahlauzen pisał swoją książkę a ja zbierałem naparstnicę minęło kilkadziesiąt lat niszczenia przez pastuszków i wydeptywania przez bydło pięknej rośliny, a następnie, dla celów zapewne demagogicznych, z wybuchem wojny obecnej rząd dozwolił włościanom paść wszędzie w lasach rządowych, jedynych gdzie mogła się jeszcze biedna naparstnica uchować. Zresztą czas jej kwitnienia dawno minął i trudno będzie znaleźć pojedyncze rozety. Nie pomagała żadna perswazja, rwał się jechać w lasy twierdząc, że jeżeli znajdziemy bodaj parę egzemplarzy, wezwie pomocy wojska, otoczy kordonem las itp. Nazajutrz była niedziela, urządziłem wielką wyprawę na cały dzień do lasów Łatyczowskich, schodziliśmy w kilku ogromne przestrzenie — na próżno. Zielinskij jeździł jeszcze parę razy sam i wreszcie zrozpaczony odjechał. — Z kwiatem tak samo jak z godnością człowieka — nie można go deptać bezkarnie. Zamiera i żaden rozkaz najpotężniejszego państwa go nie wskrzesi.

Wojna, chociaż toczyła się w sąsiednim Wołyniu i w Galicji, bezpośrednio nie dawała się nam odczuwać. Czasami, w ciche dni zwłaszcza, pod wzgórzem lub lasem zabłaka się słabe krótkie echo dalekiego stuknięcia lub przeciągłe łomotanie powietrza, a nocą pogodną wyskakiwały niekiedy z dalekiego horyzontu świetlne fontanny rakiet. Życie utrudnione wprawdzie i odarte

* Zresztą na to aby pielęgnować na przestrzeni całego kraju jakąś roślinę w stanie dzikim potrzebny jest pewien poziom kulturalny ludności lub przynajmniej wiekami uświęcone tabu jak u nas zabraniające zabijania np. jaskółek lub bocianów. W Bawarii, jak widziałem, przy spręcie siana kosiarz starannie obkasza różne cenne trawy i rośliny, żeby się wysiewały.

z wdzięku i radości płynęło zwykłym trybem. Po wakacjach (1916) Maria z Pawełkiem pojechała do Kijowa a ja nazajutrz po ich wyjeździe wstałem raniutko, poszedłem jak zwykle boso karmić ryby a po śniadaniu wziąłem kosę i w ogrodzie obkaszałem rabaty kwiatowe. Chciałem powrotem do prostych zajęć domowych oderwać się i odpocząć od ciągłych rozjazdów i gorączkowej działalności publicznej, a zarazem zapełnić pustkę osamotnienia po wyjeździe Marii i Pawełka. Zmęczwszy się koszeniem poszedłem w pole, tuż za folwarkiem żniwiarka kosiła bobik. Zacząłem iść za nią i wciąż zmieniając w niej kolejność zarzucających skrzydeł obszedłem kilka razy z nią pole szybkim krokiem. Za którymś razem uczułem, że mi nogi miękną, ciężko mi oddychać i świat mi zakotył się i popłynął ze mną. Parobek jeżdżący na żniwarce zobaczywszy że leżę na ziemi wyprzął szybko konia i poleciał do dworu po ratunek. Złożono mnie na drabinę od woza i przeniesiono do domu. Na piersiach miałem ciężar, który mi tchnąć nie dawał. Ratował mnie miejscowy felczer Żukowski, posłano konie po doktora. Był to pierwszy atak sercowy, od którego poczęła się moja niedola. Pomimo leżenia ataki duszności powtarzały się, przyłączył się do nich bezwład kiszek i ogólne wyczerpanie. A przy tym leżałem sam w domu. Nie pamiętam już kto i w jaki sposób odwiózł mnie do Kijowa. Leczył mnie dr Januskiewicz (późniejszy rektor uniwersytetu wileńskiego) oraz wezwani przez niego na konsylium profesorowie — interniści Obrazcow i Janowski. Stan mój był wciąż ciężki, przy lada ruchu ręką lub pochyleniu się przy myciu powtarzały się ataki — unieruchomiono mnie więc w łóżku, a potem przeniesiono do lecznicy dr. Werbskiego. Tam poznałem d'Arsonval'a, kąpiele elektryczne i gazowe. Rano siedziała przy mnie Maria, po południu przychodzili kolejno Pawełek i Jarema (bratanek), który chodził tu do Szkoły Handlowej. Leżąc w absolutnej bezczynności i milczeniu nauczyłem się sposobu opanowywania dolegliwości: przypominałem sobie wszystkie wiersze jakie kiedykolwiek znałem i to zajęcie pochłaniało moją uwagę jak łamigłówka, lekarze bardzo chwalili ten mój wynalazek. Następnie dyktowałem po cichu Pawełkowi moje wspomnienia z lat dziecińczych i ta współpraca z ukochanym synem była dla mnie wielką radością. Gdy zdarzył się jakiś drastyczny szczegół, Pawełek wołał: — Aj, Tusi, Tusi! Może tego nie pisać! — Tak zapisaliśmy całych dwa kajety, szkoda że zginęły w Winikowcach, bo już tak nie umiałbym napisać. — Ponieważ choroba moja się przeciągała i nie widać było znaczniejszej poprawy, przeniesiono mnie do lecznicy dr. Dejczy leczącego diatermią i kąpielami gazowymi. Ten mądry naukowiec sam asystował przy

wszystkich zabiegach i on mnie postawił na nogi, tak że w lutym zacząłem już przy pomocy Pawełka uczyć się chodzić po ulicy. W takim stanie zastała mnie radosna wieść od abdykacji cara i o „bezkrwawej” rewolucji w Petersburgu. Widziałem ulice wypełnione radosnym tłumem i pierwszego zaraz dnia przeciągający pochód niosący olbrzymi czarny krzyż drewniany i śpiewający rewolucyjną pieśń „Wy żertwoju pali w borbie rokowej”. Były to urządzone przez eserów wspominki po poległych w walce z caratem bojownikach. Na drugi zaś dzień przeciągał ulicami inny pochód Ukraińców, który niósł na czele portret Tarasa Szewczenki i hetmana Połubot’ka zamęczonego w więzieniu petersburskim. Niesiono mnóstwo transparentów z napisami, m.in. był i napis: „Chaj żywe wilna i wetyka Ukrajina wid Karpat do Kubani”. Na to jeden z dwu stojących przy mnie Rosjan patrzących z ironią na pochód zauważył: *Apetit choroszij*. — Oczywiście był gdzieś około kościoła i polski pochód, którego nie widziałem. W ogóle te pochody „narodowe” robiły na mnie nieprzyjemne wrażenie, czułem bowiem, że mijają się z celem, gdyż budzą w obcych i obojętnych widzach swą wyłącznością nacjonalistyczną niechęć a nawet nienawiść. Tak samo wstrętne mi były emblematy narodowe noszone na piersi — orzełki, trójkęby itp. Z tego akcentowania różnic narodowościowych zrodziły się potem pogromy Polaków, Ukraińców, Żydów.

Odwiedził mnie kiedyś w lecznicy sąsiad mój Derseville z Popówki, który jadąc do Lityna wstąpił po drodze do Winikowiec, nocował tam i dowiedziawszy się o mojej chorobie przyszedł zdać mi sprawę z tego co widział. Wszystko tedy jest w porządku, Gotwald gospodaruje energicznie, gościł go uprzejmie i musi przyznać, że tak smacznej marynowanej cielęciny nigdy nie jadł jak ta, którą go uraczono. Kiedy wróciłem po prawie półrocznej niebytności do domu, zobaczyłem, że wszystkie cielęta zostały zjedzone przez Gotwalda i jego gości, których podejmował hojnie w moim domu. Pozawiazywał stosunki i przyjaźnie z równie ciemnymi figurami, z którymi prowadził różne handle i spekulacje, m.in. z popem Winikowieckim, starym wygą Krywickim, któremu np. młócił parówką żyto na folwarku. Tych wszystkich wiadomości dowiedziałem się stopniowo od służby, nie wolno mi było wszakże irytować się więc milczałem, coraz niechętniej patrząc na to panoszenie się rudego galileusza. To go rozzuchwaliło, poczynął sobie jak gdyby był panem, nie odróżniając co moje, co jego i prowadząc wciąż jakieś tajemnicze geszefty. Wreszcie dowiedziałem się, od łanowego Michałka, że Gotwald z jeńcami obchodził się okrutnie, zamykał się pojedynczo z winowającą w spichrzu i bił nahajem. Ta niegodziwość

austriackiego oficera względem bezbronných i bezprawnych towarzyszy broni przepełniła miarę mojej cierpliwości. Kiedyś przy obiedzie podczas jakiejś obojętnej rozmowy gospodarskiej nagle wybuchnął nie mogąc pohamować nienawiści i pogardy. Uderzyłem dłonią w stół i krzyknąłem: Won z mego domu! Pan oficer zerwał się i wyszedł. Tegoż dnia odjechał i więcej się z nim nie spotkałem. Ale do końca wojny grasował w naszej okolicy wspierany przez zdobytych okradaniem mnie nowych przyjaciół, z którymi prowadził jakieś podejrzané handle. Przy padkiem dowiedziałem się już w niepodległej Polsce, że Gotwald wyrósł na Pinińskich na zamożnego ziemianina, miał dzierżawy, dom we Lwowie itp. Ten w Polsce czasu nie tracił, szachrował i bogacił się.

Z powodu moich niedomagań i trudności komunikacyjnych z Kijowem postanowiliśmy, że Maria powróci do Winikowiec a Pawełek będzie kończył gimnazjum w niedalekiej Winnicy. Miałem tam znajomy dom mojego adwokata Franciszka Ciągłińskiego, zacnego, dzielnego i poczciwego człowieka, z którym zbliżyłem się ponadto na gruncie wspólnych przekonań demokratycznych, należał bowiem do tzw. Centrali Demokratycznej (związek kilku ugrupowań demokr.) w Kijowie, do której wciągnęli mnie podczas mojego półrocznego tam leczenia się. Ciągłiński ożeniony był z Włoszką, córką Artura Wołyńskiego, miał dwoje dorastających dzieci, syna Henryka i córkę Emilię, a także wychowanka małego Józia, syna służącej. Zgodzili się przyjąć Pawełka na stancję.

Nękało mnie nieodstępne przecucie, że bez względu na to kto zwycięży czeka nas kataklizm społeczny. Potwierdzały to wrażenia z moich nieustannych wędrówek kolejną, rozmowy z jadącymi na wojnę i wracającymi wojskowymi, zwłaszcza rozmowy z coraz liczniejszymi dezterterami, wreszcie ton pism i beczelna ślepa głupota rządzącej góry. Przewidywałem, że nadejdzie dzień, kiedy będę musiał opuścić dom i wszystko co posiadam, lekko-myślnie bowiem zasnułem sielankę na kraterze wulkanu. A ziemia już dygotała od podziemnych wstrząsów. Żeby zabezpieczyć tedy rodzinę na tę chwilę i dać jej dach nad głową, kupiłem na imię żony posiadłość na przedmieściu Lityna składającą się z ogrodu, sadu i obu domów murowanych nad Bohem przy szosie wiodącej do Winnicy. Żeby zaś mieć na pierwszy początek co jeść, zwierzyłem się z moimi przewidywaniami Samiile i uprosiłem go, żeby wraz z kooperatystami porobili sobie z mojego spichrza, pod pozorem nasion do siewu itp. zapasy zboża, którymi będą mnie czy moją rodzinę karmić w razie potrzeby. — Chaos panujący w stolicy i w głównej kwaterze odbił się i na

naszej administracji: któregoś dnia przyjechał do mnie nasz nowy sprawnik, głupi pocziwiec, który nie wiem czemu poczytywał mnie za bardzo mądrego i oświadczył, że otrzymał rozkaz ewakuowania powiatu w głąb Rosji, ma już spakowane wszystkie instytucje rządowe i musi im towarzyszyć. Prosi tedy o przechowanie do jego powrotu dwu piesków pekińczyków, Szango i Tango. Ten dygnitarz powiatowy, który twierdził, że brak dróg i błota są najlepszą obroną przed Niemcem, obecnie był zupełnie upadły na duchu, puścił farbę i rozrzewnił się. Cały wieczór opowiadał nam swoje życie — żałuję że nie było stenografa! i na podstawie jakiegoś jego opowiadania przewaliśmy go „Burczyk”, dlatego nazwiska zapomniałem. Po miesiącu pieski zabrał, ale na swoje stanowisko już nie wrócił. I słusznie, był niedołęgą, a czas nadchodził okrutny.

Tymczasem korzystając ze względnej swobody jaka zapanowała przy Rządzie Tymczasowym ks. Lwowa, Polski Komitet Wykonawczy na Rusi zwołał do Kijowa na 18-24 czerwca 1917 roku zjazd przedstawicieli organizacji polskich, w którym wzięło udział 552 delegatów reprezentujących 233 organizacje (zob. aneks „Sumariusz Zjazdu”). Od Centrali Demokr. w Winnicy pojechałem do Kijowa z Ciąglińskim i Staniewiczem. Zjazd ten mający powziąć uchwały dotyczące jedynie miejscowych spraw ludności polskiej na Ukrainie od pierwszego zaraz dnia już w obradach komisji „politycznej” (!) pod przewodnictwem zacieklego endeka Joachima Bartoszewicza przeistoczył się w pole ostrej walki politycznej za sprawą niepoczytalnego i zachłannego fanatyka Stanisława Grabskiego, który przyjechał z Francji z misją utworzenia po tej stronie frontu rządu endeckiego i wojska polskiego przeciwko legionom i osobie Piłsudskiego. Przeprowadził on przez komisję polityczną wnioski o charakterze partyjno-politycznym, przekraczające kompetencje zjazdu. Przeciwko tym wnioskowi wystąpił blok demokratyczny popierany przez PPS, która się nie odzywała. Szczegóły tej walki podane są w Nrze 2 z 6 lipca 1917 *Demokraty Polskiego*, wydawanego w Kijowie przez Jana Ursyn-Zamarajewa (załącz.). Dla pamięci przytoczę tu tylko moje przemówienie jako jednego z 3-ch generalnych mówców przeciwko wnioskowi Grabskiego:

„Przemawiam za przyjęciem wniosku Bloku Demokratycznego, albowiem ma on na celu usunięcie spod obrad niniejszego zjazdu wszystkich drażniących i zaognionych kwestii politycznych, które ostatnia doba postawiła na porządku dziennym a które wnosząc roznamiętnienie zmącić mogłyby jedność i zgodność, tak niezbędne w naszej pracy organizacyjnej. Jednocześnie wniosek Bl. Dem. ograniczając kompetencje Pols. Komitetu Wykonawczego na Rusi w sensie niewkraczania w dziedzinę polityki narodu i państwa polskiego jak gdyby ostrzega przed powtórzeniem błędów przeszłości, usuwa

na zawsze straszliwe upiory, oczyszcza drogę do odnalezienia nareszcie, po tylu latach rozbicia, istotnej racji stanu jednolitego wolnego państwa polskiego. Bo jeśli słuszne jest twierdzenie, że żywi pozostają pod władzą umarłych, to tu na ukrainnych kresach twierdzenie to nabiera zaiste groźnego znaczenia. Tu bowiem wylęła się i utrzymała swoją tradycję nielicząca się z wolą narodu i rządu eksterytorialna polityka możnowładców, którzy na własną rękę bądź tworząc alianse, bądź 'chodząc' to na Moskwę, to na Wołoszę, to na Turków, Tatarów czy Kozaczyznę — siali rozprzężenie i burze zgubne dla państwa. Aczkolwiek ze strony nieistniejącego dziś możnowładztwa nie grozi żadne niebezpieczeństwo, chciałbym jednak podkreślić, że pewne partie polityczne po tej stronie kordonu, dążąc do stworzenia poza granicami rdzennej Polski surogatów rządu, siły zbrojnej i polityki 'ogólnonarodowej', ulegają prawu retrospekcji dziejowej, tj. bezwiednie wlewają treść współczesną w przeżyte formy warcholstwa kresowego. Wojna wszechświatowa wstrząsnęła posadami świata — umarłe zdawało się na zawsze sprawy i zagadnienia ożyły nagle, rozwarły się zapomniane groby. I tu, na Ukrainie, wstały z kurhanów złowrogie cienie i poszły wałęsać się wśród nas. I przypominają nam ze wczasy, kiedy nie były jeszcze cieniami — tak samo jak dziś twierdzono, że nie ma kogo słuchać, że w Warszawie rządu nie ma, że można go tedy stworzyć wszędzie, gdziekolwiek się zechce... Ależ Panowie, jeśli czujemy się Polakami i jeśli ta cała nasza polskość posiada jakikolwiek sens i walor, to tylko dlatego, że gdzieś daleko — w tej chwili za lasem bagnetów — istnieje nasza gorąco miłowana Ojczyzna, że tam właśnie z niesłychanym mozolem, wśród nieprzewidywanych trudności zbiorowym wysiłkiem w s z y s t k i c h warstwach narodu dźwiga się na ziemi polskiej zrab niepodległego państwa z rządem narodowym.

Przyjęto tu przed chwilą jednogłośnie rezolucję nawołującą do jedności. Dla Bloku Demokratycznego jedność ta nie jest czczym frazesem, przykrywającym częstokroć majoryzowanie mniejszości. Blok Dem. rozumie jedność tak, iż jest to jedność z krajem i narodem, posłuch względem jego woli uosobionej w Rządzie, jedność polityki ogólnonarodowej. Dlatego twierdzimy, że dźwigający się do niepodległego życia państwowego naród może i powinien prowadzić jednolitą politykę tylko na własnej ziemi i że wszelkie stwarzanie odrębnego eksterytorialnego ogniska takiej polityki jest dla polskiej racji stanu groźnym niebezpieczeństwem".

Polityczne wnioski Grabskiego większością 2/3 głosów endecków i delegatów różnych niepolitycznych stowarzyszeń filantropijnych, towarzyskich, zawodowych, sportowych itp., kierowanych i podleganych przez obecnych na zjeździe księży, zostały uchwalone pomimo rozpaczliwych wysiłków demokratów. Gdy wreszcie rozzuchwalony tym powodzeniem, zięjący nienawiścią Grabski z mównicy pozwolił sobie na oskarżenie nieobecnych na zjeździe działaczy demokratycznych, Lednickiego i Starczewskiego, o germanofilstwo a wskazując na naszą lożę nazwał nas sługami Niemiec (na co mu krzyknąłem: — Łesz, pacholku Bobrinskiego!) a przewodniczący zjazdu Zdzisław Grocholski nie przywołał mówcy do porządku — Blok Dem. po krótkiej naradzie złożył oświadczenie na piśmie i ostantacyjnie opuścił salę. Za nim wyszli przedstawiciele PPS. Wszyscy, którzy w liczbie 120 opuścili zgromadzenie (działo się to o 1-ej w nocy), zebrali się

nazajutrz rano w teatrze „Studja” Stanisławy Wysockiej. Prawie całodzienne pertraktacje z delegatami zjazdu o powrót nasz na zjazd nie dały rezultatu. Natomiast pozytywnym wynikiem naszych obrad było ostateczne usytuowanie się Centrali Demokr., której prezesem zostałem ja, a wiceprezesem Eugeniusz Starczewski. Drugim pozytywnym wynikiem naszego opuszczenia zjazdu było utworzenie się konserwatywnego Stronnictwa Pracy Narodowej (SPN = „Spanie narodowe”) z Januszem Radziwiłłem, Wacławem Grzybowskim i Stanisławem Horwatem na czele, którzy dotąd szli w ogonie endencji. O dalszych losach Centrali Dem. i Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi będzie mowa w następnych rozdziałach. Teraz zanotuję sobie dla pamięci nazwiska członków naszej Centrali, z których większość już nie żyje: Baraniecki Marian†, Bromirski Józef bank.†, Ciagliński Franciszek adwokat†, Flach Józef literat, Garztecki Tadeusz literat, Grocholski Ludgard ziemianin, Knoll Roman adwokat, Klinger Ludwik adwokat†, Lewenstam Ludomił dziennikarz, Mickiewicz Mieczysław adwokat†, Miłkowski Eugeniusz adwokat†, Niedzielski Marian adwokat, Poczetowski Julian adwokat†, Redlich Włodzimierz adwokat†, Rozenbach Kazimierz handlarz†, Rudnicki Walery adwokat, Staniewicz Antoni adwokat, Starczewski Eugeniusz historyk†, Stempowski Stanisław ziemianin, Swederski Walery inżynier, Świętosławski Wojciech chemik, Trzeciak Leon adwokat†, Ułaszyn Henryk lingw. prof., Ursyn-Zamarajew Jan literat†, Waligórski Karol inżynier†, Żaboklicki ziemianin.

Kiedy po długiej chorobie uczyłem się w Kijowie chodzić wsparty na rękę Pawełka, ktoś przywiózł mi wiadomość, że brat mój Tadeusz wyzwolony przeze mnie i dr. Stawińskiego z wojska, został mianowany Komisarzem Rządu Tymczasowego na powiat Lityński. Przywieziono mi nawet dwa numery pisemka wydawanego oczywiście przez miejscowych żydków pod rozczulającym tytułem „Zwiozdoczka” (gwiazdeczka) — co za smak! — i w którym była opisana intronizacja Tadeusza, entuzjazm ludności (żydowskiej) i pochód przez miasto z portretem Kiereńskiego. Dziwiłem się tej nominacji, gdyż brat nigdy żadną działalnością publiczną się nie interesował. Przypuszczam, że spotkało go to nieszczenie za mnie nieobecnego, ale on wziął tę nominację na serio i żeby wykonywać swe nowe obowiązki przeniósł się na mieszkanie z Hubertowa do Lityna, gdzie wynajął piękną willę z ogrodem — przeniósł się z całym dworem. Był próżny, piastowanie najwyższej władzy w powiecie łechtało jego ambicje, bo właściwie nic nie rozumiał co się dokóła niego dzieje i nic nie robił, chodząc jednak co dzień akuratanie ze swej willi

do urzędu. Żydzi zaś entuzjazmowali się nim i nie było popularniejszej osoby w mieście.

Kiedy wróciliśmy z Marią i Pawełkiem z Kijowa, chociaż byłem jeszcze niezupełnie na siłach musiałem wrócić do swoich dawnych obowiązków publicznych — czas był taki, że w domu siedzieć nie było można. Właśnie zwołane zostało ogólne zebranie nowego ziemstwa zreformowanego drogą rewolucyjną: prócz dawnych członków cenzusowych weszły nowe żywioły, prawie motłoch uliczny w postaci przedstawicieli partii politycznych, wojska (!), miasta (!), instytucji społecznych itp. ludzi nic z ziemstwem nie mających wspólnego. Wszedłszy na salę zdumiony byłem widokiem tej tłuszczy wypełniającej salę po brzegi oraz licznej galerii widzów. Z dawnych członków-ziemian nie widziałem nikogo. Nie wiem czyj to był pomysł, ale powołano mnie przez aklamację na przewodniczącego, sekretarzem został sędzia śledczy Mantulak, młody, inteligentny i jako miejscowy dobrze orientujący się w ludziach i sprawach. Przy mnie po obu stronach usiedli dwaj marynarze świeżo z Kronsztatu przybyli — Korpaczow i Słobodianiuk. Jako insygnia władzy wręczono mi laskę do uderzenia w stół przy udzielaniu głosu i duży dzwonek pocztowy do uciszania sali. Mówców było co niemiara, każdy chciał mówić — polały się wezbrane falą oklepiane frazesy i ogólniki, wyrażające radość z nowego porządku rzeczy albo dosadną krytykę przeszłości. Mało kto mówił do rzeczy, ale trudno mi było krępować usta ludzi, którzy dotąd skazani byli na milczenie. Znaleźli się na zebraniu i Żydzi, mówiący kwiecieście, ale źle po rosyjsku. Pamiętam zwrot polemiczny mizernego żydka Liw-szyca (pewnie esdeka): „*Choroszo wam goworit' czto wy naku-szany*” (Dobrze wam mówić gdy jesteście najedzeni!). Chłopi mówili po ukraińsku, początek dał marynarz Słobodianiuk, który ze swadą oratorską nabytą zapewne na mityngach petersburskich opowiadał, jak znalazłszy się na nabożeństwie w języku ukraińskim nagle przejrzał i poczuł się Ukraińcem. — Wreszcie przystąpiono do wyboru zarządu ziemstwa (*Ziemszkaja uprawa*), różnych komisji oraz Komitetu Ziemskiego, do którego chłopi przywiązywali największą wagę, miał on bowiem według nowego prawa zarządzać polityką agrarną w powiecie czyli popularnie mówiąc „dzielić ziemie”. Wybory odbywały się dość oryginalnie: wywoływani kandydaci musieli wygłaszać po kolei przemówienia, w których wyliczali swoje zasługi — najważniejszą liczyło się siedzenie w carskim więzieniu — swoje przekonania oraz przynależność partyjną. Oczywiście wszyscy byli eserzy (socjaliści-rewolucyoniści), najpopularniejsza podówczas partia, do której należeli premier Kiereński i min. rolnictwa Czernow. Chociaż nie

wyglądałem żadnego przemówienia, gdyż pochłaniało mnie całkowicie kierowanie tak niesfornym i nieobytym z parlamentaryzmem zgromadzeniem, zostałem jednak wybrany jednogłośnie do Komitetu Ziemskiego z sześciu chłopami. Pamiętam że wtedy zbliżył się do mnie przedstawiciel armii, wysoki, chudy kornet o inteligentnej sympatycznej twarzy, nachylił się do ucha i powiedział: — „Jeżeli pan nie jest eserem, to marny pański los, nie zazdrościsz”. — Odrzekłem, że nie jestem eserem, ale mam nadzieję, że dam sobie jakoś radę. Potem spotykałem kilkakrotnie tego milczącego dryblasza i nawet zaprzyjaźniliśmy się. — Na pierwszym zaraz posiedzeniu organizacyjnym Komitetu chłopci wybrali mnie na prezesa i wiele trudu zużyłem żeby ich przekonać, że obszarnek nie może być prezesem Komitetu „dzielącego ziemię”, że to byłoby nawet nieprzyzwoite, służę im swoją wiedzą i doświadczeniem, jeżeli im tak o moją współpracę chodzi, dziękuję za zaufanie, ale prezesem musi być chłop i proponuję piśmiennego i energicznego gospodarza z Hołowczyniec (skąd rodem był słynny rozbójnik Karmaluk) Kozulę, przy którym będę chętnie sekretarzować. Na tymże posiedzeniu zdecydowaliśmy, że najpilniejszą rzeczą jest zaopiekowanie się i czasowe przejęcie przez Komitet majątków opuszczonych przez właścicieli, żeby uchronić je od rozgrabienia.

Było to wkrótce po załamaniu się ofensywy Kiereńskiego i po klęsce nad Stochodem. Siódma i ósma armie cofały się z pośpiechem z Bukowiny i Galicji na Podole, rozprzęgając się po drodze. Wzdłuż linii kolejowej i wielkimi drogami dzień i noc w tumanach kurzu płynęło uzbrojone mrowie ludzkie, eskortowane przez karne jeszcze oddziały kawalerii i kozaków, ciągnęły nieskończone obozy, lazarety, parki artyleryjskie. Manowcami przez lasy przemykały się oddziały dezertów, po wsiach zaroilo się od szynelów roznoszących wieść, że wojna skończona i czas robić porządek z „burżujami”. Mówiono o rozmaitych terminach kiedy ma być wyrzuć „burżuj”, jak to uczyniono już z oficerami na froncie. Czasem nie wiadomo przez kogo przyniesiona, a w przerażeniu powtórzona przez życzliwego chłopca, dochodziła wiadomość, że „coś idzie”, różnie i pali, równa z ziemią, że jest już niedaleko, tuż za lasem, najdalej w sąsiedniej wiosce... Po sprawdzeniu okazywało się, że nikt nic nie widział i nie słyszał — i do owej strasznej niszczycielskiej siły, która na nas szła i nie doszła, nie przywiązywaliśmy większej wagi niż do obiegającej okolicę bajki o gadającej krowie, która jakoby chodziła od wsi do wsi i zwiastowała cholerę. Oswojona z wszelkimi okropnościami wojny ludność korzystała z dobroduszenia z cudownej jesieni, aby ukończyć najpilniejsze gospodarskie

czynności: młócono, siano, kopano, zwożono, odstawiano z gorączkowym pośpiechem. Przed naszym dworem na rozległym dziedzińcu jarzyły się w jesiennym słońcu różnobarwnie w deseń ułożone kwiaty, przed gankiem, niby wspomnienie gorącego lata, już długie blade kwitły róże, w żółkniejących woskowymi listkami lipach świegotały jeszcze ptaki i zdawało się, że jest tak jak o tej porze zawsze być musi, że po jesieni przyjdzie zima, potem wiosna, ucichną strzały, powrócą ludzie...

Dzień 25 września (8 października) 1917 roku przeszedł spokojnie, nazajutrz był dzień Iwana Bohosława, zwyczajowo ostatni termin siewu oziminy („*Chto ne obsijawsia do Iwana Bohosława, toj ne wart dobroho słowa*” — mówi przysłowie ludowe). Kazałem tedy jeszcze dosiać żytem kawałek kartofliska. W nocy obudziło mnie stukanie do okna mojego pokoju. Usiadłem na łóżku: ktoś łomotał czymś twardym w ramę okienną — okna były wysoko i ściana pod nimi opleciona pnącymi różami. Namacąłem na szafce browning, ostrożnie otworzyłem lufcik i wyjrzałem w ciemności rozświetlonej jakąś mdłą mrugającą poświatą stał pod domem człowiek a opodal białął siedzący pies. — Kto tam? — zapytałem. — „Proszę otworzyć”. Poznałem głos starego Bienieskiego. — Co się stało? Skąd o tej porze? — „Proszę wyjść, to pan zobaczy”. Zatrwożyła mnie intonacja głosu. Narzuciłem coś na siebie i wyszedłem na ganek. Na schodach jak porzucony łachman siedział stary ekonom z dubeltówką a przy nim wyżeł. — „Niech pan wyjdzie na drugą stronę domu — Hubertów się pali, a może już i Huta”. Zbiegłem ze schodów. Zaraz za węglem istotnie zobaczyłem, że cała zachodnia połowa nieba, zapchana kłęбами dżdżystych obłoków, rozświetlona była wysoką łuną dalekich pożarów. Szare cielska obłocznych potworów to połyskiwały idącym od ziemi odbłaskiem i wtedy widać było groźne pomiędzy nimi pustki i otchłanie, to — jak gdyby czając się — zapadały w ciemność. Rozproszone w mglistym przestworzu mdławie światło zdawało się kołysać i mrugać to nasilając się, to gasnąc. U spodu, na niewidzialnej linii horyzontu spoza nagiego wzgórza od czasu do czasu wyskakiwał, jakby tańcząc, biały język płomienia właśnie w punkcie, gdzie leżały gorzelnia i folwark brata. Stamtąd też płynął nieustanny, w leniwych podmuchach wiatru jakby wzdychający pogwar, przerywany niekiedy wybuchami granatów, to wesołym trajkotem kulomiotów. Na lewo spoza lasu od strony Owsianik — gdzie jak mówiono z wieczora nocował jakiś sztab — nalatywały nierównymi falami dźwięki orkiestry wojskowej. Tyle razy z tego samego miejsca obserwowaliśmy dalekie odbłaski nocnych bitew nasłuchiwalismy odgłosu armat, że jeszcze nie rozumiałem no-

wego sensu nasuwających się z mroku dźwięków i świetlnych zjawisk.

Wróciłem na ganek, wprowadziłem Bienieskiego do pokoju i zapaliłem lampę. — „Może mi pan da jaką koszulę, bo moja cała mokra” — ozwał się stary ekonom. Spojrzałem nań i klasnąłem w ręce: stał przede mną cały utyłtany w błocie, dzwoniąc zębami od przeszywających go dreszczów, z włosami zlepionymi od potu, który brudnymi strugami spływał po zbiedzonej twarzy. Rozebrałem starego, wytarłem szorstkim ręcznikiem, dałem suchą bieliznę i położyłem na kanapie nakrywszy pledem. Wnet zapadł w martwy sen. Ale powiedział mi już wszystko. Jeszcze za dnia gruchnęła po wsi pogłoska, że żołnierze rozdają spirytus z gorzelni w Hubertowie i kto żyw spieszył tam z naczyniem. Z posłanych przez Bienieskiego na zwiady nikt nie wrócił, sam zaś on bał się wydalac z folwarku, gdyż coraz więcej obcych podążało przez folwark ku gorzelni. Wieczorem spostrzegł, że po zadaniu obroku koniom zniknęła służba i część jeńców. Od strony Hubertowa dolatywały coraz częstsze odgłosy strzałów i niemilkące wrzaski. Wpadł tedy do siebie — mieszkał we dworku poza folwarkiem — kazał żonie pakować rzeczy i dalszą drogą przez las, żeby uniknąć wsi, jechać do Winikowiec i zawiadomić mnie o tym co się dzieje. Sam zaś wziął strzelbę, gwizdnął na wyżła i postanowił stróżować na folwarku. Ale kiedy zobaczył łunę nad Hubertowem i kiedy przez spichrz zajechało kilka furmanek z pijanymi żołnierzami wykrzykującymi: — Hej, a u kogo klucze?! — zrozumiał, że nie ma co tu robić, trzeba uciekać i mnie zawiadomić. Idąc w ciemności bez drogi przewrócił się kilka razy i zabłocił. — „Niech pan ani minuty nie zwleka, proszę spakować co potrzebniejsze i z panią wyjechać. Lada chwila i moja żona powinna tu być”. Z tym zasnął. — Poszedłem obudzić Marię — było nas tylko dwoje w domu, Pawełek był w Winnicy. Opowiedziałem co się dzieje, prosiłem żeby się wzięła do pakowania, gdyż pewnie wyjedziemy. Sam tymczasem obszedłem dom i pozapalałem światła we wszystkich pokojach. W ciszy nocnej stały jak na ostatniej rewii czcigodne, niemal wrośnięte w podłogę, polerowane dłońmi kilku pokoleń meble. Niedorzeczną wydała mi się myśl, że mam tu coś wybierać, coś pakować, gdzieś odjechać... Nie było czasu na rozmyślanie — żona uczyni co zechce. Musiałem spieszyć, było już po pierwszej. Miałem żal do starego ekonomy, że tak łatwo porzucił wszystko. Cóż mu groziło? Powinien był zostać. Co innego gorzelnia. I ona ocalałaby, gdyby w swoim czasie, jak o to błagałem urzędy, pozwolono wypuścić spirytus.

Wyszedłem na podwórze i gwiznąłem na stróża nocnego —

był to jeniec spod Krakowa, mój zaufany Janek Tarnawski. Przybiegł, zasalutował po wojskowemu — na folwarku wszystko było w porządku. Kazałem żeby na świtanie były dla mnie gotowe konie, gdyż pojedę do Huty. — Za stawem na wsi ciemno było i cicho. Mżył chwilami drobny jak mgiełka deszczyk. W nawisłych nisko chmurach to dźwigała się w górę, to opadała łuna. Od czasu do czasu z mroku wypływał odgłos dalekiej wrzawy. Muzyka za lasem wciąż grała.

Wróciłem do swego pokoju, pootwierałem biura, kasę, szafy, i zasiadłem do porządkowania papierów. Kwity rekwizycyjne, za które należała mi się od rządu spora suma pieniędzy, dokumenty majątkowe i osobiste odkładałem od razu do rozwartych na podłodze walizek. Potem szły pamiątki z szuflad, pótek i ścian; wreszcie bielizna, i odzież. Co miało zostać przeglądałem systematycznie i odkładałem na miejsce jak zwykle przy dorocznych porządkach. Skończywszy poszedłem do Marii. Wszędzie stały już pootwierane kosze, kufry i paki, ale pakowanie snąć nie szło. Zastałem Marię w stołowym pokoju przy oknie wpatrzoną w mrugającą w ciemności łunę. — „Czy to naprawdę koniec? Jeżeli tak, to nie wiem co człowiek opuszczający dom ma zeń zabierać ze sobą. Wszystko albo nic. Nie wiem co mam robić, chodzę z pokoju do pokoju, żegnam się...” Pocałowałem ją w rękę. Ze jednak trzeba było porozkładane kosze komuś napęłnić nie budząc wśród służby popłochu, poszedłem zawołać do pomocy żonie jeńca Alojzego Hanzla, który mieszkał we dworze i pełnił funkcję mleczarza.

O brzasku zbudziłem Bienieskiego i pojechaliśmy na Hutę. Ranek wstał mglisty i zapłakany, konie ślizgały się, Bienieski siedział na bryce markotny i zawstydzony. Żeby mu dodać otuchy, wskazałem na mijane kartoflisko, na którym kilka wozów zaczyszczało łęciny i dobierało z kopców resztki kartofli. — Do wieczora kazałem jeszcze ten kawałek zasiać pszenicą. Już trochę za późno, ale musi być wszystko obsiane. — Z niepokojem wypatrywałem, kiedy ze wzgórza odsłoni się daleki widok na bagnisty rozdół rzeczki, nad którą leżała moja Huta i dalej Hubertów z gorzelnią. Ale doły zasnute były gęstą mgłą, z której chwilami pociągał odór spalenizny. Nie można było nic rozpoznać. Jechaliśmy w milczeniu. Nie spotkaliśmy po drodze żywego ducha, dopiero za laskiem spuszczać się ku grobli Huciańskiej zobaczyłem pędzący wóz. Poznałem dworskie konie i jeńca. Kazałem stanąć i usłyszałem relację: żołnierze, których pełen jest folwark, kazali im ładować zboże z rozbitego spichrza i wieźć na wieś; zrzucił tedy przy pierwszej chacie swój ład-

nek, zaciął konia i ucieka do Winikowiec. Widział po drodze, że dwór już plądrują. Szukają wszędzie pana rządcę — dodał. Teraz stary Bienieski spojrzał na mnie z wyrzutem. Kazałem zawrócić konie i jechać z powrotem. Gdy mijaliśmy znów kartoflisko, na którym już chodziły czteroskibowce i brony, kazałem dozorczy przerwać robotę, zaraz zaprząć wszystkie konie do wozów i być w pogotowiu do wywożenia rzeczy. Zapadło we mnie już postanowienie i ogarnęła gorączka pośpiechu. — Przed dworem zastałem stojącą bryczkę wyładowaną rzeczami. Właśnie dopiero przed chwilą przybyła, krążąc manowcami, żona Bienieskiego i opowiadała o okropnościach, które się działy w Hubertowie. Kazałem obojgu starym natychmiast jechać do Lityna, gdzie wkrótce się spotkamy. Lecz nastrój paniczny, dzięki tym głośnym opowiadaniom Bienieskiej czy informacjom chłopaka który ją przywiózł, już się udzielił służbie. W domu były tylko dwie służące, kucharka i pokojówka, obie rodem z Huty. Usłyszawszy co się tam dzieje były gorączkowo pakować swe węzłki i prosiły, żeby je odesłać do domu. Podmuchał wtedy daleki już gasił nawet ognisko kuchenne! — Teraz już po kolei zajeżdżały przed ganek wozy parami i jeńcy wynosili spakowane przez Hanzla kosze i juki i zaraz odjeżdżały do Lityna. Na każdym wozie był owies i wszystko przykryte było sianem dla koni. Ekspediowaniem kierował Hanzel. — Była godzina ósma. Kazałem i sobie zaprząć do powozika. Zaledwie usiedliśmy z żoną do śniadania, gdy przez drzwi od ogrodu wpadła zdyszana ogrodniczka Katra i oznajmiła nam, że coś niedobrego dzieje się dokoła folwarku, zewsząd ciągną i snują się kupki jakichś żołnierzy. Poleciałem jej by natychmiast pobiegła do mieszkającego tuż za parkiem diad'ka Samiły i powiedziała mu, że bardzo go proszę, aby zebrał jak najwięcej gospodarzy i przyszedł z nimi na folwark, sama zaś aby już nie odchodziła od żony dopóki nie wyjedziemy, a w razie potrzeby żeby wyprowadziła żonę na wieś. Po czym poleciłem pozamykać na klucz wszystkie wejścia do domu i czekać mojego powrotu.

Wyszedłem na ganek. A był to ostatni już czas. Od folwarku, który stał opodal na górze, szła ku domowi szara grupa żołnierzy z długimi kijami w ręku. Szybko ruszyłem na ich spotkanie, żeby nie dopuścić do domu. Spotkaliśmy się w połowie obszernego dziedzińca. Pozdrowiłem ich i zapytałem, z czym przychodzą. Odpowiedzieli, że są głodni. Spojrzałem po nich: wszyscy byli młodzi, głacy, rumiani. Uderzyła mnie zuchwałość ich spojrzeń połączona z zaciekawieniem i wyczekiwaniem, jak gdyby dokonywali jakiegoś ryzykownego eksperymentu. Poza tym wszyscy mieli luźno puszczane kurtki żołnierskie bez zwykłego

rzemiennego paska, co oznaczało bunt przeciwko wojskowej dyscyplinie. — „Na głód łatwo poradzić — rzekłem. — Chodźcie ze mną, każę was nakarmić”. — Prowadziłem ich na folwark, byle dalej od domu. Wciąż zabiegali mi drogę przyglądając się i potrząsając kijami. Przez trzy bramy wchodziły coraz to nowe grupki żołnierzy. — „A po co nosicie te kije?” — Spytałem. — „*Sobak bit*” (Na psy) — odrzekli znacząco patrząc na mnie. Czekałem kiedy spadnie z tyłu pierwsze uderzenie i ogarnął mnie beztroski spokój, rodzaj cichej ekstazy, której doznają zapewne prowadzeni na śmierć, kiedy mówi się o nich potem, że umierali z godnością. Dowiedziałem się potem dlaczego włos mi wtedy z głowy nie spadł: oto wywiadowca ich, przysłany o świacie, widział odjeżdżającą od ganku wyładowaną bryczkę z Bieneskimi i doniósł, że „burżu” uciekł, a mnie żołnierze uważali za ekonoma.

Kazałem w kazarmie zastawić stoły czeladne chlebem, serem, słoniną, mlekiem i co było z gotowego jadła u gospodyni. Gumiennemu kazałem wykonywać wszystkie żądania żołnierzy, otworzyć magazyn i spizarnię, gdyż powiadali, iż chcą i dla głodnych towarzyszy wziąć coś do jedzenia. Chodziło mi o zaprząpienie ich uwagi grabieżą folwarku i o odciągnięcie ich od domu. Udało mi się wreszcie samemu oderwać od nich — idąc ku domowi słyszałem za sobą krzyk mordowanego drobiu, kwiczenie wieprzy i kilka strzałów karabinowych — to zastrzelono buhaja Szwyca. Mijając mleczarnię, gdzie dziewczęta skończyły właśnie robienie masła, widziałem kilku żołnierzy jak rękami nabierali ze stołu masło i kładli je do poły kurtki. — Już z daleka zobaczyłem stojących przed gankiem moich kooperatystów, a parkiem widać było spieszących kto jak mógł — na przełaj, grupami i pojedynczo — odzianych w ciemne świtki włościan. Serce ścisnęło mi się radością. Oto szli towarzysze i świadkowie moich dwunastoletnich zmagañ i prac, prawowici gospodarze tego kraju. W tym spotkaniu z rozpasanym żywiołem moskiewskim ich sąd i zachowanie obchodziły mnie tylko i tego sądu byłem pewien. Przyspieszyłem kroku, pozdrowiłem ich, podziękowałem że się stawili na moje wezwanie a wskazując za siebie na folwark, skąd leciały już wrzaski i odgłosy żołdackiej gospodarki i widać było plądrujące szare postacie, powiedziałem:

— „Oto stało się, co wam nieraz przepowiadałem, że jeśli wojna dotoczy się do naszej wsi, ja pierwszy padnę jej ofiarą. Dziś dotoczyła się i oto co się dzieje. Już rabują i ja nie mam mocy nic na to poradzić. Mówią, że głodni. Kazałem ich nakarmić. Ale spójrzcie na ich kwitnące spasionie mordy. Kłamią. To

już nie wojsko, lecz banda grabieżców. Zniszczą folwark, a jeśli nie odejdą stąd prędko — zniszczą i was. Przyjrzyjcie się ich rękom — białe jak u próżniaczych panienek. To nie ludzie pracy a petersburskie żuliki. Nie mam tu już nic do roboty, a patrzeć na to co tu wyprawiać będą — ciężko mi. Słyszeliście już pewnie co tej nocy z Hubertowem i Hutą zrobili... Chcę za chwilę odjechać, folwark i dom zostaną bez gospodarza. Zostaną na waszej pieczy. Wy jedni możecie nie pozwolić niszczyć. Jeżeli wrócę podziękuję wam. Jeżeli nie wrócę, to wszystko wasze zostanie". — Chłopi milczeli, spoglądając na gromadzących się po drugiej stronie dziedzińca żołnierzy, którzy na widok coraz to wzrastającego tłumu chłopów nad czymś radzili. Czas nagle. Poprosiłem, żeby kilku gospodarzy weszło ze mną do domu, Samiżle zaś szepnąłem, żeby czymś zajął żołnierzy, urządził mityng i nie dopuścił ich do dworu. Z sześciu gospodarzami przeszedłem po kolei przez wszystkie pokoje pokazując im, że wszystko zostawiam na ich opiece, wywieziono tylko odzież, bieliznę, pościel itp. niezbędne drobiazgi moje i mojej rodziny. Klucze, jak widzą, włożone są do wszystkich zamków szaf, komód, bufetów, biurerek, stołów, żeby można było wszystko otworzyć nie psując zamków, kasa ogniotrwała również otwarta pokazałem jak ją otwierać i zamykać, skarbów w niej nie ma. Jeżeli nie wrócę, rad będę gdy wieś z dworu i z tego co w nim zostaje w sposób rozumny będzie korzystać — przeniesie tu szkołę, bank, sklep, zrobią dom ludowy. Widzieliście tu pokój zastawiony półkami pełnymi książek, są przeważnie w polskim i obcych językach i nikomu tu nie będą potrzebne a ja zbierałem je całe życie — i wdzięczny wam będę, jeżeli je zapakujecie w paki i odeślcie mi tam gdzie będę. Pożegnałem ich serdecznym uściskiem ręki, byli poważni i wzruszeni tak samo jak i ja. Gdy wypuszczałem ich przez ganek, na środku dziedzińca stała już improwizowana trybuna, z której przemawiał rudy żołnierz po rosyjsku, wyrażając pięściami w stronę dworu. Zwarty tłum chłopów stał przy dworze osłaniając go od ciżby żołnierskiej — z uczuciem wdzięczności poznałem przezorną strategię Samiży. Prosiłem gospodarzy, żeby mi teraz umożliwili wyjazd — niepostrzeżenie sprowadzili zaprzężony powozik do parku i mnie zawiadomili, kiedy mogę wyjechać. Tymczasem oddałem Hanzlowi kilkaset rubli na wypłaty jeńcom i służbie. Miałem 4-ch zdemobilizowanych już starszych żołnierzy — chłopów z Kieleckiego, którzy nie mogli przedostać się do domów i do końca wojny służyli u mnie — miescili się we dworku, gdzie dawniej mieszkał ekonom Studziński. Kazałem im powiedzieć, żeby pod pozorem iż należą się im ode mnie pieniądze zabrali parę koni

i wóz z uprzężą, krowę, zboża z magazynu ile wlezie. To samo mieli uczynić łanowi.

Kiedy skończyłem z Hanzlem wpadła od ogrodu Katra, przyniosła mi resztę kluczy od żony i powiedziała, że przebrała ją w swój strój i że oczekuje ona na mnie na wsi, żebym ją zabrał o ile wyrwę się z łap sołdackich. Podziękowałem tej zacnej duszy, słuchała mnie spokojnie kiedy mówiłem o tym, że opuszczamy Winikowce nie wiem na jak długo. Między oknami w moim gabinecie wisił duży metalowy barometr. Chciało mi się zostawić Katrze jakąś pamiątkę, powiedziałem tedy, że jako ogrodniczka powinna wiedzieć naprzód kiedy będzie padać deszcz. Napisy były francuskie, więc objaśniłem, że kiedy czarna strzałka idzie na prawo, to będzie pogoda, a na lewo — deszcz. — „Zapamiętaj dobrze”. Zdjąłem ze ściany i podałem jej lśniący przyrząd. — „Masz, weź, to na pamiątkę ode mnie”. Kiedy dotknęła zimnego metalu, nagle zakryła drugą ręką twarz, zatrzęsa się od łkań. Dopiero zrozumiała namacalnie, że los mój i tego świata, zdawało się niepożytego, jest w tej chwili przesądzony. — Zastukał do drzwi Samiło, że konie już są na dole w parku i że czas mi jechać. Objęliśmy się, ucałowali jak rodzeni bracia i przez galerię zbiegłem do parku. Potem dostałem się do wsi, zabrałem po drodze Marię i ruszyliśmy przez wieś drogą do Lityna. Na lewo widać było na wzgórzu za Wielkim stawem unoszące się gęste kłęby dymu nad Grabkową i nawet płomień nad pałacową wieżą. Pod stromy pagórek we wsi konie szły stępa i zobaczyłem, że tuż przy skrzydle powozu idzie Tanaska, siostra Makara Kanderąła. Obróciłem się do niej i usłyszałem ciche i nieznaczne ostrzeżenie, że za wsią na wyjeźdnym żołnierze urządzili na mnie zasadzkę. Kiwnąłem głową na znak, że słyszałem i że jej dziękuję. Wnet odeszła. Nie było innej rady, trzeba było jechać naprzód i jak najprędzej wydostać się ze wsi. Za ostatnimi chatami droga gęsto obsadzona wierzbami spadała w dół do mostka. Kazałem Kaczorowi jechać ostro z góry, schowałem Marię poza sobą i odsunąłem w browningu zabezpiecznik. Pędem wpadliśmy na mostek i pod wierzbami zobaczyłem żołnierza snąć postawionego na czatach, jak przywoływał gestami swych dwu towarzyszy zajętych rozbijaniem mojej skórzanej walizy o jakie kilkadziesiąt kroków od drogi. (Jak się później dowiedziałem, zdjęli ją z jadącego przed nami szarabana — i to nas ocaliło). Broni na szczęście żaden nie miał, więc puścili się biec za nami wołając: Stój! Stój! — Odjechalśmy parę kilometrów. Za groblą na pagórku pod lasem kazałem stanąć, żeby wytchnęły zmodylone konie. — Obejrzyj się na Winikowce — rzekłem do Marii — może ich już więcej nie zobaczymy. —

Domu naszego nie było widać i nie dolatywały do nas żadne odgłosy. W niebieskawej mgiełce oddalenia pod wypogodzonym już niebem jesiennym rozrzucona na wzgórkach ogromna wieś, tonąca w żółkniejących już sadach, zdawała się cichą i szczęśliwą przystanią. — W lesie spotkaliśmy gospodarza z Sowinego-Majdanu, który był od swojej wsi delegatem do naszej Kasy Spółdzielczej, czytał przez okulary, lubił cytować teksty z Biblii i o klientach, którzy siadywali w więzieniu za przestępstwa kryminalne, mawiał na naszych poufnych naradach dyskretnie: był w klasztorze (*Buw w manastyri*). Powiedziałem mu dokąd i dla czego jadę i prosiłem, żeby zaszedł do dworu i oddał Hanzlowi kartkę, którą tuż napisałem po niemiecku.

Po godzinie byliśmy już w Litynie. [*Ustęp pisany wtedy na gorąco ołówkiem na kartce:*] „Nieduża powiatowa miłościna literalnie zapchana już była ludźmi, końmi, wozami i gratami. A jednak wtaczały się wciąż chyłkiem bocznymi uliczkami coraz to nowe bryki i wozy, wypełnione uciekającymi z pogromów rodzinami okolicznych dziedziców, oficjalistów dworskich i dzierżawców. Przybysze z minami winowajców, częstokroć w cudacznych strojach jak na maskaradzie, na próżno pytali o zajazd lub kwatere, unikając głównej ulicy i rynku, gdzie całymi dniami stały szare kupki dezertów i wszelakiej hołoty, rozwydrzone i zaczepne, w obłokach ćmionych „cygarek” i wypływanych „siomuszek”. — Usłudni żydkowie idąc na spotkanie naglącej potrzeby, stworzyli na poczekaniu ruchome biuro informacyjne w postaci podbiegających do każdej nowej bryki meszuresów. — „To i państwo już! Aj, aj, co te szelmy wyrabiają!” — witali niemal radośnie i jakby na pocieszenie dodawali: — „I panowie z Kozuchowa już jest, i z Majdanku, i pani Starsza z Łuki z dziećmi... We wtorek grafa powieźli do Winnicy, a pan Marian stoi u Duwida... może pan chce zobaczyć? Ale stancji nie ma nigdzie, ja tylko po znajomości mogę pokazać „czastny” pokój... A tego posesorze z Łuki na śmierć zabili! Pan nie wie, gdzie się wczoraj paliło?”

(c.d.n.)

Stanisław STEMPOWSKI

W nrze 21 Zeszytów Historycznych (1972) zamieściliśmy nieopublikowany fragment *Wspomnień St. Stempowskiego* pt.: „Ukraina 1919-20”. Odwrocona kolejność druku wynika stąd, że ten fragment był napisany na maszynie, a drukowany obecnie trzeba było przepisać z bardzo nieczytelnego rękopisu. (REDAKCJA).

PRZYCZYNKI HISTORYCZNE

ZE WSPOMNIENÍ O WALERYM SŁAWKU

(Z LISTU BOGUSŁAWA MIEDZIŃSKIEGO DO
WŁADYSŁAWA POBÓG-MALINOWSKIEGO)

UWAGI WSTĘPNE TADEUSZA ŚWIĘCICKIEGO

Tekst poniższy jest obszernym fragmentem listu do Wł. Pobóg-Malinowskiego, którego II tom „Najnowszej Historii Polski” właśnie się był ukazał i wywołał ostrą polemikę na łamach prasy polskiej w Londynie. Zarzuty dotyczyły zwłaszcza podanej przez Malinowskiego charakterystyki Walerego Sławka.

Odpowiadając na zapytania Malinowskiego, Miedziński wskazuje mu przede wszystkim na mylne przedstawienie niektórych spraw.

W pierwszej części tego listu Miedziński wskazuje, że cały ustęp „Historii” o mianowaniu Śmigłego po śmierci Piłsudskiego Generalnym Inspektorem Polskich Sił Zbrojnych przedstawia sprawę zupełnie nieprawdziwie.

Nie było żadnej Rady Gabinetowej, ani żadnego głosowania na niej nad nazwiskami Śmigłego i Sosnkowskiego. Według nowej Konstytucji sprawa nominacji Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych należała do prerogatyw Prezydenta Rzeczypospolitej i nie wymagała kontrasygnaty. I Prezydent po porozumieniu się ze Sławkiem jako premierem mianował Śmigłego¹. Obaj wy-

1. To sprostowanie Miedzińskiego do II-go tomu „Historii” mogę potwierdzić jako świadek bezpośredni. Do 3-ej rano byłem wtedy w Prezydium w bezpośrednim kontakcie ze Sławkiem. Wyjeżdżając o północy do Prezydenta Sławek powiedział mi, abym zaczekał na jego powrót, bo będę miał do dania komunikat do PAT'a. Po powrocie kazał mi dać komunikat o nominacji Śmigłego, dodając dla mnie komentarz, że wojsko nie może przecież pozostawać ani jednego dnia bez Wodza. W owych dniach żyliśmy wszyscy

chodzili z założenia, że wojsko nie może ani jednego dnia pozostawać bez Naczelnego Wodza.



List poniższy nie jest bynajmniej zarysem sylwetki Sławka. Jest na pewno w szeregu punktach jednostronny. Nie obrazuje jakże ujmujących cech charakteru i zachowania się w stosunku do ludzi, co tak pięknie i trafnie oddał Janusz Jędrzejewicz w swym gorącym sercem pisanym wspomnieniu o Sławku, zamieszczonym w tomie wspomnień pt. „W służbie idei”.

Tekst obecny jest obszernym fragmentem listu nieprzeznaczonego i nie opracowanego do druku, a odpowiadającego na zapytania Pobóg-Malinowskiego. Pod fragmentem tym widnieją literki „c.d.n.”.

Tego „dalszego ciągu” nie znaleźliśmy w papierach pozostałych po Bogusławie Miedzińskim. Nie wiemy, czy miał on dalej mówić o Sławku, czy też o innych sprawach i pomyłkach w II-gim tomie „Historii”. Nie wiemy, czy w ogóle został napisany.

Miedziński nie pisze o ostatnim okresie prac Sławka. O jego planach „Powszechnej Organizacji Społecznej”, która miała oprzeć cały ustrój państwowy i społeczny na wyłanianych lokalnie i regionalnie elitach, złożonych z ludzi o najlepszych walorach moralnych. Zaczątki tych planów widać już w ordynacji wyborczej do Sejmu i Senatu, która jednak — w swych konsekwencjach, na skutek bojkotu wyborów przez całą opozycję, dała Sejm kadłubowy. Sławek we wszystkich tych swych planach chciał odwoływać się do wartości moralnych, do najlepszych elementów natury ludzkiej. Był pod tym względem bezkompromisowym idealistą². Jego wizja tej Polski, jaką chciał

w rozpaczliwym napięciu nerwów. Pamiętam, że następnego dnia późnym wieczorem Sławek zwołał mnie i powiedział, że Prezydent pragnie, aby mu przygotować tekst przemówienia na Wawelu i abym spróbował go napisać. Zeszedłem do swego biura, męczyłem się daremnie przez dwie godziny i poszedłem do Sławka z powrotem, by mu powiedzieć, że nie jestem w stanie napisać przemówienia, które ma być wygłoszone nad trumną Komendanta. Sławek przyjął to do wiadomości, jako rzecz zrozumiałą i zapytał, kto — jak myślę — umiałby takie przemówienie napisać. Przyszło mi wtedy do głowy jedno tylko nazwisko: Janusz Jędrzejewicz. Gdy po powrocie Sławka z Krakowa zapytałem go, kto napisał tekst Prezydentowi, Sławek odpowiedział: — „Świtalski. Prezydent zwrócił się do Świtalskiego”.

2. Przed wyborami do Sejmu i Senatu we wrześniu 1935 roku, Sławek, który już poprzednio apelował do wyborców, aby wysunęli zgodnie kandydatury ludzi najbardziej zasługujących na wybór postanowił raz jeszcze zabrać głos. Dwa wieczory z rzędu wzywał mnie do siebie, ni to dyktując tekst, ni to mówiąc tylko, co chciałby powiedzieć. W drugiej rozmowie chciał wyrazić zadowolenie, że apel jego został rozumiany i że kandydatury wewnątrz dawnego obozu BBWR są ustalane w atmosferze tak zgodnej i rzeczowej. Zwróciłem mu na to uwagę, że nie wszędzie tak jest, i że w Lubelskiem,

zorganizować, zmierzała do przekształcenia moralnego, do przemienienia po prostu społeczeństwa i państwa.

Jest nawet rzeczą dziwną, że ten dawny socjalista, który uczestniczył w międzynarodowym ruchu socjalistycznym i rozumiał istnienie walki klas w społeczeństwie — w swej wizji nie liczył się z istniejącymi ruchami społecznymi, nie liczył się z istniejącymi w rzeczywistości polskiej takimi realnymi siłami, jak np. związki zawodowe przemysłowe i rolne.

Ta przyszła Polska Walerego Sławka nawiązywała nie do „Polski Szklanych Domów” Cezarego Baryki, maszerującego na czele manifestacji robotniczej na Belweder, ale raczej do idealnej, Norwidowej „Polski przemienionych kołodziejów”.

Po konfliktach z Prezydentem i ze Śmigłym, uważając za niedopuszczalne podejmowanie przeciw nim walki, Sławek stanął wobec zamkniętych przed nim wszystkich dróg do realizowania zadania, które uważał za swe naczelne i ostatnie zadanie w pracy dla Polski.

To była jego ostateczna klęska.

Tadeusz ŚWIĘCICKI

Bogusław MIEDZIŃSKI

... Zanim przejdę do propozycji konkretnych poprawek, dotyczących zarówno Sławka, jak Śmigłego, chcę Pana zapewnić, że — zdaniem moim — może Pan być zupełnie w sumieniu swoim spokojny co do tego, że charakterystyka Pańska obu tych postaci jest słuszna i sprawiedliwa. Chodzi więc tylko bądź o dokładniejsze ujęcie pewnych zdań i zwrotów, lub o dopełnienia takie, które zapobiegłyby wprowadzaniu czytelnika w błąd przez krytyków, bądź występujących ze złą wolą, bądź liczących na naiwność czytelników.

Zgodnie z życzeniem Pańskim, zarejestruję tu szereg moich wspomnień.

Specyficzna rola Sławka w pracach Komendanta zarysowała się już wyraźnie w latach przed wojną 1914 roku. Już wówczas Sławek odgrywał rolę specjalnego powiernika Komendanta i — jak sądzę — świadomie nie występował w ówczesnym życiu politycznym na własną rękę. Ani razu nie przypominam sobie, aby w tak licznych wówczas dyskusjach i sporach bądź dotyczących

w Zagłębiu Dąbrowskim, a nawet w Wilnie toczą się ostre walki a nawet gorszące spory o to, kto ma kandydować. Sławek zaniepokoił się. „Co wy mówicie? Takie rzeczy się dzieją?” Przerwał dalsze dyktowanie, czy też rozmowę i odłożył dalszy ciąg na dzień następny. Nazajutrz rano miał dłuższą rozmowę z ministrem Spraw Wewnętrznych Składkowskim, po czym zawołał mnie i powiedział, że nie będzie przed wyborami ogłaszał żadnego oświadczenia.

kryzysów w PPS, czy też szerszej roboty politycznej w granicach skonfederowanych stronnictw niepodległościowych, Sławek zabierał głos. Natomiast każdy z nas wiedział, że jeśli ma się jakieś wątpliwości, lub potrzeba było instrukcji, to należy się zwracać do Sławka w Krakowie, lub do Sosnkowskiego we Lwowie. Z tą jednak różnicą, że Sosnkowski często rozwijał swoje własne poglądy i własną argumentację, wyjaśniając politykę Komendanta, Sławek zaś komunikował po prostu instrukcje Komendanta. Każdy z członków ZWC, wyjeżdżający do zaboru rosyjskiego, lub powracający stamtąd, wstępował po drodze do Sławka w Krakowie, otrzymując od niego informacje i wskazówki potrzebne do działania w zaborze rosyjskim, lub składając mu sprawozdanie po powrocie. Komendant był bowiem wówczas już tak zajęty nie tylko sprawami strzeleckimi i politycznymi, ale i pracowitym przemysliwaniem przyszłości, że — jak wszyscy rozumieliśmy — nie można było mu zajmować czasu pomniejszymi bieżącymi sprawami. Były to już zresztą czasy, kiedy każdy z nas — oprócz kilku zaledwie z najbliższych — czuł się onieśmielony wobec Komendanta.

Taką samą rolę odgrywał Sławek w Warszawie w okresie od października 1915 do lipca 1917 roku. Wydawałoby się, że Sławek a nie kto inny po wyjściu Moskali z Kongresówki nadawał się najbardziej na komendanta naczelnego POW. Wskazywało na to jego ogromne doświadczenie organizacyjne i konspiracyjne z czasów PPS, jak również autorytet który nadawało mu powszechnie znane, bezwzględne zaufanie Komendanta. Wobec podwójnego charakteru ówczesnej pracy POW — politycznego i wojskowego — on jako jeden z „parasolników”, a jednocześnie jeden z wtajemniczonych w przewidywania Komendanta, był oczywiście na to stanowisko kandydatem. A jednak Komendant zrobił naprzód krótką i nieudaną próbę z Żymierskim, a następnie mianował Kasprzyckiego.

Następnie Komendant napotkał — jak wiemy — na poważne trudności wśród swoich polityków w Warszawie, gdy poszedł na zerwanie z NKN-em i na niezależną politykę wobec nowych okupantów w zaborze rosyjskim. A jednak, gdy tworzył się Centralny Komitet Narodowy w Warszawie jako naczelną reprezentację polityczną lewicy niepodległościowej i Piłsudczyków w zaborze rosyjskim, Komendant nie wydelegował Sławka jako swego reprezentanta do CKN. Pozostawił reprezentację swojej polityki tam Sieroszewskiemu, M. Downarowiczowi i mnie, oraz kilku innym ludziom, dla „usztyniania” mazgaja Śliwińskiego i nieobliczalnych elementów, takich jak Thugutt. Dlaczego? Trzeba pamiętać, że aż do czasu dymisji Komendanta z Legionów i jego przybycia

do Warszawy łączność między Komendantem na froncie, a nami w Warszawie pozostawiała dużo do życzenia. Wiadomości, które otrzymywaliśmy z frontu w czasie, kiedy Komendant próbował przeprowadzić jednolitą politykę legionową, gdy odbywały się tam takie rzeczy, jak „rada pułkowników”, jak kryzys o odrębne odznaki i następny kryzys „dymisyjny”, otrzymywaliśmy wiadomości sporadyczne, często sprzeczne, przychodzące za pośrednictwem przejezdnych oficerów, lub planowo fałszywe, rozsiewane w Warszawie przez Departament Wojskowy i aktywistów. Z drugiej strony — Komendant od sierpnia 1915 roku nie mógł mieć pełnego zaufania do oficjalnego reprezentanta polityki naszej w Warszawie, jakim był Artur Śliwiński, prezes C.K.N. Chciał więc mieć kogoś, przez którego mógłby otrzymywać obserwacje z Warszawy pewne i bezstronne i przez którego też mógłby komunikować Warszawie swoje oświecenie zdarzeń i swoje instrukcje, bez obawy że zostaną przekręcone, a natomiast z zupełną pewnością, że przyjęte będą w Warszawie jako bezspornie odzwierciedlające jego zdanie. Do tej roli zarezerwował sobie Sławka. Nie powierzył mu zaś żadnej funkcji formalnej, tak jak Komenda Nacz. POW, lub prezesura CKN-u, dlatego że w takim wypadku — przy nieregularnej i rzadkiej łączności z Komendantem — każdy zajmujący takie stanowiska musiałby czasami brać na siebie zajmowanie stanowiska w tej czy innej sprawie i wtedy mogłaby się nasuwać wątpliwość, co robi on sam, a co z woli i rozkazu Komendanta. Wobec tego że Sławek żadnego formalnego stanowiska nie zajmował, w dyskusjach i debatach nie brał udziału, nie było żadnej wątpliwości, że jeżeli występuje w jakiegokolwiek sprawie, to jego słowa są przekazem zdania czy woli Komendanta. I istotnie tak było.

W przedwojennych czasach, ja, młodzik wówczas (w latach 1909-1914 miałem lat 18-23), który zresztą Sławkowi zawdzięczał osiągnięcie bezpośredniego kontaktu z Komendantem, wyobrażałem sobie, że Sławek należał do grona tych, z którymi Komendant przemyślał swoje koncepcje. Później dopiero zorientowałem się, że tak nie było. Nie był Sławek umysłem ani talentem twórczym w dziedzinie polityki, nie odgrywał też roli ani twórczej ani nawet współtwórczej (jak np. Sosnkowski) w pracy Komendanta na jej najwyższym poziomie; ale jeden z najpierwszych doszedł do przekonania, że Komendant do tego stopnia, tak niewspółmiernie przewyższa nas wszystkich potęgą swego umysłu, że szkoda czasu na wątpliwości, tylko należy po prostu pomagać mu w granicach sobie powierzonych, ze wszystkich sił swoich. To było mądre i piękne z jego strony.

Ale niezawsze rozumiał Komendanta, nawet po wielu latach

tak bliskiej z nim pracy. Najważniejszym tego przykładem jest (z lat 1928-1935) brak zrozumienia, że konserwatyści byli Komendantowi potrzebni dla celu raczej negatywnego: rozbicia endecji, że Komendant wcale nie zamierzał podporządkować państwowej polityki społecznej ich programowi; natomiast Sławek coraz głębiej „wsiąkał” w konserwatyzm, omal stawał się sam konserwatystą.

(Analizę pracy Sławka jako parlamentarzysty, czy szefa rządu, mogę Wam dać, jeśli to Was interesuje: krótko mówiąc nie wykazał on ani talentu, ani głębszej znajomości rzeczy w obu tych dziedzinach).

To co dotychczas pisałem nie zawiera dla Was oczywiście nic nowego. Ale na podstawie moich wspomnień ówczesnych muszę stwierdzić jedną rzecz:: nie pamiętam ani jednego wystąpienia Sławka w licznych wówczas (przed wojną) dyskusjach zasadniczych i programowych na tle tarć i opozycji, którą wciąż Komendant spotykał na tle swojej nowej polityki w starym środowisku partyjnym. Wszystkich tych rzeczy, które mi rzeczywiście wyjaśniały politykę Komendanta, dowiedziałem się z jego własnych referatów, lub z jego odpowiedzi w dyskusji z tymi, którzy tę politykę atakowali. Od Sławka zawsze otrzymywałem tylko konkretne instrukcje bieżące, czasem wyjaśnienia faktów — ale nic więcej. Do tego zastępu ludzi, którzy się wówczas wypowiadali w spornych sprawach programowych i ideologicznych, Sławek nie należał. Zapamiętałem też jeden moment, który mi nasunął już wtedy pewne wątpliwości. Gdzieś pod koniec roku 1911, lub na początku 1912, Sławek odbył rozmowę ze mną jako członkiem ZWC i powiedział mi, że zadaniem naszym w ramach Związków Strzeleckich jest asymilowanie do ideologii PPS tych kolegów-Strzelców, którzy do partii nie należą; tymczasem, obserwacje wykazują, że ten proces nie postępuje naprzód. Wobec tego należałoby aby ZWC-owcy rozwinęli więcej starań w tym kierunku. Otóż dla mnie wydawało się wtedy zupełnie jasne, że bynajmniej nie idziemy w kierunku używania roboty strzeleckiej dla celów partyjnych, ale przeciwnie, celowo wychodzimy poza początkowe ramy i staramy się o najszerszy zasięg naszej roboty. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości, zarówno na podstawie tego, co rozumiałem z wypowiedzi Komendanta, jak i z rozmów z Sosnkowskim. Nie przywiązywałem do tej sprawy początkowo większego znaczenia, ale w moim późniejszym myśleniu zarejestrowałem to jako jeden z dowodów, że Sławek nie zawsze rozumiał Komendanta, a przynajmniej nie nadążał w czasie za rozwojem jego koncepcji.

Gdy, już w czasie wojny, po odesłaniu mnie z frontu do ro-

boty politycznej i peowiackiej, wszedłem w ściślejszy kontakt z politykami naszego obozu, napotkałem w szeregu wypadków na wyraźne zdziwienie u nich, gdy przy takiej czy innej okoliczności wymieniałem nazwisko Sławka w znaczeniu autorytetu politycznego. Dla ludzi takich jak Jodko-Narkiewicz, Tytus Filipowicz, Leon Wasilewski, Ignacy Daszyński, Feliks Perl, Artur Śliwiński czy Franciszek Paschalski, Sławek jako polityk po prostu nie wchodził w rachubę. Traktowali go z wielką sympatią i z szacunkiem, ale nie zaliczali jego osoby do pozycji politycznych. Uważałem to za przesadę i dowód jakiegoś uprzedzenia do Sławka. A jednak, w roku 1922, gdy w czasie jakiejś podróży kolejowej, w której towarzyszyłem Komendantowi w zastępstwie gen. Jacyny, Komendant był szczególnie rozmowny i dawał charakterystykę rozmaitych postaci z przedwojennej polityki, i gdy zapytałem go z kolei o Sławka, Komendant zastanowił się przez chwilę, a potem powiedział: „Przecież Sławek właściwie nie jest polityk. On jest organizator. A jako organizator ma jedną, rzadko spotykaną zaletę: podejmuje się zrobić coś z niczego, nie rezygnuje przed żadnymi trudnościami, zdawałoby się nie do pokonania”. I tu Komendant opowiedział mi o początkach roboty bojowej i o tym jak Sławek, gdy nie było jeszcze broni ani amunicji, uważał, że kij jest też dobry i prowadził ludzi do wystąpienia przeciwko policji z kijami, jako jedyną bronią. „Sławek — powiedział Komendant — nie boi się nawet tej strasznej dla niektórych ludzi rzeczy — śmieszności”.

Po raz drugi mówił o tym samym ze mną Komendant w roku 1927. Zbliżał się już koniec kadencji starego Parlamentu i stała na porządku dziennym kwestia, czy i jak, mamy wziąć udział w wyborach. Sławek wówczas był przydzielony do Prezydium Rady Ministrów. Komendant polecił Bartłowi, aby przepracował to zagadnienie ze mną i ze Sławkiem. Odbiliśmy więc we trzech konferencję, na której Sławek wysunął projekt wystąpienia z własną listą wyborczą. Bartel zajął stanowisko bezwzględnie negatywne, twierdził że nie mamy żadnych szans, aby wejść do Sejmu jako poważny klub i z właściwą sobie impetycznością posunął się aż do twierdzenia (dosłownie), że jego zdaniem możemy liczyć tylko na jedno pewne miejsce w Sejmie, tj.: na jego wybór we Lwowie. Wróżył Bartel, że się po prostu „ośmieszymy”. Ja oczywiście nie posuwałem się tak daleko jak Bartel, ale miałem poważne wątpliwości czy zdołamy osiągnąć rezultaty, które nie byłyby raczej skromne. Z drugiej strony jednak, doszedłem do przekonania, że taktyka wprowadzania do Sejmu ludzi reprezentujących politykę Komendanta poprzez listy poszczególnych partii lewicy i centrum, nie wytrzymuje próby, jest zbyt

skomplikowana i prowadzi do konfliktów między zobowiązaniami wobec tych partii a ideologią własną, względnie polityką państwową Komendanta. Sądziłem zatem, że gra warta świeczki i że trzeba zaryzykować wejście do Parlamentu otwarte, pod własnym sztandarem. Opowiedziałem się więc za Sławkiem, przeciwko Bartłowi. Komendant akceptował nasz projekt. Bartel się podporządkował, choć nie był przekonany. W ten sposób powstał późniejszy BBWR. Wynik wyborów przyniósł nadszpiewany sukces, uznany jako taki nawet przez przeciwników. Mógł on przynieść znacznie większe rezultaty, gdyby nie konflikt z Daszyńskim o marszałkostwo Sejmu. Ale to już inna sprawa.

Gdy rozmawiałem z Komendantem bezpośrednio po wyborach, powrócił on przy tej sposobności do podkreślenia walorów Sławka, jako organizatora. Przypomniał mi pesymizm Bartla, wytknął, że ja też miałem wówczas kwaśną minę przy ocenianiu naszych szans, a Sławek — wbrew wszystkim smutnym prorocstwom — osiągnął swoje.

Zdaniem moim, dopiero ten wyczyn Sławka był wstępem i progiem do późniejszego powierzenia mu przez Komendanta premierostwa.

Cofnijmy się nieco w przeszłość. Po listopadzie 1918 roku, Komendant w dalszym ciągu — tak jak przed wojną i w czasie wojny — *nie wysuwał Sławka do polityki i rezerwował go sobie do specjalnych celów i do swojej osobistej dyspozycji*. Zrobił go początkowo szefem „Sekcji Politycznej Sztabu Gen. W.P.”. Ten uroczysty brzmiący tytuł był czystą fikcją. Sekcja polityczna Sztabu Gen. nie zajmowała się bynajmniej planowaniem polityki, ani uzgadnianiem celów wojskowych z resztą polityki państwowej. Zagadnienia polityczne załatwiał Komendant oczywiście z Szeptyckim wprost i nie potrzebował do tego Sławka, ani jego sekcji. W kilka miesięcy później, gdy przyszedł na miejsce Szeptyckiego Haller, nie zachodziła w ogóle potrzeba tego rodzaju. Wrócił do zdrowia Sosnkowski i zagadnienia polityczne związane z wojskiem załatwiał Komendant w Rządzie przez niego. Praca sekcji politycznej — jak mi scharakteryzował Sławek sam i jak się przekonałem na własnej skórze, gdy objąłem po Sławku stanowisko jej szefa — bardzo przypominała tę samą pracę, którą prowadził Sławek z ramienia Komendanta przed wojną w Krakowie. Z tą tylko różnicą, że odbywała się w Pałacu Saskim, a nie u Bizanca, czy w prywatnej kawalerce Sławka. Byliśmy po prostu podręcznym biurem informacyjnym dla wszystkich Piłsudczyków, wojskowych i cywilnych, którzy potrzebowali instrukcji i informacji, a — rzecz prosta — nie mogli iść po nie do Belwederu. Sławek więc, a później ja, odciążaliśmy Komendanta

szczególnie w pierwszych miesiącach niepodległości, zanim Sosnkowski nie powrócił do zdrowia ze śmiertelnej niemal choroby. Każdy przyjeżdżający przez Warszawę oficer, czy polityk prowincjonalny, każdy z naszych warszawskich ludzi, który przechodził przez Plac Saski, zachodził do sekcji politycznej i pytał się „co słyszać”, a następnie „co robić”. Była to w czasach tych niesłychanych komplikacji, jakie cechowały pierwsze miesiące niepodległości, placówka potrzebna i pożyteczna, ale na pewno nie można jej zaliczyć do wysokich stanowisk państwowych. Jedyne poważne w wysokim stopniu zadanie, jakie otrzymał wówczas Sławek od Komendanta, po odwołaniu go z „Sekcji Politycznej” to były pertraktacje z Petlurą i Ukrainą Naddnieprzańską, celem odciążenia ich od polityki wschodniogalicyskiej, wyperswadowania konieczności wspólnego oporu przeciwko bolszewikom i rozwinięcia przed nimi projektu sojuszu — w dalszej perspektywie federacji — przeciwko wspólnemu wrogowi. Do tej funkcji nie mógł użyć Komendant w ówczesnym stanie rzeczy ani czynników rządowych, ani MSZ, wobec mieszanego politycznie składu tych instytucji. Groziłoby to bowiem przedwczesną dekonspiracją, z ciężkimi ewentualnie konsekwencjami dla rządu czy to Paderewskiego, czy, później, Skulskiego. Potrzebował jednak Komendant człowieka poważnego i znanego z najbliższego do siebie stosunku; musiał rzucić na szale swój autorytet osobisty oraz autorytet Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza.

Nietyle więc ze względu na jakieś uzdolnienia polityczne czy dyplomatyczne, ile na inne personalne walory Sławka, jego Komendant do tej sprawy użył. Były to jak zawsze poprzednio trzy rzeczy: absolutna dyskrecja, gwarancja ścisłego wykonania zleceń Komendanta i pewność, że kontrahenci nie będą mieli wątpliwości, że mają rzeczywiście do czynienia z mężem zaufania Piłsudskiego.

Dla tej sprawy specjalnej pracował Sławek w roku 1919 i 1920. Nie jest dla mnie w moich wspomnieniach jasne, co robił Sławek w okresie bezpośrednio późniejszym, aż do upadku rządu Sikorskiego w roku 1923. W każdym razie, nie miał żadnego wybitniejszego stanowiska, ani też zadania o którym bym wiedział. W tym czasie, najbliższym współpracownikiem Komendanta był Sosnkowski, zaś dużo zadań powierzał Komendant w roku 1921 i 1922 mnie. Mówię tu o specjalnych zadaniach politycznych. Takich choćby, jak próba zorganizowania stałego politycznego i parlamentarnego współdziałania obozu Piłsudczyków ze stronnictwem Witosa.

Nie przypominam też sobie, aby w okresie Sulejówka Sławek odgrywał większą rolę. Nie brał udziału w tzw. „Koc-grupie”,

która była placówką zbiorową, uzgadniającą bieżącą taktykę Piłsudczyków, szczególnie *wojskowych*; była miejscem kontaktu i informacji dla wszystkich ośrodków prowincjonalnych. W mojej ówczesnej robocie parlamentarnej, w walce która wkrótce rozgorzała na tle Piłsudski-Sikorski i groziła poważnie oderwaniem znacznej części wpływów Piłsudskiego w stronnictwach lewicy na rzecz Sikorskiego, nie zauważyłem nigdy kontynuacji dawnych wpływów Sławka w tym środowisku. Od końca roku 1923 aż do maja na mnie raczej wyłącznie spadło zadanie prowadzenia polityki Komendanta na terenie sejmowym. Mam wrażenie, że Sławek zajmował się wówczas głównie utrzymaniem kontaktów ze środowiskami prowincjonalnymi wśród Piłsudczyków *cywilnych*; zauważyłem też, że był on — tak samo jak przed pierwszą wojną w Krakowie — skarbnikiem funduszy, pochodzących z rozmaitych ofiar oddawanych przez poszczególnych ludzi do dyspozycji Komendanta na cele polityczne. Raz, czy dwa w tym czasie brałem wraz ze Sławkiem udział w pewnych delikatnych misjach poleconych przez Komendanta jemu i mnie dla zbadania poszczególnych zagadnień, lub zreferowania Komendantowi, po zbadaniu, przydatności tej czy innej osobistości, która ofiarowała mu swoje usługi. W jednym, czy najwyżej dwu wypadkach, Sławek zjawił się na Hożej 22, przynosząc „Koc-grupie” specjalne zlecenia Komendanta. W żadnych jednak naszych dyskusjach co i jak robić Sławek nigdy udziału nie brał.

Trwała więc dawna sytuacja. Sławek, jako powiernik Komendanta, jako jego „ambasador osobisty”, używając nowoczesnej nomenklatury amerykańskiej; żadnej jednak roli kierowniczej i samodzielnej nie miał Sławek sobie powierzonej.

Nie wprowadził go też Komendant — gdy uzyskał po temu nieograniczoną możliwość, po maju 1926 roku — do rządu. Wszystko więc co napisaliście na ten temat, w tomie II, str. 579-580 i dalej, odpowiada rzeczywistości. Wasi krytycy wyzyskali tylko to — licząc głównie na ludzi którzy nie czytali całości — że nie wstawiliście dat, w których ta szczególna rola Sławka trwała; mianowicie aż do roku 1927. Tę poprawkę, jak sędzę, *należy wprowadzić*.

W myśl tego, co mówiłem poprzednio, zwrotem było dopiero zorganizowanie przez Sławka BBWR. Wprawdzie i wtedy, aż do 1930 nie powierzył mu Komendant ani szefostwa w rządzie, ani żadnego ministerstwa, ale może to być tłumaczone tym, że dla utrzymania solidarności tego bloku, obejmującego tak szeroki wachlarz polityczno-społeczny, potrzebny był na jego czele ktoś, kto ponad wszelką wątpliwość reprezentował autorytet Komen-

danta, ktoś o którym wiadomo było powszechnie, że nie dla siebie żąda posłuszeństwa, lecz dla niego.

Pierwsze premierostwo Sławka trwało niedługo i oczywiście miał on wtedy bezpośrednią i częstą łączność z Komendantem. Jego drugie premierostwo, które objął już w czasie śmiertelnej choroby Komendanta, i w przewidywaniu jego śmierci, miało już inny charakter i wszystko to, co na ten temat napisaliście, też odpowiada prawdzie z wyjątkiem pewnego braku precyzji w słowach, z którego również Wasi krytycy skwapliwie skorzystali. Napisaliście mianowicie, że wobec braku Komendanta do którego Sławek udać się nie mógł, „żadne sprawy nie były załatwiane”. Otóż, w pracach Rady Ministrów jest zawsze ogromna ilość spraw resortowych, lub dotyczących bieżących zagadnień władzy wykonawczej, a nawet projektów ustawodawczych niezbędnych dla tego czy innego ministerstwa, których załatwienie jest raczej sprawą rutyny i formy. Wiele z nich załatwia się przez tzw. kurendę, mianowicie Szef Biura Prezydium Rady Ministrów telefonicznie pyta wszystkich ministrów, czy ich ministerstwo nie ma zastrzeżeń przeciwko takiemu, czy innemu projektowi uchwały Rady Ministrów i jeżeli zastrzeżeń nie ma, to projekt posyłało poszczególnym ministrom do podpisu, nawet bez wnoszenia na porządek dzienny posiedzenia Rady Ministrów. Jeśli zastrzeżenia są, premier zarządza próbę uzgodnienia między zainteresowanymi ministerstwami; jeśli zaś uzgodnienie nie następuje — premier bądź odkłada sprawę, jeśli nie jest szczególnie pilna, bądź rozstrzyga spór przez swój, lub wicepremiera arbitraż. Tylko w sprawach szczególnie ważnych rzecz przechodzi na porządek dzienny Rady Ministrów i jest po dyskusji rozstrzygana w drodze głosowania (lub też kiedy premier nie chce brać rozstrzygnięcia na siebie).

Tak więc Schaetzel miał rację formalną, gdy mówi że mnóstwo spraw było załatwianych. Ilościowo na pewno tak było. Należałoby więc — moim zdaniem — wprowadzić w tym ustępie poprawkę, mówiąc „*żadne ważniejsze sprawy nie były załatwiane*”.

Trzeba wziąć jednak pod uwagę, że Sławek uważał wówczas swoje premierostwo za przejściowe; spodziewał się, będąc związany wolą Komendanta pod tym względem, że po wyborach przyjdzie elekcja, że przeprowadzenie z sukcesem zarówno wyborów do izb parlamentarnych, jak elekcji jest jego głównym zadaniem. Nie byłem wówczas w rządzie i — jak wszyscy politycy — przywiązywałem również główną wagę do przeprowadzenia tych dwu spraw. Jednakże Prystor, który — szczególnie w ciągu

drugiego roku swego premierostwa — wciągnął się już głęboko w zagadnienia rządzenia państwem, był niezmiernie zaniepokojony tym, co określił jako zupełny brak zainteresowania ze strony Sławka wszystkim innym oprócz wyborów. Tylko ci, którzy dokładnie znają stosunki wewnętrzne w „górze” piśsudczykowskiej, wiedzą że trwał stale pewien dystans między starszymi wiekiem, a młodszymi w tej grupie. Prystor np. zawsze uważał się za ściślej związanego pewną solidarnością ze Sławkiem niż z nami o 10 czy kilkanaście lat młodszymi. Dla mnie więc było rzeczą bardzo znamioną, że Prystor przyszedł do mnie podzielić się swym niepokojem o „bezczytność” Sławka i proponując mnie, żebym spróbował wywrzeć wpływ na tego ostatniego. Jak wiecie też, później, już po rozbiciu się naszego obozu między Sławkiem a Śmigłym, Prystor opowiedział się za Sławkiem. Jeżeli więc właśnie Prystor tak oceniał postępowanie Sławka w tym czasie, to trudno szukać bardziej wymownego świadectwa.

Nie warto więc nawet powoływać się na innych. Ale naprawdę wśród ludzi dobrze poinformowanych o stanie rzeczy wówczas, nawet najbardziej lubiących i szanujących Sławka, określenia takie jak „Sławek bez Komendanta to jak koń bez jeźdźca”, czy inne — nawiązujące do bezradności Sławka wobec tego, że Belweder jest już pusty — powtarzały się niemal codziennie.

Gdy się zebrał nowy parlament, kryzys w stosunku do osoby Sławka ujawnił się natychmiast. Nigdy za czasów mojej pamięci jego autorytet nie doznał takiej zniżki. I to zupełnie niezależnie od zagadnienia Sławek czy Śmigły, które wówczas jeszcze się nie zarysowało; nabrało ono ostrości dopiero później, gdy rzecz rozwinęła się w kierunku rozszerzenia autorytetu Śmigłego z wojska na politykę i na współrządzenie państwem. To przyszło dopiero w ciągu roku 1936. Natomiast, ludzie protestowali przeciwko jego postanowieniu rozwiązywania wszystkich poprzednich form organizacyjnych obozu Komendanta. Nie rozumieli do czego to prowadzi; nie znajdowali dostatecznego wytłumaczenia u Sławka, a tym mniej u jego ówczesnych najbliższych współpracowników. Taka była reakcja wśród bardziej ideowej i myślącej części; natomiast, wśród bardziej koniunkturalnych i oportunistycznie nastawionych ludzi zarysowało się inne, również negatywne w stosunku do Sławka, nastawienie. Wiedzano, że Sławek wszedł w konflikt z Prezydentem i z Kwiatkowskim i że konflikt ten przegrał. Stąd zarysowała się tendencja orientowania się na Kwiatkowskiego raczej, jako czynnik najbardziej decydujący w rządzie, niż na Sławka. Stąd więc próba zajęcia niezależnego stanowiska przez Sejm wobec rządu Kościłkowski-Kwiatkowski,

nie znalazła powodzenia, chociaż stał za nią zarówno Sławek jak Śmigły. Przeważały wówczas zręcznie i sprawnie przeprowadzone akcje kularowe grupy „naprawiaczy”, którzy zdecydowanie opowiedzieli się za Kwiatkowskim. Przyczyniła się też do tego zupełna nieudolność i brak doświadczenia na terenie parlamentarnym ze strony ówczesnego głównego męża zaufania Śmigłego, jakim był świeżo wybrany do Sejmu W. Stpicyński. Jeśli w roku 1938 przechyliła się znowu jak gdyby szala sympatii na rzecz Sławka, co się wyraziło przez wybranie go na Marszałka Sejmu, było to raczej skutkiem poczucia, że Sławkowi należy się jakieś honorowe stanowisko, jako wyraz uznania dla jego zasług i szlachetnej postaci.

Pytaliście mnie o powody samobójstwa Sławka. Właściwie nie mam nic więcej do powiedzenia poza tym, co Wam już poprzednio mówiłem. Sławek przez te 30 lat jego życia, kiedy go znałem, był zawsze typem samotnika, jeśli chodzi o jego życie prywatne. Nie znaczy to, aby stronił od kompanii przyjaciół, żeby nie lubił od czasu do czasu jakiejś rozrywki, ale ze swoich spraw nie zwierzał się nigdy i nikomu, chyba gdy chodziło o opowiadania z dalekiej przeszłości; od Bezdan począwszy wstecz. Nie sądzę też, żeby ktokolwiek wiedział o tej sprawie więcej, niż było napisane w jego liście przedśmiertnym. Sięganie do powodów samobójstwa do rozwiązania Sejmu i usunięcia go w ten sposób z marszałkostwa, jest nonsensem i to nonsensem uchybiającym Sławkowi. Bywał on w życiu częściej pod wozem, niż na wozie i najwięksi wrogowie nawet nie mogliby powiedzieć o nim, że przywiązywał wagę do jakichkolwiek tytułów czy zaszczytów i godności. Poza tym, faktem *jest*, że rozwiązanie Sejmu było proponowane przez Prezydenta jeszcze za życia Cara i nie miało nic wspólnego z jakąś rozgrywką między Śmigłym, a Sławkiem. Z daleko późniejszymi sprawami i daleko głębszego znaczenia mogła być raczej wiązana ta sprawa, biorąc pod uwagę datę samobójstwa. Był to moment, kiedy zarysowała się już ponad wszelką wątpliwość nadciągająca burza. Było to już po wysunięciu przez Hitlera jego rewindykacyjnych postulatów w rozmowach Ribbentropa z Beckiem i co więcej, już po zaofiowaniu nam przez Anglię gwarancji w chwili wyjazdu Becka do Londynu celem nie tylko przyjęcia, ale rozwinięcia tych gwarancji w sojusz dwustronny, co — jak wiadomo — Hitler potraktował jako *casus belli*. Wobec najściślej przyjaźni między Sławkiem a Beckiem, o tych wszystkich sprawach musiał on wiedzieć. Jak wiadomo, Beck tak samo jak wszyscy inni był całkowicie zaskoczony wiadomością o śmierci Sławka. W moich rozmyślaniach nad tą sprawą, narzuca mi się związek między tym

krytycznym momentem, a decyzją Sławka. Widział nadciągającą losową chwilę dla Polski i nie miał, nie widział, nie czuł dla siebie miejsca. I poczuł się wówczas chyba najbardziej tragicznie osieroconym i bezradnym od chwili śmierci Komendanta. Zdecydował się więc pójść za nim i pociągnął za cyngiel dokładnie co do minuty w godzinie Jego śmierci.

Jeśli chodzi o fakty, które mogły przyczynić się do jego tragicznego samopoczucia, to może raczej fakt, że nie potrafił przeprowadzić woli Komendanta, który przeznaczał go na Prezydenta, odegrać mógł też pewną rolę.

Jak się rzekło — nie mamy do dyspozycji nic prócz domysłów na ten temat, przy czym odrzucić trzeba głupie, płytkie i złośliwe domysły, szukające w jego śmierci czyjejs intrygi, wbrew jego własnym słowom ostatnim, w których prosił aby nikogo za śmierć jego nie winić.

Nie sądzę, aby należało coś zmieniać w tym coście na ten temat napisali.

Bogusław MIEDZIŃSKI

Do sprawy mianowania Śmigłego Generalnym Inspektorem Miedziński jeszcze powrócił.

W innym z listów — w odpowiedzi na artykuł socjalisty Adama Szczypiorskiego, który Malinowski przesłał Miedzińskiemu, a w którym to liście Szczypiorski powołując się na Szpotańskiego i Jaworowskiego, którym miał to Sławek opowiadać, twierdzi, jakoby Prezydent zaskoczył Sławka stawiając go przed faktem dokonanym — Miedziński nazywa to po prostu bajką. Podkreśla, że w ciągu następnych czterech lat po śmierci Komendanta nie było wypadku, aby Prezydent wykonywał swe prerogatywy z art. 13 Konstytucji inaczej, niż za wiedzą Prezesa Rady Ministrów i po poprzedniej z nim naradzie. Tak było z powołaniem senatorów piastujących mandat z wyznaczenia Prezydenta, tak było z powoływaniem Sędziów Trybunału Stanu, tak było z wyznaczeniem następcy Prezydenta na czas wojny, tak było wreszcie z rozwiązaniem Sejmu i Senatu przed upływem kadencji.

W liście tym Miedziński pisze: „W jednym z tych wypadków, mianowicie rozwiązania Sejmu i Senatu w 1938 roku, zaszła różnica zdań między Prezydentem a Prezesem Rady Ministrów — *de facto* między Prezydentem a Śmigłym — która spowodowała, że inicjatywa Prezydenta — *de facto* Kwiatkowskiego — została wykonana dopiero w szereg miesięcy później. Działo się tak pomimo, że Prezydent nie potrzebował kontrasygnaty premiera na ten akt, mógł podpisać rozwiązanie bez zgody Prezesa Rady Ministrów.

„Niezależnie od kwestii praktyki konstytucyjnej, ten ostatni moment ma specjalne znaczenie; nieprawdą jest bowiem, jak sobie wyobrażał wówczas zespół przyjaciół Sławka z Schaetzlem na czele — a może nawet i sam Sławek — że to rozwiązanie było wywołane przez wybór Sławka na Marszałka Sejmu. Inicjatywa Prezydenta została zakomunikowana Śmigłemu przez Składkowskiego w mojej obecności w lutym, lub marcu najpóźniej 1938 roku i w mojej też obecności i po zasięgnięciu mojej rady Śmigły polecił Składkowskiemu powstrzymać Prezydenta od tego kroku. Działo się to jeszcze za życia St. Cara. Nie mogło więc być w żaden sposób pomyślane jako krok przeciwko Sławkowi. Na pewno też projekt ten wyszedł od Kwiatkowskiego, który już po doświadczeniach z jesieni 1935 roku nie czuł się pewien na terenie ówczesnego Sejmu. To prawda, że po śmierci Cara i wyborze Sławka Prezydent ponowił swoją inicjatywę, tym razem już bardzo stanowczo; wiem jednak od Śmigłego, że z największą niechęcią i wahaniem zgodził się on na to, aby Składkowski nie stawiał już Prezydentowi oporu. Nie był to więc żaden akt walki „grupy Śmigłego” z „grupą Sławka”. Nie myślę też, aby Mościcki kierował się w tym wypadku jakąś specjalną animozją personalną w stosunku do Sławka.

„Powracając do zagadnienia konstytucyjnego, — dla każdego człowieka obeznanego z praktyką rządzenia jest jasne, że wykonywanie przez Prezydenta swych prerogatyw bez uprzedniej wiedzy Prezesa Rady Min. jest nie do pomyślenia, choćby dlatego, że żaden poważny człowiek na miejscu premiera nie mógłby na taką rzecz odpowiedzieć inaczej, jak swoją dymisją; nie miałoby to poza tym żadnego rozsądnego celu. Każdy prezydent musiał oczywiście iść naturalną drogą konsultacji uprzedniej z premierem, mając zawsze możliwość wykonania swej woli, nawet wbrew zdaniu tego ostatniego. W takim wypadku Prezes Rady Min. nie miałby ani prawnokonstytucyjnego, ani moralnego (czy, ambicjonalnego) obowiązku podawania się do dymisji.

„Mogę stwierdzić, że tak też rozumieliśmy znaczenie art. 13-go Konstytucji, gdyśmy ją układali. A dyskutowaliśmy ten właśnie artykuł bardzo dokładnie i rozważnie, w gronie następującym: Walery Sławek, St. Car, Jan Piłsudski i ja. O tym żeby prerogatywy prezydenta mogły być przezeń wykonywane przez zaskoczenie rządu i Premiera nigdy się nam nawet nie śniło.

„Mówię o tym dlatego, że przy rozważaniu wątpliwości w sprawach interpretacji ustaw, zawsze bierze się pod uwagę tzw. „intencje ustawodawcy”, które w tym wypadku mogę autentycznie oświecić.

„Toteż praktyka w tej dziedzinie, którą już powyżej opisałem, była prawidłowa, normalna i odpowiadająca intencji ustawodawców.

„Nie tylko więc na podstawie moich wspomnień i znajomości stosunków personalnych i nastrojów w dniach majowych 1935 r., ale i ze wszystkich innych względów, bardziej formalnych —

muszę uważać za absolutnie niewątpliwe, że nominacja Śmigłego nie była dokonana przez Prezydenta z zaskoczeniem Sławka faktem dokonanym, lecz nastąpiła po uprzednim porozumieniu i z jednomyślnego przekonania, że taka byłaby wola komendanta” — pisze Miedziński.

T. Ś.

Z ARCHIWUM ŚP. WŁ. POBÓG-MALINOWSKIEGO (NOTATKI ŚP. PŁK. JANA KOWALEWSKIEGO)

W papierach pozostałych po śmierci autora „Najnowszej Historii Politycznej Polski”, wśród szeregu odpisów dokumentów oraz oryginalnych listów i relacji, jakie śp. Władysław Pobóg-Malinowski gromadził do swego 3-go tomu historii, znajduje się m.in. interesujący list płk. Jana Kowalewskiego, b. attaché wojsk. polskiego w Bukareszcie i Lizbonie, podający mało znane informacje o dwóch momentach historycznych.

List ten, z dn. 11 stycznia 1955 r., ręcznie pisany na 8-miu stroniczkach papieru listowego małego formatu oświetla przede wszystkim sprawę marszu Budiennego na Lwów w r. 1920. Utało się mniemanie, że ten upór Budiennego i Stalina w atakowaniu Lwowa, który ułatwił manewr zwycięski znad Wieprza, zmierzał jedynie do zdobycia Lwowa, jako miasta ukraińskiego. Płk Kowalewski wskazuje, że ten atak ku Lwowowi miał daleko idące cele.

Tadeusz ŚWIĘCICKI

Jan KOWALEWSKI

Kierunek na Lwów w roku 1920

Stalin, który z tytułem Komisarza Ludowego został wyznaczony do Rady Rewolucyjnej południowo-zachodniego frontu w roku 1919, działał nadal w tymże charakterze w roku 1920.

W planach „pochodu rewolucji” na Zachód oba fronty (zachodni, dowodzony przez Tuchaczewskiego i południowo-zachodni, dowodzony przez Kamieniewa) miały określone, *dalekie* cele. Zachodni front miał stworzyć komunistyczną Polskę i dopomóc komunistom niemieckim do opanowania Niemiec. Południowo-wschodni front miał po zajęciu Lwowa i Małopolski wesprzeć pobity komunizm węgierski i po skomunizowaniu Węgier dotrzeć do nowopowstałej Jugosławii. Innymi słowy: kierunek zachod-

niego frontu był na Niemcy, południowo-zachodniego — na Bałkany. Rumunia, zbyt silna wtedy, aby ją można było atakować wprost — byłaby w ten sposób otoczona.

W Jugosławii właśnie świeżo powstała partia komunistyczna (w roku 1918 czy 1919), zaś przy sztabie 1-szej Konnej Armii znajdowała się grupa komunistów serbskich pod przywództwem Dundicz'a, która miała spełnić rolę, jaką w roku 1944 spełnił w Polsce Komitet Lubelski, w razie gdyby południowo zachodni front dostał się na Węgry i uzyskał kontakt z Jugosławią.

Czy Węgrzy byli czy też nie przy sztabie południowo-zachodniego frontu — trudno powiedzieć, gdyż po rozbiciu komunizmu Beli Kuhn'a na Węgrzech niedobitki przywódców były w drodze do ZSSR via Rumunia i Morze Czarne. Bela Kuhn na przykład przyплыł do Odessy na łodzi rybackiej z Rumunii czy też Bułgarii. Ale faktem jest, że ich punktem zbornym był sztab południowo-zachodniego frontu i Stalin, jako Komisarz Rządowy Moskwy.

Konna Armia Budiennego była tradycyjnie dziełem Stalina i była mu bezwzględnie oddana.

Dowodził Armią Budiennyj, byli w niej Tymoszenko, Woroszyłow oraz inni późniejsi wyżsi oficerowie, którzy w okresie po śmierci Lenina, gdy Stalin ustalał swą władzę, stanowili właśnie tę grupę wojskową, która wspierała Stalina. W latach 1928-1930 nazywano ich nawet „grupą konnej armii”. Przyczynili się oni walcie do likwidacji Trockiego, Tuchaczewskiego i wielu innych „konkurentów”.

Z chwilą, gdy nieudana kampania polska zmusiła południowo-zachodni front do poniesienia wielkich planów i oddania nawet konnej armii dla ratowania Tuchaczewskiego zaistniał konflikt między dwiema grupami: jedna — to Trocki, Tuchaczewski i ich ludzie, druga — to Stalin, Woroszyłow, Budienny i ich ludzie.

Rekryminacje (po 1920 roku) obu grup wzajem się oskarżających o spowodowanie klęski i upadku planu „pochodu rewolucji na Zachód” były tak gwałtowne, że sam Lenin rozkazał, by zaprzestano kłótni i *zabronił poruszać sprawę odpowiedzialności* za rok 1920 i klęskę w Polsce. Wszystko to jednak tliło, tliło — aż wybuchło w procesach i likwidacjach lat trzydziestych.

Dlaczego 17 września?

Wiadomą jest rzeczą, że już po pierwszym tygodniu ofensywy w Polsce rząd niemiecki zaczął interweniować w Moskwie o wykonanie tajnych zobowiązań i o wkroczenie do Polski od Wschodu. Przez szereg dni rząd sowiecki oświadczał, że nie jest gotów do akcji

i że chce poczekać na zajęcie przez Niemców Stolicy. Jednakże 17-go września, nie czekając na upadek Warszawy, wojska sowieckie wkroczyły do Polski. Skąd ta data? Płk Kowalewski tłumaczy ją ostrymi walkami z wojskami japońskimi, jakie Armia Czerwona toczyła wtedy na granicy Mandżurii.

W dniu 15 września dyplomaci japońscy podpisali w Moskwie układ o zawieszeniu broni.

W Japonii zmagaly się wtedy trzy kierunki polityczne: armia reprezentowała tendencję do ekspansji lądowej w Azji, marynarka — dążenie do ekspansji morskiej na Pacyfiku, dyplomacja dążyła do pokojowego rozwiązania trudności.

Stąd armia była antysowiecka i antychińska, marynarka — antyamerykańska, zaś dyplomaci usiłowali godzić obie strony.

Armia tzw. „kwantuńska”, która z takim powodzeniem za jednym zamachem zajęła Mandżurię, miała rozbudzone apetyty na fakty dokonane i nie byłaby od tego, aby w momencie zawieruchy wojennej „wyzwolić” — Mongolię Zewnętrzną.

Szereg incydentów „granicznych” o charakterze walk, w których po obu stronach brały udział całe bataliony, oraz raidów kawaleryjskich miał wtedy miejsce na pograniczu Mandżursko-Mongolsko-Sowieckim. Kulminacyjnym punktem była walna bitwa nad jeziorem Halkin Gyöl i rzeczką zeń wypływającą, w stepach pogranicza Mandżurii i Mongolii. Z obu stron brało w niej udział po całym korpusie armii z czołgami, kawalerią i lotnictwem. Sowieckim korpusem dowodził późniejszy marszałek Żukow. W 1954 roku, na 15-tą rocznicę tej bitwy, sowiecka i mongolska delegacje wojskowe odbyły całą podróż przez te bezdroża do pomnika wzniesionego na polu tej bitwy.

Znając z praktyki tendencje do stwarzania faktów dokonanych i do działania na własną rękę ze strony armii kwantuńskiej, Moskwa nie mogła się zadowolić podpisaniem rozejmu przez dyplomatów w Moskwie dopóki jednocześnie dowództwo armii kwantuńskiej nie podpisze faktycznego rozejmu. To stało się w Nemouchen dnia 16 września. I dopiero wtedy Moskwa poczuła się swobodną do stanowczych działań na Zachodzie. Jeśli dodamy jeszcze tych 5-7 godzin różnicy w czasie — akurat mieli czas ruszyć na Polskę 17 września o świcie.

Naturalnie — wiele innych czynników odegrało również rolę, lecz ponieważ chodzi tu o posunięcia strategiczne, więc rozważania strategiczne musiały w nich odgrywać główną rolę.

Dla Rosji wpakowanie się Japonii do Mongolii Zewnętrznej równało się *odcięciu* strategicznemu całego Zabajkalia i Dalekiego Wschodu z Władywostokiem od metropolii.

Angażowanie się bądź co bądź w wojnę światową przez wkro-

czenie do Polski — wtedy gdy taka groźba wisiła na przeciwnym krańcu ZSSR — byłoby wbrew zasadom strategii i zdrowego rozsądku.

Dlatego przywiązuję taką wielką wagę do tego właśnie japońskiego incydentu szczególnie, że *daty zbiegają się tutaj precyzyjnie.*



Jest rzeczą absurdalną przypuszczać, że Stalin i rząd sowiecki działali w tak ważnym okresie tylko na podstawie doraźnie podejmowanych decyzji, i odmawiać kierownictwu państwa sowieckiego długofalowego planowania. Przecież decyzje sowieckie dyktował nie „geniusz” Stalina, lecz były wynikiem pracy całego olbrzymiego aparatu: wojska, spraw zagranicznych, kominternu, centralnego komitetu partii, M.G.B. itd. wraz z całym ich sztabami wywiadu, informacji etc., które składały się na to planowanie i wykonywanie. Stalin tylko zatwierdzał koncepcje, plany i posunięcia. Przygotowywali je inni. Cechą charakterystyczną reżymu sowieckiego jest właśnie planowanie na długą falę.

Doraźne wypadki mogą wpłynąć tylko na pewne modyfikacje i adaptacje taktyczne — cośmy właśnie widzieli w zachowaniu się ZSSR w roku 1939.

Jan KOWALEWSKI

Jan LIBRACH

NOTA O „AKCJI KONTYNENTALNEJ

W aktach śp. Poboga-Malinowskiego znaleziono opracowanie przeznaczone zmarłemu historykowi na jego życzenie w końcu 1954 roku. Nie było ono przeznaczone do druku. Był to jedynie materiał do jego badań historii II Wojny Światowej.

Za zgodą Jana Libracha, autora tego opracowania, ogłaszamy ten tekst z pewnymi opuszczeniami dotyczącymi osób żyjących.

Niejakie uzupełnienie przynosi list do śp. Poboga-Malinowskiego z tej samej daty, który ogłaszamy „również za zgodą autora”. — (Redakcja).

LIST DO WŁ. POBÓG-MALINOWSKIEGO

Londyn, 3 grudnia 1954.

Drogi Panie Dyrektorze,

Korzystając z przedłużonego terminu rozszerzyłem nieco załączoną notatkę. Mam nadzieję, że w tej formie łatwiej Panu będzie ją wykorzystać, choć mimo wszystko jest to „brutalny” skrót.

Wstęp i część ad a) pomyślane są jako uzupełnienie materiału dostarczonego Panu przez Kawałkowskiego. Piszę do niego jednocześnie ponieważ nie chciałem bez niego zdecydować o delikatnej sprawie wspomnienia o kontaktach francuskich jakie w Londynie utrzymywałem z Francuzami (G. Palewski, P. Brossolette, M. le Verrier, gen. d'Astier i in.).

Część ad b) jest w skrócie opisem wysiłków politycznych objętych hasłem „Trójnóg”. Napisałem ją w porozumieniu z płk. Kowalewskim, który najwięcej miał z tym do czynienia w Lizbonie. Poza mną mieli z tym także do czynienia inni nasi przedstawiciele, ale z różnych względów nie wiem czy mogą lub obawiam się ich wymieniać bez ich zgody. Musi to już zaczekać na pełne opracowanie tego tematu, jeśli do tego kiedykolwiek dojdzie.

Płk Kowalewski będzie w Paryżu przez kilka dni od 19 bm. (Hôtel Voltaire) i skomunikuje się z Panem. W razie potrzeby będzie mógł uzupełnić ustnie moją notatkę. Jednocześnie wysyła on na moją prośbę notatkę odręczną zawierającą ciekawy szczegół o „Bardsea”, którego może nie znał Kawałkowski oraz o sprawie wykorzystania terenu niemieckiego przez Ak. Kont. w 1945 r. czego ja już nie znałem, bo byłem wtedy z powrotem w M.S.Z.

Jak Pan wie nie mam teraz biura ani żadnej pomocy technicznej. Moja notatka jest więc niestety napisana bez dbałości, którą bym w tzw. normalnych warunkach włożył. Nie miałem czasu ani możliwości przepracować konstrukcji i wygładzić stylu. Ale wszystkie fakty, tezy i odtworzone rozmowy są ściśle i o to przede wszystkim dbałem.

Łączę najlepsze wyrazy i serdeczne pozdrowienia,

Jan LIBRACH

Po upadku Francji i przeniesieniu się Rządu do Londynu musiała nastąpić rewizja metod polskiego udziału w wojnie. Perspektywa oswobodzenia Kraju odsuwała się w czasie. Na żadnym punkcie kontynentu europejskiego nie zanośło się szybko na decydujące działania lądowe. Polskie formacje, które dotarły do Wielkiej Brytanii wymagały odpoczynku i reorganizacji. Stawało się jasne, że przez czas dłuższy Polska nie będzie mogła dorównać w wysiłku wojennym sojusznikom czerpiącym siły z własnego wolnego terytorium. Powstawało zatem niebezpieczeństwo, że w ostatniej fazie wojny bohaterstwo Polski we wrześniu 1939 roku i zasługi jej świetnych jednostek we Francji i w Norwegii będą omal zupełnie zapomniane. Musiałoby to z kolei wpłynąć ujemnie na stosunek Sojuszników do polskich celów wojny. Była jednak dziedzina w której w wyniku specjalnych okoliczności Polska reprezentowała w 1940 roku większe możliwości od swoich ówczesnych partnerów. Tą dziedziną była walka podziemna, gdzie istniała żywa polska tradycja oraz precedens pierwszych miesięcy organizowania podziemia w Kraju.

Projekty zorganizowania Polaków poza Krajem do działalności podziemnej, oparte na powyższym rozumowaniu, zostały opra-

cowane jesienią 1940 roku przez Jana Librachę, do wybuchu wojny I-go Sekretarza Ambasady R.P. w Paryżu. W szczególności przedłożył on Rządowi memoriał o potrzebie i możliwości stworzenia silnej organizacji podziemnej w łonie pół milionowego wychodźstwa polskiego we Francji. Ludność ta była powołana niedawno do wysiłku bez precedensu w warunkach emigracyjnych, dając kilkadziesiąt tysięcy ochotników i rekrutów do polskich dywizji we Francji. Po szybkiej klęsce Francji nie podobna było pozostawić tej masy samej sobie bez wskazówek ideowych i postulatów politycznych. W warunkach okupacyjnych mogła tego dokonać jedynie organizacja tajna, wyposażona materialnie z Londynu i związana z ogólnym polskim wysiłkiem wojennym. Wydawało się również niezbędne, by emigracja polska we Francji i w Belgii zamieszkała w dużym stopniu na zwartym terytorium, otrzymała od Rządu w Londynie konkretne zadania wojenne, które by stworzyły ujście dla najczynniejszych polskich elementów wychodźczych. Masa polska we Francji była ponadto największym zbiornikiem sił ludzkich poza krajem i trzeba było myśleć o tym by zachować ją na ostatni okres wojny w stanie dyspozycji psychicznej i politycznej. Wreszcie, z przyczyn lokalnych, dla samego wychodźstwa we Francji narzucała się potrzeba dalszego udziału w walce z Niemcami ze względu na przyszłe jej stosunki z ludnością francuską. Aczkolwiek zorganizowana *Résistance* nie istniała jeszcze wtedy zupełnie, nie mogło ulegać wątpliwości, że Francuzi znajdują formy oporu i walki z okupacją niemiecką, które mogłyby bądź nie nadawać się dla Polaków, albo też z tych czy innych przyczyn pominąć ich całkowicie. W obu wypadkach powstałoby *vacuum*, które mogliby wykorzystywać Niemcy lub komuniści.

W grudniu 1940 roku gen. Sikorski poinformował o powyższych projektach władze brytyjskie, których współpraca była oczywiście niezbędna. W wyniku stosunkowo szybkich rokowań powstała organizacja specjalna, zakamuflowana przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i finansowana z oddzielnej pożyczki brytyjskiej dla Rządu Polskiego, wydzielonej z ogólnych kredytów wojennych. Organizacja nosiła pokrywkową nazwę Akcja Kontynentalna (skrót A.K. nie miał związku z używanymi potem inicjałami Armii Krajowej) i była kierowana przez Biuro Centralne, pod nadzorem Komitetu Ministrów, któremu przewodniczył Minister Spraw Wewnętrznych. W Komitecie zasiadali ponadto Ministrowie Spraw Zagranicznych, Informacji i Dokumentacji i Szef Sztabu N.W. Kontakt z władzami brytyjskimi zapewniał szef Biura Centralnego, który był zarazem sekretarzem Komitetu Ministrów i łącznikiem do odpowiedniego członka rządu brytyj-

skiego. Pierwsze posiedzenie Komitetu Ministrów odbyło się 19 stycznia 1941 roku. Zatwierdzono na nim wynik prac przygotowawczych prowadzonych od października poprzedniego roku. Akcja Kontynentalna została określona w protokole jako „walka tajna z wrogiem wszystkimi sposobami z wyjątkiem walki zbrojnej otwartej”. To sformułowanie przedłożone przez Biuro Centralne wskazywało na przejściowy charakter prac Organizacji i na konieczność współpracy z władzami wojskowymi, które miały wykorzystać osiągnięte wyniki w ostatniej fazie walki, to znaczy w walce otwartej.

Mimo przydziału do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nie było, poza ogólnymi założeniami walki z wrogiem, związku organizacyjnego pomiędzy Akcją Kontynentalną a kierowanymi z Londynu pracami krajowymi. Minister Spraw Wewnętrznych nie próbował organizacji tego związku narzucić, ani też wykorzystywać jej dla celów partyjnych. Wybór osób na kierowniczych stanowiskach był dokonywany przez Biuro Centralne wyłącznie pod kątem użyteczności. W ten sposób kierownictwo spoczęło w rękach fachowców nie należących do jakichkolwiek organizacji partyjnych. Kierownictwo Biura Centralnego objął Jan Librach. Szefem organizacji we Francji został były konsul generalny w Lille i w Paryżu Aleksander Kawałkowski, który niedawno położył tak wielkie zasługi na tym terenie jako Komisarz Mobilizacyjny Armii Polskiej we Francji. Przedstawicielem Akcji Kontynentalnej w Lizbonie został płk Jan Kowalewski, były attaché wojskowy w Moskwie i Bukareszcie.

Koncepcje Biura Centralnego przekazane następnie głównym przedstawicielom i ośrodkom na kontynencie rozwinęły się niezależnie i po innych liniach niż w akcji krajowej. Postanowiono poprowadzić pracę w dwóch głównych kierunkach:

- a) W krajach pod okupacją niemiecką, gdzie Polacy zamieszkaliby w większych ilościach, jak np. Francja, Belgia, Holandia, Dania, oraz
- b) Na innych terenach okupowanych przez Niemców lub w stosunku do tych terenów, z punktów obserwacyjnych gdzie wysłannicy lub przedstawiciele Organizacji mogli się utrzymywać.

ad a) W pierwszej kategorii od początku wyłączono programowo od wszelkiego działania liczne rzesze uchodźców polskich na Węgrzech celem uniknięcia powikłań organizacyjnych z akcją krajową, dla której ten teren miał szczególnie doniosłe znaczenie.

Wyłączono również Niemcy właściwe, gdzie niebezpieczeństwo prac podziemnych wydawało się w 1941 roku za wielkie dla przebywających tam Polaków. Znaczna ich część była zresztą złożona z jeńców wojennych, a więc z tytułu swego położenia i statusu międzynarodowego nie mogła być do żadnej pracy użyta. Poza tym te same zastrzeżenia istniały co do Niemiec z tytułu prac krajowych¹, które spowodowały wykluczenie terenu węgierskiego.

W stosunku do pozostałych terenów uznano, że działanie w środowisku obcym wymagało od Polaków większych środków ostrożności niż od ludności tubylczej. Nie można było także pominąć specjalnego zainteresowania Polakami ze strony niemieckich organów bezpieczeństwa oraz łatwości roztoczenia krępującego nadzoru nad skupiskami polskimi. Z tych rozważań powstała teza Biura Centralnego, że organizacje polskie poza Krajem powinny być użyte do działań sabotażowych i dywersyjnych wyłącznie w ostatnich dniach poprzedzających powrót wojsk sojusznicznych na dany teren. W międzyczasie program działalności obejmował tajne organizowanie skupisk polskich, podtrzymywanie ducha oporu przeciwko Niemcom, wywiad polityczny, gospodarczy i społeczny, przygotowania do ponownej mobilizacji, oraz akcję informacyjną, propagandową i prasową. Jak wiadomo założenia te nie były zgodne z ówczesnymi poglądami angielskimi, które rozwijały się już wtedy empirycznie pod wpływem ciężkiej sytuacji wojennej w kierunku natychmiastowego sabotażu i dostarczania środków do działań dywersyjnych każdemu kto „walczy z Hunem”. Toteż dopiero po przewlekłych i żmudnych rokowaniach Biuro Centralne uzgodniło wspólne tezy z czynnikami brytyjskimi, które przyjęły i włączyły do swoich planów inwazji Francji plan akcji sabotażowej i dywersyjnej we Francji północnej i w południowej Belgii. Miał on być wykonany począwszy od trzeciego dnia przed lądowaniem Sojuszników na wybrzeżu Francji². Nosił nazwę plan „Monika Nr 1” i opracowany był w Londynie przez Szefa Biura Centralnego Librachę wspólnie z delegatem Sztabu N.W. mjr. dypl. Jędrzejewskim na podstawie informacji z terenu otrzymanych od Kawałkowskiego. Plan był na-

1. *Vide* oddzielna notatka opracowana przez płk. Kowalewskiego na temat tego zagadnienia w roku 1945 („Bardsea” oraz sprawa Polaków w Niemczech).

2. Wbrew oczywistym tezom Biura Centralnego i bez jego wiedzy Sztab N.W. zgodził się w okresie rokowań na nieprzemyślaną akcję sabotażową p.n. Nurmi. Miały być wysadzone w powietrze obiekty we Francji nieokupowanej. Ostatecznie plan nie został wykonany, jednakże wynikiem tych nierozważnych przygotowań były aresztowania wśród Polaków we Francji oraz znaczne trudności organizacyjne tak w terenie jak i w Londynie.

stępnie korygowany i uzupełniony w wyniku dalszych prac sztabowych angielskich i informacji oraz sugestii z terenu.

Na innych terenach (tzn. poza Francją i Belgią) Akcja Kontynentalna rozwinęła szeroką sieć organizacyjną podtrzymującą ducha oporu i spełniającą zadania informacji politycznej, społecznej i gospodarczej. Organizacja w Danii, której wybitne usługi oddało kilku Duńczyków, okazała się szczególnie pożyteczna dla celów informacyjnych, oraz przepracowania dróg kurierskich dla organizacji krajowych. Była jednak do końca zbyt nieliczna by podjąć się działań dywersyjnych na wzór przygotowywanych działań we Francji.

Sieć polityczna Akcji Kontynentalnej rozwinęła się bardzo szeroko. Poza terenami okupowanymi i wieloma punktami obserwacyjnymi w Europie, rozciągnęła się na szereg krajów pozaeuropejskich. Zebrany tą drogą obfity plon informacji politycznej, gospodarczej i ogólnowojeennej pozwolił przez szereg lat na wysoce pożyteczną wymianę materiału informacyjnego z organizacjami sojuszniczymi. Wiadomości o charakterze czysto woj-skowym nie były przez tę sieć poszukiwane i jeśli przypadkowo dochodziły do rąk Akcji Kontynentalnej przekazywane były Sztabowi N.W.

W specyficznym położeniu władz polskich na wygnaniu sieć polityczna Akcji Kontynentalnej odegrała poważną rolę zastępczą w stosunku do Polskiej Służby Zagranicznej tam gdzie bezpośrednie działanie dyplomatyczne było utrudnione lub kłopotliwe. Odnosiło się to w szczególności do sojuszników lub mimowolnych satelitów Niemiec, z którymi mimo wszystko Rząd Polski pragnął zachować stosunki. Od 1940 roku Wielka Brytania była w wojnie z Włochami a od grudnia 1941 z Węgrami, Rumunią i Bułgarią. Rząd Polski żadnemu z tych państw wojny nie wypowiedział. Kontakty z ich przedstawicielami dyplomatycznymi lub specjalnymi były utrzymywane przez przedstawicieli Akcji Kontynentalnej, głównie w Portugalii, Szwajcarii i Turcji. Szczególnie pożyteczną i ważną rolę odegrał tu płk Jan Kowalewski.

Jeszcze zimą 1940 roku w Paryżu gen. Sikorski powierzył Kowalewskiemu opracowanie polskiej koncepcji strategicznej w związku z zamiarami stworzenia frontu Sojuszniczego na Bałkanach. Po upadku Francji płk Kowalewski został mianowany przedstawicielem Akcji Kontynentalnej w Lizbonie i otrzymał polecenie nawiązania poufnych kontaktów z przedstawicielami Węgier, Rumunii i Włoch. Kontakty bułgarskie były utrzymywane raczej z Bliskiego Wschodu, węgierskie również w Sztokholmie i w Stanach Zjednoczonych, rumuńskie także w Stambule.

Gen. Sikorski energicznie propagował w tym okresie związek narodów położonych między Niemcami a Rosją. Projekt ten nabrał wtedy rozgłosu głównie dzięki jego zabiegom i publicznym deklaracjom. Mniej interesował się Sikorski praktyczną stroną zagadnienia i robotą spełnianą w tej dziedzinie przez Kowalewskiego w Lizbonie i szefa Biura Centralnego w Londynie, który korzystał jednak z poparcia Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Aczkolwiek praca ta cierpiała do pewnego stopnia z powodu indyferentyzmu ze strony premiera, nie było jednak żadnej sprzeczności w założeniach pomiędzy celami głoszonymi oficjalnie przez Rząd Polski a poufnymi poleceniami Biura Centralnego wykonywanymi przez przedstawicieli Akcji Kontynentalnej.

Pierwsza faza tych poufnych rozmów polegała głównie na stworzeniu dla satelitów Hitlera alternatywy w stosunku do usług jakie oddawali Niemcom. Udział tych państw satelickich w Nowym Porządku był w różnych stopniach niechętny ale nie pozbawiony także zamiarów wykorzystania wpływów niemieckich dla własnych ambicji oraz we wzajemnych sporach terytorialnych. Pogodzić te państwa i połączyć je we wspólnej postawie antyniemieckiej mogła tylko perspektywa klęski wojennej Hitlera oraz wiara, że plan związku narodów Europy Środkowej i Wschodniej może być urzeczywistniony. Rola Polski jako zainteresowanego pośrednika z obozem Zachodu była tu oczywista i zrozumiała. Pozycja polityczna i moralna Polski w świecie zachodnim była wtedy silna. Ponadto, nie wypowiadając wojny satelitom Niemiec, Polska zachowała wewnątrz własnego obozu prawo utrzymywania z nimi stosunków. Jawne kontakty były jednak utrudnione a dla satelitów pozostających w orbicie niemieckiej wręcz niebezpieczne. Nie mogli ich zatem utrzymywać z reguły akredytowani dyplomaci i dlatego zadanie to przejęli specjalnie upoważnieni przedstawiciele Akcji Kontynentalnej działający zresztą za wiedzą władz sojuszniczych. Otrzymywane od tych przedstawicieli informacje zbiegały się w rękach szefa Biura Centralnego, którym był (do 1944 roku) zawodowy urzędnik dyplomatyczny pozostający w najbliższej współpracy z MSZ.

Możliwości oderwania się satelitów położonych na południe od Niemiec stwarzała perspektywę otwarcia najszybszej drogi dla wojsk polskich na zachodzie i dla wojsk sojuszniczych. Koncepcja ta zarysowała się szczególnie silnie po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej i wydawała się realniejsza w miarę jak Niemcy posuwali się w głąb Rosji. Powstawała bowiem przestrzeń zajęta przez Niemców, w którą można by uderzyć od południa. Wydawało się także, że oddalenie Rosjan od granic Polski da-

wało czas, w którym takie uderzenie w miękkie niemieckie podbrzusze pozwoliłoby na oswobodzenie ziem Rzeczypospolitej przed ponownym sporem z Rosją o granicę ryską.

Aczkolwiek sugestie polskie nie mogły być przekazywane oficjalnie, ani nie mogły mieć formalnie oficjalnego charakteru były one niezmiernie ostrożne. Do połowy 1941 roku sugestie te zmierzały przede wszystkim do oswojenia dyplomatów i polityków satelickich z myślą, że była możliwa alternatywa do ich ówczesnego położenia. Przedstawiciele Akcji Kontynentalnej bynajmniej nie namawiali do nieprzemyślanych posunięć z ich strony. W chwili wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej kontakty z Węgrami i Rumunami, szczególnie w Lizbonie, były już stałe i pełne wzajemnego zaufania. W tym czasie Kowalewski przekazał im szereg sugestii zachęcających do praktycznych przygotowań pozwalających na oderwanie się od Niemiec gdy sytuacja do tego dojdzie. W końcu 1941 roku otrzymywane przez Akcję Kontynentalną wiadomości z Węgier i Rumunii wskazywały na powołanie tych rozmów i na dojrzewanie myśli skorzystania z pośrednictwa polskiego celem dokonania we właściwym momencie i w oparciu o Polskę *renversement des alliances*.

Nieco później instrukcje Kowalewskiego rozszerzono na rozmowy z Włochami, które z natury rzeczy rozwijały się znacznie powolniej. Przez cały rok 1941 i 1942 dyplomaci i wojskowi włoscy, którzy zjawili się w Lizbonie, wierzyli jeśli nie w pełne zwycięstwo Osi to przynajmniej w pokój kompromisowy. Dopiero na przełomie 1942 i 1943 roku zaczęła dyplomacja włoska poważnie szukać kontaktu z Sojusznikami, pokładając nadzieje w pośrednictwo polskie. Włochy zajmowały oczywiście w zamierzeniach polskich kluczową pozycję. Przejście ich na stronę Zachodu stwarzałoby dla zamysłów oswobodzenia Kraju od południa, jak i dla koncepcji związku narodów Europy Środkowej najlepsze możliwości realizacyjne.

Na odcinku węgierskim i rumuńskim sprawy były w tym samym czasie znacznie bardziej zaawansowane. Informacje Akcji Kontynentalnej wskazywały wyraźnie, że mimo poważnego udziału rumuńskiego w wojnie z Rosją, rząd rumuński pracuje z Niemcami nieszczerze, oszczędza albo nawet osłania polityków proaliantkich wewnątrz kraju i dyskretnie ogląda się na możliwość porozumienia z Zachodem. Latem 1942 roku Akcja Kontynentalna otrzymała odpowiedzi od rządu rumuńskiego na sugestie przekazywane przez Kowalewskiego. Wynikało z nich, że Rumuni nie będą powiększali swych sił na froncie wschodnim i że przystępują wewnątrz kraju do dyskretnych przygotowań wojskowych,

które we właściwej chwili mają umożliwić przejście armii na stronę Zachodu. Jesienią 1942 roku wiadomości te były potwierdzone przez osobistego wysłannika młodego Króla Michała, który zapewniał o swoim antyniemieckim stanowisku. Wreszcie w kwietniu 1943 roku poseł rumuński w Lizbonie, dawny poseł w Warszawie, Cadere, czynny w tych rozmowach od początku, zawiadomił, że Rumunia jest gotowa do współpracy z Sojusznikami. Cadere wskazał na fakt, że rumuńskie i bułgarskie wybrzeże czarnomorskie jest zupełnie niebronione. Lądowania sojusznicze mogłyby tam nastąpić z łatwością. Wojska rumuńskie nie będą im stawiać przeszkód.

Węgrzy opierali się naciskowi niemieckiemu otwarciej niż Rumuni. Nie taili niechęci do udziału w operacjach wojennych przeciw Rosji i z wielką stanowczością chronili przed Niemcami licznych polskich uchodźców cieszących się na Węgrzech daleko idącą swobodą. Jeńcy francuscy byli traktowani z manifestacyjną przyjaźnią. Już wczesną jesienią 1941 roku poseł węgierski w Lizbonie Vodianer zawiadomił Kowalewskiego, że sugestie polskie zostały przyjęte z sympatią przez Ministra Spraw Zagranicznych J. Ghiczy. Na tej podstawie wywiązała się pomiędzy czynnikami węgierskimi a Akcją Kontynentalną wymiana zdań, wzajemnych informacji i usług, która trwała do końca wojny. Przybrała ona szczególnie konkretne formy w listopadzie 1942 roku kiedy Vodianer dał znać, że rząd Kallaya szuka sposobów wyjścia z wojny i liczy na pomoc i pośrednictwo polskie. Z informacji Vodianera wynikało, że o tajnych rozmowach z Polakami jest poinformowany regent Horthy oraz grono najwybitniejszych polityków różnych stronnictw grupujących się wokół hr. Stefana Bethlena. Kontakty polskie dodawały Węgrom otuchy w ich oporze przeciwko rosnącym żądaniom niemieckim. W początkach stycznia 1943 wysłannik węgierski przywiózł do Lizbony zapewnienie że Węgrzy są gotowi kapitulować wobec Sojuszników, aby następnie wystąpić czynnie po ich stronie.

Od strony polskiej wzrastająca gotowość węgierska i rumuńska oderwania się od Niemiec traktowana była z wielkim zadowoleniem ale i z największą ostrożnością. Już w ciągu 1942 roku stawało się bowiem jasne, że miarodajne koła angielskie i amerykańskie chętnie korzystają z otrzymywanych drogą polską informacji, natomiast nie kwapią się do utwierdzania rządu polskiego w roli pośrednika, ani też nie uważają, że położenie dojrzało do zachęcenia satelitów do nieodwracalnych kroków. W tym wypadku nie było ze strony mocarstw zachodnich śladu stosowania prymitywnej doktryny, że należy niezwłocznie pchać do walki

i uzbrajać każdego „kto walczy z Hunem”. Polityka sojuszników zachodnich w stosunku do ambicji sowieckich nie była wtedy jeszcze skryształizowana. Najlepszym tego przykładem były wahania w tekście układu brytyjsko-sowieckiego z maja 1942. Pierwsza wersja tego układu, zawierająca daleko idące ustępstwa na rzecz Sowietów, została uchylona przez Wielką Brytanię na skutek nalegań amerykańskich i nie bez pewnego wpływu polskiego. Jednakże latem 1942 krążyły głucho pogłoski o tajnych zobowiązaniach angielskich wobec Rosji i nie można było wykluczać, że w dalszym stadium Sojusznicy będą musieli się zgodzić na postulaty sowieckie w Europie Wschodniej. Jednocześnie różnice poglądów strategicznych pomiędzy Wielką Brytanią a Ameryką na plan inwazji kontynentu europejskiego (od południa czy od zachodu) stawiały pod znakiem zapytania znaczenie pozytywnego z polskiego punktu widzenia stanowiska amerykańskiego w rokowaniach angielsko-rosyjskich.

Jednakże lądowanie Sojuszników w Afryce Północnej w listopadzie 1942 znowu ożywiło nadzieje na realność uderzenia od strony miękkiego południowego podbrzusza niemieckiego przy użyciu politycznych i strategicznych możliwości jakie stwarzały dojrzewające zamiary węgierskie i rumuńskie. W wyniku zmiany położenia wojennego na Morzu Śródziemnym również Włosi ożywili swoje zainteresowanie kontaktami lizbońskimi. Od początku 1943 roku wysłannicy z Rzymu domagali się nawiązania bezpośrednich rozmów z Anglosasami i z naciskiem dopytywali się o warunki wystąpienia Włoch z wojny. Polskie pośrednictwo w sprawach włoskich miało znacznie mniej polityczny charakter niż w stosunku do Rumunów i Węgrów. Ale zainteresowanie tak polskie, jak wszystkich innych państw Europy Środkowej było tu oczywiste. Przejście Włoch na stronę Zachodu odsłaniało wybrzeże Adriatyckie i otwierało najkrótszą drogę do Karpat. Toteż Akcja Kontynentalna nie szczędziła wysiłków, by doprowadzić do zetknięcia Włochów z Sojusznikami.

Wiosną 1943 roku wydawało się, że przyszedł najbardziej konkretny moment urzeczywistnienia koncepcji określanych w tajnej korespondencji Akcji Kontynentalnej hasłem „Trójnóg” (Węgry, Rumunia, Włochy). W maju Librach przyjechał do Lizbony w drodze do Ameryki i odbył razem z Kowalewskim rozmowy z Cadere i Vodianerem. W związku z nowym położeniem wojennym najdalej posunięta była sprawa węgierska. Węgrzy gotowi byli do przejścia na drugą stronę barykady i do czynnego udziału swych sił zbrojnych w walce z Niemcami. W oswobodzeniu Polski od południa widzieli dla siebie najlepsze zabezpiec-

czenie przeciwko groźbie sowieckiej. Domagali się jak najszybszego rozpoczęcia rozmów wojskowych z Sojusznikami celem ustalenia praktycznych form przewrotu anty-niemieckiego. Warunkiem operacji węgierskiej było lądowanie Sojuszników w Dalmacji oraz pojawienie się wojsk zachodnich na granicy węgierskiej. Było to także oczywistym postulatem polskim. Z punktu widzenia polskiego przewrót w Budapeszcie bez jednoczesnego działania wojsk sojuszniczych przez Węgry na północ byłby pozbawiony praktycznej wartości.

Stanowisko rumuńskie było bardziej złożone. Największe możliwości rysowały się tu w razie wystąpienia Turcji przeciwko Niemcom, a więc od strony Morza Czarnego. Ale przewrót w Budapeszcie i posuwanie się wojsk sojuszniczych w kierunku Karpat stwarzałyby dostateczne warunki do wystąpienia rumuńskiego, które było pożądane dla Polski ze względów politycznych jak i z uwagi na uzyskanie osłony od kierunku wschodniego.

Majowe rozmowy lizbońskie objęły także dyskretne zapytania polskie co do możliwości uniknięcia waśni pomiędzy Węgrami i Rumunami na temat Siedmiogrodu. Obaj posłowie byli w tej sprawie optymistyczni i sądzili, że koncepcja federalna stwarza podstawę do zgodnego rozwiązania tego trudnego zagadnienia.

Jednocześnie ze szczęśliwym rozwojem położenia wojennego wzdłuż południowych wybrzeży Europy dawał się jednak odczuć niekorzystny zwrot w nastrojach politycznych, wynikający z wzrastających wpływów moskiewskich. Czesi przechodzili wyraźnie na koncepcję Europy Wschodniej podległej Rosji. Rumuni zaczęli tracić nadzieję w wartość polityczną polskiego pośrednictwa choć niewątpliwie darzyli nadal zaufaniem polskich rozmówców i ich zamiary. W czerwcu 1943 roku w Stanach Zjednoczonych Librach spotkał się ze skrajnym pesymizmem dyplomaty rumuńskiego Irimescu, który już wtedy uważał, że losy narodów Wschodniej i Środkowej Europy są przesądzone. Wysłannik węgierski w Stanach Zjednoczonych Tibor Eckhard pokładał jeszcze nadzieje zarówno w wysiłki polskie jak w zdrowy rozsądek wielu osobistości anglosaskich³. Jednakże z punktu widzenia polskiego powodzenie akcji „Trójnóg” wymagało większej niż kiedykolwiek ostrożności. Nie można było brać odpowiedzialności za doradzanie Węgrom i Rumunom czynnego wystąpienia w braku gwarancji sojuszniczych i w atmosferze politycznej nasuwającej coraz większe wątpliwości na temat stosunku Zachodu do Rosji Sowieckiej.

3. Wynikiem podróży Librach do Stanów Zjednoczonych było ułożenie bliskich stosunków umownych między Akcją Kontynentalną a odpowiednimi czynnikami amerykańskimi.

Pomimo, że w dalszym stadium doszło do bezpośrednich rokowań sojuszniczych z Włochami, Węgrami i Rumunami i że te trzy państwa przeszły na stronę Zachodu w myśl założeń polskich, to historycznie można uważać że praca Akcji Kontynentalnej w tej dziedzinie przełamała się na sprawie włoskiej. Największą przeszkodą było tu hasło „bezwarunkowego poddania” sformułowane przez Roosevelta w styczniu 1943 w Casablance. Od lutego Włosi domagali się natarczywie rozmów z Sojusznikami. Koło osoby króla i przy udziale wybitnych wojskowych krystalizował się ośrodek opozycji przeciwko Mussoliniemu. Na wszystkie zapytania Włosi otrzymywali odpowiedź: „bezwarunkowe poddanie”. Co prawda ta nierozsądna formuła nie była wyraźnie skierowana w stosunku do mniejszych satelitów Niemiec ale w praktyce stosowała się także i do nich. Zabiegi polskie, by ją złagodzić lub ograniczyć do Niemiec nie dały wyniku ani w Londynie ani w Waszyngtonie. W rezultacie do bezpośredniego kontaktu Sojuszników z Włochami doszło dopiero po upadku Mussoliniego, który byłby oczywiście najlepszym parawanem dla tej operacji. Jeszcze wtedy stracono kilka bezcennych tygodni na rokowania o „warunkach bezwarunkowego poddania”. Niemcy uzyskali w ten sposób czas aby przerzucić kilkanaście dywizji do Włoch i opóźnić o półtora roku pojawienie się wojsk Sojuszniczych u podnóża Alp.

Jednocześnie została zakorkowana dalsza część możliwości „Trójnoga”. Po rozejmie włoskim Rumuni szukali już tylko sposobu ograniczenia skutków klęski oraz uratowania monarchii. Byli gotowi podpisać kapitulację, gdy tylko wojska sojusznicze znajdą się w ich zasięgu. Za pośrednictwem Akcji Kontynentalnej zawiadomili we wrześniu 1943, że myślą o wywiezieniu króla z kraju i stworzeniu rządu na wygnaniu. Ale Anglosasi działali na zwłokę. Stawało się coraz bardziej wyraźne, że nie mieli swobody ruchów pod względem politycznym i że oglądali się na Rosję.

To samo *mutatis mutandis* działo się na odcinku węgierskim. Propozycje rokowań były przyjmowane dylatoryjnie, odpowiedzi opierały się na formule „bezwarunkowego poddania”. Koncepcja polska połączenia operacji politycznej z wojskową i oswobodzenia Węgier i Rumunii z równoczesnych posunięciem wojsk sojuszniczych na północ-wschód zawisała w próżni. Dzisiaj wiadomo, że Churchill myślał o lądowaniu w Jugosławii jeszcze do wiosny 1944, ale trudno jest dociec jaki zasięg zamierzał nadać tej operacji i jakim byłby jej kontekst polityczny. Myśl ta rozbiła się o opór amerykański i została ostatecznie porzucona na rzecz

ładowania w południowej Francji. Kiedy wreszcie doszły do skutku rokowania węgierskie i rumuńskie z Sojusznikami przygotowane w dużym stopniu przez Akcję Kontynentalną, koncepcja „Trójnoga” nie miała już realnych podstaw. Konferencja teherańska przesądziła o panowaniu Rosji komunistycznej w Europie Środkowej. Kapitulacje Węgier i Rumunii oparte na technicznych sugestiach Kowalewskiego nie uratowały tych krajów od inwazji bolszewickiej i nie miały już dla Polski praktycznego znaczenia.

W lutym 1944 roku Jan Librach podał się do dymisji z Kierownictwa Biura Centralnego Akcji Kontynentalnej i powrócił do pracy w MSZ (od marca 1944 objął kierownictwo wydziału brytyjskiego a następnie anglo-amerykańskiego w MSZ). Płk Kowalewski opuścił Lizbonę i objął kierownictwo połączonego Biura Centralnego Akcji Kontynentalnej i Wydziału Specjalnego MON. Organizacja została zlikwidowana wkrótce po zakończeniu działań wojennych.

Jan LIBRACH

Z. S. SIEMASZKO

SZARA EMINENCJA W MINIATURZE

Z biegiem czasu zainteresowanie barwną osobą Retingera wydaje się wzrastać. Ostatnio pisał o nim w krakowskim *Życiu Literackim*¹ Olgierd Terlecki, w londyńskich *Wiadomościach*² umieścił o nim kilka artykułów Aleksander Janta, również Jędrzej Giertych poświęcił mu spore opracowanie³. Wreszcie zostały wydane w opracowaniu Jana Pomiana pamiętniki Retingera, które będą tutaj omówione⁴.

Książka ta ma właściwie dwóch autorów — Retinger i Pomian. Wspomnienia Retingera mają charakter anegdotyczny, są to przeważnie szczegółowe opisy oderwanych epizodów bez podania jakiegos szerszego zaplecza i dlatego mają one niewielką wartość historyczną. Drugi autor, Jan Pomian, sekretarz i współpracownik Retingera przez ostatnie 12 lat jego życia, człowiek o całe pokolenie młodszy, bo urodzony w roku 1924 (Retinger urodził się w 1888), usiłuje uzupełnić epizody opisane przez Retingera i powiązać je w jakąś całość.

Chociaż niewątpliwie Pomian jest entuzjastą Retingera, jednak pisze z umiarem i zdołał uniknąć stylu bałwochwalczego w jaki wpada Aleksander Janta, którego artykuły mają charakter mowy obrończej. Jednak w komentarzach Pomiana brak jest spojrzenia krytycznego na działalność Retingera.

1. Nry 28, 29, 30 i 31 z 1971 r.

2. Nry 1325, 1328, 1331 i 1341 z 1971 r.

3. „Komunikaty towarzystwa im. Romana Dmowskiego”, Zeszyt I-szy, rok 1970/71.

4. Joseph Retinger, *Memoirs of an Eminence Grise*, Sussex University Press, 1972.

Strona techniczna książki wzbudza poważne zastrzeżenia. Po pierwsze trudno jest rozpoznać na pierwszy rzut oka które teksty pochodzą od Pomiana, a które od Retingera. Natomiast o ile chodzi o cytaty innych autorów, jak na przykład wrażenia Victora Cazaleta z podróży do Rosji z generałem Sikorskim, czy też Tadeusza Chciuka z podróży do kraju z Retingerem, niesposób jest odróżnić ich od tekstów samego Retingera.

Uderzający jest również brak bibliografii, a nawet brak spisu książek, czy też pamfletów, napisanych przez samego Retingera.

Pomimo pewnych wysiłków ze strony Pomiana całość książki nie wyjaśnia okoliczności działania Retingera i powodów tego działania. Na przykład najważniejsze wydarzenie w życiu bohatera, a mianowicie bezpośrednie spotkanie z premierem Asquith'em przedstawione jest w ten sposób:

„However, his big opportunity came shortly after his return to London when a journalist friend, hearing the story of his escape from Poland, got him invited to lunch at No 10 Downing Street”. (Jednak jego wielka szansa nadeszła wkrótce po przybyciu do Londynu, kiedy przyjaciel-dziennikarz, po zapoznaniu się z historią jego ucieczki z Polski, zaaranżował zaproszenie go na obiad na 10 Downing Street.) (str. 28).

A więc byle dziennikarz wprowadza obywatela wrogiego państwa (Austro-Węgier) do rezydencji premiera, który chce usłyszeć ciekawą historię ucieczki na stronę aliancką? Nie bądźmy naiwni, przecież nie o to chodziło. Z pewnością ta ucieczka miała tak ważne elementy informacyjne, czy też kontaktowe, że aż premier Wielkiej Brytanii był nimi zainteresowany.

Książka pełna jest takich niedomówień i właściwie wyjaśnia bardzo niewiele okoliczności działania Retingera, które w dalszym ciągu pozostają tajemnicze. Znalazłem w niej mało faktów, których nie znałem przedtem. Oto niektóre z nich:

— że do wygnania Retingera z Francji i Anglii na początku roku 1918 przyczyniły się nie tylko powody polityczne, ale również i osobiste, a mianowicie afera miłosna z Amerykanką Jane Anderson, co doprowadziło do nieporozumień między Retingerem i jego przyjaciółmi, a jednocześnie przyczyniło się do rozbicia jego pierwszego małżeństwa z Otalią Zubrzycką;

— że w latach 20-tych miała miejsce afera miłosna z jedną z czołowych działaczek Labour Party, dr. Marion Phillips, co niewątpliwie przyczyniło się do rozszerzenia kontaktów Retingera z brytyjską lewicą;

— że słowo *amnesty* (amnestia) zamiast *release* (zwolnienie) zostało użyte w układzie Sikorski-Majski przez pomyłkę, którą

spowodował urzędnik polskiej służby dyplomatycznej Potulicki. Trudno w to uwierzyć po pierwsze dlatego że skądinąd wiadomo, że słowo *amnesty* zostało użyte na żądanie władz sowieckich, a po drugie dlatego, że Retinger stale podkreśla jak to we dwójkę z Sikorskim, bez niczyjej pomocy, zawierali ten układ, a potem okazuje się, że tekst umowy, rzekomo zredagowany przez Potulickiego, nie został przez nich sprawdzony;

— że w liście z 1 lutego 1944 do Mikołajczyka, pisany w Bari, kiedy Retinger czekał na zrzut do kraju, pisał on wyraźnie, iż jedzie do kraju aby namawiać do kompromisu ze Związkiem Sowieckim;

— że Retinger nie podejrzewa, iż kąpiel w strumyku, która miała miejsce w nocy z 29 na 30 maja 1944, po nie udanym załadowaniu się na „Most Nr 2” pod Tarnowem, była zamierzona;

— że Retinger jeździł po wojnie do PRL nie jeden, a trzy razy i zastanawiał się nad osiedleniem się tam na stałe (ale w jakim celu — książka nie wyjaśnia);

— że po ostatniej wojnie Retinger zajmował się między innymi sprawą zjednoczenia Church of England z Kościołem katolickim (z czego, tak jak i z wielu innych przedsięwzięć Retingera, nic nie wyszło) i w związku z tym miał audiencję u kardynała Montini, obecnego papieża Pawła VI.

Nowych rzeczy w tej książce jest niewiele, natomiast istnieją poważne braki. Nie ma danych o rodzinnym zapleczu Retingera, tych danych które można znaleźć u Olgierda Terleckiego, a wśród nich między innymi iż rodzina Retingerów wywodziła się z Bawarii i że jeszcze ojciec Józefa Hieronima, również Józef, za młodu używał nazwiska Röttinger. Nie ma też żadnej wzmianki o kontaktach bohatera tej książki z rewoltą Abd el-Krim’a w hiszpańskim Maroku w latach 1920-26. Nie ma nic na temat pertraktacji pomiędzy brytyjskimi i polskimi związkami zawodowymi w czasie strajku brytyjskich górników w 1926, w których prawdopodobnie Retinger pośredniczył. Ta sprawa nie została jeszcze wyjaśniona, a byłby to poważny przyczynek do historii stosunków polsko-brytyjskich. Pominięty jest całkowitym milczeniem udział Retingera w obradach Centrolewu w Krakowie, które stały się bezpośrednią przyczyną procesu brzeskiego.

Jeśli chodzi o okres drugiej wojny światowej, to brakuje naświetlenia stosunku Retingera do ewakuacji wojska polskiego z ZSSR.

O ile można się zorientować, ewakuacja tego wojska została uzgodniona pomiędzy władzami brytyjskimi, władzami sowiecki-

mi i gen. Andersem z pominięciem gen. Sikorskiego i można się domyślać, iż w tym wypadku Retinger popierając ewakuację z ZSSR, działał zgodnie z życzeniami władz brytyjskich, a przeciwnie intencjom gen. Sikorskiego.

Zaskoczył mnie również brak cieplejszej reakcji Retingera na śmierć gen. Sikorskiego. Kilkakrotnie stwierdza on w swych pamiętnikach bez żadnych komentarzy, iż gen. Sikorski zmarł, natomiast Pomian wyjaśnia — co zresztą czyta się bez większego przekonania — iż Retinger nie polecał z gen. Sikorskim dlatego, że nie była to podróż o charakterze politycznym. W swoim czasie, kiedy zbierałem materiały na temat pobytu Retingera w kraju w 1944, opowiadano mi jak ciężko przeżywał Retinger śmierć gen. Sikorskiego. Opisywano mi również scenę formalnej identyfikacji zwłok gen. Sikorskiego na dworcu Victoria w Londynie przez oficjalną komisję rządu polskiego. Podobno w sali unosił się swąd rozkładającego się ciała, które w żaden sposób nie zostało zabezpieczone, a Recio stał pod ścianą i nie mógł powstrzymać się od płaczu. Podobno nigdy przedtem, ani potem nie widziano go płaczącego, tego Recia, który z niejednego pieca jadł chleb. Żadnych śladów tych — jak widać przesadnych — opowieści nie znalazłem w pamiętnikach Retingera, a jedynie krótkie stwierdzenie, iż gen. Sikorski zmarł⁵.

Relacja Retingera na temat wizyty w kraju w 1944 jest pozbawiona jakichkolwiek zasadniczych wiadomości. Nie podaje z kim się widział, na jakie tematy rozmawiał i jakie były wyniki tych rozmów. Stwierdza jedynie, iż widział się z gen. Borem-Komorowskim, ale nic nie pisze o przebiegu tego spotkania⁶.

Z innych źródeł wiadomo, że Retinger widział się między innymi z Jankowskim, Białasem, Stypułkowskim, Kołodziejskim, Kutrzebą, Zarembą, Korbońskim, wiadomo również, iż dążył usilnie do spotkania z komunistami, ale czy takie spotkanie doszło do skutku nie wiemy i w pamiętnikach Retingera nic na ten temat nie ma.

Przy okazji chciałbym odpowiedzieć przynajmniej na jeden z zarzutów Aleksandra Janty, który kwestionuje moje stwier-

5. W czasie wieczoru poświęconego omawianej książce, który został zorganizowany przez *Kontynenty* 5 maja 1972 w Londynie, dawna telefonistka Rady Ministrów w Londynie, która widywała Retingera codziennie, stwierdziła, iż nie zauważyła żeby okazywał on jakiegokolwiek wzruszenie po nadejściu wiadomości o śmierci gen. Sikorskiego, a jedynie chyba był bardziej ruchliwy niż zwykle.

6. Fakt ten został zakwestionowany w czasie wieczoru *Kontynentów* poświęconego tej książce przez płk. dypl. K. Iranka-Osmeckiego, który jest zdania, iż Retinger nie widział się z generałem Borem-Komorowskim.

dzenie: „Po powrocie do Londynu dr Retinger stwierdził że polska inteligencja została już wymordowana, robotnicy znikli z miast, a pozostał jedynie lud rolniczy” (*Kultura*, maj 1966), pisząc: „Ktokolwiek zna raporty i opowiadania Retingera po powrocie z Polski wie oczywiście, że tak symplicystyczne podsumowanie sytuacji ... nie było ani w przybliżeniu treścią sprawozdań, czy ocen, jakie po półrocznym pobycie w kraju przywołał Retinger” (*Wiadomości* nr 1325).

A tymczasem w tygodniku *Everybodys* z 9 września 1944 ukazał się wywiad z Retingerem, w którym znajdujemy taką jego wypowiedź:

„The workers have virtually disappeared from the towns of Poland. In fact, there is no class of people left in Poland besides the peasants. The workers have been deported in 'bulk' and their absence from Poland or their strict regimentation in labour camps makes it impossible for them to take an active part in the resistance movement. Hence the Polish Socialist Party has not been able to pull its full weight. The Polish intellectuals have been systematically murdered by the Germans. ... The best of our professional men, of our writers, artists, scientists — in fact, the elite of our nation is dead. ... As for the aristocracy, who were, broadly speaking, the big landowners, as a class they too, have ceased to exist”. (Praktycznie rzecz biorąc, robotnicy znikli z miast Polski. Faktycznie żadna klasa ludzi w Polsce nie pozostała poza chłopami. Robotnicy zostali w całości deportowani i ich nieobecność w Polsce lub podporządkowanie ich ścisłej dyscyplinie w obozach pracy uniemożliwia im branie czynnego udziału w działaniu podziemia. Wobec tego Polska Partia Socjalistyczna nie jest w stanie spełnić swej roli. Polscy intelektualisci byli systematycznie mordowani przez Niemców. ... Najlepsi ludzie wolnych zawodów, nasi pisarze, artyści, naukowcy — *de facto* elita naszego narodu, nie żyje. ... O ile chodzi o arystokratów, którzy mówiąc ogólnie byli właścicielami ziemskimi wielkiego kalibru, jako klasa, przestali również istnieć”.

Oświadczenie to było niewątpliwą „próbą przypodobania się Mikołajczykowi i podbudowania jego interesów partyjnych”, jeżeli można użyć określenia przeciwko któremu Aleksander Janta protestuje. Prawdopodobnie chodziło Retingerowi o poparcie partii najbardziej ugodowo nastawionej w stosunku do ZSSR, co było zgodne z zaleceniami brytyjskimi, a obniżenie autorytetu PPS, która w okresie tego wywiadu (wrzesień 1944) okazywała większą oporność niż Stronnictwo Ludowe. Ale wróćmy do książki.

Trudno w krótkim szkicu omówić wszystkie znajdujące się w tej książce mity, dotyczące Retingera, poruszę więc jedynie niektóre z nich.

W roku 1914 Retinger został uprawniony przez lwowski Komitet Narodowy do reprezentowania jego interesów na Za-

chodzie i był przez ten komitet, który znajdował się pod wpływami Narodowej Demokracji, finansowany. Jednak skoro Dmowski znalazł się na Zachodzie, Retinger występował przeciwko niemu i między innymi bojkotował tworzenie polskiej armii we Francji. Pomian wyjaśnia, iż u podstaw sprzeciwu Retingera leżały względy humanitarne, a mianowicie obawa o losy niedawnych żołnierzy państw centralnych, którzy z chwilą pójścia na front po stronie alianckiej mogliby się dostać do niewoli⁷. Argumentacja ta nie jest zbyt przekonująca, tym bardziej, że w parę lat później Retinger wcale nie był wrażliwy na krwawe prześladowania katolików w Meksyku, gdzie był doradcą rządu rewolucyjnego, chociażby nawet — jak niektórzy twierdzą — jedynie doradcą w sprawach naftowych.

Wielokrotnie powtarzana jest legenda, iż gen. Sikorski chciał odznaczyć Retingera krzyżem *Virtuti Militari* za jego zasługi w czasie odnalezienia gen. Sikorskiego we Francji i przywiezienia go do Anglii w 1940. Pomian opisuje nawet jak to gen. Sikorski wiozł bez mała siłą Retingera na uroczystość dekoracyjną, jednak w czasie drogi udało się Retingerowi wyskoczyć z samochodu na czerwonych światłach drogowych i uciec. W swoim czasie badałem tę sprawę i nie znalazłem ani żadnych dokumentów, ani też żadnych świadków, którzy zdołaliby potwierdzić, iż gen. Sikorski miał zamiar nadać Retingerowi *Virtuti Militari*. Natrafiłem jedynie na wniosek min. Banaczyka nadania mu Krzyża Walecznych za podróż do kraju, ale wniosek ten nie został przyjęty i Retingera nie ma na liście odznaczonych ani *Virtuti Militari*, ani też Krzyżem Walecznych⁸.

Do pewnego stopnia Retinger w swoich pamiętnikach wyjaśnił okoliczności w których został on polskim *Chargé d'Affaires* w ZSSR w roku 1941 (str. 122). Jego wyjazd do ZSSR nastąpił na wyraźne żądanie Edena. Gen. Sikorski wyraził swą zgodę na ten wyjazd, ale nie określił formalnie funkcji jaką Retinger miał w ZSSR sprawować. Tymczasem w Moskwie został Retinger przyjęty przez omyłkę, jak sam pisze, jako polski *Chargé d'Affaires*.

7. W czasie wieczoru *Kontynentów* poświęconego tej książce mjr dypl. Stefan Benedykt stwierdził, iż początkowo armia Hallera składała się głównie z obywateli amerykańskich i dopiero po listopadzie 1918 zaczęto do niej przyjmować Polaków-jeńców z armii państw centralnych, czyli niebezpieczeństwo o którym pisze Pomian nie istniało.

8. W czasie wieczoru *Kontynentów* Franciszek Wilk sprostował jeszcze jeden z mitów retingerowskich, stwierdzając iż Retinger nie miał nic wspólnego z zabiegami o zwolnienie z więzienia PRL Tadeusza Chciuka (Marek Celt), który towarzyszył Retingerowi w jego podróżach do kraju zarówno w 1944 jak i po wojnie, i nie interweniował w tej sprawie u Mołotowa, jak podaje w swoich wspomnieniach (str. 212).

fares i jego zdaniem nie wypadało już prostować tej sowieckiej pomyłki. Można jednak przypuszczać iż brytyjski ambasador w Moskwie, a przyjaciel Retingera, Sir Stafford Cripps przyczynił się do tego, że władze sowieckie „pomyliły się”.

Retinger pisze sporo o swoim pobycie w ZSSR, ale są to wszystko albo rzeczy błahe, albo też znane już od dawna. Szkoda, że nie ma tam żadnych informacji na temat pertraktacji z władzami sowieckimi. Kiedyś oglądałem sprawozdanie z pierwszych chyba narad na ziemi sowieckiej w których brał udział Retinger, gdzie władze sowieckie wysuwały na czołowe miejsce sprawę przekazywania wiadomości drogą radiową bezpośrednio z Polski do Moskwy, co zresztą nigdy nie doszło do skutku. Niestety nie ma w pamiętnikach Retingera żadnej wzmianki o tej sprawie.

Zatrzymując się jeszcze na chwilę przy wyjeździe Retingera do Związku Sowieckiego warto zacytować niedawną wypowiedź płk. dypl. Leona Mitkiewicza w tej sprawie (*Wiadomości* Nr 1366):

„Zachodziła kwestia, kogo z wojskowych należy wysłać do Moskwy, jako szefa misji wojskowej. Retinger wybrał mnie i przekonał o tym gen. Sikorskiego. Nieustannie przychodził do mnie z tą propozycją (1941), mamiać mnie awansem na generała, i chociaż ostatecznie zgadzałem się na objęcie tego stanowiska w Rosji, to stanowczo odmawiałem awansu. Wyznaczony był w końcu inny oficer. Może to świadczyć o stosunku Retingera do mojej osoby”.

Jak widać obsadzenie polskich stanowisk w Moskwie, zarówno dyplomatycznych jak i wojskowych, latem 1941 wzbudzało wielkie zainteresowanie. Eden wysyłał Retingera jako polskiego dyplomata, a Retinger z kolei zabiegał o wysłanie wyselekcjonowanego przez siebie płk. Mitkiewicza na stanowisko wojskowe. Gen. Sikorski wyraźnie zapobiegał tym zamiarom (jak to pisał prof. Kot w swoich „Listach z Rosji do gen. Sikorskiego”) i, po pierwsze, nie nadał on formalnych uprawnień dyplomatycznych Retingerowi, a po drugie, w ostatniej chwili wysłał do Moskwy nie przygotowanego do tej funkcji przez Retingera płk. Mitkiewicza, lecz gen. Szyszko-Bohusza. Widać, iż przynajmniej w tej dziedzinie gen. Sikorski nie dowierzał Retingerowi i przeciwdziałał jego zamiarom w miarę swoich możliwości.

Z kolei należy poruszyć sprawę ewentualnego zamachu na życie Retingera w czasie jego pobytu w kraju w 1944⁹. Na ten temat pisze on co następuje:

9. W czasie wieczoru *Kontynentów* płk dypl. Iranek-Osmecki stwierdził, iż nie było mowy o oddaniu Retingera pod sąd i że chodziło jedynie o jego bezpieczeństwo. Według płk. Iranika przebieg spraw był następujący:

„While in Poland itself one of my friends at whose house I was staying for a few days told me, to my great surprise, that he had been warned by a lieutenant of the Home Army that they had orders to liquidate me.. Knowing that I was staying with this friend they wanted to warn him so that he would not be involved”. (W czasie gdy byłem w Polsce, jeden z moich przyjaciół, w którego domu mieszkalem przez kilka dni, powiedział mi, ku memu wielkiemu zdziwieniu, że porucznik Armii Krajowej uprzedził go, że mają oni (tzn. AK) rozkaz zlikwidowania mnie. Wiedząc, że ja zatrzymałem się u tego przyjaciela chcieli oni uprzedzić go, ażeby nie był on w tę sprawę zamieszany.) (str. 176).

O ile mnie wiadomo przebieg spraw był mniej więcej następujący. (Niestety nie mogę podać od kogo te informacje pochodzą). Wkrótce po przybyciu do kraju, a więc jeszcze w kwietniu 1944 Retinger spotkał na ulicy w Warszawie swego przedwojennego przyjaciela Tadeusza Gebethnera, od tej chwili utrzymywał z nim bliski kontakt i bywał u Gebethnerów bez mała codziennie na obiadach.

Tadeusz Gebethner był oficerem rezerwy, należał do AK i później zmarł na skutek ran odniesionych w Powstaniu Warszawskim. Był on członkiem tej linii Gebethnerów, która posiadała wydawnictwo książek. Natomiast z drugą linią Gebethnerów, która posiadała zakłady instrumentów muzycznych, spokrewniony był (przez żonę) niejaki kpt. a później mjr Tomaszewski (imienia nie zdołałem ustalić), przedwojenny oficer

Wkrótce przed przybyciem Retingera kurier przywiózł dwie jego fotografie w celu przygotowania odpowiednich dokumentów i wręczył je delegatowi rządu Jankowskiemu z zaleceniem, iż chodzi tu o bardzo ważną osobistość. (Kurier z fotografiami Retingera musiał widocznie przybyć drogą lądową, gdyż loty z Anglii zostały wstrzymane w październiku 1943, tzn. przedtem niż Retinger przewidział zamiar udania się do kraju, a kiedy wznowiono loty z Włoch, pierwszym z nich z 3 na 4 kwietnia 1944 udał się do kraju Retinger. — Z. S. S.). Delegat rządu nie posiadał odpowiednich możliwości i przekazał fotografie gen. Bór-Komorowskiemu z prośbą o roztoczenie opieki nad spodziewanym wysłannikiem. W tym stadium nikt jeszcze nie wiedział iż chodzi o Retingera. W KG AK powstał problem kto ma wykonać to zadanie, Kedyw czy też Oddział II. Zdecydowano, iż sprawą tą ma się zająć szef Oddziału II płk Iranek-Osmecki i wręczono mu dwie fotografie przywiezione przez kuriera. Wówczas dopiero stało się jasne, iż tym ważnym wysłannikiem jest Retinger. (Płk Iranek-Osmecki znał go z okresu swego pobytu w Londynie i rozpoznał go na zdjęciach). „Kenkarta” została przygotowana, przedstawiciel Oddz. II wraz z łączniczką spotkał Retingera w miejscu jego lądowania i umieścił w z góry przygotowanej melinie. Oddz. II czuwał nad bezpieczeństwem Retingera. Jednak po kilku dniach pobytu w Warszawie Retinger spotkał Gebethnera, przeniósł się na jego kwaterę w porozumieniu z delegatem rządu Jankowskim. Od tej chwili Retinger wyszedł spod opieki płk. dypl. Iranka-Osmeckiego. (Pomian podaje — str. 177 — iż delegat rządu powierzył opiekę nad Retingerem Franciszkowi Białasowi — Z. S. S.).

żandarmerii. Kapitan Tomaszewski przeżył Powstanie Warszawskie i po wojnie był przez jakiś czas w Londynie, gdzie obracał się w środowisku Akowskim. Gdzie jest on obecnie nie zdołałem ustalić.

Jeszcze chyba w kwietniu 1944, a może na początku maja, kpt. Tomaszewski zwrócił się do Tadeusza Gebethnera uprzedzając go, że utrzymuje przyjacielskie stosunki z niemieckim kolaborantem Retingerem, na którego został wydany wyrok śmierci i jemu, Tomaszewskiemu, polecono ten wyrok wykonać. Tadeusz Gebethner odpowiedział, że zna Retingera od lat, nie wierzy w te oskarżenia i jest przekonany, iż jeżeli nawet zaistniały jakieś kontakty pomiędzy władzami niemieckimi i Retingerem, to nie mogą one przynosić szkody sprawie polskiej, do czego Retinger nigdy by nie dopuścił.

Prawdopodobnie na skutek sugestii Gebethnera kpt. Tomaszewski odszukał mecenasa Stypułkowskiego w restauracji i poprosił o natychmiastową rozmowę, która odbyła się w bramie jednej z pobliskich kamienic. (Stypułkowski utrzymywał stosunki towarzyskie z Gebethnerem, widywał też czasami Retingera i znał pobieżnie Tomaszewskiego). W czasie tej rozmowy Tomaszewski zwrócił się o poradę do Stypułkowskiego, który stanowczo odmawiał go od wszelkich zamachów na życie Retingera, uważając je za bezpodstawne i niepożądane. Na skutek rozmów, najpierw z Gebethnerem a później ze Stypułkowskim, kpt. Tomaszewski zaniechał wykonania rzekomego wyroku i podobno miał z tego powodu jakieś drobne przykrości służbowe, które jednak nie doprowadziły do żadnych poważniejszych reperkusji.

I jakież z tego możemy wyciągnąć wnioski? Z jednej strony mamy pisemną relację płk. dypl. Janusza Bokszczanina (*Zeszyty Historyczne* Nr 12, str. 83), który był wówczas trzecią osobą w AK, iż był on świadkiem dyskusji na najwyższym szczeblu w sprawie ewentualnej likwidacji Retingera jak również decyzji gen. Bora-Komorowskiego zakazującej tejże likwidacji, a z drugiej strony mamy wersję kpt. Tomaszewskiego, iż miał on rozkaz zlikwidowania Retingera. Zbyt mało jest danych, a niektóre z nich są oparte na relacjach ustnych, żeby można było na ten temat wypowiedzieć się definitywnie. Jedną z możliwości jest ta, iż kpt. Tomaszewski dostał jakieś rozkazy wstępne lub przygotowawcze, które w rozmowach z Gebethnerem i Stypułkowskim przedstawiał jako rozkazy likwidacji.

Należy również wspomnieć o ustosunkowaniu się do Retingera dwóch innych ośrodków krajowych, niezależnych od AK, a mianowicie NSZ i AL. O ile chodzi o NSZ, płk Boguszewski przedstawia sprawę następująco:

„Kierownictwo Grupy Szańca (nazwa ta stosowana jest do organizacji politycznej która była kontynuacją przedwojennego ONR Obozu Narodowo-Radykalnego — Z.S.S.) poleciło zgładzić agenta. Mimo skrupulatnych przygotowań i dokładnego obserwowania poruszeń Retingera likwidacja nie udała się, gdyż w dzielnicy w której Retinger zamieszkał, dzięki dziwnemu zbiegowi okoliczności, bez przerwy kręciły się patrole piesze i samochodowe niemieckie” (*Zeszyt II do Historii NSZ* — str. 24).

Najprawdopodobniej miało to miejsce już po rozłamie scaleńskim, czyli najwcześniej w drugiej połowie kwietnia 1944, kiedy już Stypułkowski nie miał wpływu na dominującą część NSZ które nie podporządkowały się aktowi scaleniowemu z A.K.

Natomiast o ile chodzi o AL, to nic nie wiadomo o ich stosunku do Retingera, ale można się domyslać, iż nie mieli oni złych zamiarów w stosunku do niego, gdyż nie było ku temu żadnych podstaw, tym bardziej iż Retinger pragnął skontaktować się z komunistami i nie jest wykluczone, że z nimi rozmawiał.



W przedmowie do omawianej książki holenderski książę Bernard pisze, iż Retinger miał dwie wielkie miłości — Polskę i zjednoczoną Europę. Zresztą teza ta jest podtrzymywana zarówno przez Pomiana w jego komentarzach jak i przez Janę w jego artykułach w *Wiadomościach*. Jednak przy bliższym zapoznaniu się z działalnością Retingera trudno jest pogodzić się z twierdzeniem, iż takie właśnie były motywy jego działania. Na przykład odnosi się wrażenie, że w okresie pierwszej wojny światowej zasadniczym celem działalności Retingera było ratowanie monarchii austro-węgierskiej. W tej dziedzinie hipoteza Giertycha, iż Retinger był pośrednikiem między ośrodkami proangielskimi w Wiedniu i proaustriackimi w Londynie wydaje się słuszna. Jednocześnie w tym okresie Retinger zabiegał o polską autonomię w ramach monarchii austro-węgierskiej, i był przeciwny staraniom innych, dążącym do polskiej niepodległości, co wyraziło się najlepiej w działalności Retingera skierowanej przeciwko armii Hallera we Francji. Nie wydaje się też słuszna sugestia Pomiana, iż jedynie ta właśnie działalność, obok romansu z Jane Anderson, przyczyniła się do banicji Retingera z państw alianckich. Można podejrzewać że główną przyczyną banicji było odcięcie się Anglii i Francji od prób poszukiwania niezależnego pokoju z Austrią i zademonstrowanie tego stanowiska przez potępienie tego spośród swoich uprzednich agentów, którego najłatwiej było wyprzeć się, a mianowicie Retingera, pomimo, iż spełniał on w tej dziedzinie jedynie rolę wykonawczą. Poprzez

banicję Retingera uratowano prestiż osób wyżej postawionych, które były zamieszane w próby zawarcia osobnego pokoju z Austrią. Janta stara się udowodnić, iż przyczyną banicji Retingera była jego działalność na korzyść Polski i związane z tym protesty ze strony ambasad rosyjskich na Zachodzie¹⁰. Twierdzenie to nie jest do przyjęcia, gdyż Retinger popadł w niełaskę na przełomie 1917/18, czyli nie tylko po rewolucji marcowej, ale już nawet po rewolucji październikowej, kiedy ambasady rosyjskie w Paryżu i w Londynie nie miały już wiele do powiedzenia.

Niezmiernie charakterystyczne jest zachowanie się Retingera w okresie 1918/20, to znaczy w tym okresie kiedy powstała jedyna w swym rodzaju okazja do odtworzenia niezależnego państwa polskiego. W tym czasie nastąpiło intensywne skomasowanie polskiej aktywności i zarówno Polacy rdzenni jak również częściowo wynarodowieni gromadzili się dookoła sprawy polskiej niepodległości. Tymczasem Retinger, którego rzekomo jedną z miłości była Polska, pozostał całkowicie obojętny. W tym czasie był on w pełni zaangażowany w sprawy meksykańskie i jedynym jego czynem związanym z polskością było uzyskanie osobistych dokumentów od polskiego przedstawiciela w Waszyngtonie Feliksa Frankfurtera. Można by wnioskować, iż Retinger był przeciwny tworzeniu niezależnego państwa polskiego i znajdował się w opozycji w stosunku do obu głównych nurtów politycznych (jeden kierowany przez Piłsudskiego, a drugi przez Dmowskiego) zabiegających w tym czasie o niepodległą Polskę. Można by również wnioskować, że skoro koncepcja Retingera silnej monarchii habsburskiej, która jednoczyłaby narody wschodniej Europy z Polakami włącznie upadła, Retinger wycofał się całkowicie ze spraw europejskich na pewien okres czasu.

Pomimo iż sprawy rozdrabniające, takie jak rewolucja w Meksyku, czy rewolta w Maroku, absorbowały Retingera, znaczna większość spraw którym poświęcał się miała charakter scaleniowy. Można by tu wymienić jego zabiegi na korzyść Austrii w czasie pierwszej wojny światowej, próby stworzenia federacji związków zawodowych między wojnami, usiłowania prowadzące do sfinalizowania kompromisu polsko-sowieckiego w czasie drugiej wojny światowej, działalność na korzyść zjednoczonej Europy, a potem na korzyść wspólnoty atlantyckiej po wojnie. Te koncepcje scalające stawiał Retinger zwykle na pierwszym miejscu, podporządkowując im sprawy polskie, które starał się ułożyć w ramach zasadniczych rozwiązań ogólnych.

10. *Wiadomości* nr 1325.

Można również zaobserwować, iż działalność Retingera była zwykle zbieżna z polityką rządu brytyjskiego, albo z nastawieniem jednego ze wpływowych ośrodków brytyjskich. Zbieżność ta występuje wielokrotnie tak w okresie meksykańskim jak i w dziedzinie spraw polskich. Zabiegi o kompromis ze Związkiem Sowieckim w czasie drugiej wojny światowej są tego wybitnym przykładem. Ale chyba najwyraźniej występuje to zjawisko w sprawie zjednoczenia Europy. Dopóki partia konserwatywna popierała tę koncepcję, dopóty Retinger jej się poświęcał, skoro jednak konserwatyści doszedłszy do władzy w 1951 wycofali się z europejskich zobowiązań, Retinger wycofał się z działalności europejskiej i przerzucił się na Wspólnotę Atlantycką. W ten sposób rozstał się on ze swoją drugą miłością — Europą (jego ówczesna działalność niewiele ma wspólnego z obecnie rozwijającym się Wspólnym Rynkiem europejskim), tak jak uprzednio rozstał się ze swą pierwszą miłością — Polską, kiedy po zakończeniu wojny stało się jasne, iż Wielka Brytania nie będzie tam miała już żadnych wpływów.

Wobec takich okoliczności trudno jest przyjąć hipotezę, iż głównymi motywami działania Retingera była Polska i Europa. Osobiście jestem pod wrażeniem, iż mają rację ci, którzy twierdzą że zasadniczym motywem działania Retingera było wywarcie osobistego wpływu na bieg historii i tej swojej *idée fixe* poświęcił on całe życie. W celu osiągnięcia tej największej ambicji używał wszelkich możliwych środków, a więc czaru osobistego i związanym z tym szerokich stosunków, wywiadu brytyjskiego, wywiadu polskiego, swego życia seksualnego, masonerii, związków zawodowych, ale to wszystko nie wystarczyło. Trzeba było jeszcze oprzeć się na elemencie siły i tą siłą, na której Retinger polegał była w pierwszym rządzie Wielka Brytania. Taka interpretacja motywów działania Retingera jest chyba bliższa prawdy, niż jego polskość i europejskość, które często wykluczają się wzajemnie.

Uderzające jest jednak to, że Retinger nie miał szczęśliwej ręki i z większości spraw, którym poświęcał się nic nie wyszło — Austro-Węgry upadły, federacja związków zawodowych rozlaża się, ograniczenie wpływów sowieckich, a zachowanie brytyjskich w PRL nie udało się, parlament europejski nie doszedł do skutku, Wspólnota Atlantycka nie zmaterializowała się — żeby wymienić tylko najważniejsze. Osobiste życie Retingera również nie było szczęśliwe, oba jego małżeństwa nie były harmonijne, a jego wysiłki pisarskie dały jedynie bardzo mierne owoce.

Zarówno entuzjaści jak i krytycy Retingera przedstawiają go jako człowieka wielkiej skali, wielkich możliwości. Jedni malują

ją go jako białego anioła, a inni jako czarny charakter. Tymczasem z omawianej książki wynika, że był to człowiek posiadający nieprzeciętny czar osobisty pomimo nieudolności fizycznej. Był to aktywista, człowiek czynu, który działał nieraz w sprzecznych kierunkach. Niekiedy wykazywał naiwność, chyba najlepszym przykładem jest jego nadzieja, iż uda mu się jeszcze odegrać jakąś rolę w PRL i związane z tym jego zamysły osiedlenia się w Warszawie.

Recenzenci brytyjscy chyba słusznie zwrócili uwagę, iż Retinger nie zasłużył sobie na tytuł „szarej eminencji” podany w omawianej książce („Memoirs of an Eminence Grise” — w podtytule), a jeden z nich, Malcolm Muggeridge¹¹, chyba słusznie określił Retingera tak: „*A Metternich of S.W.1, a Machiavelli of the Inner Circle, a Talleyrand of Notting Hill*”¹², co w wolnym tłumaczeniu oznacza: Metternich londyńskiego rejonu pocztowego południowy-zachód-jeden, Machiavelli najstarszej londyńskiej kolejki, która nosi nazwę Wewnętrzne Koło, Talleyrand dzielnicy londyńskiej Notting Hill.

Z. S. SIEMASZKO

PISARSKIE OSIĄGNIĘCIA J. H. RETINGERA

1. Teza doktorska złożona na Sorbonie w 1908 „*Le Conte fantastique dans le Romantisme Français*”. Została ona wydana przez Bernarda Grasset’a w 1910. W opinii Retingera „nie przyniosła ona wydawcy dochodu, a mnie sławy”.

2. Artykuły na polskie tematy w *Revue de Paris* pisane do spółki z Jean Aubery.

3. Nowela *Les Souffleurs*. André Gide przejrzał i skrytykował manuskrypt. Nie ukazała się w druku.

4. *L'Histoire de la Littérature Française depuis le Romantisme jusqu'à Nos Jours*, nad którą pracował Retinger po uzyskaniu doktoratu i zakończył ją w Monachium prawdopodobnie w 1910. Wątpliwe czy ukazała się w druku.

5. Recenzje i artykuły w *Miesięczniku Literackim i Artystycznym*, który wychodził w Krakowie w 1911. Retinger był jego redaktorem.

6. *Poland and Prussia* wydana anonimowo w Londynie i Paryżu, prawdopodobnie tuż przed pierwszą wojną światową, na temat tępienia polskości w zaborze pruskim.

7. Broszury: „*La Pologne et l'Equilibre Européen*” — 1916, „*Considerations Générales sur l'Avenir Economique de la Pologne*” — 1917, oraz „*Petit Manuel de la Politique Anglaise*” — wydana w Paryżu z przedmową Stephen’a Pichon’a.

8. *Notes on the Polish Problem* napisane w czasie pierwszej wojny światowej.

11. *The Observer* z 5 marca 1972.

12. W dzielnicy tej urodził się G. K. Chesterton i wstawił ją tytułem swej powieści „*The Napoleon of Notting Hill*”.

towej dla Foreign Office. Zostały wydrukowane w zbiorze Conrada „Notes on Life and Letters” wydanym w 1921.

9. Według Aleksandra Janty książkę Aleksandra Skrzyńskiego *Pokój a Polska*, wydaną w 1924, napisał faktycznie Retinger.

10. Artykuły w *Robotniku* i *Wiadomościach Literackich* w okresie międzywojennym.

11. *Polacy w cywilizacji świata*, wydana przez Światowy Związek Polaków w 1937.

12. Nieskończona książka o tendencjach filozoficznych *Castes and Prejudices*, pisana w latach 30-tych.

13. *All About Poland — Facts, Figures, Documents*, praca zbiorowa opracowana przez „J. H. Retinger, Litt. D.”, wydana w Londynie w kwietniu 1941 przez Minerva Publishing Co. Ltd.

14. *Conrad and his Contemporaries* napisana przed wojną, wydana w Stanach Zjednoczonych w 1943 przez Roy Publishers Inc. Ilustracje Feliksa Topolskiego.

Z. S. S.

Aleksander LITWIN

O DRUGIEJ RZECZPOSPOLITEJ — INACZEJ

Dla uczczenia millenium warszawska *Polityka* zamieściła w 1967 roku cykl artykułów historycznych — przeważnie w duchu obowiązujących obecnie poglądów marksistowskiej historiografii polskiej. Cykl ten zamknął artykuł prof. Konstantego Grzybowskiego pt. „Druga Rzeczpospolita”, w którym oceniał historię Polski lat 1918-1939. Autor stwierdził m.in., że: Polska mogła już w 1918 roku być „państwem ludu”, przez cały okres międzywojenny Polska przeżywała „kryzys strukturalny”, wadliwa była struktura rolna, Polska była krajem „monopoli”, krajem równocześnie imperialistycznym i „półkolonialnym” itd.

Nie godząc się z tymi (i wielu innymi) sądami, skierowałem do redakcji *Polityki* poniższy artykuł. Redakcja odmówiła jego opublikowania i w liście do mnie wyjaśniła:

„Tekst prof. Grzybowskiego może być pod wieloma względami dyskusyjny i podważalny, był on jednak pomyślany jako zakończenie cyklu millenijnego, a nie jako rozpętanie zasadniczej dyskusji na tematy międzywojennego dwudziestolecia. Wasz esej nie jest drobną polemiką, proponuje zupełnie inne ustawienie zasadniczych spraw. Pociągnie on lawinę innych wypowiedzi, a my nie zamierzamy obecnie rozpoczynać takiej dyskusji”.

W październiku 1967 roku, z inicjatywy prof. Tadeusza Manteuffla, przekazałem ten artykuł do druku jednemu z czasopism historycznych. Miał on być zamieszczony wraz z wypowiedziami dyskusyjnymi wielu historyków. Wypadki polityczne z 1968 roku stanęły widocznie temu na przeszkodzie.

Nie zdziwiło mnie to, gdyż wypowiedzi moich nie drukowano w Polsce od 1958 roku.

Oddaję artykuł ten do druku po skreśleniu kilku zdań i po kilku drobnych poprawkach, które winny ułatwić zrozumienie dyskusji sprzed pięciu lat.

Non mirari, non indignari, sed intellegere. To przysłowie przyszło mi na myśl w toku czytania na łamach *Polityki* artykułu prof. Konstantego Grzybowskiego pt. „Druga Rzeczpospolita”. Bowiem na historię (swego czy innego kraju) nie może historyk się gniewać, nie może jej potępiać, winien ją rozumieć.

Jeśli myśleć nie apriorycznymi kryteriami ideologicznymi, to trzeba wysnuć raczej wniosek: „Druga Rzeczpospolita była przecież ojczyzną narodu polskiego. Dlaczego czernić jej oblicze?”

Historyka obowiązują zasady obiektywizmu naukowego, a te wykluczają aprioryczne założenia ideologiczne czy polityczne. Historyk nie może głosić apodyktycznych twierdzeń, bowiem mają one swe alternatywy, a te świadczą o relatywizmie jednoznacznych twierdzeń. Historia jest znacznie bogatsza od jednostronnych ideologii historycznych czy historii ideologicznych.

Niesposób w artykule wypowiedzieć swój odrębny sąd o wielu poruszonych przez profesora sprawach. Przecież często, dla wyjaśnienia apodyktycznego twierdzenia zawartego w jednym zdaniu, trzeba napisać całą rozprawę. Pozwolę sobie omówić poniżej krótko jedynie kilka zagadnień, a zainteresowanego czytelnika odesłać do moich książek.



Czy Druga Rzeczpospolita — jak twierdził Grzybowski — stanęła przed problemem: — że: 1) ma być państwem nawiązującym do szlacheckiej tradycji Pierwszej Rzeczpospolitej, czy 2) państwem budującym — wbrew tej tradycji — społeczeństwo burżuazyjne, czy też 3) że ma być „państwem ludu”?

W listopadzie 1918 roku nie powstało zagadnienie nawiązywania w ustroju politycznym, społecznym, ekonomicznym, prawnym itd. do Pierwszej Rzeczpospolitej. Było to nierealne, niemożliwe. Wielki rozwój ekonomiczny, społeczny i kulturalny kraju to wykluczał. Nawet Rada Regencyjna i związane z nią koła arystokratyczne (zwłaszcza wschodniej Polski) nie stawiały podobnych perspektyw. Rok 1918 przekreślił mrzonki o zachowaniu nawet zewnętrznej szaty regencji.

Wiele złożyło się powodów dla założenia podstaw demokratycznego rozwoju Polski: — demokratyczny i narodowo-wyzwo-

leńczy charakter wojny ze strony mocarstw zachodniej Ententy, zwłaszcza wobec narodów słowiańskich monarchii habsburskiej i narodów arabskich monarchii osmańskiej, rewolucja w Rosji, przewrót demokratyczny w Niemczech i — co szczególnie doniosłe — dążenie w zasadzie wszystkich warstw społecznych, całego prawie narodu, do wolności demokratycznych, jakich nie znał w swych dziejach. Trend do wolności i demokracji w Polsce (i w Europie) był m.in. owocem zwycięstwa trójprzymierza zachodniego (Francji, W. Brytanii i USA) nad ujawniającym tendencje imperialistyczne i antydemokratyczne trójprzymierzem państw „centralnych” (Niemiec, Austro-Węgier i Turcji).

W listopadzie 1918 nie stało na porządku dziennym zagadnienie, czy Polska ma być „państwem ludu”. To eufemistyczne określenie Autora oznacza chyba, że Polska miała być, jego zdaniem, krajem socjalistycznym. Przy rozważaniu tego zagadnienia wziąć należy pod uwagę, że demokracja polska nie tylko głosiła reformy społeczne, lecz je realizowała.

PPS — najwpływowsza wówczas partia socjalistyczna — nie wysuwała hasła przewrotu socjalistycznego. Kapitalizm — sądzili przywódcy tej partii — ma jeszcze duże możliwości rozwoju i zapewnia lepsze kierownictwo gospodarką niż nieudolna biurokracja znacjonalizowanego przemysłu, co wynikało z ówczesnego doświadczenia Rosji Sowieckiej.

„Im bardziej demokratyczną budowę Polski osiągniemy w dobie najbliższej — twierdziła *Jedność Robotnicza* z 23. VI. 1918 r. — tym łatwiej przyjdzie zwycięstwo ostateczne”. Będziemy prowadzili „bój o demokrację w Polsce, wierząc że pośród następujących po sobie szybko okresów walki społecznej zdobycie demokratycznej Rzeczypospolitej jest etapem niezbędnym dla narodzin jasnego jutra”.

PPS była przeciwna natychmiastowej nacjonalizacji przemysłu wielkiego, z wyjątkiem kolei, elektrowni i (dość głośno) górnictwa; była nawet przeciwna kontroli robotniczej (komitetów i rad robotniczych) nad przemysłem, gdyż ona

„otwierała na oścież wrota egoizmowi poszczególnych grup robotniczych, fachowe kierownictwo zastępowała niefachową kontrolą”, a w Rosji Sowieckiej doprowadziła do zastoju przemysłu, „zdając wszystko na łaskę żywiołu” (*Tamże*, 29. IX. 1918).

Bund stał na podobnym stanowisku:

„Demokratyczny porządek potrzebny jest nie tylko burżuazyjnemu społeczeństwu”. „Obecnie, w czasie powstawania nowego państwa polskiego, musi proletariat naprzęć wszystkie swe siły, aby pchnąć je na drogę całkowitej demokracji”.

Nie ma chyba potrzeby wyjaśniać, że Chrześcijańska Demokracja i NZR, których wpływy dominowały w Poznańskim i na Śląsku, a znaczne były w Łodzi, były przeciwne tym przemianom wskutek „niedojrzałości warunków” i robotników do wszelkich tego typu przemian.

A SDKPiL i PPS Lewica?

Obie partie były do połowy listopada (a nawet na I Zjeździe KPRP 16 grudnia 1918 r.) przeciwne hasłom niepodległości, reform, demokracji, domagały się utworzenie jednego wielonarodowego państwa socjalistycznego w Europie. A czy domagały się socjalizacji? Tak, ale wychodziły z założenia, że w Polsce nie ma sytuacji rewolucyjnej ani warunków dla przewrotu socjalistycznego.

„Kraj nasz — pisała *Prawda Komunistyczna* z 8. III. 1919 — nie był terenem rewolucji, klasa robotnicza w Polsce nie w drodze własnych doświadczeń rewolucyjnych buduje swój program rewolucyjny. Żyjemy raczej okrucami myśli proletariackiej — wschodniej i zachodniej Europy”.

Pamiętajmy zresztą, że SDKPiL i PPS Lewica były do początku listopada 1918 roku przeciwne tworzeniu rad delegatów robotniczych, uważały je za twór rosyjski, nie przystosowany do warunków polskich.

Pozostała tylko jedna droga — budowy Drugiej Rzeczypospolitej na istniejącej bazie ekonomiczno-społecznej, jako demokratyczno-parlamentarnego kraju. Alternatywy nie było.



Czy Polska międzywojenna przechodziła — jak głosi Autor — „kryzys strukturalny”?

„Kryzys strukturalny” jest pojęciem propagandowym a nie naukowym. Można w nie włożyć dowolne treści. Nie wiadomo o jakiej strukturze mowa — politycznej, ekonomicznej, społecznej, narodowościowej, administracyjnej, prawnej — a może o wszystkich razem.

Operowano u nas dawniej (Komintern, KPP, PPR, PZPR) propagandowym pojęciem „ogólnego kryzysu kapitalizmu”. Miało ono oznaczać, że kapitalizm utracił możliwości ekonomicznego rozwoju, że z cyklu ekonomicznego rozwoju wypadły fazy rozkwitu i ożywienia; kapitalizm miał się rozwijać według cyklu: kryzys — depresja — kryzys (bez ożywienia i koniunktury).

Nie ma chyba potrzeby dowodzić, że teoria ta niewiele ma wspólnego z rzeczywistością i nauką.

Z teorii tej wywodziło się dalej, że kapitalizm utracił możliwość demokratycznego i kulturalnego rozwoju. Rzeczywistość temu zaprzeczyła. Kongresówka i Górny Śląsk rozwijały się w latach 1870-1914 w niezwykłym tempie. Produkcja przemysłowa wzrastała rocznie o 6-10 %. Kraj w ciągu lat kilkudziesięciu zmienił swe oblicze. Ogromny rozwój nastąpił też w rolnictwie Poznańskiego.

Dlaczego odzyskanie niepodległości miało stworzyć „kryzys strukturalny”?

Odzyskanie niepodległości przez Algierię, Ghanę, Gwineę, Syrię i wiele innych państw dawniej kolonialnych i zależnych, spowodowało gwałtowny spadek produkcji, pogłębienie nędzy i zahamowanie rozwoju ekonomicznego. Jeśli kraje te jakoś ekonomicznie (choć na niższym poziomie) funkcjonują, to m.in. dzięki pomocy ekonomicznej Francji, W. Brytanii i innych mocarstw. Czy mamy z tego wyciągnąć wniosek, iż kraje Trzeciego Świata przechodzą „kryzys strukturalny” i nigdy się nie rozwijają?

Teoria „kryzysu strukturalnego” czy „kryzysu ogólnego” jest próbą zastąpienia konkretnych badań naukowych sloganem — i to z „sądzami”, bowiem termin ten apriorycznie zakłada „czarne tezy”, które przecież trzeba udowodnić. Bo kraj w latach 1921-1923, 1926-1929 i 1935-1939 rozwijał się gospodarczo; Polska kulturalnie kwitła, lud polski zdobył znaczne uprawnienia demokratyczne i socjalne, jakich nie znał w całej swej historii.

Ekonomia polityczna nie potrafiła dotąd przekonywająco wyjaśnić, dlaczego w latach 1930-1933 wybuchł w wielu krajach kryzys najcięższy w dziejach kapitalizmu. Pomijam już fakt, że brak jasności w sprawie samej teorii kryzysu gospodarczego, jego źródeł. Polscy historycy gospodarczy tego okresu nie zdołali dotąd przekonywająco wyjaśnić źródeł zahamowanego rozwoju Polski międzywojennej.

Złożyło się na to — jak się sądzi — wiele przyczyn: utrata rynków krajów zaborczych, niskie wyposażenie techniczne przemysłu, niska akumulacja, niedostateczne inwestycje, brak wpływu z zewnątrz kapitałów inwestycyjnych i kredytów, zbyt wysoki budżet państwowy, brak stabilizacji politycznej, „złe położenie” geopolityczne, hołdowanie liberalistycznym teoriom ekonomiczno-politycznym i wiele innych. Historyk Marek M. Drozdowski dość przekonująco wykazał, że aktywna polityka inwestycyjna i kredytowa państwa była jedną z przyczyn rozwoju gospodarczego Polski w ostatnich latach niepodległości. Przerwała go agresja hitlerowska.

Powstają paradoksalne sytuacje. Wysokie zbrojenia były nie-

zbędne z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa, lecz zmniejszały akumulację i hamowały rozwój gospodarczy kraju, co z kolei utrudniało nasilanie zbrojeń. To samo można powiedzieć o rozbudowanym nad możliwości kraju budżecie socjalnym, oświatowym czy zbyt wysokim poziomie konsumpcji itd. Jedną z tajemnic gwałtownego wręcz rozwoju współczesnej Japonii jest wysoka akumulacja i wielkie inwestycje kosztem względnie niskich płac, co z kolei przyczynia się do stałego wzrostu płac.

Polityka „wielkomocarstwowa” może przyczynić się do rozwoju kraju, lecz często powoduje kryzys — zarówno w Drugiej Rzeczypospolitej, jak też współcześnie, np. w sukarnowskiej Indonezji, naserowskim Egipcie czy w Chinach (m.in. wskutek polityki zbrojeń atomowych). Polityka wielkomocarstwowa w XX-ym stuleciu niezawsze opłaca się ekonomicznie.

Kryzys strukturalny nie czerni oblicza Drugiej Rzeczypospolitej, lecz zaciemnia myśl badawczą.



Czy odpowiada rzeczywistości twierdzenie Autora, iż podstawową przyczyną wewnętrznych sprzeczności Drugiej Rzeczypospolitej, przyczyną jej słabości gospodarczej i politycznej była wadliwa struktura rolna?

Statystykę należy analizować, a nie operować cyframi globalnymi.

Stwierdźmy *a priori*, że struktura rolna województw poznańskiego i pomorskiego była w zasadzie „zdrowa”, a nie „wadliwa”.

W Kongresówce własność ziemiańska użytków rolnych spadła z ponad 50 % w okresie popowstaniowym do poniżej 20 % w latach trzydziestych; tak więc własność chłopska, przeważnie średniorolna, wzrosła z poniżej 50 % do powyżej 80 %. Główną wadą tego rolnictwa była nie struktura, lecz zahamowany wzrost kultury rolnej. (Nie włączajmy przy tym do statystyk rolnych „ogródków działkowych”).

A Galicja zachodnia? Tam małorolność była istotnie wielka, ale... w woj. krakowskim własność ziemiańska posiadała w latach trzydziestych zaledwie 13 % użytków rolnych, a gruntów ornych niewiele ponad 9 %. Jeśli odliczymy wzorowe folwarki (które nawet według skrajnych teorii podziałowi nie podlegają), co można było uczynić dla poprawienia „wadliwej” struktury rolnej? Posłać chłopów galicyjskich na ziemie białoruskie? Jakież demokracja mógł poprzeć podobny postulat?

A co postulowali chłopci np. w toku największych wystąpień

masowych w Galicji w czerwcu-lipcu 1933 r. (tzw. „wypadków ropczyckich”)? Mimo wezwań KPP, chłopci nie poszli na folwarki, domagali się nie ziemi lecz obniżenia podatków, moratorium długów i... przedstawicielstwa chłopskiej demokracji w gminach i w Sejmie.

Nadto rzecz merytoryczna: — „wadliwość” struktury rolnej zależy nie tylko od ilości ziemi, ale głównie od wydajności ziemi, kultury rolnej, rozwoju miast i przemysłu, od cen itd. Podwarszawski „badylarz” na hektarze ziemi miał się (jak na owe czasy) wcale nie źle. Przecież z biegiem lat granice średniorolnego gospodarstwa rozszerzają się nie tylko w górę, lecz także w dół (średniorolne jest gospodarstwo nie od 10 do 15 ha, jak głosił marksizm, lecz od 4 do 100 i więcej ha).

W okresie międzywojennym rozparcelowano 2,65 miliona ha ziemi. Parcelowano jednak nie lasy, błota i nieużytki, lecz użytki rolne. Był to wysoki odsetek ziemiańskich użytków rolnych na ziemiach Kongresówki i Galicji Zachodniej. Analizy nie potwierdzą też „ideologicznych” Autora.

Nie straszmy ludzi dorosłych babukami. W Drugiej Rzeczypospolitej też byli światli ludzie.



Czy Druga Rzeczpospolita była krajem monopolu? Czy państwo winno było przeciwdziałać tendencji do koncentracji i monopolizacji własności w przemyśle — jak postuluje Autor?

Istnieją monopole rzeczywiste i „propagandowe”. Nie można akceptować zdania tych historyków i ekonomistów, którzy głoszą, że każde duże przedsiębiorstwo to monopol; że np. z pięciu wielkich koncernów, skupiających 88 % produkcji żelaza i 84 % produkcji stali, każdy (!) jest monopolem. Żaden z tych koncernów nie miał wyłączności, a więc monopolu.

Nie istnieje współcześnie w kapitalizmie światowym wyłączna tendencja do tworzenia monopolu; wręcz przeciwnie — dominuje tendencja do likwidacji pozycji monopolistycznych, a nie ich rozrostu. Ford miał niegdyś monopol produkcji samochodów, Alcoa — aluminium, Singer — maszyn do szycia itd. Już dawno nie mają praw wyłączności. Zresztą... konkurencja i monopol nie są pojęciami ekonomicznie sprzecznymi i przeciwstawnymi.

A w Polsce międzywojennej?

Państwowy monopol kolei, loterii państwowej, spirytusu i in. był chyba celowy. Można toczyć spory, czy celowe było utworzenie monopolu soli i tytoniu. Miejskie monopole elektrowni,

gazowni, telefonów, komunikacji miejskiej itd. były chyba również celowe. Nie o nich jednak mowa. Chodzi o kartele i syndykaty przemysłu prywatnego i akcyjnego.

W szczytowym punkcie kryzysu początku lat trzydziestych było ich ponad trzysta. Ale... fakt że powstawały w czasach kryzysowych, a po kryzysie masowo się rozpadały, świadczy, że były to bieda-monopole — zmierzały nie do zdobywania zysków nadzwyczajnych, lecz do ratowania się przed bankructwem i konkurencją obcą.

Syndykat cykrowniczy (za wiedzą rządu) utrzymywał wyższe ceny cukru w kraju, by pokrywać deficyt eksportu. Syndykat przedzwy bawełnianej miał ratować wielkich producentów przed stratami, lecz nie uratował przed załamaniem finansowym największych w Polsce (i środkowej Europie) zakładów Scheiblera i Grohmana i kilku innych. Scentralizowana sprzedaż węgla nie przyniosła dochodów, które pozwoliłyby zreorganizować technicznie górnictwo węglowe; ceny były zresztą wysoce zróżnicowane, bowiem np. przemysłowi, kolejom, elektrowniom trzeba było dostarczać węgiel (czy prąd) po niskich cenach.

Sprawa jest zbyt poważna, by osądzić problem jednym zdaniem.

Kto zresztą przejrzy spisy tych 300 „monopoli” znajdzie tam kartele i syndykaty parasolek, koronek, firanek, guzików itd. i powie: Panowie! Nie używajmy wielkich słów do małych rzeczy!

Polska była krajem rolniczo-przemysłowym. Przyczyną słabego rozwoju przemysłu były m.in. wspomniane wyżej przyczyny — nikłość akumulacji wewnętrznej, ograniczoność kapitałów inwestycyjnych, ograniczoność kredytów zagranicznych, nieaktywność polityki gospodarczej i in. Kapitał zagraniczny wychodził z założenia, że Polska jest krajem nieustabilizowanym, o chwiejnej polityce wewnętrznej i zagranicznej, błędnej polityce gospodarczej, małych perspektywach rozwojowych, po części *Saison-Staat*.

Nie odpowiada rzeczywistości twierdzenie Autora, jakoby udział kapitału zagranicznego w przemyśle polskim wynosił kiedykolwiek 47,1 %. Wynosił on tyle w łonie kapitału akcyjnego i w odsetkach do kapitałów własnych w 1934 r., ale w 1935 r. wynosił 44,2 %, w 1936 — 38,4 %. Obliczenia są zresztą relatywne, trudne do uchwycenia, zależne od wahań cen i wielu innych czynników. Dlatego w czasach kryzysu udział ten pozornie wzrastał, a w czasach koniunktury buchalteryjnie malał.

Wielkie inwestycje kapitału amerykańskiego w Niemczech

Zachodnich, Francji, W. Brytanii, Włoszech niewątpliwie przyspieszyły rozwój tych krajów w ostatnim dwudziestoleciu, a nikłość inwestycji zagranicznych w Ameryce Łacińskiej czy Afryce, przy małej akumulacji wewnętrznej, jest jedną z przyczyn ich trudności wzrostu. Te kierunki inwestycji wyrastają zarówno z przyczyn ekonomicznych jak i politycznych.

W Drugiej Rzeczypospolitej nie pogłębiał się, jak głosi Autor, „półkolonialny charakter przemysłu polskiego”; to niedostatek przypływu tego kapitału, o który starania czynili rząd, przemysł, handel i banki, był jedną z istotnych przyczyn trudności wzrostu. Bowiem na radykalne zwiększenie akumulacji nikt się nie decydował. Zwiększenie udziału państwowych kapitałów inwestycyjnych w ostatnich latach niepodległości (m.in. dzięki rosnącej popularności teorii Keynes’a i doświadczeń Roosevelta) ożywiło koniunkturę, ale przełomu dokonać nie mogło. Ożywienie inwestycji zagranicznych w zasadzie powoduje zwiększenie rodzimych inwestycji; spowodowałoby też w Polsce, jak wszędzie na świecie, wzrost udziału rodzimego kapitału akcyjnego.

Nie wiem zresztą, czy Druga Rzeczypospolita, według nauk ideologicznych Autora, była krajem „imperialistycznym” czy „półkolonialnym”. Czy nie obydwoma razem — zgodnie z zasadą jedności przeciwieństw?



Czy w Polsce przynależność klasowa i warstwowa pokrywały się w pewnym stopniu — jak głosi Autor — z przynależnością narodową?

Chyba nie. Na terenie Kongresówki i Galicji Polacy stanowili większość ziemian. Ale w Wielkopolsce, na Śląsku Górnym i Cieszyńskim był wysoki odsetek Niemców, a na Kresach — wysoki odsetek Rosjan, Ukraińców i po części Białorusinów. Chłopi Polacy przeważali w Polsce centralnej i Galicji, na Kresach — Białorusini i Ukraińcy, na zachodzie był wysoki odsetek Niemców. Podobnie było z robotnikami rolnymi, z tym, że nikły był odsetek niemieckich robotników rolnych.

Przemysłowcy i bankierzy byli przeważnie pochodzenia żydowskiego i niemieckiego, w mniejszym stopniu polskiego. Wysoki był odsetek kapitału zagranicznego. W łódzkim przemyśle bawełnianym i wełnianym nie było ani jednego przemysłowca Polaka z narodowości. W górnictwie i hutnictwie dominował kapitał obcy. Handel w Kongresówce, Galicji i na Kresach był w 70-80 % w rękach żydowskich, w Wielkopolsce i na Śląsku

(gdzie odsetek Żydów wynosił tylko 3 %) — przeważnie w rękach polskich, częściowo niemieckich.

W Polsce centralnej i w Galicji (brak ścisłych danych) rzemiosło polskie i żydowskie równoważyło się, z tym, że Żydzi dominowali w krawiectwie, czapnictwie, fryzjerstwie, złotnictwie itp., Polacy zaś w innych zawodach. Na Kresach domino wało rzemiosło żydowskie, na zachodzie — polskie.

Urzednicy państwowi i komunalni byli przeważnie Polakami; wśród urzedników prywatnych wysoki był odsetek Żydów i Niemców, nikły odsetek Ukraińców i Białorusinów. Wśród nauczycielstwa dominowali Polacy, znaczny był odsetek Żydów, nikły odsetek Ukraińców i Białorusinów.

Robotnicy w wielkim przemyśle byli przeważnie pochodzenia polskiego, ale na obu Śląskach, w Wielkopolsce i w okręgu łódzkim najbardziej kwalifikowanymi byli robotnicy i majstrowie pochodzenia niemieckiego. W drobnym przemyśle przeważali Żydzi.

Żydzi — choć stanowili niewiele ponad 9 % ludności Polski — w Polsce centralnej i Galicji liczyli 30-40 % ludności miejskiej, a na Kresach 35-60 %.

Barwny kalejdoskop! znacznie barwniejszy od ogólnikowych formuł Autora.

Czy w tej strukturze społecznej tkwiła zasadnicza przyczyna słabości Drugiej Rzeczypospolitej? Czy możliwość stabilizacji została przekreślona przez krótkowzroczny egoizm klasowy polskich posiadaczy, w pierwszym rządzie polskich obszarników ziem wschodnich — jak głosi Autor?

Analiza struktury społecznej Polski i wynikające z tego wnioski wymagałyby ogromnej rozprawy (pomijam relatywność wszelkich tego rodzaju ocen). Pragnąłbym jednak wskazać na niektóre doniosłe dla nas wnioski.

Dominacja Żydów, Niemców i obcego kapitału w przemyśle, handlu i finansach spowodowała szereg charakterystycznych skutków: — niewielkie wpływy tych grup na rządy, przewagę liberalistycznych i demokratycznych tendencji, możliwość zwiększenia ponad miarę pozycji kadry wojskowej, biurokracji państwowej i kół politycznych, nadto arystokracji (zwłaszcza w dyplomacji).

Ujawniały się czasem istotne różnice stanowisk między ziemiaństwem zachodniej i wschodniej Polski. Np. w 1920 roku przemysł, handel i finanse, jak też ziemiaństwo zachodniej Polski były przeciwne koncepcjom wojennym Piłsudskiego (wyprawa kijowska). Poparły go obszarnictwo wschodnie (także drobne),

inteligencja nacjonalistyczna i niewielka część biurokracji państwowej.

Robotnicze walki „klasowe” nosiły w największych ośrodkach (z częściowym wyjątkiem Warszawy i Poznania) dość jawnie nacjonalistyczny charakter przeciw żydowskiemu, niemieckiemu i obcemu kapitałowi. Nacjonalizm był jedną z postaci „klasowej” świadomości proletariatu i jego ideologii.

Antagonizmy chłopsko-obszarnicze były ostre i nacjonalistycznie wybujałe na ziemiach ukraińskich, słabsze na Białorusi z powodu dominującej średniorolności i mniejszej świadomości nacjonalistycznej. W Polsce właściwej ujawniały się tendencje do słabnięcia i zanikania sporów wsi z dworem. Cechą istotną był wzrost solidaryzmu chłopskiego (a nie zaostrzania walki z „kułactwem”), stąd hasło „jedności chłopskiej” i zjednoczenia stronnictw ludowych. Wśród części średniorolnych ujawniały się także elementy solidaryzmu z dworem, co znalazło wyraz nie tylko w stanowisku Witosa. Dominowały tendencje do rozszerzenia demokracji dla umożliwienia obrony interesów wsi.

Na ziemiach ukraińskich konflikt był powszechny — przeciwko władzy polskiej, polityce polonizacyjnej, chłopów przeciw polskiemu ziemiaństwu, drobnomieszczaństwa przeciw pozycjom Żydów w przemyśle i handlu itd. Był to punkt najbardziej zapalny.

Czy z tego króciutkiego przeglądu można wyciągnąć wniosek, że w strukturze społecznej tkwiła zasadnicza przyczyna słabości Drugiej Rzeczypospolitej?

Nawet tu w szkicowo ujawnionych nurtach widać sprzeczne tendencje — do zaostrzania i łagodzenia przeciwieństw. Wiele konfliktów miało jawnie koniunkturalny charakter, np. wielkie strajki w czasie kryzysu 1930-1933, wystąpienia chłopskie w latach 1932-1933 przeciw zarządzeniom władz (a nie przeciw obszarnictwu), nawet po części walki na Ukrainie w latach 1929-1932, choć miały swe głębokie podłoże. Kapitalizm nie zna sprzeczności stale się zaostrzających. Wprost przeciwnie — szybki rozwój gospodarczy i społeczny łagodzi sprzeczności.

Z tymi trudnościami wzrostu i kryzysami (a więc czynnikami koniunkturalnymi, a nie strukturalnymi) nie umiały sobie koła rządzące poradzić po utracie związków z rynkami zaborców i po zjednoczeniu Polski. Obóz niepodległościowy, skupiony wokół Piłsudskiego, mimo jego zasług dla niepodległości, ponosi niemało winy za anarchizowanie życia politycznego w Polsce, co utrudniało jej wzrost gospodarczy. Piłsudski stawiał sprawy ambicji i władzy ponad stabilizację polityczną i gospodarczą, a spraw gospodarczych w ogóle nie rozumiał.

Powstała, tak często spotykana współcześnie, paradoksalna sytuacja — niepodległość i wolność przynoszą trudności wzrostu gospodarczego i politycznego, stymulują zaś wzrost kulturalny. Szczególna sytuacja Polski — polityczna i gospodarcza — trudności wzrostu zaostrzała; nadto zaostrzała je polityka władz, tak jak polityka Sukarno czy Nasera wzmogła trudności wzrostu Indonezji czy Egiptu. A w Polsce tak być nie musiało, to nie fatum historii. Pokazały to ostatnie lata niepodległości.

„Kryzys strukturalny” jest formułą, która pozwala „historiozofować”, by uniknąć badań historycznych.



Wreszcie kilka słów o demokracji.

Druga Rzeczpospolita powstała jako państwo demokracji i wolności, jakich nie znał naród polski w całej swej dotychczasowej historii. Niedemokratyczne było zdelegalizowanie KPRP w pierwszym półroczu 1919 roku. Wolno chyba jednak stwierdzić, że KPRP swym (po części później skrytykowanym) stanowiskiem — przeciwstawiania się niepodległości, wzywania do „zjednoczenia rewolucji rosyjskiej i niemieckiej” (poprzez terytorium Polski), przyłączenia Polski do Rosji Sowieckiej itd. — dała argumenty dla jej zdelegalizowania.

Czy demokracja polska narodziła się wbrew interesom i woli kapitału i „monopoli”?

Burżuazja przyniosła światu w XVIII i XIX wieku wolność i demokrację; jest to życiowe prawo kapitalizmu. Im wyżej rozwinięty jest kapitalizm, tym szerszej wymaga wolności i demokracji. (Mówię tu pewnymi utartymi sloganami, mimo ich relatywności i wieloznaczności). Dlaczego w Polsce miało być inaczej? Zwłaszcza że dominujący wielki i średni kapitał żydowski, niemiecki oraz obcy były żywotnie zainteresowane w szerokich wolnościach. W wolnościach zainteresowane było kapitalistycznie rozwinięte ziemiaństwo zachodniej Polski, po części i śród-kowej. W demokratyzacji kraju zainteresowana była inteligencja, stanowiąca istotną siłę w Polsce, w tym inteligencja żydowska i pochodzenia żydowskiego, która stanowiąc połowę inteligencji wydała wybitnych twórców i działaczy. Demokracji domagało się chłopstwo — najliczniejsza warstwa w Polsce.

A piłsudczykowska kadra wojskowa?

Ta w szczególnych (narodowościowych w znacznym stopniu) warunkach polskich umiała się wyemancypować, usiłowała zrzuć z siebie kontrolę społeczną, wierzyła w swą zbawczą misję narodową i ją narzuciła. Ale... zrodziła się ona z tradycji wolnoś-

ciowych i demokratycznych, w listopadzie — wbrew Endecji — ugruntuwała demokrację polską. Stąd wewnętrzne sprzeczności.

Skąd więc „przewrót majowy”?

Piłsudski nie zamierzał początkowo dokonać przewrotu. Pragnął przez demonstrację zbrojną umocnić swą pozycję i pozycję armii, wykorzystując w tym celu niepopularność rządu Witosza. Odmowa prezydenta Wojciechowskiego (w rozmowie na moście Poniatowskiego) podporządkowania się jego woli wpawiła go w zakłopotanie i bezwład, nie widział wyjścia z impasu. Wtedy elementy skrajne z jego otoczenia i logika działań uruchomionych sił pchnęły do znanych wydarzeń.

Poparła go cała demokracja polska. Poparła też KPP. Twierdzenie o rzekomo faszystowskim charakterze rządów Bartla-Kwiatkowskiego czy późniejszych nie ma żadnych podstaw (pojmam nieokreśloność samego tego pojęcia). W Polsce zachowana była nie tylko fasada ograniczanego stałe parlamentaryzmu, ale wiele rzeczywistych swobód demokratycznych.

Już w 1926 roku PPS przeszła do opozycji. U podstaw tego leżały nie tylko głoszone hasła obrony parlamentaryzmu (rzecz bardzo istotna dla PPS), ile obawa przed nieodpowiedzialnością Piłsudskiego, co mogło stworzyć, zdaniem PPS, groźbę dla demokracji, parlamentaryzmu i dla Polski. Piłsudski i jego stara gwardia wykazali że utożsamiają swą władzę z interesem państwa, co obiektywnie oznaczać mogło — stawianie sprawy swej władzy ponad interes demokracji i „wolę ludu”; prowadzić to mogło do rozprzężenia wewnętrznego i, jak sądzili przywódcy PPS, groźby dla państwa. Logika wydarzeń pchać mogła do zaostrzenia reżymu wewnętrznego i nieodpowiedzialnych kroków.

Obawy PPS i przywódców innych stronnictw sprawdziły się. Polskie życie polityczne stało się areną nieodpowiedzialnych wyskoków, nie dyktowanych logiką sytuacji i potrzeb politycznych. Historia zna takie wypadki od tysiącleci — w sytuacjach, gdy władza skupia się w rękach jednostki lub nielicznej elity. Wielu decyzji i posunięć politycznych, wręcz nielogicznych, wyjaśnić nie można. A tam gdzie zabraknie rozsądku i umiarkowania, logika wydarzeń prowadzi może do elementów degeneracji, do władzy dochodzą ludzie niekompetentni, elementy skrajne, mnożą się w skutkach groźne posunięcia polityczne.

Historię tworzą ludzie. Rola człowieka u władzy jest znacznie większa, niżby to wynikało z teorii prawidłowości i determinizmu historycznego. Nie na „strukturach” należy budować „historiozofię” Drugiej Rzeczypospolitej, lecz na rzetelnym i wszechstronnym zbadaniu faktów.

Historii nie wyjaśnimy schematami. Bowiem irracjonalizm odgrywa istotną rolę nie tylko w ideologii i niektórych naukach, ale także w życiu politycznym. Spróbujmy rzetelnie zbadać np. wpływ mitu Piłsudskiego na dzieje Drugiej Rzeczypospolitej, na rozwój demokracji i jej upadek, nawet na rozwój gospodarczy i kryzysy, na odzyskanie niepodległości i jej zagrożenie, na kwestię narodową i narodowościową, na ruch elit władzy.

Niestety nielogiczna jest logika wydarzeń w dziejach ludzkich.

Uciekajmy od „myślenia ideologicznego” do racjonalizmu, aby wreszcie w „nielogicznym” dwudziestym stuleciu zaczął rządzić poczynaniami ludzkimi „zdrowy rozsądek”. Intelktualiści winni podjąć to zadanie.

Aleksander LITWIN

Warszawa, lipiec 1967

NOTA BIOGRAFICZNA

Aleksander LITWIN, historyk i ekonomista, w latach 1946-1949 redaktor, w latach 1950-1954 wykładowca na Uniwersytecie Warszawskim, dziekan jednego z wydziałów, usunięty ze stanowiska decyzją Sekretariatu KC PZPR, w latach 1955-1959 pracownik Zakładu Historii Partii, usunięty ze stanowiska ponownie decyzją Sekretariatu KC PZPR i pozbawiony prawa pracy w instytutach naukowych. Prace jego nie były w Polsce od 1957 drukowane, a 4 książki zostały skonfiskowane. Przebywa obecnie na emigracji w Danii.

RECENZJE

Wiktor SUKIENNICKI

AMERYKAŃSKA PRACA HABILITACYJNA O BIAŁORUSI*

W pięćdziesięciu zjednoczonych stanach Ameryki Północnej jest powyżej 2.000 uniwersytetów, kolegiów i innych instytucji uważanych za szkoły wyższe. Administracja szkolnictwa nie jest tu scentralizowana i tradycyjnie należy do stanów. Wpływ władz federalnych jest tylko pośredni przez ewentualne udzielanie finansowej pomocy. Obok coraz liczniejszych uniwersytetów stanowych, wiele jest utrzymywanych przez instytucje wyznaniowe lub fundacje prywatne. W rezultacie zarówno organizacja jak charakter amerykańskich szkół wyższych są różnorodne, a metody i zakres wykładanych przedmiotów różnorakie. Ogólna liczba studentów przekracza 5 milionów, a ilość wykładowców idzie w setki tysięcy. Ponieważ praca w szkolnictwie, nawet wyższym, nie należy w Ameryce do najlepiej opłacanych i nie cieszy się szczególnym poważaniem, wypełnianie luk powstających wśród wykładowców z powodu zgonów, odejścia na emeryturę lub do pracy innego rodzaju, może nastęrczać pewne trudności. Normalnie nowi wykładowcy rekrutują się spośród absolwentów tu-tejszych uniwersytetów, zaś drogę do katedry otwiera wydrukowana praca. Przeważnie daje ona nie tylko tytuł doktorski, lecz również stanowisko profesora, i może być uważana za analogiczną do naszej pracy habilitacyjnej.

* *Belorussia under Soviet Rule 1917-1957*. Ivan S. Lubachko. The University Press of Kentucky 1972, stron 191 w tym 17 tablic i 8 mappek. Selected bibliography str. 193-209. Indeks nazwisk. Cena \$ 10.

Omawiana książka jest jedną z takich prac. Dała autorowi doktorat uniwersytetu Indiana oraz katedrę historii na stowarym uniwersytecie Murray. Została wydana bardzo starannie i estetycznie przez spółdzielcze wydawnictwo obsługujące dziewięć stanowych uniwersytetów i kolegiów w Kentucky. Na obwołucie z herbem Pogoni, którą stopniowo pokrywa czerwony sierp i młot, znajdujemy krótką informację o książce i jej autorze:

„Niewiele narodów europejskich jest tak mało znanych szerokiemu światu jak Białorusini. Ów wschodnioeuropejski naród był w ciągu wieków pionkiem w mocarstwowej grze jego drapieżnych sąsiadów. Polska, Rosja i Niemcy uważały Białorusinów za obiekt podboju i ucisku. Ich rodzima kultura i narodowe aspiracje mogły rozkwitnąć przez krótki tylko okres we wczesnym XX wieku.

P. Lubachko, urodzony Białorusin, daje pierwsze szczegółowe studium niedawnej historii tego narodu. W oparciu o pierwsiastkowe źródła istniejące tylko po białorusku i rosyjsku, przedstawia w swej pracy kolejne najazdy w dwóch wojnach światowych armii niemieckich, polskich i rosyjskich oraz ciągle wstrząsy wywodzące się z rewolucji rosyjskiej...”

Jeśli ktoś, zachęcony estetycznym wyglądem książki i zainteresowany egzotycznym w Ameryce tematem, obejrzy ją pobieżnie, odniesie wrażenie dodatnie. W przedmowie autor pisze, że głównym celem książki jest zebranie i przedstawienie osiągalnych (*available*) danych o Białorusi od czasu pierwszej wojny światowej i powtarza twierdzenie, że „informacje zawarte w książce są oparte przeważnie na pierwsiastkowych źródłach, ogłoszonych w językach rosyjskim i białoruskim, uzupełnionych przez inne odpowiednie (*pertinent*) studia”. Ze studia te były bardzo różnorakie, świadczy wykaz źródeł cytowanych w książce: obejmuje 17 stron, w tym 6 stron „dokumentów i wydawnictw oficjalnych”. Obok *Polityki* Arystotelesa i *Księcia* Machiavelliego (nie ma w bibliografii, ale ob. str. 170) są tam także dzieła Lloyd George’a i Churchilla, Herzena i Hitlera, Guderiana i Nicholsona, Carra i Essad-Bey’a, Temperley’a i Andrzeja Wyszyńskiego, oraz licznych współczesnych autorów anglosaskich: J. A. Armstronga, H. J. Bermana, A. Dallina, M. Fainsoda, W. Kolarza, R. Pipesa, L. Shapiro i innych. Mamy zatem formalny dowód szerokich horyzontów intelektualnych autora oraz jego obeznania ze współczesną literaturą naukową. Jest także parę książek niemieckich, natomiast francuskiego i polskiego autor widocznie nie zna. Zdając sobie jednak widocznie sprawę, że przy studiach nad Białorusią znajomość polskiego byłaby użyteczna, autor cytuje liczne prace autorów polskich, ogłoszone w językach obcych: Dmowskiego po rosyjsku, oraz St. Grabskiego, O. Haleckiego, L. Kirkiana, T. Komarnickiego, St. Mackiewicza, St. Paprockiego, P. Wandycza i innych po angielsku.

Dopiero szczegółowsze zapoznanie się z książką przynosi szereg niespodzianek, szczególnie dla kogoś kto o sprawach Białorusi dowiaduje się nie tylko od autora. Jego punkt wyjścia, że Białorusini są tą częścią szczepu ruskiego, która szukała ochrony przed najazdem Mongołów w uzależnieniu się od Litwy i dzięki swej wyższej kulturze uzyskała w niej stanowisko dominujące, jest znany z literatury rosyjskiej zarówno przed jak i po rewolucyjnej. Po małżeństwie „analfabety” Jagiełły, przyszedł wpływ polskie i sytuacja uległa zmianie, zaś w Lublinie Polska zaostriżyła swoją kontrolę nad Litwą i rozpoczęła jej „bezpośrednią (*direct*) polonizację”. Prawosławni wielmoże, opierający się polonizacji, tracili swe włości na rzecz polskich kolonistów (str. 3 — źródło: Temperley), zaś wzrastająca interwencja państwa w sprawę cerkwi zmusiła część z nich do wejścia w ściślejszy związek z Rzymem, co doprowadziło do Unii Brzeskiej, wzorowanej na Lubelskiej. Jedynie włościanie litewscy, białoruscy i ukraińscy zachowali swe mowy i narodowe obyczaje i stworzyli przeszkodę w trwałym ustaleniu się narodowości polskiej na wschodnich terytoriach „sztucznie stworzonej polskiej ‘Królewskiej Rzplitej’”. Po jej rozbiorach, Białorusini i Ukraińcy, złączeni „wiazami wiary i wspomnieniem wspólnego pochodzenia” z Rosjanami, byli przez nich traktowani „prawie tak samo jak przez rząd polski” (str. 4). Wadliwa reforma włościańska z 1861 wywołała w 1863 roku białoruską rewoltę, ściśle związaną z rewolucyjnymi wypadkami w Polsce, Litwie i Ukrainie. Jej przywódca Kostus Kalinowski stał się symbolem „białoruskiego odrodzenia narodowego, walczącego zarówno z uciskiem polskim jak rosyjskim” (str. 5). Po zdławieniu rewolty, rząd carski stosował „bardziej energiczną politykę russyfikacji i nawracania na prawosławie tych, co je porzucili pod polskim naciskiem przed rozbiorami”. Na początku XX wieku Białoruś była jedną z najbardziej zacofanych części Rosji europejskiej, gdzie przeważała wielka własność rolna nielicznej klasy wyższej, głównie Polaków i Rosjan. W Mińszczyźnie np. księżna Gogenloe posiadała 1.729.000 akrów a polski hrabia Potocki 592.800 akrów (str. 7).

Ponieważ znałem rosyjską literaturę po-murawiewowską streszczoną wyżej swoista interpretacja dziejów Rzplitej w ogóle, a W. Księstwa w szczególności, była mi znana. Dopiero „*Princess Gogenloe*” w Mińszczyźnie była nowością. W tym wypadku źródłem autora była Wielka Encyklopedia Sowiecka, wydanie 1954, której dziesięciny przeliczone na akry dały liczby bardziej imponujące. Inna encyklopedia o charakterze bardziej informacyjnym niż propagandowym, wyjaśniła, że chodziło o dobra po-radziwiłowskie, głównie lasy. Po śmierci w 1813 Dominika Radziwiłła,

bratanka „Panie Kochanku”, odziedziczyła je jego córka Stefania, która wyszła za mąż za Ludwika Wittgensteina. Z kolei jej córka Maria, po mężu księżna Hohenloe, odziedziczyła je po bracie Piotrze w 1887. Jednakże w tym samym roku wyszedł ukaz zakazujący cudzoziemcom posiadania dóbr ziemskich w Kraju Zachodnim i po-radziwiłłowskie dobra w Mińszczyźnie zostały rozparcelowane w latach 1890-1900. Pomimo to w przeszło 70 lat później, w książce amerykańskiej, obok „polskiego hrabiego Potockiego” „księżna Gogenloe” straszy na równi z „Gitlerem”.

Bezkrytyczny stosunek do wszystkiego co piszą autorzy sowieccy skłania p. Lubachko do twierdzenia, że po rewolucji lutowej „jedynie bolszewicy” byli przygotowani do rozwiązania zagadnienia narodowościowego w Rosji (str. 12). Pomimo to, pisze, że „październikowa rewolucja 1917 zaniepokoiła białoruski rząd narodowy, którego przywódcy szczerze dążyli do współpracy z Rządem Tymczasowym” (str. 18). Ponieważ pierwszy narodowy rząd białoruski został utworzony w Mińsku dopiero w lutym 1918, twierdzenie to jest równie ścisłe jak informacja, że w białoruskim Kongresie Narodowym w Mińsku w grudniu 1917 roku brali udział przedstawiciele okupowanych wówczas przez Niemców guberni grodzieńskiej i wileńskiej (str. 21). Bałamutne informacje podaje autor również w ustępie dotyczącym „polskich legionów pod generałem Dowbór-Muśnickim”, które według niego miały rozpocząć „kampanię przeciwko bolszewikom na jesieni 1917” (a nie po rozkazie Krylenki z 4 lutego 1918), i które miały być formowane w Rosji „po 30 marca 1917 roku, kiedy Rząd Tymczasowy zadeklarował w manifestie utworzenie niepodległego państwa polskiego militarnie związanego z Rosją”. Jego „primary sources” w tym wypadku są: broszura V. K. Shcharbakou’a, *Kastrychnitskaia Revaliutsyia na Belorussii i belapolskaia akupatsyia*, wydana w Mińsku w 1930, oraz niemiecka encyklopedia *Polen: Osteuropa-Handbuch*, wydana w Kolonii w 1959.

Nie mając dostępu do tekstów polskich, autor dobiera źródła swych informacji o sprawach polskich w sposób dość oryginalny i niekiedy ułóżsamia je bałamutnie. Tak, np., rzekomy tekst odezwy wileńskiej Piłsudskiego cytuje na podstawie rzekomego jego życiorysu przez „jego żonę”¹. Chodzi o książkę wydaną po angielsku w 1940 w Londynie pt. *Memoirs of Madame Pilsudski*. W przedmowie do niej jest powiedziane, że są to fragmenty oso-

1) Alexandra Pilsudska, *Pilsudski: A Biography by His Wife*, N.Y., 1941. Okolicznością w pewnym stopniu łagodzącą jest, że w bibliografiach prac M. K. Dziewanowskiego i P. S. Wandycza (1969) amerykańskie wydanie *Wspomnień* Aleksandry Piłsudskiej znalazło się również pod tym wprowadzającym w błąd tytułem.

bistych wspomnień pani Piłsudskiej na szerszym tle historycznym opowiadane po francusku właściwej autorce angielskiego tekstu, Mrs. Jennifer Ellis. Obecnie powstała w takich okolicznościach książka awansuje do roli *primary source* polskich tekstów historycznych! Po raz drugi jest ona powołana jako źródło informacji o przybyciu w kwietniu 1919 z Francji do Polski armii generała Hallera „za zgodą sprzymierzonych” (str. 37). Bliższe informacje o Hallerze autor podaje w tym samym odsyłaczu za Wielką Encyklopedią Sowiecką.

Na paru zaopatrzonych w liczne odsyłacze stronach autor opisuje stosunki na polskich ziemiach wschodnich w 1919. Na początku maja Sejm — nie wiedząc, że w Polsce nie było wówczas Senatu, autor bałamutnie dodaje w nawiasie: „izba niższa polskiego parlamentu” — miał zadeklarować, „że Białoruś jest historycznie nieoddzielną częścią polskiej Rzplitej i zadekretował całkowite wcielenie okupowanych terytoriów do Polski”. Przed tym jeszcze, bo od 28 listopada 1918, polityką Piłsudskiego być miało zarządzanie na okupowanych terenach „pod nadzorem polskich władz okupacyjnych, plebiscytów za połączeniem się z Polską”. „Polscy koloniści we wschodnich prowincjach zazwyczaj wysyłali petycje do Warszawy, żądając w imieniu ludu białoruskiego wcielenia *pure & simple*” (str. 35).

Po zajęciu Mińska jakiś tajemniczy

„dekret Nr 8, wydany przez Polaków 20 sierpnia 1919, mówił: 'Na terytoriach zajętych przez armię polską język polski ma być uważany za język oficjalny'. Okupowane terytorium Białorusi zostało ogłoszone jako 'Kresy Wschodnie' (w tekście po polsku z wyjaśnieniem w nawiasie „Eastern Provinces” — W.S.) Polski. Białoruskie i rosyjskie szkoły zostały pozamykane i wielu nauczycieli aresztowano. Język polski został wprowadzony we wszystkich urzędach. Podania po białorusku lub po rosyjsku nie były przyjmowane... Lata okupacji polskiej (1919-1920) są znane w historii Białorusi jako bardzo ciężkie...” (str. 38).

Jako źródła tych przeważnie bałamutnych informacji podane zostały m.in. dwie wydane w Londynie w 1959 i 1960 broszury: Wiktor Ostrowski, *Spotlight on Byelorussia and Her Neighbours* oraz *Za dziaŭhaunuiu nezalezhnast' Belarusi: dakumanty i materialy*. Pierwsza na 190 stronach książki jest cytowana 19 razy, i, pomimo polskiej pisowni nazwiska (pseudonimu?) autora, zawsze świadczy on w sposób Polsce szczególnie nieprzychylny. Druga, pod redakcją I. Kasiaka, ma być wydawnictwem Białoruskiej Centralnej Rady w Londynie i jako taka została podana w bibliografii w dziale „dokumentów i wydawnictw oficjalnych”. Jeden z cytowanych z niej dokumentów — nota Łuckiewicza do Przewodniczącego Konferencji Pokojowej w Paryżu z 8 maja

1919 — twierdzi m.in., że w kwietniu 1919 wojska polskie okupowały Wilno, „z którego mieszkańcy sami już wypędzili bolszewików” (str. 36).

„Bardzo ciężkie” dla Białorusi czasy skończyły się, zdaniem autora, gdy 11 lipca 1920 „Armia Czerwona zdobyła Mińsk i w ciągu (kilku) dni cała Białoruś została uwolniona od Polaków” (str. 43).

„Białorusini byli radzi z ich uwolnienia. W Mińsku dzień 11 lipca został ogłoszony jako dzień corocznych uroczystości, upamiętniających wyzwolenie od Polaków. 31 lipca została formalnie ogłoszona 'niepodległość Białoruskiej Sowieckiej Socjalistycznej Republiki'. W owym czasie republika składała się z sześciu tylko powiatów regionu mińskiego. Północno-zachodnie tereny Białorusi zostały oddane Litwie na podstawie traktatu zawartego w Moskwie 19 lipca (? W.S.) Rząd sowiecki miał zamiar oddać resztę zach. Białorusi Polsce, która, miano nadzieję, będzie Polską Sowiecką...” (str. 45).

Pomimo to „stosunki pomiędzy BSSR i RSFSR były w dalszym ciągu bardzo serdeczne” (str. 49). Po zwołaniu 3-go białoruskiego Zjazdu Sowietów 21 grudnia 1921, „celem Białoruskiej SSR było uzyskanie uznania jako suwerennego państwa przez kraje zachodnio-europejskie” (str. 50). Ponieważ nie zostało to osiągnięte, „pełne dyplomatyczne i wojskowe zespolenie republik sowieckich stało się absolutną koniecznością” (str. 51) i Białoruś musiała przystąpić do ZSSR.

Okres sowieckiego NEPu do końca lat dwudziestych p. Lubachko nazywa „Złotym Wiekiem Białoruskiej Kultury” (tytuł rozdziału 6-go), kiedy „rodzima kultura i narodowe aspiracje” Białorusinów mogły w pełni rozkwitnąć:

„Nawet członkowie rządu Białoruskiej Narodowej Republiki na wygnaniu, bezwzględnie wrogo ustosunkowani do bolszewickiego systemu rządzenia, dali się skusić możliwością przekształcenia BSSR przez wzmożoną akcję kulturalną w państwo prawdziwie demokratyczne” (str. 82).

Po konferencji w Berlinie w październiku 1925, zlikwidowali oni swój rząd i gromadnie wrócili do Mińska,

„gdzie zostali przyjęci z honorami i otrzymali stanowiska w szkolnictwie oraz administracji kultury. Jako dalszy dowód swej wspaniałomyślności, Moskwa spowodowała zwolnienie przywódców białoruskiego ruchu narodowego z polskich więzień i obozów koncentracyjnych. Byli wśród nich byli posłowie do polskiego Sejmu” (str. 83-4).

Dopiero w latach trzydziestych kolektywizacja i stalinowskie błędy i wypaczenia położyły kres białoruskiemu złotemu wiekowi.

„Lud białoruski ucierpiał bardziej niż jakakolwiek inna grupa w ZSSR, wyjąwszy Ukraińców, z którymi podzielił wspólny los przy opieraniu się

w praktyce stalinowskiej polityce... Jedynie akta GPU mogłyby ujawnić tajemnicę ilu włościan, poza wywiezionymi na Syberię, zostało uwięzionych, zamordowanych, straconych" (str. 103).

Po opisanu na 20 stronach (107-126) stalinowskich czystek i „likwidacji białoruskiego nacjonalizmu”, autor poświęca 12 stron (127-138) „krótkiemu” opisowi niewiele mniej nieszczęsnego losu części Białorusi pozostającej pod rządami polskimi („*let us review briefly the hardly less unfortunate plight of the part of Belorussia under Polish control*” — str. 127). Twierdzi, iż pomimo demokratycznej mimikry (*democratic trapping*) Polska zachowała w owym okresie szereg cech „państwa feudalnego”, a od polskiej policji wiele mogłyby się nauczyć GPU i Gestapo (str. 136). Już pierwsze wybory w 1922 nie były „quite free” a ich rezultaty w wielu wypadkach sfałszowane (str. 130, świadek: Ostrowski), zaś konstytucja z 1935 „otworzyła drzwi do oficjalnego zlikwidowania narodowych mniejszości. Przedstawiciele Białorusinów nie byli odtąd wybierani do Sejmu” (str. 131, świadek: Ostrowski). Już w grudniu 1924 większość szkół białoruskich została zlikwidowana, zaś wielu nauczycieli wzięto do obozów koncentracyjnych (str. 134, świadek: Ostrowski). Ostatnie białoruskie gimnazjum zamknięto w 1937 i odtąd młodzież białoruska miała do wyboru szkoły polskie albo analfabetyzm.

„Tym, którzy poszli do szkół polskich, zakazywano używania ich mowy rodzimej nawet w rozmowach prywatnych. Język białoruski został faktycznie postawiony poza prawem. Nie można go było używać w instytucjach państwowych, sądach, urzędach pocztowych oraz na stacjach kolejowych. Nawet śpiewać po białorusku było zakazane (dowód: sowiecka broszura z 1939). Posiadanie białoruskich książek było uważane za 'znakę nielejałności'... Białoruskie biblioteki i kluby zostały pozamykane. W 1939 nie pozostało już ani jednego wydawnictwa w języku białoruskim... Pomiędzy 1920 a 1939 szkolnictwo w Polsce było jednym z najbardziej zacofanych w Europie i, gdy wybuchła II wojna światowa, wielu młodych ludzi w Polsce było analfabetami... Na Polesiu, np., w Zachodniej Białorusi analfabetów było około 70 %... Mniejszości narodowe w Polsce nie korzystały ze swobody religijnej. Wzdłuż granicy sowieckiej, w pasie szerokości około 62 mil, prawosławnych zmuszano do przyjmowania wiary katolickiej, tych zaś którzy odmawiali wysiedlano z ich domostw na podstawie przepisów o stanie wojennym (*martial law*). Na obszarze poza tym pasem większość cerkwi prawosławnych pozamykano, te które pozostały zmuszano do używania tekstów liturgicznych w języku polskim nawet w rejonach gdzie ludność nie umiała mówić ani czytać po polsku” (str. 134-5).

Tak wyglądać miały stosunki w Polsce w okresie niepodległości. A oto nie mniej surrealistyczny opis głośnego w swoim czasie procesu *Hramady* w 1928 roku:

„Białoruscy przywódcy *Hramady*, posłowie na Sejm i senatorowie, nie uniknęli tortur polskiej policji. Z powodu ich protestów, zostali oni w

1928 oskarżeni o nielojalność. Zarządzeniem rządu polskiego Hramada została rozwiązana, czyli stała się nielegalną. 56 przywódców Hramady postawiono przed sądem i sądzono przy drzwiach zamkniętych; w prasie nie było wzmianki o tych procesach. 'Poseł Tarashkevich został dostarczony na salę sądową w kajdanach; posłowie Dvarchanin i Hauryliuk byli bici do śmierci (*beaten to death*); innych traktowano w podobny sposób'. Tych co przeżyli bicie, posłano do więzienia. Lokalnych przywódców białoruskich, oskarżonych o działalność przeciwpolską (*of un-Polish activities*), posłano do obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej".

Tak pisze p. Lubachko na stronie 137, zupełnie się nie licząc z tym co — bardziej zgodnie z prawdą — napisał był kilkadziesiąt stron przedtem. Na cytowanej wyżej stronie 84 poinformował, że jeszcze w „złotym okresie”, czyli niedługo po procesie Hramady, skazani posłowie znaleźli się w Mińsku, gdzie w kilka lat potem zostali wszyscy wymordowani, łącznie z rzekomo już raz „zabitymi” przez polską policję Dworczaninem i Hawrylukiem. O tym czytamy na stronie 115:

„Byli posłowie na Sejm polski, Ihnat Dvarchanin i Iazep Hauryliuk, którzy ledwo przeżyli (*barely lived through*) pobicie przez polską policję, zostali teraz (w 1933) rozstrzelani jako 'polscy szpiecy'. Symon Rak-Mikhailouski został zabity przez straż w drodze do więzienia. Ogółem 96 znanych Białorusinów: mężów stanu, wychowawców, pisarzy, którzy w dwudziestych latach opuścili zachodnią część Białorusi z powodu polskich narodowych prześladowań i przybyli do Białoruskiej SSR, zostało zastrzelonych w więzieniach lub zlikwidowanych w obozach koncentracyjnych”.

Pomimo to autor pisze, że gdy we wrześniu 1939:

„Czerwona Armia wkroczyła do zachodniej Białorusi, lud witał ją z wielkim entuzjazmem. Jest to, myślano, wyzwolenie z polskiego ucisku. Teraz, myśleli chłopci, dostaniemy ziemię polskich panów. Odtąd, myśleli mieszkańcy miast, będziemy mieli pracę i wolność. Ludność Zachodniej Białorusi była szczęśliwa z powodu ponownego połączenia się z braćmi ze Wschodniej Białorusi. Jej dawne marzenie się ziszczyło” (str. 139-40).

Za armią przyszło NKWD:

„Przywieźli ze sobą już przygotowane listy osób niepożądanych, przeważnie dawnych polskich urzędników, których natychmiast aresztowywali... W 1940 została zarządzona dalsza czystka białoruskich nacjonalistów. Białorusini tak powszechnie znani jak Aleksandr Ulasau, założyciel *Naszej Niwy*, Anton Lutskevich, dawny przywódca BNR, i Ianka Pazniak, redaktor *Krynicy*, zostali aresztowani... 'Niektórzy z nich, łącznie z Lutskevichem, zostali zastrzeleni; inni, łącznie z Ulasau'em, zmarli w więzieniach, jeszcze inni zostali zesłani do obozów pracy lub więzień. O żadnym z nich nie było odtąd wieści...' (str. 144-5).

Po rozpoczęciu się wojny niemiecko-sowieckiej:

„NKWD zwielokrotniło wysiłki usunięcia reszty 'wrogów państwa sowieckiego'. W ciągu kilku dni tysiące ludzi zostało zabitych przez komunistyczną

polację bezpieczeństwa podczas ewakuacyjnych nieporządków, wielu zginęło podczas bombardowań i co najmniej 50.000 zostało wywiezionych do Związku Sowieckiego. Ogółem, między wrześniem 1939 i czerwcem 1941, około 300.000 osób deportowano z Zachodniej Białorusi do wschodnich i północnych części ZSSR" (str. 145).

W podobnie spokojny i *matter of facts* sposób opisuje p. Lubachko straszliwe rzeczy, jakie się działy na Białorusi w okresie okupacji niemieckiej oraz po zakończeniu wojny. Twierdzi, że Kube, wyznaczony na wielkorządcę Białorusi w lipcu 1941, „żywił pewne sympatie w stosunku do Białorusinów” (str. 151). Gdy jednak „4.650 szpiegów i sabotażystów wyszkolonych w Rosji” zostało przysłanych do Białorusi przez NKWD i rozpoczęło swą działalność, „Niemcy obwiniali miejscową ludność i zastosowali drastyczne represje” (str. 157):

„Latem 1942 wielu białoruskich przywódców zostało aresztowanych. Niektórych wywieziono do Niemiec, niektórych zastrzelono. Ksiądz Hadleuski został stracony. W Słucku aresztowano kilku nacjonalistów i w niedzielę powieszono na placu publicznym. To samo miało miejsce w innych miasteczkach i miastach” (str. 161).

W 1943 komunistyczni sabotażyści zaczęli mordować na równi z niemieckimi urzędnikami białoruskich narodowych przywódców. Zginęli wówczas Franciszek Olechnowicz, Fabian Akinczyc, Władysław Kozłowski, redaktor *Belaruskai Hazety*, Wacław Iwanowski, burmistrz Mińska oraz liczni księża, nauczyciele i pracownicy białoruskiej *Samapomaczi* (str. 161-2).

Po „wyzwoleniu” w 1944, ze względu na ogólnosowiecką psychozę, działo się nie lepiej:

„Wiele tysięcy Białorusinów zostało oskarżonych o burżuazyjny nacjonalizm, współpracę z Niemcami lub po prostu o nielojalność wobec ustroju sowieckiego i zesłanych do obozów koncentracyjnych na Syberii. Nawet ci z Białorusinów, którzy przeżyli niewolnicze obozy pracy i więzienia w Niemczech, nie uniknęli prześladowań po powrocie do domów. Z paranoistycznego punktu widzenia Stalina byli to ludzie ideologicznie zakażeni, traktowani z najwyższą podejrzliwością. Ilu Białorusinów zostało uwiezionych lub zesłanych do syberyjskich obozów koncentracyjnych, nie wiadomo i prawdopodobnie nigdy nie będzie wiadomo. Nawet ogólne oszacowanie jest trudne...” (str. 168).

Wszystko to jednak należy do przeszłości. „Śmierć Stalina przyniosła poważne zmiany na Białorusi. Masowe polityczne czystki partii komunistycznej ustały”, pisze p. Lubachko (str. 175) i kończy książkę nutką optymizmu.

„Warunki w Związku Sowieckim znacznie się poprawiły po śmierci Stalina. Przywódcy sowieccy w okresie postalinowskim zaczęli się koncentrować nad poprawą warunków bytu i zmniejszyli terror polityczny w republikach związkowych... Istnieją również poszlaki, że po upadku Chruszczowa

powstały w partii komunistycznej Związku Sowieckiego dwie różne frakcje. Jeśli tak, jest to rozwój obiecujący" (str. 191).

Aczkolwiek trudno mi podzielić optymizm, nie mogę go mieć za złe. Każdemu wolno wierzyć, nawet wbrew rozsądkowi. Każdy też może jednych lubić a innych nie lubić. Wolno też *native* Białorusinowi nie lubić Polaków, a lubić Amerykanów, Rosjan, czy nawet Niemców. Nie wolno jednak kandydatowi na pracownika naukowego i profesora wyższej uczelni ustosunkowywać się bezkrytycznie do „źródeł” i w rezultacie wypisywać głupstwa.

W Europie jest dość powszechnym zwyczajem, że w pierwszych pracach naukowych (tezach doktorskich) są podawane nazwiska osób, które dały pracę nadzorowały i uznały iż jest ona na poziomie. Pan Lubachko pisze w przedmowie, że „poszczególne rozdziały rękopisu były czytane” przez sześciu profesorów pięciu amerykańskich szkół wyższych, wymienia ich nazwiska i wyraża „głębokie podziękowanie za ich uwagi i cenne sugestie”. Nie wyjaśnia to jednak kto ostatecznie uznał go za posiadającego kwalifikacje do nauczania amerykańskich studentów historii, między innymi również i naszej ojczyzny.

Wiktor SUKIENICKI

Stanford, Kalifornia, w grudniu 1972

Maria DANILEWICZOWA

DYPLOMACI ANGIELSCY O MARSZAŁKU PIŁSUDSKIM

W nrze 121 *The Slavonic and East European Review* z październikowych „British reports”, oparty na oficjalnych dokumentach angielskich dziennika 1972 ukazał się artykuł prof. Zygmunta J. Gąsiorowskiego (Univ. of Georgia) pt. „Joseph Pilsudski in the light of opublikowanych w pierwszej serii „Documents on British foreign policy, 1919-1939” i aktach udostępnionych niedawno przez Public Record Office.

We wczesnym okresie Niepodległości, przed zorganizowaniem oficjalnego przedstawicielstwa Rządu Wielkiej Brytanii, funkcje łącznika pełnił Sir Percy Wyndham. 2 listopada 1919 przybył do Warszawy w charakterze pośta Sir Horace Rumbold (1869-1941), — i niezwłocznie nawiązał stosunki z „gen. Piłsudskim”, który fizycznie przypominał mu Lorda Kitchenera. Zaniepokoiła go

poważnie lansowana przez Piłsudskiego koncepcja państw buforowych między Rosją a Polską; Foreign Office dzielił jego wątpliwości, przeciwstawiając się z góry projektom tworzenia nowych państw i to z powodów określonych w piśmie Northern Dept. z 16. II. 1920 jako „sentymentalne”. Obawiano się także, że w razie zaostrzenia się konfliktu polsko-sowieckiego Piłsudski zwróci się do Anglii o pomoc, mimo oświadczenia Rumbolda, że wyraził pogląd, iż Polska musi sama stanąć na nogach o własnych siłach, nie łudząc się nadziejami na pomoc z zewnątrz.

Pesymistyczna ocena Foreign Office'u sprawdziła się, gdy w lipcu 1920 Polacy skierowali „desperackie apele” (*frantic appeals*) o pomoc ze strony Aliantów. Sir Horace Rumbold oceniał sytuację jako poważną, wysuwając na plan pierwszy trudności wewnętrzne. Wyraźnie nie podobało mu się (23. VII. 1920) skupienie funkcji Naczelnika Państwa i Dowódcy Sił Zbrojnych w ręku Piłsudskiego. Mogło się to udawać przez pewien czas Napoleonowi — „ale Marszałek Piłsudski nie jest Napoleonem”. Uznał, że początkowe sukcesy w wojnie z bolszewikami „przewróciły mu w głowie” (*turned his head*), czego wyrazem było fiasco projektu rozmów pokojowych w Borysowie. „Obawiam się — kończył swój raport Rumbold — iż wiele jeszcze lat upłynie zanim ten niespokojny (*restless*) naród ustatkuje się i stanie elementem stałości (*stability*) w strukturze europejskiej”.

Dodatkowe informacje o Piłsudskim przesłał Rządowi Brytyjskiemu 1 września 1920 Sir Percy Radcliffe, członek Alianckiej Misji Wojskowej. Marszałek był według niego „samotnikiem, podejrzliwym w stosunku do osób z najbliższego otoczenia, otoczonym przez wrogów”. Uznał, że trudno zyskać jego zaufanie i przypisał ten rys charakteru „życiu spędzonemu w konspiracji i więzieniach”. Bardzo interesująco brzmi przytoczona przez Radcliffe'a opinia o Piłsudskim sformułowana przez generała Weyganda. Przypisywał on Marszałkowi dobre rozeznanie sytuacji wojennej, wolne od lekkomyślnego optymizmu cechującego wielu Polaków. Piłsudski — konkluduje Radcliffe — „okazał się dobrym sędzią metod sowieckich i, jakie nie byłyby jego wady, według opinii powszechnej nie mógłby być zastąpiony przez nikogo w obecnej kampanii”. Rumbold oceniał sytuację inaczej: 4 września określił Piłsudskiego jako „intryganta z natury”, próżnego, zazdrosnego o sukcesy innych polskich generałów.

Najciekawiej wypadł obszerny raport Rumbolda z 15. IX. 1920, pisany pod wrażeniem klęski bolszewickiej. Podkreśla ponownie, iż marsz. Piłsudski „kieruje się osobistymi ambicjami” i otacza sympatykami z kręgu P.O.W. — tym tłumaczą się zmiany dowódców wojskowych. „Sprawiedliwość nakazuje jednak oświadczyć, że Narodowa Demokracja czyni wszystko, by wprawić go w ostry stan rozdrażnienia (*to goad him into exasperation*)” — wyolbrzymia się np. zasługi gen. Weyganda, by „pomniejszyć marszałka Piłsudskiego w oczach publicznych”. Metody Narodowej Demo-

kracji określa jako „całkowicie pozbawione skrupułów” (*entirely unscrupulous*) (F.O. 371/3920, 214854). Na poparcie tej opinii Rumbold przytacza istotnie bardzo drastyczny opis wizyty ks. Lutosławskiego, „a firebrand” („podżegacza”), który w czasie najgorętszego kryzysu sierpniowego oskarżał gen. Sosnkowskiego o odrzucenie pomocy Aliantów. „Poinformowałem księdza — pisze Rumbold — że jego przypuszczenia były całkowicie błędne, że nie było [ze strony Aliantów] oferty takiej pomocy i że wobec tego gen. Sosnkowski nie mógł jej odrzucić”. Audiencja trwała pięć minut. „Co może myśleć obserwator z ramienia Zachodu o stronnictwie, które pozbawione jest skrupułów do tego stopnia, iż zwraca się do przedstawicielstwa obcego mocarstwa w intencji zaszkodzenia swoim przeciwnikom politycznym?” — konkluduje Rumbold.

Sir Horace Rumbold opuścił Polskę w listopadzie 1920 roku. W raporcie pożegnalnym obszedł się niezmiernie surowo z Marszałkiem i ogólną sytuacją Polski. Piłsudski „nie rozumie mentalności Zachodu” („*he is ignorant of Western mentality*”) nie wie — jak się zdaje — w Ligę Narodów, a jeśli nawet rozumuje poprawnie do pewnego punktu, potrafi nagle wpaść w depresję. Tak właśnie stało się w lecie 1920 roku, gdy wojska bolszewickie zagrażały Warszawie. „Opanował się jednak i osobiście objął dowództwo kontrofensywy z południowego zachodu, która zmusiła Bolszewików do pospiesznego odwrotu”. „Jako indywidualność jest ciekawy, ale niemal anachroniczny w XX wieku”. Przyznaje jednak, iż działalność jego utrudnia sytuacja wewnętrzna i sejm „złożony w wysokim stopniu z analfabetów”.

21 czerwca 1923, przed wycofaniem się do Sulejówka, marsz. Piłsudski, udzielił *interview* brytyjskiemu attaché wojskowemu płk. Claytonowi, który prosił go o ocenę sytuacji w Rosji. Marszałek oceniał trudności wewnętrzne jako bardzo poważne, nie liczył się jednak z raptowną zmianą sytuacji. Sąd ten powtórzył w roku 1932.

Najciekawsza część artykułu prof. Gąsiorowskiego wiąże się z relacjami amb. Sir Williama Max Mullera (1867-1945), który m.in. bronił Wielką Brytanię w raporcie z roku 1926 przed zarzutem czynnego i życzliwego współdziałania w zamachu majowym (*moral and material support*). Max Muller uważał, że plotki na ten temat były celowo inspirowane przez Moskwę w ramach „kampanii oszczerstw i świadomych błędnych informacji prowadzonej przeciw Wielkiej Brytanii na całym świecie”. Inną formą rzekomej „pomocy” brytyjskiej miało być zachęcanie Polski do ataku na Litwę w celu wynagrodzenia Polsce strat na Górnym Śląsku i w korytarzu gdańskim. Gdy zestawi się ową rzekomą koncepcję z sytuacją obecną metoda przesunięć terytorialnych ukaże się w pełnym blasku! („*Ojczyzna z gumy i na kółkach*”).

Amb. Max Muller dostrzegał „osobisty magnetyzm” Marszałka — oskarżał go jednak o porywy słabości i zatrzymywania się

w pół drogi. „Zdobyl się np. na odwagę wydania gen. Żeligowskiemu rozkazu zajęcia Wilna”, ale „przeciwstawił się dalszej akcji w kierunku Kowna, choć było to zadaniem łatwym, a przez zajęcie Kowna oszczędziłby swemu krajowi niezliczonych trudności”. Marszałek tłumaczył się, że nie chciał występować w roli dyktatora i trzymał się Konstytucji, co — jak gorzko komentuje Max Muller — brzmiało co najmniej dziwnie w ustach człowieka, który na krótko przed wypowiedzeniem tych słów dokonał zamachu stanu.

Ogólna charakterystyka Marszałka pokrywa się u Max Mullera z sądami jego poprzedników. Dodaje ciekawą obserwację: ten „lewicowiec” nie jest w jego przekonaniu demokratą i „wykazuje zdecydowaną predylekcję w stosunku do przedstawicieli wielkich rodzin arystokratycznych Polski”.

W ostatnim omówionym przez prof. Gąsiorowskiego raporcie amb. Sir William Erskine doniósł Rządowi 1. I. 1932 o złym stanie zdrowia Marszałka (*he suffers from arteriosclerosis*), wywołującym nagłe zmiany usposobienia i wybuchy gniewu. Oskarża Piłsudskiego o brak zaufania w stosunku do cudzoziemców i podejrzewanie ich o usiłowanie wywarcia wpływu na bieg spraw państwowych.

Wartość artykułu prof. Gąsiorowskiego podnoszą przypisy, podające sygnatury odpowiednich źródeł, na których oparł swoje cenne opracowanie.

Maria DANILEWICZOWA

Tadeusz NOWACKI

„W KRAJU I NA OBCZYŹNIE” — JERZEGO KIRCHMAYERA

Omawiana książka ukazała się w druku w dziesięć lat po śmierci autora. Dlatego wydaje się słuszne przypomnienie czytelnikom sylwetki Kirchmayera.

Urodził się 29 sierpnia 1895 roku. Wywodził się z patrycjuszowskiej rodziny krakowskiej, używającej, jednak, szlacheckiego herbu „Ragen”. Był synem adwokata, który przerzucił się na prowadzenie interesów, tak niefortunnie, że poprzednia zamożność spadła do zera. Zły stan finansowy rodziny, zmusi w przyszłości Kirchmayera do poniechania myśli o historycznych studiach i obrania zawodu wojskowego.

* Książka i Wiedza, Warszawa, 1971, str. 376.

Maturę zdaje w znanym zakładzie w Chyrowie, w 1914 roku. Na wakacje jedzie do wujostwa Matłaszyńskich do zaboru rosyjskiego. Przychodzi wojna i Kirchmayer, jako poddany austriacki w poborowym wieku, zostaje internowany. W tym charakterze trafia do miasteczka Kotielnicz (ówczesna gubernia wiatska). Po rewolucji rosyjskiej i zaistnieniu polskich korpusów wschodnich, wstępuje do I-go korpusu Dowbora. Ten fragment jego życiorysu jest pominięty w „Pamiętnikach”, wydanych w 1962 r.

W kraju zgłasza się do wojska i po pobycie na froncie, kończy szkołę podchorążych artylerii. Nie mogąc zdobyć się na koszty uniwersyteckich studiów, postanawia poświęcić się zawodowej służbie wojskowej. Przy pomyślnym wyborze garnizonu — będzie miał możliwość studiowania na uniwersytecie. Projekt nie został zrealizowany i przyszły historyk nie posiadał fachowego przygotowania.

Jako oficer pełni służbę młodszego oficera i dowódcy baterii. Pułkową rutynę przerywa odkomenderowanie do Departamentu Artylerii w Warszawie do pomocy w opracowaniu regulaminów. Trwa to około półtora roku, po czym wraca on do pułku. W roku 1932 kończy Wyższą Szkołę Wojenną. Przez dwa i pół roku jest I-szym oficerem sztabu 13 dywizji w Równem Wołyńskim. Od 1935 roku pełni służbę w Inspektoracie „Toruń” (gen. M. Norwid-Neugebauer, później gen. Wł. Bortnowski). Z tym Inspektoratem, przedzierzgniętym w armię „Pomorze” wyrusza na kampanię 1939 roku w charakterze zastępcy szefa III oddziału (operacyjnego) sztabu armii. Posiada stopień majora dyplomowanego. Ranny w Puszczy Kampinowskiej — utrata nogi. Okupację spędza w Kraju. W Armii Krajowej ppłk Kirchmayer pracuje w Oddziale III. Komendy Głównej A.K. Powstanie zastaje go poza Warszawą. 15 sierpnia 1944 roku, w Lublinie, oddaje się do dyspozycji ludowego Wojska Polskiego.

Wcześniej, bo już w 1924 roku, wziął się do pisania. W okresie przedwojennym pisuje artykuły na fachowe tematy wojskowe: zagadnienia artyleryjskie i taktyki ogólnej. Ogłasza je w wydawnictwach wojskowych, przeważnie w *Przeglądzie Artyleryjskim*.

Po II wojnie (a właściwie już w 1944 roku, w Lublinie) przetrzuca się na tematy historyczne. W tej dziedzinie jest jednym z pionierów; porusza zagadnienia ostatniej wojny, przez innych uważane za zbyt świeże by były dostatecznie „historyczne”. W lipcu 1946 roku ukazuje się jego praca: „Kampania Wrześniowa”. Za nią idą (w chronologicznej kolejności) „1939 i 1944. Kilka zagadnień polskich”, „Uwagi i polemiki”, „Powstanie Warszawskie”. W nich wszystkich porusza Kirchmayer dwa tematy: Wrzesień i Powstanie Warszawskie. W swoich wypowiedziach ocenia bardzo krytycznie przygotowanie do działań i ich prowadzenie przez czynniki wojskowe wyższe a specjalnie najwyższe. Wydawnictwo tych większych prac przeplata szeregi artykułów na podobne tematy, ogłaszanych w periodykach wojskowych i

ogólnych. Z nich, zasługuje na większą uwagę, ogłoszony w *Wojskowym Przeglądzie Historycznym* artykuł, tłumaczący brak pomocy dla Powstania ze strony nadchodzących armii rosyjskich. Dowodzi w nim, że szlaki posuwania się wojsk przez Polskę ze wschodu na zachód (lub odwrotnie) nigdy nie przebiegały przez Warszawę, lecz bieżyły na północ lub południe od niej. Twierdzenie popiera przykładami historycznymi.

Wydawało się, że wydane pośmiertnie „Pamiętniki” zamknęły jego autorską działalność. I oto, po długich latach, ukazuje się, wydana w 1971 roku, jego praca ostatnia: „W Kraju i na obczyźnie”. A ściślej — fragmenty tej pracy, która miała nosić tytuł: „Boje polskie”.

Według informacji *Wojskowego Przeglądu Historycznego* Kirchmayer chciał zbudować syntezę polskiego wysiłku zbrojnego. Jego plan obejmował książkę o dziesięciu częściach. A mianowicie: 1) Kampania wrześniowa 1939 roku, 2) Wojsko Polskie we Francji 1939-1940, 3) Ruch oporu w kraju, 4) Wojsko Polskie w Wielkiej Brytanii 1940-1944, 5) Wojsko Polskie na Bliskim Wschodzie, 6) Armia polska pod dowództwem gen. Wł. Andersa, w ZSSR, 7) Wojsko Polskie pod dowództwem gen. Z. Berlinga w ZSSR, 8) Polska Armia na Wschodzie 1942-1945, 9) Wojsko Polskie w kampanii 1944 roku na zachodzie Europy, 10) Odrodzone Wojsko Polskie w kampaniach 1944-1945 w Polsce i Niemczech. Jak widać, autor planował bardzo szeroko i w dziedzinach (Wojsko Polskie współpracujące z aliantami zachodnimi) poprzednio przez niego nie poruszanych. Co z tego, tak olbrzymiego materiału zostało przez Kirchmayera opracowane — pozostanie tajemnicą. Według informacji na odwrocie strony tytułowej: „Studia historyczne z teki pośmiertnej prac, które miały wejść w skład monografii pt. 'Boje Polskie'”. I dalej: „Tekst części I-szej 'Kampania wrześniowa 1939 roku' — wybrał i opatrzył przypisami Tadeusz Jurga, tekst części II-ej 'Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie' — wybrał Stanisław Komornicki”.

Przedmowa jest pióra Stanisława Komornickiego. Tłumaczy w niej powody niewykończonej formy książki o ostatecznym tytule: „W kraju i na obczyźnie”. Śmierć przerwała prace autora nad nią i zamiast syntezy walki otrzymaliśmy jedynie szereg oderwanych szkiców historycznych.

Obaj „wybierający” dali poważny wkład w krajową wiedzę o II-ej wojnie światowej. Można przypuścić, że oryginalny tekst Kirchmayera dostał się w fachowe, sumienne ręce. A jednak... Samo określenie pracy wydawców: ... „tekst części... wybrał” nasuwa myśl o odrzuceniu pewnych partii rękopisu. Czym się kierowano w tej selekcji? Względami politycznymi, zbytnim rozmiarem rękopisu, błędnymi wypowiedziami autora? Powodów pewno nigdy się nie dowiemy. Jedno jest pewne. Wydawcy wzięli na swe barki współodpowiedzialność za braki książki. Dzielią ją z autorem.

Trzeba natychmiast zaznaczyć, dla uniknięcia nieporozumienia, że skróty i obcięcie tekstu nie mogą być zbyt wielkie, w obawie zatracenia indywidualnych cech autorskich. Tak więc, wielkość wydanej książki odpowiada z grubsza pojemności rękopisu. I tutaj kryje się zagadka, której nie mogę pojąć. Z myślą o jakich czytelnikach była ta książka napisana? Zabawmy się w pedantów i policzmy stronice. *Kampania wrześniowa* zajmuje w sumie 108 stron i dzieli się na trzy rozdziały: Przed rozpoczęciem wojny — stronic 33 (w tym 25 — o sojuszach); Przebieg kampanii — stronic 50; Kraj pod okupacją hitlerowską — stronic 25.

Część druga — *Polskie siły zbrojne na zachodzie* — w sumie stronic 246 w siedmiu rozdziałach. I. Wojsko Polskie we Francji i Norwegii — stronic 65; II. Wojsko Polskie w Wielkiej Brytanii — stronic 12; III. Wojsko Polskie w Afryce Północnej — stronic 24; IV. Wojsko Polskie w ZSRR i w kampanii włoskiej — stronic 44; V. Wojsko Polskie w inwazji na kontynent europejski — stronic 40; VI. Lotnictwo — stronic 42; VII. Marynarka Wojenna — stronic 19. Cyfry powyższe wskazują wyraźnie na lakoniczność z jaką zostały potraktowane poszczególne zagadnienia. Zdajemy sobie sprawę, że zadanie podjęte przez autora było tak wielkie, iż przerastało siły pojedynczego człowieka. Cóż mówić o starszym panu schorowanym i stojącym na progu śmierci. Ale historyk, o jego olbrzymim doświadczeniu, powinien był zdawać sobie sprawę z ogromnego zadania i ze swoich ograniczonych możliwości. Jak pierwsza, tak i druga część napisana w formie tomu o obecnej pojemności — nie byłaby zbyt obszerną, raczej zbyt ograniczoną. Musimy zdawać sobie sprawę z ogromu materiału składającego się na wojskową historię Polski w omawianej wojnie. Nie tylko poszczególne działy muszą być, z konieczności, obszerniejsze. Dochodzi inna, większa trudność — opanowanie przez autora całości materiałów, których składowe tak się różnią od siebie i wymagają oddzielnych studiów. Podaję przykład z tutejszego, nowozelandzkiego terenu. W basenie morza Śródziemnego działała przez czas wojny jedyna Druga dywizja nowozelandzka. Na jej historię wojenną składa się (jak dotychczas) kilkanaście tomów o 300-400 stronicowej objętości. Każdy tom opracowany przez innego autora. Podobnego jak Kirchmayer, zadania podjął się w swoim czasie w Kraju Wincenty Iwanowski. Ale jego pierwszy tom — kampania wrześniowa obejmuje 656 stron większego formatu.

Wiem co mogą mi odpowiedzieć wydawcy: książka była pisana nie dla naukowców, lecz dla szerokiej publiczności. Takie twierdzenie nie wytrzymuje krytyki. Przedziej naukowiec posłuży się nią jako rodzajem *vademecum* — o ile będzie miał zaufanie do ścisłości zawartych w niej danych. Dla szarego czytelnika książka jest zbyt mało informacyjna, sucha — w sumie: nudna. Nie pomogą wkładki anegdotycznego typu wplecione tu i ówdzie.

Najlepiej wypadł rozdział omawiający kampanię wrześniową.

Wiadomo, że Kirchmayer studiował tę kampanię bardzo gruntownie. Wydał jej opracowanie we wczesnych latach powojennych (patrz wyżej). Jaki był cel publikowania tego rozdziału? W analogicznym wypadku Powstania, wydawcy skreślili jego omówienie. Powód skreślenia: istnieje obszerna praca tegoż autora na temat Powstania w Warszawie. Oczywiście rzecz — łatwiej skreślić każdy inny fragment wojny, z Powstaniem włącznie, niż Wrzesień z którego wywodzą się następne etapy walki.

Porównanie rozdziału o kampanii wrześniowej z poprzednimi wypowiedziami autora, przede wszystkim z jego „Kampanią Wrześniową” z 1946 roku — pozwala śledzić ewolucyjne przemiany w ujęciu przez niego tematu. Słusznie zostało to podkreślone przez pułkownika Komornickiego w przedmowie. W poprzednich pracach kładł Kirchmayer nacisk na polskie błędy dowodzenia, doktryny, nie przygotowanie wojny. W omawianej pracy przesuwano nacisk na przewagę niemiecką we wszystkich dziedzinach składających się na wysiłek zbrojny. W jego własnych słowach, tak brzmiała ujęcie ostateczne wyniku wrześniowej klęski: „... wojsko polskie otrzymało w niej (tj. w kampanii wrześniowej — T.N.) zadanie przerastające i to bardzo wysoko jego rzeczywiste możliwości. Wprawdzie myśl przewodnia kampanii i samo dowodzenie w niej ze strony polskiej nie wytrzymują krytyki, bowiem dowódcy i sztaby polskie nie stanęły na ogół na wysokości zadania ani przed kampanią, ani w czasie jej trwania, jednak wszystko to nie może zmienić faktu zasadniczego: nawet przy najlepszych dowódcach i sztabach kampania musiała być przez nas przegrana”.

Zasadniczy zwrot w poglądach. Bojowy, napastliwy autor wykazuje wyrozumienie. I dalszy ciąg książki posiada tę cechę. Jak by inny autor zajął miejsce Kirchmayera. Nie wiem którego wołę. Chyba poprzedniego.

W części drugiej — *Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie* — Kirchmayer wyraźnie czuje się na nie swoim, na nieznanym gruncie. Ani przez chwilę nie wierzę w zapewnienia Przedmowy o poczynionych przez autora gruntownych studiach archiwalnych i znajomości odpowiednich opracowań. Rzuca się w oczy szczupłość bazy na której budował. W przeciwieństwie do bogatej wiedzy o Wrześniu, podobnej o okupacji i podziemiu — jego wiadomości o formacjach „zachodnich” wydają się być minimalne. Nie myślę tak dlatego, że odpowiednie fragmenty książki są ujęte bardzo lakonicznie. Chociaż i to ma swoją wymowę. Więcej mówi sposób ujęcia tematu. Mniej lub więcej poprawne opisanie z opracowań i do tego nielicznych. W tej dziedzinie zawiódł Kirchmayer zupełnie. Nie wniósł nic od siebie.

Jego krytyczne podejście do wypadków i ludzi nie ma tutaj miejsca. Opis toczy się równo, gładko, „z bukietem w rękę”. Każdy rozdział zamyka laurka pochwalna dla żołnierzy, czasami dla dowódców. Uderza brak proporcji w rozplanowaniu materiału. Mówiąc o bojowym szlaku 2-go Korpusu, zamyka autor

działania następujące po maju 1944 roku (czyli po Monte Cassino) na siedmiu stronicach*.

Zawzięty ale rzeczowy krytyk, nie zdobył się na ocenę wypadków, na wskazanie: to czarne a to białe czy szare. Nawet w tak kontrowersyjnym działaniu (z dziwnych powodów) jak Monte Cassino — nie zabiera z innymi głosu. Były, jak w każdym wojennym działaniu, błędy. On ich nie widzi, może nie chce widzieć. A przecież już w jego czasach pisano na ten i pokrewne tematy sporo tak w kraju, jak na obczyźnie.

Starym zwyczajem nie będę pisał o rozdziale: Marynarka Wojenna. Rozdział: Lotnictwo, mimo kilku tabel nie jest ani dokładny ani wyczerpujący. Można go określić jako „poprawny”, nic więcej.

Zastanawa mnie, co skłoniło autora do podjęcia zadania przerażającego jego możliwości. Jeżeli te możliwości były ogromne w zakresie wypadków w których brał osobisty udział (przygotowania wojenne, 1939 roku, Okupacja) o tyle minimalne w odniesieniu do polskich działań na obczyźnie. Dodam, że w pierwszym wypadku miał więcej do powiedzenia w poprzednich publikacjach niż w ostatniej. Fakt, że schorowany stał w obliczu rychłej śmierci, nie zmienia istoty rzeczy — książka stoi o kilka szczebli niżej niż poprzednie prace Kirchmayera. Wydawcy wyrazili krzywdę nieboszczykowi publikując „W Kraju i na obczyźnie” w takim stanie. Zdolny historyk i krytyk zmalał dzięki tej publikacji w naszych oczach. Polska historiografia poniosła szkodę.

Tadeusz NOWACKI

Wellington, N.Z., 8 października 1972 r.

* Zbiegiem okoliczności, mogę porównać „W kraju i na obczyźnie” z książką B. C. Sulzbergera: „World War II” przedstawiającą amerykański punkt widzenia. Nie chodzi w tym wypadku o zgodę na wszystkie opinie Sulzbergera. Chodzi mi o sposób ujęcia tematu. Ujmując go pod wszelkimi kątami: armii, marynarki, lotnictwa, wreszcie frontów wewnętrznych państw wojujących, możliwości produkcyjnych i postępów w rozwoju sprzętu — potrafił zamknąć całość w 386 stronicach. Zachowane są proporcje w zależności od ważności opisywanych wypadków. Format taniego wydania (*paperback*) odpowiada książce Kirchmayera mającej 383 strony. Treść obszerniejsza.

EMIGRACYJNE PERIODYKI HISTORYCZNE

TEKI HISTORYCZNE*

Z *Tekami historycznymi*, wydawanymi od lat przez profesora Mariana Kukieła, zetknęłam się po raz pierwszy bodajże w 1959 roku, gdy prof. Stanisław Herbst poinformował mnie, iż moja praca magisterska wzbudziła zainteresowanie i życzliwą ocenę ze strony samego profesora Kukieła. Przyznam się, że pisząc tę pracę poważnie obawiałem się, jak zostanie ona odczytana, nie wszystko bowiem mogłem powiedzieć w sposób tak jasny, jak by się to pragnęło i jak ostatecznie rzecz biorąc, ujmowało się w niepublikowanych dyskusjach naukowych, które się podówczas toczyły.

Piszę o tym gwoździu przypomnienia, jakie znaczenie dla badaczy krajowych, i to bez różnicy metodologii, posiada ocena ze strony naukowych ośrodków emigracyjnych. Nie mniejsze znaczenie posiada samodzielny, konstrukcyjny dorobek tych ośrodków, który powinien być skoncentrowany na tych zagadnieniach, w których nauka krajowa poddana jest szczególnym ograniczeniom.

Wydać mi się dlatego, że do *Tek* winna być przyłożona zarówno miara oceny jako rzeczy samej w sobie jak i miara roli spełnianej w nauce historycznej polskiej. Odpowiedzi na te dwa pytania mogą do pewnego stopnia być autonomiczne, choć odpowiedź na drugie jest możliwa tylko po wyjaśnieniu pierwszego.

Tom składa się z rozpraw, artykułów informacyjnych, recenzji, działu *in memoriam* oraz kroniki. Streszczenia, mimo francuskiego tytułu (*Résumés*) są wyłącznie w języku angielskim.

Tytuł podstawowego działu, „Rozprawy”, jest nieco mylący, albowiem są to przeważnie eseje, forma równie cenna jak i rozprawy, ale rządząca się nieco innymi wewnętrznymi prawami. Niektóre prace w tym dziale są artykułami krytycznymi lub historiograficznymi. Otwiera dział artykuł Leona Koczy „Ostatni Piast” (mowa oczywiście o ostatnim Piaście na tronie polskim). Są to refleksje na marginesie 600-lecia zgonu Kazimierza Wielkiego. Rzecz pisana z dużą znajomością przedmiotu i pasją polemiczną. Autor deklaruje się jako zwolennik metody hagiograficznej (str. 24) i przeciwnik metody marksistowskiej „...z jej podkreśleniem czynników ekonomicznych” (*ibid.*), której rzecznikiem czyni Jana Baszkiewicza i Jana Dąbrowskiego. Niestety, powołując na świadków Labudę, Bardacha, Gieysztora, K. Grzybowskiego oraz autorów I tomu „Historii Polski” PAN, autor nie zauważył, że są oni nie mniej marksistowscy niż Jan Dąbrowski. Szkoda też, że autor zna tylko bardzo wczesną pracę Baszkie-

* *Teki historyczne*, tom XVI, Londyn 1969-1971 (Rok wydania: 1972). Wydawca Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii. Komitet redakcyjny: Marian Kukiel, Bohdan Wroński i in. Str. 378+4 nlb.

wicza i nie bierze pod uwagę jego prac dojrzalszych. Pominął też autor monografię J. Sieradzkiego. Na marginesie dodam, iż ten łańcuch przyczynowości, który krytykuje Koczy doskonale mieści się w mediewistycznym seminarium M. Handelsmana, w pracach J. Feldmana, by poprzestać na polskim gruncie.

Do sfery historiografii należą refleksje Oskara Haleckiego nad życiem i dziełem Karola Szajnochy. Jest to bardzo pożyteczny nurt badań historycznych — pamiętam jaką poczytnością nie tylko wśród fachowców cieszą Mariana Serejskiego „Historycy o historii”. Halecki jest zafascynowany Szajnochą, jednością jego heroicznego życia i jego dzieła, akcentuje aktualność metodologiczną („Dzisiejszym historykom polskim trzeba iść śladami Szajnochy...” — str. 46). Wysoką ocenę otrzymał też Stefan Kuczyński za pracę nad wznowieniem dzieła XIX-wiecznego uczonego.

K. Czechowicz omawia najazdy tatarskie, wprowadzając do tego zagadnienia współczesną wojskową aparaturę pojęciową.

Artykuł L. Koczego „Między geografią a historią” byłby chyba bardziej właściwy w dziale recenzji, jako poświęcony jednemu dziełu. Dyskusyjne wydają się poglądy autora na rolę historii kartografii w całokształcie nauki i na krajowe zaniedbania w tej dziedzinie.

Najciekawszą bodajże częścią *Tek* jest blok trzech artykułów poświęconych Tadeuszowi Kościuszce. Kościuszeko w półtora wieku od zgonu nie przestał być osobistością budzącą kontrowersje. Do starych sporów o Kościuszkę dołączają się nowe. Bohdan Berendt dowodzi, iż wbrew rozpowszechnionemu — zwłaszcza w USA — mniemaniu, Kościuszeko, będąc bliski wolnomularstwu, z niewiadomych przyczyn nie był jego członkiem. Operując nieco odmiennym materiałem, autor doszedł do identycznych konkluzji co najwybitniejszy po Askenazym historyk wolnomularstwa Emil Kipa.

Zastanowienia wymaga natomiast następny artykuł w tym bloku, Mariana Kukiela „Zniesławienie Kościuszki”. Jest to namiętna polemika z publikacją Jana Dihma i jej wydawcą Stanisławem Herbstem a traktującej o pobycie Kościuszki w więzieniu petropawłowskim. Dihm, a w ślad za nim Herbst, przypuszczają — relacjonując prof. Kukiela — że Kościuszeko w więzieniu symulował chorobę, by wydostać się na wolność. Krytyka tego przypuszczenia jest bardzo ostra i operuje elementami emocjonalnymi, o czym świadczy nawet sam tytuł, „Zniesławienie Kościuszki”, a określenie Herbst a jako najwybitniejszego znawcy epoki kościuszkowskiej (str. 107, 110) krytykę tę tylko zaostcza. Wsparciem krytyki jest kolejny artykuł pióra Fryderyka Goldschlaga, zredagowany jako ekspertyza lekarska.

Ekspertyza wydaje się nieprzekonująca, jej tezy skrajne, nie zostawiające marginesu błędu, co gorsze, ujmujące wiedzę ówczesnych medicusów jako zbliżoną lub równą wiedzy współczesnych lekarzy. Być może, że racja jest po stronie prof. Kukiela.

Ale i w tym wypadku nieuzasadnione jest działo tak ciężkiego kalibru. Czy przypuszczenie, że Kościuszko chciał wywieść w pole cara jest w jakimkolwiek stopniu zniesławieniem? Raczej polczyłbym jako zasługę. Przecież robili to samo, z dobrym skutkiem, zarówno Mickiewicz jak i Piłsudski, robią to rodacy po dzień dzisiejszy i to bez najmniejszej ujemy dla swego honoru! Przez szereg lat współpracowałem z prof. Stanisławem Herbstem i mam podstawy sądzić, że czynienie zeń fałszerza historii dla jakichś prezentystycznych celów jest nie tylko bezpodstawne, ale i uwłaczające dla uczonego, który dowiódł swego charakteru. Próby rewizji historii mogą być udane lub nie, ale nie są czymś podejmowanym li-tylko dla dogodzenia władzom w Warszawie i Moskwie.

Przyczynę do ostatnich dni Szymona Konarskiego dał Dawid Fajnhauz. Rzecz przeznaczona dla szerszego grona czytelników, dla miłośników historii, być może byłaby pożyteczniejsza, gdyby coś więcej powiedziano o Konarszczyźnie, epizodzie dziejowym nie najlepiej znanym poza kręgiem specjalistów.

Nie ma zwyczaju pisania recenzji z recenzji, ale dział ten zasługuje na zwrócenie uwagi. Szkoda, że tak mało tu o historii najnowszej i współczesnej, a to co jest niezawsze jest na miejscu. Mam na myśli S. Bóbr-Tylingi omówienie książki T. Bieleckiego „W szkole Dmowskiego”. Recenzent przyznaje tej pracy wielkie walory poznawcze, których osobiście nie potrafiłem się doszukać. To nie jest jeszcze powodem do zmartwienia, różnice poglądów są nawet potrzebne i pożyteczne. Ale recenzent potępia Bieleckiego za zdystansowanie się od ONR. Mało tego, stwierdza, że „... zdanie iż ONR chciał 'stosować metody faszyzmu czy hitleryzmu' (str. 293) jest jakimś nieporozumieniem i nie powinno się w ogóle znaleźć w tej tak poważnej książce” (str. 345). Osobiście jestem głęboko przekonany, że właśnie ten przeze mnie przedstawiony cytat nie powinien znaleźć się w *Tekach*...

Pożyteczny i trafny w swych ocenach artykuł Z. Jagodzińskiego o kongresie nauk historycznych w Moskwie może w jednym wymaga repliki: Słaba — nie tyle ilościowo, co jakościowo — reprezentacja polska w historii najnowszej nie była chyba spowodowana słabością tej dziedziny, ale strachem decydujących czynników, iż może w tej dziedzinie dojść do jakiegoś, trudnego do przewidzenia, spięcia polskich naukowców z gospodarzami. Natomiast należy przyłączyć się do konstatacji o tradycyjnym zacofaniu nauki polskiej w dziedzinie historii powszechnej. W tej dziedzinie uczeni emigracyjni mieliby nie jedno do zrobienia.

I wreszcie drobna poprawka: Nadając dr. Andrzejowi Bartnickiemu tytuł przezeń nie posiadany i nieużywany, wyrządza się mimowolną krzywdę temu zdolnemu badaczowi (str. 365).



Spróbujmy teraz spojrzeć na *Teki historyczne* od strony zadań nauki emigracyjnej. Są teki dziełem imponującym, ale dzie-

łem trzech badaczy, którzy wypełnili 3/4 tomu. Reszta Towarzystwa, wydającego *Teki* a liczącego 80 aktywnych członków, jest słabo dostrzegalna. Nie jest to zarzutem ani skierowanym w stronę ofiarnych autorów ani Towarzystwa, które w trudnej sytuacji stara się utrzymać przy życiu emigracyjną naukę historyczną. Jest to raczej konstatacja.

Sprawa następna: Uwaga *Tek* jest skierowana przede wszystkim na sprawy starsze. Jestem ostatnim, który by nawoływał do zaniedbania tej dziedziny. Jednakże jest to dziedzina nie najgorzej uprawiana i w PRL, dziedzina, w której rozmaite szkoły i tendencje mają jako tako możliwość wypowiedzenia się, a naciśki cenzury i prezentyzmu są tu stosunkowo nikłe.

Inaczej w sferze historii najnowszej. Nie jestem apologetą Władysława Pobóg-Malinowskiego, ale stwierdzam, że wraz z jego śmiercią powstała dotkliwa luka w nauce historycznej, której nikt — ani pojedynczy badacz, ani instytucja naukowa — nie wypełniły. Trzeba wreszcie zastanowić się, jaką rolę może spełnić nauka emigracyjna w przyswojeniu nauce polskiej dorobku nauki światowej, w tej bowiem dziedzinie dużo jest do zrobienia. Należy także pomyśleć o kompletowaniu krajowych badań w sferze historii powszechnej.

NIEPODLEGŁOŚĆ*

Żle byłoby, gdyby najnowszy tom *Niepodległości* przeminął niezauważony przez recenzentów, którzy jak wiadomo niechętnie omawiają wydawnictwa czasopiśmiennicze. *Niepodległość* — taki tytuł nosiło pismo wydawane w okresie międzywojennym, odegrało nieocenioną wręcz rolę w rozwijaniu badań nad najnowszą historią w Polsce. Redagowane przez S. Szpotańskiego skupiało szerokie grono współpracowników zarówno zawodowych historyków jak i działaczy niepodległościowych. Będąc piśmidsudczykowskim, nie było ono pismem partyjnym, dlatego też obok Juliana Stachiewicza i Władysława Pobóg-Malinowskiego z pismem współpracowali zarówno Leon Wasilewski, Adam Próchnik a nawet Żanna Kormanowa i Henryk Jabłoński. Z artykułów publikowanych na łamach *Niepodległości* wyłoniła się z biegiem czasu niejedna monografia, na trwałe wpisana w dzieje polskiej historiografii a roczniki pisma, coraz rzadsze, są niezmiennie czytane przez badaczy wszystkich pokoleń.

Nic więc dziwnego, że zespoły instytutów Józefa Piłsudskiego (w Londynie i Nowym Yorku) uznały za swój obowiązek kontynuację wcześniejszego dorobku, przerwanej utratą niepodległości. Wznowione na emigracji wydawnictwo dociera co prawda

* *Niepodległość*. Czasopismo poświęcone najnowszym dziejom Polski. Tom VIII — po wznowieniu. Redaktor: Edmund Charaszkiewicz. Londyn-New York, 1972, str. 254 + mapa.

do kraju w ograniczonej ilości egzemplarzy, ale znajduje się w bibliotekach naukowych i jest czytane przez specjalistów, o czym nietrudno przekonać się czytając krajowe monografie i artykuły.

Pismo przeżywa jednak poważne trudności, czego przejawem zewnętrznym jest fakt, iż omawiany tom okazuje się po pięcioletniej pauzie. Niestety, redaktorzy pisma nie informują czytelników o istocie swych kłopotów, czego wypadła żałować bo, być może, iż niejednemu dałoby się zaradzić, gdyby opinia emigracyjna mogła wykorzystać swe możliwości. Redaktorzy są raczej pełni optymizmu i wskazują na aktywność członków instytucji w działalności naukowej poza pismem. Wydaje się jednak, że to nie są sprawy wzajemnie rekompensujące się. Za niepokojące chyba trzeba również uznać zwięzanie się grona współpracowników *Niepodległości* — straty naturalne nie są kompensowane dopływem nowych sił.

Najmniej czuję w sobie powołania i uprawnień do pouczenia kogokolwiek, ale myślę, że zasłużeni wydawcy i redaktorzy pozwolą mi wyrazić pogląd, że jednym z głównych źródeł tego kryzysu jest nadmierne zacieśnienie zarówno zakresu tematycznego i chronologicznego jak i postawy metodologicznej. Kolegium redakcyjne postanowiło ześrodkować główny wysiłek badawczy na okresie lat 1908-1914 i 1914-1921. „Dalszą konsekwencją tych postulatów” — pisze redaktor — „musi być szczególna czujność na kierunek wydawnictw historycznych dotyczących tego okresu i zapewnienie sobie możliwości reagowania na opracowania tych, którzy niszczą i wypaczają czy to w kraju czy też za granicą podstawowy nurt wspomnianego okresu dziejów i zniekształcają założenia i metody historyczne” (str. 4).

Doceniając i szanując te postulaty, bardziej co prawda konserwujące niż rozwijające, obawiam się jednak, czy ich zastosowanie pozwala na tę dozę relatywizmu i krytycyzmu, bez którego nie jest możliwe uprawianie historii jako nauki. Chodzi mi o to, że każde pokolenie wchodzące w życie, staje w obliczu nowych zagadnień i nowej sytuacji, musi więc stworzyć sobie swój własny, nowy obraz dziejów ojczystych i powszechnych. Nowe pokolenie nie może zaakceptować nawet najlepszego zarysu dziejów stworzonego przez poprzednie pokolenia, bez wzniesienia doń własnego systemu poglądów a więc i rewizji. Miałem okazję wielokrotnie stykać się w kraju z historykami młodego i średniego pokolenia, którzy uważają się za piśmudczyków. Czynią to zresztą nie bezpodstawnie. Ale ich poglądy różnią się dość mocno od kanonu proponowanego przez redakcję *Niepodległości* i różnić się muszą. Powstaje więc pytanie, na ile starsze i młode pokolenie tego samego obozu potrafiłoby znaleźć wspólny język?



Dział rozpraw zawiera m.in. artykuł gen. Stanisława Skwarczyńskiego „Licytacja sprawy polskiej wzwyż” — analiza taktyki

politycznej Józefa Piłsudskiego w latach I-szej wojny. Jest to rozwinięcie problemu podejmowanego przed laty przez Adama Skwarczyńskiego a później przez Wł. Pobóg-Malinowskiego. Wacław Jędrzejewicz („Front Litewsko-Białoruski podczas wojny 1920 roku”) publikuje uwagi J. Piłsudskiego do sztucznie ongiś stworzonej „sprawy gen. Szeptyckiego”, oskarżonego przez przeciwników politycznych z powodu odwrotu znad Berezyny w lecie 1920 roku. Jest to bardzo precyzyjna praca edytorska, nie pozbawiona szerszego znaczenia, zarówno w sferze historii politycznej jak i historii militarnej. Cenię tę pracę tym bardziej, że potwierdza ona wcześniej przeze mnie wyrażone zdanie (*Zeszyty Historyczne* nr 20, 1971), iż podstawą zwycięstwa w tej wojnie był sprawnie i w porę przeprowadzony odwrót z nadmiernie strategicznie wysuniętych pozycji. Dopiero konsekwencją sprawnego odwrotu i wycięczenia wojsk sowieckich był plan rozstrzygającej bitwy.

Charakter udokumentowanego wspomnienia nosi artykuł Dr. W. J. Zaleskiego o problemach narodowościowych Polski na forum Ligi Narodów. Autor dowodzi — i słusznie — że nie jedna Polska miała problemy narodowościowe. Natomiast nie do obrony wydaje mi się teza, iż „w Polsce siły drzemące w nacjonalizmie doceniano należycie i w wyniku tego stosunek do grup mniejszościowych w czasie 20-lecia był wybitnie tolerancyjny” (str. 95). Rozumiem, jeśli argumentacja taka była stosowana dla doraźnych potrzeb dyplomatycznych. Że tak dobrze jednak w Polsce nie było, wystarczy przeczytać artykuły T. Hołówni w piłsudczykowskiej *Drodze* z 1925 i 1926 roku. Nie mówię już o tym, że forma bezosobowa „doceniano” jest zupełnie nie na miejscu w państwie, w którym istniały co najmniej dwie linie polityki mniejszościowej.

Z obszernego działu wspomnień chciałbym wyróżnić Janusza Głuchowskiego relację o strajku szkolnym w Częstochowie, choć jestem skłonny strajkowi temu przypisać większe znaczenie niż czyni to autor. Grono młodych bojowników o niepodległość, które wyłonił strajk w Częstochowie było o wiele większe niż pisze Głuchowski, choć drogi wielu ludzi się później rozeszły. Z pominiętych upomniałbym się o Żegotę-Januszajtisa, Tadeusza Wieniawę-Długoszowskiego, Józefa Dziubę. Nie wiem, czy przeoczenie to spowodowane jest luką pamięci, po tylu latach zawodnej, czy też nosi charakter polityczny. Przy okazji warto może wspomnieć, że o strajku tym pisał obszernie i uczciwie częstochowski historyk Janusz Lipiec. Ważnym przyczynkiem jest J. Zaufalla „Misja Ludwika Hieronima Morstina”, dotycząca szeroko dyskutowanego problemu wojny rewolucyjnej w 1933 roku. Artykuł rzuca nowe światło, ale stwarza i nowe pytania, przede wszystkim, czy zadbano o wyjaśnienia ze strony niedawno zmarłego pisarza. A wyjaśnienia te byłyby w stanie rozstrzygnąć wiele wątpliwości!

Ciekawy jest również dział recenzji. Wybrano do omówienia

pozycje interesujące, szkoda jednakże, że recenzenci poprzestali na omówieniu politycznym — też bez wątpienia bardzo ważnym — nie dając analizy ani heurystycznej ani hermeneutycznej. Szkoda, bo w ten sposób zanikły wybitne walory pracy Micewskiego, jednej z najlepszych prac z historii najnowszej, opublikowanych w Kraju. Z recenzowaną książką T. Jędruszcza „Piłsudczycy bez Piłsudskiego” łączą mnie pewne sprawy, mianowicie nie dopuszczono ongiś do druku mojej krytycznej recenzji. Autor, osoba wpływowa, uruchomił swe możliwości, by głos krytyczny nie ukazał się w druku. Wy tłumaczono mi, że ponieważ można spodziewać się ataków na książkę ze strony „reakcyjnej emigracji”, gazeta nie opublikuje niczego, co mogłoby współbrzmieć z tymi atakami. Ataków nie zauważyłem, przeciwnie, autor recenzji jest dla publikacji i autora nader pobłażliwy i pozytywnie ocenia wkład Jędruszcza w „kampanię marcową” 1968 roku (str. 191).

Za bardziej udaną natomiast uważam recenzję dr. Rakowskiego, który na marginesie recenzowanych też zajmuje się jednym z najciekawszych dla współczesności zagadnieniem modeli gospodarczo-politycznych.

Piętnaście lat temu, pisząc pracę magisterską, starałem się dociec, kto to jest Tomasz Krymski i Eugeniusz Wiśniowski, autorzy jednego z referatów dyskusyjnych opublikowanych przez Adama Skwarczyńskiego („Pod znakiem odpowiedzialności i pracy”, Warszawa, 1933). Paromiesięczne usiłowania pozostały bez skutku, choć pytałem wielu. Okazuje się, że pod tymi pseudonimami wystąpili Tadeusz Schaetzel i Edmund Charaszkiewicz.

Redakcja ujawniła ten fakt, publikując ponownie referat jako *in memoriam* Tadeusza Schaetzla. Po latach milczenia wieczory dyskusyjne Adama Skwarczyńskiego zaczynają ponownie budzić zainteresowanie, czego dowodem chociażby publikacje Micewskiego. Przedruk referatu dziewiątego jak najbardziej na miejscu. Ale czy nie byłoby równie pożyteczne przy tej okazji opublikować jakże ciekawej dyskusji nad tym referatem?

Józef LEWANDOWSKI

W OBCYCH OCZACH

Zdecydowaliśmy się zamieszczać polonica, dotyczące Polski i jej historii z literatury zachodniej. Nie będziemy dawali komentarzy — lub tylko bardzo krótkie — ważne jest jednak, aby Czytelnik polski orientował się jak wygląda polska problematyka na świecie. Nie będąc w stanie wyłapywać wszystkich tekstów — liczymy na pomoc i współpracę Czytelników Zeszytów Historycznych — REDAKCJA.

W paryskim miesięczniku Ecris de Paris, w nrze październikowym z 1972 roku ukazał się wyczerpujący artykuł Raymond Lacoste'a: „La conspiration du silence autour du massacre de Katyn”. Min. autor pisze:

„Lecz są i inne świadectwa, jeszcze bardziej uderzające. Na rozkaz zło-wrogiego Berii zrobiono film z tej masakry. Ten film dotąd istnieje. Był on w swoim czasie przesłany komunistom chińskim, prawdopodobnie aby ich nauczyć techniki szybkiej likwidacji wrogów. Tymczasem, po zerwaniu sto-sunków między Moskwą a Pekinem, Chińczycy ze złośliwą przyjemnością pokazali ten pouczający film: Widać w nim jak pcha się nieszczęśliwych oficerów w kajdankach na rękach do wykopanych rowów, gdzie ich roz-strzeliwano. Film ten był pokazany kilku zaproszonym gościom w ambasadzie chińskiej w Londynie, w ambasadzie w Paryżu i... w ambasadzie chińskiej w Warszawie w 1967 roku...



Susanne Bidaut — pierwsza kobieta-dyplomata we francuskim Minister-stwie Spraw Zagranicznych — która doszła w swej karierze do stopnia mi-nistra pełnomocnego i jest żoną b. premiera Georges Bidaut, napisała wspo-mnienia pt. „Par une porte entrebâillée” (Wyd. „La Table Ronde”, Paryż, 1972).

Autorka pisze m.in.:

„Moja trzecia waliza dyplomatyczna — tym razem do Warszawy — posiadała pewne cechy dramatyczne. Przede wszystkim wyjechałam w środę 15 marca 1939 r., w dzień wejścia Niemców do Pragi. Ponadto po przeje-chaniu Berlina dostałam okropnego ataku ameb... Przybyłam do Warszawy pół żywa, chcąc oddać jak najszybciej walizę w ręce urzędnika ambasady i pójść się położyć. Zamiast tego — i wbrew zwyczajom — poproszono mnie, abym natychmiast zobaczyła ambasadora. Spędziłam z Leon Noël 3 kwa-dranse... Leon Noël powiedział, że wezwał mnie, abym poinformowała go o wiadomościach z Paryża i reakcjach na sprawę czeską. Zdumiona, odpo-

wiedziałam mu, że opuściłam Francję 36 godzin temu i że niewątpliwie depe-
sze dostarczyły mu bardziej świeżych wiadomości niż te, które ja mogę mu
podać. Ku memu zdziwieniu odpowiedział, że nie otrzymał żadnych depez:
Od 15-go Paryż milczy i bynajmniej nie dlatego, że nie był zapytywany.
Ambasada bez ustanku wysyła depeze. Zmobilizowała dla szyfrowania żony
moich kolegów, lecz p. Georges Bonnet nie odpowiada. Nie omieszkłam,
ze zwykłą szczerością, powiedzieć ambasadorowi co myślę o naszym wspólnym
szefie. Ambasador nie zaprzeczał mi... W poniedziałek wstałam, ciągle
jeszcze bardzo źle się czując, aby wziąć udział w obiedzie wydanym przez
ambasadora Francji na cześć p. de Moltke, ambasadora niemieckiego, i jego
współpracowników. Życie polityczne i dyplomatyczne jest już tak ukształto-
wane, że wysyła się zaproszenia trzy tygodnie naprzód i w dzień przyjęcia
uczucia gospodarzy i gości w stosunku do siebie wyraźnie się pogorszyły.
Atmosfera w czasie obiadu była lodowata... Po wyjściu Niemców Francuzi
zostali jeszcze przez chwilę, by podyskutować w sposób dosyć melancholijny.
O godz. 1-szej w nocy przybiegł uradowany szyfrant — nareszcie przyszła
depesza.

Nazajutrz lub dwa dni później mój kolega Séguin zaprosił mnie na
śniadanie z sekretarzem płk. Becka, młodym dyplomatą, dość niesympa-
tycznym, ale który mówił znakomicie po francusku. Poiliśmy go, aby mu
rozwiązać język i by skłonić go do mówienia pozwolił mi opowiadać
rzeczy, które należałoby wepchnąć mu z powrotem do gardła. Mogłam już
zdać sobie sprawę z nienawiści Polaków do Czechów. Fryzjer, z którego usług
korzystałam przed obiedem w ambasadzie, powiedział mi: „Czesi nie mają
arystokracji, oni nie mają honoru”¹. Nasz współbiesiadnik nie omieszkął
z nich kpić i zaśmiewając się opowiedział nam, że w czasie wielkiej podróży
Louis Barthou po Europie Wschodniej, protokół czeski, poinformowany o
specyficznych gustach znakomitego gościa, zmobilizował ekipę „biczowni-
czek”, tak energicznych, że nieszczyśny minister był dosłownie zmasakrowa-
ny. Opowiadał nam następnie, że pod koniec wojny 1914 roku Polska była
załana bandami dezerterskich niemieckich i rosyjskich, którzy niszczyli wsie
zmuszając właścicieli ziemskich do zorganizowania samoobrony. Zapytałam
się go czy majątek jego rodziny był również zaatakowany: „O, naturalnie,
odpowiedział lekceważąco — ale jedynie kucharka została zabita”. Powie-
dział to tak, jak gdyby szło o krowę. Zaraz potem dodał, że czarująca pani
z arystokracji zobaczyła dwóch takich bandytów wchodzących do jej pokoju.
Chwytając rewolwer, leżący na nocnym stoliku, zabiła jednego, drugi scho-
wał się pod łóżko, więc nachylając się, gdyż leżała w łóżku, dosłownie go
rozstrzelała. Jak dotąd nie można nic zarzucić. Lecz później ta pani kazała
powiesić obydwa trupy przed swymi drzwiami, które tak długo tam wisały
dopóki same nie zerwały się ze sznurów. I następnej zimy, w czasie balu,
pokazywała fotografie powieszonych swoim tancerzom. Wysłałam z tego śnia-
dania z przekonaniem, że polska arystokracja składa się z samych dzikusów
i z uczuciem że jeśli komunizm zainstaluje się w Polsce — to to im się
należy (str. 128-133).

.....
Dość z boku mieściły się na Quai d'Orsay archiwa i biblioteki... Znajdo-
wała się tam sala traktatów, gdzie mogłam kontemplować m.in. traktat de

1. W 1956 roku, w czasie rewolucji węgierskiej, jeden z moich polskich
współpracowników w biurze dla uchodźców, powiedział mi: „Węgrzy zacho-
wali się jak Polacy, Polacy jak Czesi, a Czesi — jak to jest w ich zwyczaju
— jak świnie.

Troyes, traktat wersalski i ciekawy dokument: wielki pergamin, obciążony frędzlą polskich pieczęci. Był to apel Polski do Henryka III. (str. 214).



Simone de Beauvoir w książce pt. „Tout compte fait” (wyd. Gallimard, Paryż, 1972) pisze m.in.:

„Już pisałam do jakiego stopnia oddalałam się od ZSSR i jak bardzo tragedia Pragi leżała mi na sercu. Nic z tego co się dzieje w krajach socjalistycznych nie wzbudza nadziei. Nigdy nie miałam stosunków z Rumunią i z Bułgarią, gdzie reżym jest nadal dyktatorski i gdzie poziom życia jest bardzo niski. Na Węgrzech klimat jest mniej duszący, stopa życiowa wyższa, lecz oprócz bardzo pięknych filmów, które wyświetlano we Francji, prawie nie wiem o tym kraju, gdzie literatura jest ciągle surowo cenzurowana. Natomiast mam przyjaciół Polaków, byłam w Polsce w 1962 roku, lubię wiele utworów napisanych przez Polaków: jest mi ogromnie przykro do jakiego stopnia nadzieje powstałe w 1956 roku zostały zawiedzione. We wszystkich dziedzinach Gomułka zachowuje się jak dyktator, a szczególnie w stosunku do intelektualistów. W odpowiedzi na list, który wysłało do niego domagając się choć trochę wolności — rozpoczął kampanię przeciwko nim i zabronił wielkiej ilości publikacji. Trochę później dwaj młodzi intelektualiści komunistyczni zostali uwięzieni za krytykę socjalizmu biurokratycznego w „Liście Otwartym”. W październiku 1966 filozof Kołakowski¹ pętnował cofanie się — jakie można obserwować od 10 lat: zwolnienie rytmu ekspansji ekonomicznej, stagnację społeczną, wzrost nierówności i — w rezultacie — uczucie niepewności i frustracji wśród całej ludności. Kołakowskiego wyrzucono z uniwersytetu i z partii, co spowodowało liczne demonstracje w jego obronie wśród intelektualistów.

Będąc antyintelektualny, rząd Gomułki okazał się poczynając od 1967 roku gwałtownie antysemicki. Z 3 milionów Żydów polskich przeżyło wojnę tylko 350.000; większość wyemigrowała przerażona wspomnieniami przeszłości, lub ze strachu gdyż faszyści polscy w 1946 roku zorganizowali krwawy pogrom w Kielcach. W 1967 roku zostało ich w kraju zaledwie 30.000. Nie przeszkodziło to ministrowi Spraw Wewnętrznych, Moczarowi, w zorganizowaniu kampanii przeciwko Żydom. Rozpoczęła się ona w 1967 roku. Rząd chciał usunąć Żydów z zajmowanych stanowisk i w ten sposób uderzyć inteligencję. 19 czerwca 1967 zaraz po wojnie 6-ciodniowej, na kongresie Związków Zawodowych Gomułka oskarżył Żydów, że „tworzą 5-tą kolumnę”. W dalszych miesiącach prasa, radio, telewizja, mówcy na zebraniach publicznych, denuncjowali syjonistów jako najgorszych wrogów Polski: każdy Żyd był podejrzany o syjonizm. Prasa i wojsko zostały „oczyszczone” z Żydów. Nie tylko atakowano Izrael, ale obciążano Żydów odpowiedzialnością za wyniszczenie ich narodu przez Hitlera.

30 stycznia 1968 roku sztuka Mickiewicza „Dziady” została zakazana — studenci manifestowali przed teatrem; wielu z nich aresztowano. By zaprotestować przeciwko temu inna manifestacja miała miejsce 8 marca na Uniwersytecie Warszawskim: policja reagowała brutalnie i znowu liczni studenci zostali aresztowani — aryjczyków zwolniono, a Żydów uwięziono. Moczar podzielił Żydów na trzy kategorie w sposób, który pozwalał na wszystkie dowolności: 1) syjoniści, którzy winni opuścić Polskę; 2) Żydzi, którzy czują się jednocześnie Żydami i Polakami; 3) Żydzi, którzy są bardziej Polakami niż Żydami. 20.000 Żydów opuściło Polskę między latem

1. M.in. autor wybitnej pracy „Chrześcijanizm bez Kościoła”.

1968 a latem 1971. Inni próbowali ich naśladować. Lecz wyrzucając Żydów zwiększano szyskany, które sprawiały że wyjazd stawał się bardzo trudny. Mogli wyjeżdżać tylko do Izraela. Z chwilą gdy złożyli podanie o wyjazd, byli pozabawieni obywatelstwa i jakichkolwiek możliwości pracy. Musieli płacić 5.000 złotych, co stanowi dwumiesięczną dobrą pensję. Musieli zdawać swoje mieszkania — odnowione, co pociągało za sobą poważne koszty, a także zwracać koszty studiów swoich dzieci. Zabroniono im zabierać ze sobą jakiegokolwiek sumy pieniędzy. Wymagano, by mieli szczegółowy inwentarz swego bagażu, a na cle byli poddawani długiej i poniżającej rewizji. Wszyscy przyjaciele Polacy — Żydzi czy nie Żydzi — których spotykaliśmy w Paryżu — byli obrzydzeni tym zachowaniem się wobec Żydów.

Jednakowoż w całości kraju sytuacja bynajmniej się nie poprawiła. W grudniu 1970 roku, po powstaniu śląskich (! Red.) robotników, które zostało krwawo stłumione, Gomułka został zastąpiony przez Gierka. Wydaje się, że ZSSR już od dawna życzyło sobie tej zamiany i że rozruchy zostały spowodowane tym łatwiej, że były istotne powody: podniesienie cen. Gierek nie ma w sobie nic z demokracji: nie można oczekiwać zmian na lepsze (str. 450-452).



Christian de la Mazière, „Le rêveur casqué” (Wyd. Robert Laffont, Paryż, 1972).

Autor, należący do skrajnej prawicy francuskiej pod koniec wojny jako młody członek zaciągnął się do „Waffen SS Charlemagne”. Jego wspomnienia — niezależnie od książki — zostały wykorzystane w głośnym filmie francuskim „Le chagrin et la pitié”, w którym on sam opowiada o sobie.

... Znaleźliśmy się w środowisku („Waffen SS” — Redakcja) rzeczywiście kosmopolitycznym i zapoznając się z poszczególnymi grupami mieliśmy wrażenie podróży naokoło Europy: Wielu Niemców — ma się rozumieć Polacy, Rosjanie, kilku Łotyszy, Litwini, Estończycy, Norwedzy, Szwedzi, Holendrzy... (str. 84).

... Pozwolono zbliżyć się samochodowi i otworzyliśmy ogień w chwili gdy był nie dalej niż 50 metrów od nas. Natychmiast się cofnął. Ludzie zeskokczyli i zaczęli strzelać. Usłyszałem krzyki, komendę. Zwróciłem się do chłopców: To są Polacy.

Polska... Cały kawał mojego dzieciństwa, od 3-ich do 7-miu lat. By móc walczyć w Polsce mój ojciec z własnej woli porzucił armię Reńską w 1918 roku. Była to chwila gdy Rosjanie Budiennego próbowali odbić terytoria, które stracili na skutek powstania młodego państwa polskiego. Ojciec mój, pod wpływem Weyganda, był jednym z tych którzy tworzyli polską armię. Był on w sztabie Głównym Marszałka Piłsudskiego wraz z innym młodym kapitanem — Charles de Gaulle. To on zdobył Tarnopol, gdzie pomnik dziś zniszczony przez Sowiety, uwiecznił jego nazwisko. Był on więc czymś w rodzaju bohatera narodowego. Miał najwyższe polskie odznaczenia. Później wykładał w Szkole Wojennej w Warszawie w swoich wykładach opierając się na doświadczeniach z własnej kampanii. Jego teorie w ten sposób wrosły w historię wojskowości. Wykładano je również po jego wyjeździe i nazwisko de la Mazière znane było młodym oficerom. Ja byłem dosłownie skąpany w języku polskim. Po powrocie do Francji mówiłem płynnie po polsku. Oburzało to moją matkę, która zakazała tego języka w domu. Myślałem, że zapomniałem go całkowicie, lecz pod naciskiem wydarzeń powróciła znajomość. Powiedziałem sobie: „Na szczęście to nie są Rosjanie, może uda się nam z tego wyjść cało”. Krzyknąłem: „Czy jesteście Polakami?” —

„Tak”. — „My jesteśmy Francuzami, nie strzelajcie — pozostaniecie na miejscu, nie złego wam się nie stanie” (str. 154-155).

... Weszliśmy do na wpół zrujnowanej willi, w której mieścił się polski sztab. Tam oddzielono mnie od podoficera, który był ze mną. Nie wiem co z nim się stało. Potem zaprowadzono mnie do pokoju, w którym znajdowali się oficerowie sztabu. Przyjęto mnie z najwyższą uprzejmością, zapytano czy jestem głodny. Ofiarowano mi wódkę. To dobrze mi zrobiło. I zaczęliśmy rozmawiać. Interesowali się bardzo dywizją „Charlemagne” i zadawali mi tysiące pytań na ten temat. Wreszcie jeden z wyższych oficerów powiedział mi: „Tu, w każdym razie nie możemy pana zbyt długo zatrzymywać, ale co robić? Jeśli oddamy pana Rosjanom, to nie wiadomo co może się zdarzyć. Więc muszę się zastanowić. Tymczasem zostanie pan w jednym z naszych miejsc postoju, tuż obok. Zobaczę jutro co mogę zrobić dla pana. Nie chcę pana pozostawić na łaskę losu. Ojciec pana walczył o niepodległość Polski, pan żył wśród nas, wie pan jak kochamy Francję. Dla nas to jest kraj wolności. A ponadto wielu naszych braci-Polaków biło się po stronie niemieckiej. To wszystko jest bardzo skomplikowane. Nie, nie mogę pana oddać Rosjanom”.

I zwracając się do oficera: „Odprowadzić go”. Zaprowadzono mnie do domu zapchanego żołnierzami. Atmosfera była tu jak najbardziej wesoła i bardzo szybko rozpoczęło się niebawem pijaństwo, jakie tylko Słowianie umieją zorganizować. Tych Polaków rozsądzała radość. Ich kraj był wolny — to było zwycięstwo. Piłem i hałasowałem razem z nimi. Ogromnie hałasowałem. Gdy noc zapadła zapalono lampy, by kontynuować festyn, śpiewać i nadal się śmiać.

Na chwilę zamknąłem oczy. Te głosy, ta muzyka, obudziły we mnie inne głosy, inną muzykę. Miałem 5 lat, byłem w swoim pokoju, w łóżku, w ambasadzie francuskiej w Warszawie. Była noc. Echa przyjęcia nie dawały mi zasnąć. Wstałem więc, zszedłem ze schodów, popchnąłem drzwi wielkiego salonu. Salon pełen był ludzi, panie w sukniach wieczorowych, obсыpanych kosztownościami, cywile, wygalonowani oficerowie, Francuzi lub Polacy...

Kilka twarzy zwróciło się, aby uśmiechnąć się do tego dziecka o długich włosach, które spływały na nocną koszulę i aby dać znak niehałasowania. Pośrodku pokoju, siedząc przy ogromnym fortepianie, człowiek o śnieżnej czuprynie grał Chopina. Ojciec mój zbliżył się do mnie po cichu i położył rękę na moim ramieniu:

— Przypatrz się dobrze. To jeden z największych pianistów i najwybitniejszych mężów świata, Paderewski.

Gdy skończył grać przedstawiono mnie jemu. Przeszedłem się po salonie pozdrawiając kilku panów, całując w rękę kilka pań. Potem odprowadzono mnie do mego pokoju...

Jestem dziś daleko od tej eleganckiej i przytulnej atmosfery. Lecz również od dawna nie śmiałem tak z całego serca, jak teraz. Piło się, mówiło o Paryżu. Zapomniałem o mojej sytuacji (str. 159-160).



A o Rosjanach:

Nagle pojawiła się setka kawalerzystów, którzy — jak się później dowiedziałem — przybywali bezpośrednio z Mongolii Zewnętrznej. Dosiadali małych koni o długich grzywach. Zamiast siodła mieli derki położone bezpośrednio na końskich grzbietach, a zamiast strzemion używali sznurów, zakończonych pętłami gdzie mieściła się stopa. Przez plecy mieli przełożone

stare strzelby, które musiały się datować z początku tego wieku. Chcieli jeść. Nie mówili po rosyjsku i nie umieli się porozumieć. Kucharze zresztą nie przewidzieli ich przybycia i odmówili ich obsłużenia. Był to zabawny widok: w środku ultra nowoczesnej armii ludzie, którzy przypominali mi obrazki z książek mego dzieciństwa i wydawali się przybyszami z innej planety. Mongołowie zdjęli strzelby i zaczęli strzelać do kucharzy. Żołnierze, którzy znajdowali się naokoło, chwycili automaty. Powstała awantura. Błyskawicznie znalazłem się pod jeep'em. Przybiegł komisarz. Przez radio zaczął poszukiwać kogokolwiek, kto znałby język jeźdźców. Udało mu się zahamować strzelaninę i stopniowo uspokoić wszystkich. Potem nakazał ich nakarmić. Kilka chwil później, przy stole, pozwoliłem sobie na pytanie: Co to są za ludzie, skąd przybývają?

I tu po raz pierwszy komisarz zwierzył mi się: Mamy wielkie trudności w armii rosyjskiej z powodu istnienia ogromnej ilości dialektów. Nie można więc zmodernizować niektórych oddziałów przekształcając je w oddziały zmotoryzowane. Nie zrozumieliby rozkazów wydawanych przez radio. I pokazując mi Mongołów, którzy zeszli ze swych wierzchołców i jedli, powiedział: „Gdy Niemcy zaatakowali Rosję, zaalarmowaliśmy wszystkie szczepy. Ci — to jest szczep z Mongolii Zewnętrznej, który został zawiadomiony w roku 1941, że ojczyzna jest w niebezpieczeństwie. Wskoczyli na swoje konie i teraz nacierają.

Ci jeźdźcy nigdy nie widzieli wojny, ale szli na nią powodowani nadzieją łupów. Przebyli drogę długą i niekończącą się, tym bardziej, że zima, śnieg, hamowały ich marsz. Władze rosyjskie odżywiały ich po drodze. Zbliżają się wreszcie do frontu, ale front zaczął się oddalać. I prawdopodobnie przybędą na przedmieścia Berlina, gdy wojna będzie już skończona (str. 175-176).



... Ten chłopiec walczył w Szturmowej Brygadzie. W swoim czasie, tłumaczył nam w wahającej francuszczyźnie, był robotnikiem piekarskim w Paryżu. W walkach w lipcu 1944 roku Rosjanie wzięli go do niewoli. Miał szczęście, że go nie rozstrzelano, wysłano go do łagru syberyjskiego wraz z jeńcami niemieckimi. Pozostawał tam kilka tygodni. Pewnego dnia, korzystając z pięknej pogody, udało mu się uciec. Przemierzał lasy, te niekończące się lasy — wielkie jak kontynenty, kierując się dość na oślep. — Nie mogę powrócić na Zachód — mówił sobie. — W żadnym wypadku nie mogę się zgubić na północy. Uciekajmy więc na wschód, lub raczej na południow-schód. Szedł miesiące i miesiące. Spał w lasach, by się odżywić włóczył się na skrajach wsi, był wypędzany, jeśli go zaskoczono. Zapominał mówić i przypominał prawdziwe zwierzę. Nie zdając sobie z tego sprawy przybył do Mongolii Zewnętrznej. Pewnego wieczoru wyszedł z lasu w poszukiwaniu żywności. W tym czasie przechodził jakiś szczep nomadów i go pochwylił. Nie mógł się dogadać, gdyż mówił tylko po francusku i troszkę po niemiecku. Ludzie traktowali go jednak z niebywałą uprzejmością, ubrali i zatrzymali przy sobie. Był to szczep na wpół zbuntowany. Atakował konwoje sowieckie, grabił, zabijał. I razem z nimi kontynuował on wojnę przeciwko „Iwanom”. Miał, jak wszyscy inni swego małego konia i po mału poznawał ich język. Z każdym dniem coraz bardziej upodabniał się do Mongołów, od których odróżniał się jedynie wysokim wzrostem. I tak spędził długą zimę syberyjską, ubrany w skóry zwierzęce. Ożeniono go. Żona jego należała do rodziny notabli. Urządzono wielkie uroczystości. Dano mu indywidualny namiot, gdzie żona oczekiwała na niego przygotowując pożywienie. Potem nadeszła wiosna i w tym samym czasie koniec wojny. „Iwany” zdecydowały się wreszcie skończyć z tym niezasymilowanym szczepem. Pewnego ranka Mongołowie

zetrzęli się ze znacznym zmotoryzowanym oddziałem armii czerwonej, który szedł w kierunku Chin — była to epoka, w której Rosjanie przygotowywali się do walki z Japończykami.

Dali się pochwycić w zasadzkę. Walczyli jak lwy. Chłopiec został ranny i wzięty do niewoli. Był badany przez Rosjan i naturalnie nie chcieli uwierzyć, że jest Francuzem. Potem z wrodzoną im powolnością znaleźli jego nazwisko na listach obozu, z którego uciekł. Repatriowano go razem z jeńcami alzackimi i w ten sposób przybył do nas, do Fresnes, poprzedzony długim raportem, w którym sowieciarze podali jego historię (str. 232-234).



Po zapoznaniu się z powyższą książką, zwróciliśmy się do Autora, za pośrednictwem wydawcy, z prośbą o szczegóły co do Polaków, rzekomo znajdujących się w „Waffen-SS” jak i historii jego Ojca. Nie znaleźliśmy nazwiska jego ojca w spisach oficerów francuskich będących w Polsce w latach 1918-1920, ani informacji o bohaterskim zdobyciu Tarnopola, co miało zostać uczczone pomnikiem. Odpowiedzi od p. de la Mazière nie dostaliśmy. (*R e d a k c j a*).

LISTY DO REDAKCJI

Londyn, 27 grudnia 1972.

Szanowny Panie Redaktorze,

W zeszycie 22-gim *Zeszytów Historycznych* „Biblioteki Kultury” zostało zamieszczone Sprawozdanie Komisji Specjalnej Rady Narodowej R.P. z dnia 9 sierpnia 1950 roku dotyczące „zbadań i ustalenia podstaw finansowych Rządu oraz działalności gospodarczej władz państwowych za czas od 1. lipca 1944 roku”.

Jestem zdziwiony, że tak poważna instytucja jak Instytut Literacki wraz z redakcją *Kultury*, drukując po 22 latach sprawozdanie komisji, która wówczas budziła zastrzeżenia wśród stronnictw nie wchodzących w skład Rady Narodowej R.P., a to z powodu braku zaufania do jej politycznej bezstronności, jak i sposobu prowadzenia jej prac.

Drukowanie obecnie *in extenso* tego Sprawozdania, które było znane od jesieni 1950 roku a którego streszczenie, jak Pan podaje, zostało zamieszczone w *Orle Białym* 9 września 1950 roku, tym bardziej budzi moje zdziwienie, że szereg osób wymienionych w tym Sprawozdaniu już nie żyje i nie może podać dalszego przebiegu rozliczeń dokonanych przez nie wobec kompetentnych władz R.P. na emigracji.

W cytowanym wyżej Sprawozdaniu jest wymienione i moje nazwisko w związku z kwotą 100.000 Fr. Szw., podjętą w poselstwie R.P. w Berlinie w marcu 1945 roku od P. A. Ładosia, z komentarzem, że „odmówiłem udzielenia wyjaśnień Komisji Specjalnej, zasłaniając się motywami natury politycznej”, co jest zgodne z prawdą, — oraz, że „nie złożyłem sprawozdania Najwyższej Izbie Kontroli, we wskazanym przez siebie terminie”, co jest niezgodne z prawdą.

N.I.K. oraz odpowiednie władze w Londynie, którym podlegałem, były powiadomione o moich czynnościach w związku z zamknięciem działalności placówki w Paryżu i moim przeniesieniu się do Londynu, co nastąpiło przy końcu października 1950 roku. Zaraz też po moim przyjeździe do Londynu nawiązałem kontakt z ówczesnym Kierownikiem N.I.K. P. St. Okoniewskim i w ciągu kilku posiedzeń rozliczyłem się ze wszystkich funduszy, które przeszły, lub zostały wydatkowane przez placówkę w Paryżu w czasie od lutego 1945 roku do końca października 1950 roku.

Najwyższa Izba Kontroli powiadomiła o tym listem poufnym N.I.K. L. Dz. 97/50/Pf z dnia 29 listopada 1950 roku — Ministra Spraw Wewnętrznych załączając Protokół w tej sprawie z dnia 27 listopada 1950 roku podpisany przeze mnie i przez Prezesa N.I.K. St. Okoniewskiego. Kopie obu tych dokumentów są w moim posiadaniu. W następnym numerze *Orzeł Biały* podał też w tej sprawie komunikat PAT-a.

Mam nadzieję, że Redakcja *Zeszytów Historycznych* nie odmówi mi umieszczenia tego listu, chociaż ponadto nie ukrywam zadowolenia, że dali mi Panowie okazję do uporządkowania moich archiwów.

Łączę wyrazy poważania,

Józef BARANIECKI

Washington, 18 grudnia 1971.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Po przesłaniu tekstu części moich wspomnień, wydrukowanych w Nrze 20-tym *Zeszytów Historycznych* otrzymałem od pani Wandy Krzczunowicz z Addis Ababy fotokopię oryginału rozkazu płk. Józefa Spychalskiego, nadającego Leonowi Krzczunowiczowi Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami. Rozkaz datowany jest 13 października 1943 roku. Jest na nim adnotacja ewidencyjna Szefa I Oddz. Sztabu KO AK Kraków „Okonia” (pseudonim) i skierowanie do mnie dla przekazania. W tym czasie LK używał w stosunkach z Komendą Okręgu AK Kraków pseudonimu „Roland”. W moich wspomnieniach nie wymieniłem tego drugiego pseudonimu i mylnie napisałem, że LK został odznaczony „Krzyżem Niepodległości”.

Chcę również sprostować dwa przeoczenia:

a) LK zachorował ciężko późną wiosną 1942 roku, a nie jak napisałem „na przełomie 1941/42 roku”.

b) Andrzej Sapieha był w kierownictwie „Uprawy” do późnej wiosny 1943 roku, a następnie późnym latem tegoż roku wysłany został do Budapesztu. Dwukrotnie mylnie wymieniłem rok 1944.

Będę bardzo zobowiązany jeżeli Pan Redaktor zechce uzupełnienie i sprostowania zamieścić w następnym numerze *Zeszytów Historycznych*.
Dziękuję.

Wacław BNIŃSKI



Józef JAKLICZ

SPROSTOWANIE

W *Głosie Katolickim* Nr 45 (650) z dn. 5 listopada 1972 roku, ukazał się artykuł gen. Zdrojewskiego, jako odpowiedź na artykuły pt. „Wielki Mistrz” (*Głos Katolicki* Nr 19 i 20 z maja 1972 roku).

W artykule tym gen. Zdrojewski pisze:

„Po ponownym przybyciu do Francji (23 lipca 1943) płk. Antoniego Zdrojewskiego, obarczonego zadaniami bojowymi, związanymi z inwazją kontynentu Aliantów i po nawiązaniu przez niego współpracy z francuskim ruchem oporu, nastąpił podział kompetencji w dowództwie Wojsk Polskich. Płk Jaklicz jako tłumacz generalny i nominalny dowódca zatrzymał agendy dotychczasowe, tj. ewakuację, sprawy administracyjne kompanii pracy i stosunki z władzami Vichy, natomiast płk Zdrojewski przejął dowodzenie operacyjne, tj. przygotowanie do działań bojowych czynnych przy boku francuskiego ruchu oporu”.

Twierdzenie gen. Zdrojewskiego o przejęciu ode mnie dowodzenia operacyjnego jest całkowicie niezgodne z prawdą.

Mjr art. Antoni Zdrojewski zameldował się u mnie, jako ówczesnego dowódcy W.P. na południu Francji (dawna tzw. Strefa Wolna), w Grenoble, w 2-giej połowie sierpnia lub na początku września 1943 roku i zawiadomił mnie, że został awansowany na podpułkownika, zrzucony do Francji i mianowany Delegatem Min. Obr. Nar. w organizacji P.O.W.N. (Polska Organizacja o Wolność i Niepodległość, której szefem był konsul Kawał-

kowski), celem zorganizowania wewnątrz niej komórki wojskowej, ze specjalnymi na przyszłość zadaniami. Prosił o danie mu pomocy w formie przydziału ekipy kilku oficerów, z którymi mógłby rozpocząć pracę. Pomocy tej mu udzieliłem i przyrzekłem mu pomoc na przyszłość. O jakimkolwiek podziale kompetencji między nami nie było w ogóle mowy i być nie mogło. Ppłk Zdrojewski miał pracować w P.O.W.N.-réseau *Monica* na północy Francji, moja działalność dotyczyła Francji południowej. Organizacja P.O.W.N. i organizacja Wojskowa były całkowicie od siebie niezależne, każda z nich z odrębnymi, określonymi przez Naczelnego Wodza, zadaniami.

Gdyby ppłk Zdrojewski miał objąć operacyjne dowodzenie nad oddziałami, którymi dowodziłem, musiałbym otrzymać odpowiedni rozkaz Nacz. Wodza względnie Min. Obr. Nar., z równoczesnym przeniesieniem mnie na inne stanowisko, albowiem jako płk dypl. mianowany 1 stycznia 1930 r. nie mogłem „operacyjnie” podlegać ppłk. art. Zdrojewskiemu, mianowanemu podpułkownikiem 23 lipca 1944 r. Natomiast z MON’u nie tylko nie otrzymałem żadnego rozkazu lecz nawet zawiadomienia o przybyciu ppłk. Zdrojewskiego na teren Francji. Było to zrozumiałe ze względów konspiracyjnych. Jedyną wzmianką o „Danielu” (pseudo ppłk. Zdrojewskiego) w mojej radio-korespondencji z MON’em było podziękowanie mi za pomoc jakiejś mu udzielałem. (Depesza MON’u z 11. 4. 44 — Nr 2300).

Stwierdzam, że do czasu odwołania mnie do Wielkiej Brytanii i mego wyjazdu z Francji, tj. 26. 5. 1944 r., częste moje kontakty z ppłk. Zdrojewskim były jak najbardziej harmonijne, lecz nigdy nie było mowy o jakimkolwiek podziale naszych kompetencji.

Nie rozumiem dlaczego dzisiaj, po prawie 30 latach, gen. Zdrojewski wprowadza między nami dysonans, stwarzając jakiś fikcyjny podział kompetencji.

Józef JAKLICZ

Paryż, 27 listopada 1972 r.



Southampton, w grudniu 1972 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W lutym 1968 roku zmarł w Nowym Jorku płk Adam Koc. W kilka miesięcy po jego zgonie ukazał się w *Zeszytach* (Nr 16, rocznik 1969) mój artykuł pt. „Szlachetny”, Wspomnienia o Adamie Kocu — twórcy Polskiej Organizacji Wojskowej, jednym z najwybitniejszych przedstawicieli obozu piśsudczyków.

Los zrządził, że w ostatnich latach jego życia spędzałem z nim liczne godziny na rozmowach o czasach poprzedzających wybuch pierwszej wojny światowej i o okresie Dwudziestolecia Niepodległości. Mam zwyczaj, że notuję ciekawsze fragmenty takich rozmów. Na notatkach bezpośrednio sporządzanych oparłem też część „Wspomnień o Adamie Kocu”, przytaczając m.in. jego wypowiedzi o ostatnim Marszałku Senatu, Bogusławie Miedzińskim. Koc do końca umysł miał jasny. Mogła go czasem zawieść pamięć co do dat, mógł pominąć czy dodać jakieś nazwisko, ale meritum opowiadanych faktów i wydarzeń pamiętał doskonale. Zresztą do niektórych poruszanych w rozmowach tematów, jak do jego spotkań z Komendantem czy roli jaką odgrywał w OZONIE, wracaliśmy często.

„Wspomnienia o Adamie Kocu” ukazały się jeszcze za życia Bogusława Miedzińskiego. Zmarł 8 maja 1972 roku. Nie zareagował na nie od razu. Dopiero w ostatnim, 22-im numerze *Zeszytów* znalazły się jego „Sprostowania spoza grobu”, poprzedzone wstępem p. Tadeusza Święcieckiego. W „Spros-

townianach" nie atakuje Koca. Rozgrzesza go, pisząc, że w ostatnich latach życia „miał się stać jakby innym człowiekiem i zatracił swą dawną stanowczość i jasność myślenia”. Natomiast atakuje mnie. Twierdzi, że to co napisałem we „Wspomnieniach” nie ma nic wspólnego z prawdą historyczną. Nie daje wiary, aby Koc mógł opowiadać „brednie, które przypisuje mu Katelbach”. Przytaczane przeze mnie słowa nazywa — „jakoby relacjami Koca”. Oczom nie wierzył — pisze — czytając co mówił mi Koc o swojej i jego roli w OZONIE.

Gdyby Miedziński żył, odpowiedziałbym mu tak, jak na to zasłużył.

Wszystko co miałem o nim do powiedzenia, napisałem w artykule, który ukazał się 23 lipca 1972 w londyńskich *Wiadomościach* („Czy Miedziński mógł być polskim Talleyrandem?”). Pomiąłem w tym pośmiertnym wspomnieniu wiele spraw, że wspomnę tylko autorstwo deklaracji OZONU, którego Miedziński tak się wypiera. Jeden z jego bliskich kolegów i dawnych towarzyszy broni, po przeczytaniu „Sprostowań spoza grobu”, jeszcze raz potwierdził relację Koca, że nikt inny tylko Miedziński był autorem deklaracji. Nie chciałem w ogóle pisać o niezbyt chlubnych kartach jego działalności i nie zamierzam się nimi zajmować. Niech piszą inni, którzy podzielają opinie, że był „doświadczonym graczem politycznym bez zbytnich skrupułów” i że rola jaką odgrywał w wewnętrznych stosunkach polskich budziła — „najdalej idące zastrzeżenia”.

Z wstępu p. T. Święcickiego dowiaduję się, że w roku 1973 mają się ukazać „Wspomnienia” Miedzińskiego, doprowadzone, niestety, tylko do pierwszych lat dwudziestolecia Niepodległości. Nie zmieniam poglądu wyrażonego w pośmiertnym artykule o Miedzińskim, że jego pamiętniki będą ciekawym dokumentem historycznym tego okresu. Nie zmieniam również opinii, że będę je czytał uważnie, bo do zupełnej prawdomówności ich autora nigdy zaufania nie miałem.

Łączę wyrazy szacunku,

Tadeusz KATELBACH

Chicago, Ill., 18 listopada 1972 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Proszę o łaskawe umieszczenie mych uwag do recenzji p. Z. S. Siemaszki pt. „Wspomnienia Wileńskiego Akowca”, która ukazała się w 22 numerze *Zeszytów Historycznych*.

Byłem prezesem Koła AK, Chicago, które objęło opiekę nad książką naszego członka „J. Carrer’a” „Across the Continents in Search of Justice” (Poprzez Kontynenty w Poszukiwaniu Sprawiedliwości).

Trudno jest zrozumieć o co chodzi p. Siemaszce. Faktom i obserwacjom autora przeciwstawia swoje powątpiewania, ironię i obarczanie AK za sytuację polityczną i wojskową, w której się znalazła.

Natomiast naszym celem, w przejęciu opieki nad książką, było ułatwienie dokumentacji tego co się działo w Kraju w latach 1939-1945, w formie osobistego opowiadania. Jest duży nawrót do spraw polskich wśród młodych Amerykanów polskiego pochodzenia, szczególnie w drugim i trzecim pokoleniu, którzy doszukują się swojego *roots* — przeszłości. Naturalnie, tylko książki w języku angielskim są dla nich zrozumiałe.

By odpowiedzieć p. Siemaszce na niektóre punkty jego recenzji, zwróciłem się do autora o wyjaśnienie. Poniżej są moje pytania wyjęte z recenzji i odpowiedzi autora książki:

Pytanie: Pan Siemaszko gubi się w Pańskim wieku, nie rozumie dlaczego kapral przyniósł wezwanie mobilizacyjne, stara się zgadnąć Pański wojskowy stopień przedwojenny i w ogóle nie wierzy w „historyjki” kampanii wrześniowej.

Odpowiedź: Wyjaśnienie tych „zagadek” nie sprawiłoby trudności, lecz są one o tak małym znaczeniu, że szkoda farby drukarskiej dla nich.

P.: Dla p. Siemaszki wyznaczenie Pana na dowódcę batalionu brzmi fantastycznie, używając jego wyrażenia.

O.: Konspiracja, szczególnie w jej początkach, opierała się na młodych ludziach. „Skiba”, który zaprzysięgał mnie, kawalerzystę, na d-cę batalionu w 6 p.p. Leg. był „tylko” porucznikiem i pełnił funkcję dowódcy pułku. Lis-Kula, w wieku 22 lat, był majorem i komendantem P.O.W. na Ukrainę. Niewątpliwie, wielu czytelników mogłoby dać podobne przykłady p. Siemaszce.

P.: Zdaje się, że p. Siemaszce nie podobają się Pańskie wypowiedzi w sprawie komunistów, kobiet i szpiegów sowieckich, b. oficerów polskich.

O.: Nie jest już żadną tajemnicą, że listę kandydatów do aresztowań pod okupacją sowiecką otwierali ideowi komuniści, socjaliści i inni lewicowcy, nawet przed członkami polskiej policji itd. Czym byli bardziej ideowi, tym szybciej trafiali do więzienia. Tylko zdrajcy sprawy polskiej byli tolerowani i używani do okupacji.

Opis sytuacji kobiet miał i oddaje hołd ich poświęceniu. Pan Siemaszko zrobił z tego potwarz.

Gdy się zna szpiegów, to się zachowuje ich do czasu, by wykryć innych. „Julian” sam się wkręcił w siatkę rozprowadzania „Niepodległości”; zresztą nie było to ani trudne, ani tak groźne. Natomiast, p. Siemaszki wyrażenie: „... był nawet zaangażowany...” wskazuje na stałą tendencję poprzez całą recenzję: dyskredytacji Podziemia i tych, którzy brali w nim udział.

P.: Jak to było ze stopniem Komendanta Okręgu?

O.: Komendant „Wilk” ujawnił się wojsku w mundurze generalskim w Dziwieniszkach, w czerwcu 1944 roku. Czy miał prawo do tego stopnia, czy nie, ja o tym nie wiedziałem. Pisząc wspomnienia, starałem się używać swojej wiedzy z tamtego czasu, a nie późniejszej, gdy znalazłem się za granicą. W tym krótkim czasie, gdy się spotykałem z „Wilkiem”, nic o nim nie wiedziałem, ani wiedzieć chciałem. Naszym całym wysiłkiem było wiedzieć jak najmniej, na wypadek aresztowania i tortur. Przyznaję, że trudno jest p. Siemaszce odtworzyć nasze konspiracyjne warunki. Takich rzeczy nikt się nie nauczy z cudzych opowiadań, lub książek, szczególnie gdy się nie daje wiary w uczciwość relacji innych. Nie rozumiem na czym miała polegać „kontrowersyjna rola” Komendanta „Wilka”.

P.: Zbliżył się zdaje do zasadniczego pytania p. Siemaszki, a mianowicie dlaczego Wileńskie AK pomagało sowieckim wojskom?

O.: Przede wszystkim chciałbym wyjaśnić, że 6. Brygada nie wysadziła żadnego transportu wojskowego, choć miała to zrobić, gdyby taki rozkaz nadszedł. Podobno nasz Rząd w Londynie miał zamiar udowodnić Stalinowi, że ma takie możliwości w Kraju. Może p. Siemaszko coś o tym wie.

Zadania „Burzy” były już opisane i niewiele można do tego dodać. W takim samym stopniu jak myśmy „pomagali” sowieciarzom, robiły to samo wojskowe oddziały za granicą, włączając p. Siemaszkę, i Alianci z całą swoją potęgą wojskową i materialną. Widać z tego, że p. Siemaszko siedzi na tym samym koniku co i p. J. Mackiewicz. Obaj tylko nie wyjaśniają, jakie było wyjście z naszej sytuacji.

W 1944 roku podano nam, że Wilno i Nowogródek tworzą obszar. Już za granicą się dowiedziałem, że „Wilkowi” powierzono dowództwo nad oddziałami obu Okręgów, bez tworzenia obszaru.

Bóg raczy wiedzieć skąd p. Siemaszko wziął ten entuzjazm z jakim miałem się ustosunkować do „miodowych miesięcy w stosunkach pomiędzy wileńską AK i armią sowiecką” (str. 203). Nie było żadnego entuzjazmu, a wprost przeciwnie była wielka troska o przyszłość. Poza tym, nasza niepewność trwała tylko kilka dni, od 7 do 16 lipca 1944 roku.

„Wilk” nie przyjmował tzw. defilady na rynku Dziewieniszkim, bo go wtedy nie było z nami. Więcej uwag odnośnie tej „defilady” znajduje się na str. 235, 19-go numeru *Zeszytów Historycznych*.

Jak widać z powyższego i z innych uwag, „Historyk z Londynu” stara się przeprowadzić swój punkt widzenia przez sugestionowanie swoich myśli autorowi. Znany to sposób. Poza tym, z perspektywy 28 lat łatwo jest o oceny. Moim zadaniem było odtworzyć tamte czasy tak jak je widziałem, bez późniejszego retuszowania. Przyszły prawdziwy historyk, mając takie wspomnienia i dokumenty, potrafi oddać epokę wysiłku narodu w latach 1939-1945.

P.: Z dalszego paragrafu widać, że p. Siemaszko nie jest zadowolony z „mentalności niektórych środowisk polskiej inteligencji”, które są niby wykształcone, a nie umieją myśleć konsekwentnie, nie potrafią zacytować zdania po łacinie i pisać prawidłowo po angielsku.

O.: Znawcy języka angielskiego, chociaż w odmianie amerykańskiej, nie potwierdzają zastrzeżeń polsko-londyńskiego znawcy, dodając, że woleliby, by niektóre zdania były krótsze.

P.: Czy może Pan coś dodać w sprawie końcowych uwag p. Siemaszki?

O.: Nie wiem dlaczego p. Siemaszko zrobił mnie doradcą gen. Sulika. Co w tym nadzwyczajnego, że przełożony wzywa swego podwładnego z czasów wileńskiej konspiracji, 2. Korpusu i Anglii na rozmowę.

Książka J. Carrer’a spełniła i spełnia swe zadania. Wiele osób, nie znających języka polskiego, wie więcej o naszych sprawach. Świadczą o tym recenzje, listy i gorące słowa zachęty, by wydać inną książkę o sprawach polskich.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

January NAZOREK

9 grudnia 1972.

Szanowny Panie Redaktorze!

Dziękuję za przysłanie kopii listu p. Januarego Nazorka dotyczącego mojej recenzji książki J. Morelewskiego (pseudonim J. Carrer) „Across the Continents... in Search of Justice”. Jednak nie mam zamiaru wdawać się w obszerniejszą dyskusję, gdyż, jak widać, zarówno p. Nazorek jak i p. Morelewski należą do tej kategorii ex-kombatantów, którzy sądzą, iż tylko oni znają prawdę i tylko oni są uprawnieni do wyrażania opinii o okresie wojennym. Jednocześnie uważają, że sposób w jaki przedstawiają oni te niezłomne prawdy i opinie nie może być kwestionowany.

Zwróć jedynie uwagę na typowy sposób rozumowania zawarty w wypowiedziach p. Morelewskiego.

Z jednej strony mówi on p. Nazorkowi:

„Takich rzeczy (konspiracyjne warunki) nikt się nie nauczy z cudzych opowiadań lub książek, szczególnie gdy się nie daje wiary w uczciwość relacji innych”,

a z drugiej strony zastrzega się:

„Przyszły prawdziwy historyk, mając takie wspomnienia i dokumenty (tu p. Morelewski ma na myśli między innymi swoje własne wspomnienia) potrafi oddać epokę wysiłku narodu w latach 1939-1945”.

Tak więc zdaniem p. Morelewskiego nie tylko teraz, ale i w przyszłości, jedynie ci którzy przyjmą jego, i jemu podobne, wspomnienia bez zastrzeżeń będą zdolni do zrozumienia działania konspiracyjnego i tylko oni będą prawdziwymi historykami.

Pozostaję z szacunkiem,

Z. S. SIEMASZKO



Montreal, 20 grudnia 1972.

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule „Sprawy Finansowe Polski w Przededniu Ostatniej Wojny” (Zeszyt 21-szy, str. 45) wspomina pan Stanisław Kirkor, „że w latach 1936-39 Bank Polski otrzymał z tytułu eksportu broni prawie 200 milionów złotych w dewizach zagranicznych, a więc więcej niż uzyskano z części gotówkowej pożyczki francuskiej z 1936 roku”. O wpływach „z dokonywanych za granicą sprzedaży sprzętu wojskowego (około 200 mln. zł.)” wspomina także Zygmunt Karpiński („Ustroje Pieniężne w Polsce od Roku 1917”, Państw. Wyd. Naukowe, Warszawa 1968, strona 151). Pracując w tych latach w Biurze Ekonomicznym Banku Polskiego wiem, że część tej broni (prawdopodobnie większość) była sprzedana rządowi Republiki Hiszpańskiej i płacono złotem względnie dewizami banku centralnego Hiszpanii. Sądzę, że fakt ten mało znany, gdyż pozycja eksportu broni jest zwykle „kamuflowana” w statystykach handlu zagranicznego, zasługuje na odnotowanie dlatego, że bez względu na to czy sympatie rządu gen. Składkowskiego leżały po stronie generała Franco czy też rządowej, uznano za wskazane ze względu na zatrudnienie w przemyśle i dopływ dewiz sprzedać broń tej stronie, które mogła za nią zapłacić tj. rządowi „czerwonej” Hiszpanii.

Łączę wyrazy szacunku,

Tadeusz SOŁOWIJ



Stanford, Kalifornia, listopad 1972.

Drogi Panie Redaktorze!

„I ja nie ja, i łoszad' nie moja”, tłumaczy się w anegdocie chłop zastany w szkodzie. Zachowanie się niewiasty w podobnej sytuacji różni się niewiele.

Na jesieni 1969 w 16-ym Zeszycie Historycznym czytałem:

„... Dopiero w 1966 otworzono archiwa brytyjskie... Dopiero z tych dokumentów wyłania się wyraźniejszy obraz... Najistotniejsza akcja dyplomatyczna W. Brytanii w stosunku do Polski w 1917 r. była wynikiem groźnej sytuacji na zachodzie po załamaniu się frontu rosyjskiego. Rząd brytyjski wywarł silną presję na Rząd Tymczasowy rosyjski, aby wydał odezwę uznając w niej niepodległą Polskę jako cel wojenny. ... Balfour... wywarł presję w tym kierunku, ponieważ trafił mu do przekonania argument Dmowskiego, że w braku jasnej deklaracji rosyjskiej Niemcy... będą mogły zwerbować ok. 800.000 żołnierza polskiego a tym samym przenieść znaczne siły z frontu wschodniego na zachodni...” (str. 67-69).

Twierdzenia te wydały mi się tak bałamutne, a zatem szkodliwe, że napisałem artykuł, w którym udowodniałem, że Balfourowi, jako zasadniczemu przeciwnikowi niepodległej Polski, nie śniło się nawet wywierać presji na Rosję w kierunku odmiennym. Artykuł pisałem łagodnie i kilka dobitniejszych sformułowań usunąłem na prośbę Redaktora. Ukazał się na wiosnę 1970 w 17-tym *Z. H.* Obecnie, w listopadzie 1972, w 22-gim *Z. H.* czytam, że rzekomo wciąż „istnieje potrzeba sprostowania poglądów i wniosków”, jakie w owym artykule „bezimiennie” przypisał autorce listu do redakcji (*Z. H.* nr 22, str. 233).

Za punkt wyjścia służy zakończenie mego artykułu. Drobną operacją kosmetyczną — usunięcie paru cudzysłówów — i „ja” już nie jestem „ja”, a poglądy i wnioski „nie moje”. Po magicznym wyeliminowaniu swojej osoby, autorka listu pisze, że wniosek kończący mój artykuł jest „zdumiewający” i dla „posądzenia” jej o jego wypowiedzenie potrzebne było „nakreślenie” jakiegoś „swoistego *trait d'union*” oraz zignorowanie w jej artykule „kontekstu akcji brytyjskiej” oraz „całości artykułu i jego wniosków”.

Nie bardzo rozumiem, ale gotów jestem wierzyć, że Autorka nie głosi, „że Polska zawdzięczała niepodległość W. Brytanii”. Jednakże bałamutne, a zatem szkodliwe, twierdzenia, ujęte przeze mnie w cudzysłów i częściowo uwypuklone kursywą, znajdują się w podpisanym przez nią artykule w 16-ym *Z. H.*

Niczym jedna z koleżanek, które gdy pozwolą sobie posądzić o niewłaściwe zachowanie dowiadują się często, że ich nogi są krzywe, czy zezowate, a zęby szczerbate, zostałem poinformowany przy okazji, że ulegam autostegii, używam niewłaściwej terminologii, nie znam angielskiego, niepotrzebnie tłumaczę „w takiej rozciągłości” memoriały Balfoura, nie zdobywam się na wysiłek zrobienia odnośników, opuszczam „niewygodne” punkty przy tłumaczeniu „z oryginału angielskiego, podanego przez prof. Piotra Wandyczę”, itp., itd. W sumie, „przedsięwzięta” przeze mnie polemika jest „nudna, nużąca, irytująca”.

Wszystko to, Drogi Panie Redaktorze, przyjmuję do wiadomości. Pan wie, że polemik nie lubię i kilkakrotnie wstrzymywałem się przed ich wszczynaniem czy kontynuowaniem, nie chcąc nikomu przysparzać przykrości. Nie znaczy to jednak bym, odszedłszy ostatnio ze względów zarówno zdrowotnych jak finansowych od bardziej czynnego życia, chciał być traktowany jak przysłowiowe pochyłe drzewo.

Dłoń ściskam,

Wiktor SUKIENICKI

SPIS TREŚCI

Józef Lewandowski: <i>Funkcje specyficzne historycyzmu w krajach systemu sowieckiego</i>	3
Paweł Korzec: <i>Materiały do studiów nad historiografią PRL w zakresie historii najnowszej (III)</i>	18

DOKUMENTY

Witold Babiński: <i>Wymiana depesz między Naczelnym Wodzem i Dowódcą Armii Krajowej 1943-1944 (Cz. I)</i>	33
Wł. Gomułka <i>na aktywie partyjnym Huty Warszawa (dok.)</i>	81

WSPOMNIENIA

Stanisław Stempowski: <i>Z pamiętnika (Wojna. Pogrom — 1914-1917)</i>	101
---	-----

PRZYCZYNNKI HISTORYCZNE

Bogusław Miedziński: <i>Ze wspomnień o Walerym Stawku (Uwagi wstępne Tadeusza Święcickiego)</i>	141
---	-----

Z ARCHIWUM SP. WŁ. POBÓG-MALINOWSKIEGO

Jan Kowalewski: <i>Kierunek na Lwów w 1920 roku</i>	156
Jan Kowalewski: <i>Dlaczego 17 września?</i>	157
Jan Librach: <i>Nota o „Akcji Kontynentalnej”</i>	159

POLEMIKI

Z. S. Siemaszko: <i>Szara eminencja w miniaturze</i>	172
Aleksander Litwin: <i>O drugiej Rzeczypospolitej — inaczej</i>	185

RECENZJE

Wiktor Sukiennicki: <i>Amerykańska praca habilitacyjna o Białorusi</i>	199
Maria Danilewiczowa: <i>Dyplomaci angielscy o Marszałku Piłsudskim</i>	208
Tadeusz Nowacki: „ <i>W kraju i na obczyźnie</i> ” — Jerzego Kirchmayera	211
Józef Lewandowski: <i>Emigracyjne periodyki historyczne: „Teki Historyczne”; „Niepodległość”</i>	217

W OBCYCH OCZACH

O Polakach w miesięczniku „ <i>Ecrits de Paris</i> ” i w książkach: <i>Susanne Bidaut, Simone de Beauvoir i Christian de la Mazière</i>	224
---	-----

LISTY DO REDAKCJI

Józef Baraniecki	231
Wacław Bniński	232
Józef Jaklicz	232
Tadeusz Katelbach	233
January Nazorek	234
Z. S. Siemaszko	236
Tadeusz Sołowij	237
Wiktor Sukiennicki	237

ACHEVE D'IMPRIMER LE 26 JANVIER 1973 SUR LES PRESSES
DE L'IMPRIMERIE RICHARD, 24, RUE STEPHENSON, PARIS (18°)

Dépôt légal : 1^{er} trimestre 1973

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

BIBLIOTEKA „KULTURY” — TOM 236

ADAM KRZYŻANOWSKI

DZIEJE POLSKI

Tytuły Rozdziałów:

PRZEDMOWA I WSTĘP AUTORA. — POLSKA OD-
RODZONA POMNIKIEM REHABILITACJI NARODU.
— OREZ POLSKI W SŁUŻBIE DOBREJ SPRAWY. —
TRAKTAT BRZESKI. — POKÓJ ZAPOMNIANY. —
KOMENDANT LEGIONÓW NACZELNIKIEM PAŃ-
STWA. — METODY I CELE POLITYKI ZAGRA-
NICZNEJ. — WOJNA Z ROSJĄ. — POKÓJ RYSKI.
— TRAKTAT PRZYJAZNI ROSYJSKO-NIEMIECKI.
— KRES SEJMOWŁADZTWA. — BEZSKUTECZNE
USIŁOWANIA RZĄDU POLSKIEGO SKŁONIENIA
SPRZYMIERZONEJ FRANCJI DO WSPÓLNEGO
UPRZEDZENIA ATAKU NIEMIECKIEGO. — PORO-
NIONE ZAMYŚŁY ZJEDNOCZENIA SIĘ PAŃSTW
ZAGROŻONYCH ATAKIEM NIEMIECKO-ROSYJ-
SKIM. — TESTAMENT MARSZAŁKA. — SPADKO-
BIERCY. — ROSYJSKA OFERTA UCZESTNICZENIA
W ROZBIORZE POLSKI. — ROZBIÓR POLSKI OD-
RODZONEJ. — NIEMIECKIE ŻĄDANIE KAPITULA-
CJI BEZ WOJNY. — ANGIELSKA REKOJMIA PO-
MOCY. — ROSYJSKIE ROKOWANIA. JAWNE Z
ANGLIĄ I Z FRANCJĄ. TAJNE Z NIEMCAMI. —
DALSZE FAZY TARGÓW NIEMIECKO-ROSYJSKICH.
— TAJNY UKŁAD O ROZBIÓR POLSKI Z 23 SIERP-
NIA. — ODZEW ANGLII I POLSKI NA ROSYJSKO-
NIEMIECKĄ ZAJAWĘ. — HITLER TEGO DNIA
ODRACZA NAJAZD O SZEŚĆ DNI. — ZMOBILIZO-
WANE WOJSKA STAJĄ NA GRANICY. — WOJNA.
— JAWNA UMOWA ROZBIOROWA.

Str. 456.

Cena F. 35 (dol. 8,00; £ stg. 3,00)

18,50 F (dol. 4,25; £ 1,60)